

# Kaiser R. J.

## Ktoś obcy

*Hillary Bass budzi się w szpitalu i uświadamia sobie, że nic nie pamięta - nie wie, kim jest i jak się tu znalazła. Od lekarza dowiaduje się, że uległa wypadkowi i cierpi na amnezję. Ale to nie koniec złego: na jachcie, gdzie doszło do nieszczęścia, towarzyszył jej kochanek, i wszystko wskazuje na to, że to ona jest winna jego śmierci. Może więc właśnie tego nie chce pamiętać? Może amnezja stanowi obronę organizmu przed przyznaniem się do smutnej prawdy o sobie? Hillary, myśląc z odrazą o swojej przeszłości, zaczyna akceptować przerażające fakty...*

*A jednak... Jest przecież mąż, którego kocha. Jak mogła go zdradzać? Jest niejasne wspomnienie o mieście, w którym podobno nigdy nie była. Jest jeszcze ten dziwny, wciąż powracający sen...*

## *Rozdział pierwszy*

Umysł potrafi w zadziwiający sposób bronić się przed okrutną świadomością popełnienia niegodziwych postępów. Wymazuje z pamięci całe dotychczasowe życie, dosłownie wszystko, tak że ma się poczucie absolutnej niewinności.

przekonałam się o tym, budząc się ze snu w nie znanym mi miejscu i wśród obcych ludzi.

Jeszcze zanim otworzyłam oczy, poczułam zapach róż. Gdy wciągnęłam go do płuc, wstrząsnęły mną jakieś silne uczucia. Serce zaczęło mi łomotać i mimowolnie jęknęłam. Nie potrafiłam jednak skupić myśli. Wciąż tkwiłam w ulotnej nadrzeczywistości pół snu i pół jawy.

Kiedy uniosłam powieki, spostrzegłam przed sobą pustą ścianę i zorientowałam się, że leżę w łóżku w jakimś obcym pokoju. Po chwili pochyliła się nade mną brzydka pyzata pielęgniarka z dużym nosem.

- *Madame, vous voila revenue a vous!* Zamrugałam powiekami, nic nie rozumiejąc. Naturalny wydał mi się zapach róż, ale widok tej kobiety - już nie.

- Gdzie są róże? - spytałam słabym głosem.

Na te słowa rozbliły jej oczy i zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Jej zachowanie wydało mi się dziwaczne, a nawet absurdalne. Czyżbym znajdowała się w jakiejś wymyślonej rzeczywistości filmowej, na przykład rodem z dzieł Felliniego?

*R.J. Kaiser*

Zaskoczyło mnie to skojarzenie i kiedy później zdawałam sprawę psychiatrze z pierwszych moich reakcji po odzyskaniu przytomności, nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego - cierpiąc na amnezję - pamiętałam akurat Felliniego.

Do pokoju wszedł lekarz, niepozorny mężczyzna z wąsikami; miał surowe rysy. Wpatrywał się we mnie z przejęciem, wyraźnie zadowolony z tego, co zastał.

- Dzień dobry. Jak się pani czuje? - przywitał mnie po angielsku, ale z silnym cudzoziemskim akcentem. Nic na to nie powiedziałam, bo choć moje zmysły odzyskały sprawność, odbierałam siebie jak kogoś obcego.

- Gdzie jestem? - spytałam z wysiłkiem.

- W szpitalu w Tulonie.

- W Tulonie? - Ta nazwa nic mi nie mówiła.

- Obawiam się, że otrzymała pani potężny cios w głowę. Czy pani to sobie przypomina?

Zaprzeczyłam ruchem głowy. Nie, nie pamiętałam niczego, z wyjątkiem zapachu róż. Wspomnienie tego zapachu było silne, tyle że pochodziło sprzed kilku minut. Znajoma okazała się również twarz stojącej w pobliżu łóżka pielęgniarki, ale i ona pochylała się nade mną zaledwie przed kilkoma minutami. Odwróciłam głowę, czując dokuczliwą sztywność szyi, i rozejrzałam się po pokoju. Miał białe ściany i był wysoki, podobnie jak okna i oszklone drzwi prowadzące na taras. Przez przejrzyste, rozfalowane zasłony wpadało do wnętrza słoneczne światło.

Dopiero teraz spostrzegłam, że na nocnym stoliku stoi wazon z mnóstwem długich czerwonych róż.

Znowu wciągnęłam przesycone ich aromatem powietrze.

Spojrzałam na lekarza, który zdawał się spokojnie mnie obserwować. Uśmiechnął się łagodnie, zapewniając mnie w ten sposób, że wszystko jest w porządku, ale ja wiedziałam, że to nieprawda.

- Nie wiem, co mi się przydarzyło.

- Pani Bass, spodziewaliśmy się, że będzie pani zdezo-

### *Ktoś obcy*

rientowana. Jednak wkrótce odzyska pani pamięć. Doznała pani bardzo poważnego urazu. To mi coś wyjaśniło. Ale dlaczego nazwał mnie „panią Bass”? Uświadomiłam sobie nagle, że nie wiem, kim jestem. Próbowałam to sobie przypomnieć, jednak wciąż nic nie pamiętałam. Miałam kompletną pustkę w głowie. To odkrycie wzbudziło we mnie, najdelikatniej mówiąc, niepokój, bo oczywiście byłoby lepiej, gdybym znała swoją tożsamość. Postanowiłam jak najszybciej postarać się o to. Łzy napłynęły mi do oczu. Poczułam się jak dziecko pozbawione matki.

- Nie mam pojęcia, kim jestem - wyznałam cicho.

- Powinna pani odpocząć. - Lekarz dotknął moich dłoni. - Wkrótce pamięć wróci, a pani zagubienie nie jest czymś nadzwyczajnym. Wczoraj powiadomiliśmy męża, że spodziewamy się, iż lada chwila odzyska pani przytomność. Pan Bass jest w drodze do Tulonu. Całkiem możliwe, że dotrze tu jeszcze dziś, choćby wieczorem. Ponieważ nie ma bezpośredniego połączenia lotniczego pomiędzy Londynem a Tu-lonem, zajmie mu to trochę czasu.

Powiadomili męża? Jestem mężatką? Nie potrafiłam oswoić się z tą wiadomością. Jakoś pogodziłam się z faktem, że nie wiem, kim jestem, ale to, iż zapomniałam, że mam męża, wytrąciło mnie z równowagi. Byłam zupełnie pozbawiona poczucia, że znam kogokolwiek tak blisko.

- Jest pan tego pewny, doktorze?

- Nie wiem dokładnie, kiedy pani mąż przyjedzie. Ale powiedział, że postara się tu być jak najszybciej.

- Och, nie o to mi chodziło. Pytałam, czy wie pan na pewno, że jestem... mężatką? - wymamrotałam. Oczywiście wiedział, bo inaczej by tego nie mówił. Nie musiał niczego potwierdzać. Dotknął tylko mojego czoła szczupłą chłodną dłonią.

- Odpoczynek dobrze pani robi. I podamy pani solidny posiłek. Zbada panią neurolog, a następnie przyjdzie z wizytą psychiatra, doktor Thirion. Teraz jednak proszę się odprężyć. Będzie przy pani czuwała pielęgniarka.

*R.J. Kaiser*

Na wąskich ustach lekarza wykwit! uśmiech. Gdy wychodził z pokoju, chciałam zawołać za nim, żeby został, ale jakoś nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

Spojrzałam na pielęgniarkę. Promieniowała życzliwością. Z wysiłkiem odwzajemniłam uśmiech. Staralam się pozbierać myśli, lecz mój mózg odmawiał posłuszeństwa. Czułam się jak szczur w labiryncie. Próbowałam różnymi sposobami pobudzić pamięć, ale każdy prowadził donikąd. Zamiast cofać się w czasie, tkwiłam w martwym punkcie. Wiodła z niego tylko droga do rzeczywistości, która pojawiła się wokół mnie zaledwie przed kilkunastoma minutami wraz z zapachem róż, pielęgniarką, lekarzem i szpitalnym pokojem.

Ponownie zwróciłam oczy na kobietę stojącą przy moim łóżku. Patrzyłam na nią z determinacją kogoś, kto usiłuje dotrzeć do sedna swojej osobliwej sytuacji.

- Dlaczego jestem we Francji?
- Mieszka tu pani od jakiegoś czasu, a równocześnie w Anglii.
- To znaczy, że mój mąż jest bogaty - skomentowałam tę uderzającą dla mnie wiadomość.
- *Oui, madame* - potwierdziła zakłopotana pielęgniarka. To odkrycie nie sprawiło mi jakiejś szczególnej satysfakcji.

Uniosłam dłoń, chcąc zobaczyć pierścionek zaręczynowy i dowiedzieć się czegoś o swoim i męża guście, ale nie miałam na palcach żadnej biżuterii. Widocznie z jakiegoś powodu zdjęto mi ją w szpitalu.

Zamknęłam oczy, ponownie usiłując przypomnieć sobie cokolwiek. Bezowocnie. Czułam się tak, jakby rzeczywistość z filmów Felliniego, w której znalazłam się po odzyskaniu przytomności, ustąpiła miejsca atmosferze filmów Hitchcocka. Byłam teraz prawdziwie zaintrygowana swoją sytuacją. Nie wiedząc nic na temat własnej tożsamości, najprawdopodobniej miałam więcej odwagi niż człowiek bez zaburzeń pamięci.

- O ile dobrze zrozumiałam, nazywam się Bass?

- *Oui, madame.*

- A jak mam na imię?

- Hillary. - Pielęgniarka wymówiła to słowo po angielsku, ale z silnym francuskim akcentem.

- Hmm...

Zastanawiałam się nad swoim imieniem i nazwiskiem. Hillary Bass... Nie kojarzyłam ich absolutnie z niczym. Spokojnie mogłam o nich zapomnieć. Nazwisko po mężu łatwo było odrzucić lub zmienić, natomiast imię, które nosiłam od urodzenia, powinno choć odrobinę pobudzić moją pamięć. Niestety, tak się nie stało.

- Pani Bass, zgodnie z tym, co powiedział lekarz, musi pani odpoczywać. Proszę nie wprowadzać się w stan rozdrażnienia. Przez długi czas była pani nieprzytomna i powinna pani powracać do rzeczywistości powoli, *n'est-ce pas?*

Lekarz i pielęgniarka prawdopodobnie mieli rację. Istotnie czułam się wyczerpana. Z trudem znajdowałam w sobie siłę, żeby poruszyć ręką czy nogą, zaś głowa wprawdzie mnie nie bolała, lecz była ciężka, a zarazem pusta. Może zatem odpoczynek sprawi cud i jeśli się postaram, mgła spowijająca moją pamięć ustąpi? Skoro jednak miałam pozostać sam na sam z myślami, potrzebowałam nieco więcej informacji na swój temat.

- Proszę mi odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań.

- *Comme vous voulez, madame.*

- Czy znam francuski?

Zmarszczyłam nos, bo nie rozumiałam odpowiedzi pielęgniarki.

- Poinformowano nas, że tak. *Vous ne comprenez pas?* Pokręciłam głową.

- *Tiens.* To zastanawiające. Nic pani nie rozumie?

- Może odrobinę. Dźwięki brzmią znajomo.

- Zapewniam panią, że znajomość francuskiego powróci.

Wcale nie rozproszyło to moich wątpliwości, bo dlaczego nie miałam żadnych kłopotów z angielskim? Czyżby utrata pamięci nie obejmowała tylko ojczystego języka? Te pytania zadałam później specjalistom, lecz nie otrzymałam zadowalającej odpowiedzi. Mój przypadek, jak się okazało, był zaskakujący tyleż dla nich, co dla mnie.

- Jak doszło do urazu głowy? Co mi się przydarzyło?

\*- Nie jestem pewna, czy byłoby wskazane mówić o tym teraz. - Pielęgniarka wzbraniała się przed odpowiedzią.

- Dlaczego? Czy było tak źle?

- *Tragique.*

- Może stało się coś mojemu dziecku? - spytałam zdjęta trwogą. - Czy mam dziecko?

- Jest pani bezdzielna.

Pielęgniarka gorliwie potrząsała głową, najwidoczniej strapiiona moim pytaniem.

Nie wiedziałam, dlaczego zagadnęłam ją właśnie o to, bo brakowało mi wyobrażenia dziecka i pamięci o nim. Ale może w otchłani mojego umysłu dziecko lub dzieciństwo w jakiś sposób kojarzyły się z tragedią? - Co więc jest w mojej sytuacji tragicznego? Co naprawdę mnie spotkało?

- Na pani jachcie zdarzył się wypadek. Znalaziono panią nieprzytomną... Jak to powiedzieć po angielsku... na pokładzie. Jacht dryfował w pobliżu Nicei.

- Byłam sama?

- Gdy panią znaleziono, tak. - Pielęgniarka pochyliła głowę, tak że jej pyzata twarz opierała się na korpulentnym torsie. Była naprawdę zakłopotana.

- A co pani przemilczała? - spytałam, bo miałam pewność, że chodzi o coś więcej i uważałam, że powinna mi powiedzieć.

- Nie do mnie należy informowanie pani o wypadku.

- Proszę coś wyjawić. Mam prawo wiedzieć.

- Nie wiadomo dokładnie, co się wydarzyło, ale następnego dnia wyłowiono z morza... zwłoki pana.

- Jakiego pana?
- Nie znam jego nazwiska. To naprawdę nie moja sprawa - oświadczyła z naciskiem.
- Kto to był i co mnie z nim łączyło? Tyle proszę mi powiedzieć.
- Nie mogę - odparła, spuszczać oczy i kręcąc głową.
- Czy to mój przyjaciel?

Wzruszyła ramionami, odmawiając odpowiedzi.

Kochanek, pomyślałam. Było to całkiem oczywiste. Wielkie nieba, a więc miałam romans!

Zaczerwieniłam się po uszy. Najwidoczniej poczucie przyzwoitości i wstydu wcale się nie ulatniają wraz z utratą pamięci. Tyle się o sobie dowiedziałam... A więc mam męża, którego sobie w ogóle nie przypominam, i zdradziłam go z mężczyzną, o jakim też nie potrafię nic powiedzieć. Kim zatem jestem i jakie jeszcze niespodzianki szykuje mi Hillary Bass?

Pielęgniarka usiadła na krześle w rogu pokoju. Prawdopodobnie obawiała się dalszych pytań.

Czułam się poniżona i zdumiona swoimi postępkami. Odbierałam teraz tę amnezję jako ucieczkę przed ponurą rzeczywistością. Bo było dla mnie o wiele lepiej mieć umysł przypominający nie zapisaną tablicę.

Spróbowałam zmienić pozycję, lecz zeszywniałe mięśnie bolały mnie przy najlżejszym ruchu. W straszliwym przygnębieniu gapiłam się w sufit.

- Siostrze, od kiedy tu jestem?

- Od trzech tygodni.

Od trzech tygodni! Uraz głowy rzeczywiście był poważny.

- Co naprawdę mi dolega?

- Została pani dotkliwie poparzona przez słońce. Sądząc po tym ustalono, że leżała pani na pokładzie przez wiele godzin. Ale lekarzy najbardziej niepokoił uraz głowy. Liczyli się nawet z pani śmiercią. Znowu zamknęłam oczy, usiłując sobie przypomnieć coś, co potwierdziłoby prawdziwość relacji pielęgniarki. Bez rezultatu. I nie potrafiłam z niczym skojarzyć męża. Wciąż



nie wiedziałam, jakim jest człowiekiem i czy żywię wobec niego uczucia pozytywne czy raczej wrogość. Nie miałam pojęcia, czy jest niewinną ofiarą mojego stylu życia czy też łajdakiem, jakkolwiek biorąc pod uwagę zdradę, której się wobec niego dopuściłam, pierwsza możliwość wydawała się bardziej prawdopodobna. - Czy poznała pani mojego męża?

- Nie.

- A widziała go pani?

- Przez chwilę i z daleka. Był tu tylko raz, zaraz po wypadku.

To wiele mówiło o naszym małżeństwie. Chyba nie należało do szczęśliwych.

- Jak on ma na imię?

- *Preriom* pana brzmi Carter.

- Carter?

- *Oui, madame.*

Carter Bass. Rzadkie imię i nazwisko.

- Jakiej jest narodowości?

- Och, amerykańskiej. Tak jak pani.

Czyli jestem Amerykanką żyjącą we Francji, żoną Amerykanina, który przebywa w Londynie, a w każdym razie stamtąd jedzie do mnie w odwiedziny.

Ciekawiło mnie, gdzie mieszkałam kiedyś w Ameryce, ponieważ miałam dziwne uczucie, że znam ten kraj. Potrafiłam przywołać w pamięci jego mapę, choć nie byłam w stanie umiejscowić na niej siebie.

Dziwiło mnie, że nie przypominam sobie domu, dzieciństwa i rodziny. Niestety, nie istniała dla mnie żadna przeszłość, żadna historia życia i kronika wydarzeń, żadna rzeczywistość. Aż do dzisiaj.

Gdy oddychałam głębiej, zapach róż budził we mnie jakieś uczucia, choć nie umiałam określić, czy są pozytywne czy negatywne. Ale miały dużą siłę i wywoływały nieokreślony niepokój.

- Od kogo są te róże?

- Naturalnie od pana. Przysłał je wczoraj.

Zatem może mimo wszystko mąż nie żywi wobec mnie nienawiści? A może nawet mnie kocha? Dziwiło mnie, że tę drugą możliwość przyjmuję z zadowoleniem, skoro nie wiem, jakim człowiekiem jest Carter Bass. Zastanawiałam się, czy przysłała mi róże, ponieważ mnie pragnie, czy raczej z powodu jakiegoś poczucia winy. Nie dawało mi spokoju pytanie, jakiego mężczyznę wybrałam sobie na męża.

Rzez całe popołudnie lekarze kręcili się przy mnie niczym tłum pragnący zobaczyć najnowszy artystyczny fajerwerk podczas karnawałowej rewii. Najpierw zjawił się neurolog, po nim psychiatra, dwóch internistów i Guy La-fon, który wizytował mnie już raz, tuż po odzyskaniu przytomności. Gerard Thirion, psychiatra, był wysokim siwowłosym mężczyzną o wąskiej twarzy i oczach drapieźnika. Patrzył badawczo i zachowywał się z rezerwą. Oznajmił, że moja amnezja może być skutkiem zarówno urazu psychicznego, jak fizycznego. Przewidywał poprawę pamięci w ciągu najbliższych dni, a nawet godzin. Moje spodziewane spotkanie z mężem uważał za pomocne w procesie odzyskiwania pełni władz umysłowych. Argumentował, że mimo wszystko nie urodziłam się przecież dziś rano, zaś mąż, w przeciwieństwie do personelu szpitala, nie może okazać się dla mnie człowiekiem obcym. Psychiatra orzekł, że spotkanie z Carterem Bassem będzie dla mnie niczym widok pierwszego oświetlonego pokoju w pogrążonym w mroku wielkim domu. Gdy zobaczę męża, światło może się zacząć zapalać w kolejnych pokojach, aż w końcu odsłoni się przede mną cała moja przeszłość.

Powiedziałam doktorowi Thirionowi, w jaki sposób reaguję na róże, choć zastrzegłam się, że nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje.

- To może okazać się ważne - oświadczył. - Jako rodzaj szczeliny w ochronnym pancerzu, którym osłoniła pani swo-

ją pamięć. Proszę starać się rozszyfrować znaczenie róż z pożytkiem dla pani. Dobrze byłoby też, gdyby pani porozmawiała o tym z mężem. Oczekiwałam na przyjazd Cartera tyleż z lękiem, co z nadzieją. Bo co będzie, jeśli go nie rozpoznam? Prawdopodobnie łączą nas zażyłe stosunki, ale czy mogę nadal uważać się za żonę mężczyzny, jeśli będę go odbierać jak kogoś obcego? Carter nie został tak poszkodowany jak ja... Los wydał mi się bardzo dla mnie niełaskawy. Mogłam tylko żyć nadzieją, że rozpoznam męża i odzyskam pamięć. Gdy po południu jadłam pierwszy od tygodni normalny posiłek, wszedł doktor Lafon, by mi powiedzieć, iż Cartera zatrzymało coś w Paryżu i że w związku z tym odwiedzi mnie jutro rano. Byłam zawiedziona, choć z drugiej strony odczułam ulgę.

- Czy poinformował go pan o...

- O pani amnezji? Tak. Przekazałem mu ogólne informacje na temat stanu pani zdrowia. Bardziej subtelne dane przedstawi mu doktor Thirion.

- Jak mąż zareagował?

- Oczywiście niepokoi się o panią.

Jakąż osobliwą rozmowę prowadziłam z lekarzem. Obchodziły mnie uczucia mężczyzny, którego w ogóle nie pamiętałam.

- Doktorze, co będzie, jeśli amnezja nie ustąpi?

- Ustąpi.

- Ale proszę założyć tę pierwszą ewentualność.

- Wtedy będzie pani musiała zacząć wszystko od początku. Przeszył mnie dreszcz na myśl o tym, jak czułabym się

w roli żony... nieznanego mężczyzny. Byłabym zdana na jego łaskę i niełaskę, tak jak teraz w szpitalu, gdzie musiałam poddać się kurateli personelu.

- Czy przypuszczenie, że być może ktoś coś knuje przeciwko mnie, to objaw paranoi?

Lafon uśmiechnął się i musnął palcem wąsik.

- To całkowicie normalne, że nie czuje się pani bezpie-

cznie, ale proszę się nie martwić. Mgła ustąpi. Jestem tego pewny.

Zanim poszłam spać, postarano się jeszcze radykalnie usprawnić moją kondycję fizyczną.

Fizykoterapeuta rozmasował mi mięśnie i uelastyczył stawy po okresie długiej śpiączki.

Podtrzymywana przez dwie pielęgniarki, podeszłam po tych zabiegach do lustra. Po raz pierwszy od wypadku mogłam zobaczyć swoją twarz. Doznałam wielkiej ulgi, gdy okazało się, że nie wygląda obco. Rozpoznałam ją tak samo jak zapach róż. Moje ciemne proste włosy były równo przycięte odrobinę poniżej podbródka. Spocone i brudne, domagały się natychmiastowego umycia. Twarz miałam czystą, lecz instynktownie wiedziałam, że publicznie nie pokazuję się bez makijażu.

Patrzyłam w swoje gołębioszare oczy, spodziewając się jakiegoś przebłysku pamięci, lecz były niczym woda w ciemnym stawie. Nie potrafiłam wyobrazić sobie widzianej w lustrze kobiety w innym otoczeniu niż obecne. Nie mogłabym powiedzieć, jak się ubiera, jakie lubi kolory i jakich używa perfum, tak jak nie umiałabym powiedzieć innych rzeczy. Przedstawiała znajomy, lecz zarazem obcy widok, bo byłam kimś obcym nawet dla samej siebie.

Podczas wieczornej wizyty spytałam doktora Lafona, czy wie coś na temat mojej rodziny, przyjaciół, miejsca urodzenia i wykształcenia.

- Obawiam się, że niewiele. Amnezja nas zaskoczyła, więc nie zasięgnęliśmy u pani męża informacji.

- Dotknął moich dłoni. - Ale proszę się tym nie kłopotać. Doktor Thirion dowie się od pana Bassa wszystkiego.

Zawiedziona, skinęłam głową.

- Dobrej nocy. Przy odrobinie szczęścia jutro odzyska pani pamięć.

Podziękowałam mu, odprowadzając go wzrokiem do drzwi.

- Aha, panie doktorze...

- *Oui, madame?*

- Jak nazywa się mężczyzna, którego zwłoki wyłowiono z morza?
- Powiedziano pani o tym? - spytał, marszcząc brwi.
- Zażądałam informacji na temat szczegółów wypadku.
- Rozumiem, - W zamyśleniu dotykał palcem policzka. - O ile dobrze wiem, ten pan to Michel Lambert.
- Francuz.
- *Oui* - potwierdził, najwyraźniej niechętny dalszej rozmowie na temat nieżyjącego mężczyzny.
- Mam do pana jeszcze tylko jedno pytanie: Czy mój mąż wiedział o Michelu Lambercie?
- Z pewnością. - Poruszył się tak, jakby poczuł się nieprzyjemnie. - Ale ja nie jestem ani przyjacielem pana Bassa, ani kimś dla niego zaufanym. Obawiam się, że powiedziałem pani wszystko, co byłem w stanie. *Bon soir, madame.* - Skinął uprzejmie głową i wyszedł z pokoju.

Gdy zostałam sama, znowu usiłowałam pobudzić pamięć. Przez jakiś czas koncentrowałam się na nazwisku: Michel Lambert. Ku mojemu przerażeniu wywoływało silne, choć nieokreślone skojarzenia, jakby wyzwalając jakieś emocje czy przywołując zapomniane zdarzenie. Może wypadek na jachcie? Czyżby był on tak straszny, że wołałam o niczym nie pamiętać?

- *Ca va, madame?* - pozdrowiła mnie pomocnica pielęgniarki, dziewczyna o okrągłej twarzy i szczerym spojrzeniu.

Skinęłam głową.

Podeszła do nocnego stolika, sprawdzając czy w dzbanku jest woda. Powąchała róże.

- Czy mogłabyś mi podać jedną?

- *Bien sur.*

Podsunęłam pod nos dorodny pąk i głęboko wciągnęłam do płuc powietrze. Zapach ponownie obudził we mnie jakieś emocje, choć nie wywołał żadnych wspomnień. Był cudowny i sprawił, że tak samo jak tuż po odzyskaniu przytomności, przyśpieszył mi puls. Ale tym razem działanie okazało się jeszcze silniejsze. Nie wiem czemu zaczęłam płakać.

## *Rozdział drugi*

Rano nie czułam się już tak słaba fizycznie, lecz stan mojego umysłu nie uległ zmianie. Nie zdziwiło mnie jednak, że nie odzyskałam pamięci, ponieważ instynkt podpowiadał mi, iż dużo czasu upłynie, zanim powrócę do normy.

Po śniadaniu pielęgniarki pozwoliły mi wziąć prysznic i umyć głowę, a potem przekazały mi zamszową kosmetyczkę, którą ktoś przywiózł z mojego domu. Z drżeniem wzięłam ją do rąk.

Wszystko wskazywało na to, że od dawna używam zamkniętych w niej kosmetyków. Intrygowało mnie więc, czy któryś z nich rozjaśni nieco moją pamięć.

Towarzysząca mi pielęgniarka była młodą kobietą o pospolitej okrągłej twarzy i ładnych jasnych włosach. Stała za mną, tak że widziałam jej odbicie w lustrze toaletki.

Rozsunęłam zamek błyskawiczny kosmetyczki i wyłożyłam wszystkie rzeczy. Niestety, żadna z nich, nawet w najmniejszym stopniu, nie okazała się znajoma. Zawartość złotego puzderka z trzema cieniami do powiek została w połowie zużyta, a puder w kamieniu miał charakterystyczną wklęsłość. Szczoteczkę do rzęs gęsto oblepiał tusz. Zajrzałam do słoiczka z błyszcznikiem do ust, zastanawiając się, czy rzeczywiście wyłobila go opuszka mojego palca.

Zerknęłam na lustrzane odbicie pielęgniarki.

- Czy na pewno te rzeczy należą do mnie?

- *Mais, oui, madame* - obruszyła się.

Jej reakcja stanowiła dostateczną gwarancję, że nikt nie knuje przeciwko mnie jakiejś intrygi. Nie potrafiłam jednak rozpoznać moich kosmetyków. Były dla mnie tak samo obce jak całe dotychczasowe życie. Równie dobrze mogłyby należeć do innej kobiety. Usiłowałam bagatelizować zawiedzioną nadzieję, lecz zarazem czułam się okpiona przez los, bo przecież powinnam mieć poczucie, że coś do mnie należy, choćby jakiś drobiazg. Uchwyciłabym się go jako czegoś własnego. Zaczęłam otwierać rozmaite flakoniki i słoiczki. Kosmetyki były na ogół francuskie, więc na podstawie etykietek nie potrafiłam powiedzieć, do czego służą. Wklepałam w skórę krem nawilżający i przyłożyłam do twarzy flakonik z pudrem w kremie, sprawdzając, czy odcień pasuje do cery. Pasował, lecz zrezygnowałam z tego podkładu pod ostry makijaż. Zadowoliliłam się cieniem do powiek, kredką do oczu i tuszem do rzęs. Na końcu pomalowałam usta, sięgając po najbardziej zużyty pomadkę. Sprawdziłam efekt w lustrze. Bez wątplenia właściwie dobrałam odcienie do mojej karnacji. Twarz wyglądała niemal naturalnie.

Pomocnica pielęgniarki wskazała mi walizkę z ubraniami. Koronkowa bielizna była na granicy przyzwoitości. Musiała ją nosić kobieta mająca kochanka. Suknie okazały się drogie i szykowne. Barwami i fasonami znakomicie odpowiadały mojej karnacji i sylwetce, lecz tak samo jak w przypadku kosmetyków nie potrafiłam ich rozpoznać. Wybrałam prostą z kremowego jedwabiu. Wciąż nie odzyskałam w pełni sił, więc dwie pielęgniarki pomogły mi ją włożyć.

Zaprowadziły mnie do saloniku, gdzie miałam spotkać się z mężem. Wnętrze było umeblowane antykami, a okna i drzwi balkonowe wychodziły na ogród wokół szpitala. Jasnowłosa pielęgniarka usiadła naprzeciwko mnie, na brzegu krzesła.

Spojrzałam na ogród, otoczony kamiennym murem. Rosły tam kwitnące teraz nieznane mi krzewy i zieleniła się

trawa, a za murem rozciągał się gaj oliwny. Wpadające do wnętrza powietrze wskazywało na łagodny, śródziemnomorski klimat. Nie wiedziałam, jaki jest miesiąc, lecz mogłam sądzić, że to koniec wiosny lub początek lata. Wdychając zapach tego powietrza, przez moment myślałam, że potrącił strunę pamięci. Niestety, skojarzenie z czymś znajomym ulotniło się tak szybko, jak się pojawiło. Ale przypomniało mi o różach.

- Czy mogłabym cię o coś prosić? - zwróciłam się do jasnowłosej dziewczyny.

- *Bien sur, madame.*

- *Bądź* tak dobra i przynieś tu z mojego pokoju wazon z różami.

Gdy spełniła moje życzenie, podziękowałam jej i oznajmiłam, że nie musi przy mnie czuwać.

Wolałam w samotności oczekiwać na przybycie męża.

- *Wotre marie est sur le point d'arriver, madame.* Niechętnie używała angielskiego, ale rozumiała, co do niej mówię. Z kolei ja miałam pewność, iż oznajmiła, że Carter zaraz tu będzie. Ucieszyłam się, że mimo wszystko zostało w mojej głowie trochę francuskiego. Być może jego znajomość powoli wracała. Przyjęłam to za dobry znak.

Po wyjściu pielęgniarki zaczęłam się rozglądać po saloniku. Czułam coraz większe zdenerwowanie. Znajdowałam się w drogiej prywatnej klinice, co znaczyło, że Carter jest niesamowicie bogaty, a nie tylko dobrze sytuowany. Dopiero teraz w pełni zdałam sobie z tego sprawę. Oczywiście nie wiedziałam, ile ma lat. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest stary i czy nie poślubiłam go dla pieniędzy. Zarazem dziwiło mnie, że tak się tym niepokoję. W końcu wytłumaczyłam sobie, że skoro małżeństwo z pobudek materialnych oburza mnie teraz, to z pewnością również wcześniej nie mogłabym go zaakceptować. Bo czy uderzenie w głowę jest w stanie zmienić czyjś system wartości? Usłyszałam lekkie pukanie do drzwi. Poczułam napięcie.

- Tak? Proszę wejść.



- *Monsieur votre mari est arrive* - oznajmiła stojąca w drzwiach pielęgniarka, zapowiadając Cartera, jakby był kimś niezwykle ważnym.

Odwróciła głowę, spojrzała na koniec hallu i oddaliła się.

Coraz wyraźniej słyszałam kroki męża. W końcu zobaczyłam go w drzwiach, gdzie zatrzymał się na moment.

Zdumiało mnie, że to taki przystojny mężczyzna: wysoki i świetnie zbudowany. Mógł mieć około czterdziestki. Jego powierzchowność budziła zaufanie, choć wyraz twarzy nie należał do łagodnych. Gapiłam się na Cartera Bassa, nie dowierzając własnym oczom. On też przyglądał mi się z uwagą. Nie sprawiał wrażenia zadowolonego z naszego spotkania.

Gdy wreszcie zamknął za sobą drzwi i wszedł do pokoju, niedbale włożył rękę do kieszeni. Miał na sobie dwurzędową granatową marynarkę, beżowe spodnie i beżową koszulę, a do tego krawat w rdzawym odcieniu. Jego włosy były gęste i ciemne, choć widniały w nich jaśniejsze pasma. Oliwkowa karnacja nadawała mu wygląd wysportowanego, krzepkiego mężczyzny, lecz zarazem sprawiał wrażenie wyjątkowo inteligentnego. Miał męskie, wyraziste rysy twarzy. Był naprawdę przystojny. Ale najbardziej uderzyło mnie jego wysokie czoło i szafirowe przenikliwe oczy.

- Witaj, Hillary - pozdrowił mnie obojętnym głosem. - Miło cię widzieć na nogach. Jak się czujesz? Taki ton prowokował do zdawkowej odpowiedzi, ale jakoś nie mogłam się do niej zmusić. Wciąż wpatrywałam się w Cartera.

- Nie poznaję cię - wymamrotałam po chwili, potrząsając głową.

Na ustach męża zaigrał ledwie zauważalny uśmieszek, zanim na powrót jego twarz znieruchomiła.

- Powiedziano mi, że masz kłopoty z pamięcią.

- Kłopoty? - Przyglądałam mu się badawczo. - Powiedziano ci za mało. Zapomniałam wszystko, co zdarzyło się do wczoraj.

Zdjął marynarkę, przewieszając ją przez oparcie fotela. Potarł podbródek i spojrzał mi w oczy. Wyraz jego twarzy zdradzał podejrzliwość, a nawet chyba jakieś pretensje. Nie wierzył mi.

- Co pamiętasz?

- Absolutnie nic - zapewniłam go, kręcąc głową. Wpatrywałam się w niego z uwagą, podobnie jak on we mnie. -Miałam nadzieję, że cię rozpoznam, ale uczciwie mówiąc, czuję się tak, jakbym widziała cię po raz pierwszy.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując zdrowe, białe zęby. Jego powierzchowność i zachowanie zbijały mnie z tropu.

- To może się okazać na swój sposób zabawne - oświadczył.

Nie wiedziałam, czego się po nim spodziewać, ale brak współczucia sprawił mi przykrość. Spojrzałam na niego ze złością.

- A więc jesteś innego zdania? - spytał w reakcji na moją minę.

- Tak. Nie dostrzegam w tym nic zabawnego.

- Widzę, że wraz z pamięcią nie opuściła cię zgryźliwość.

Znowu błysnęłam na niego oczami, ale nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. Było dla mnie jasne, że pozostaje nieczuły zarówno na mój brak pewności siebie, jak i na to, że czuję się zbita z tropu.

- Jak możesz być tak nieprzyjazny?

- Jak rozumiem, oczekujesz ludzkiego zmiłowania.

- Czy jestem aż tak podła? Naprawdę?

Z westchnieniem odwrócił się do okna. Oglądałam jego profil, czując gniew i żal, choć zarazem dziwne podniecenie. Z pewnością byliśmy do siebie wrogo nastawieni, a mimo to Carter mnie pociągał. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie chciałam żywić wobec własnego męża tak sprzecznych uczuć. Wolałabym po prostu lubić go lub nie.

- Zawsze ściągasz na nas jakieś kłopoty - oświadczył po chwili.

Już zamierzałam wstać z krzesła i ruszyć w jego stronę, doprowadzona tym stwierdzeniem do pasji, ale nie uszłabym za daleko, nie ryzykując zasłabnięcia. Zresztą teatralne gesty nie miały sensu. Bez nich też mogliśmy sobie wszystko wygarnąć.

- Carter, czy nie widzisz, że jestem kompletnie zagubiona? - Zawiesiłam głos, lecz nie słysząc odpowiedzi, ciągnęłam dalej: - Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że poinformowano mnie, iż jesteś moim mężem. Nie poznałabym cię na ulicy.

Z mojego głosu przebijał strach i czułam takie rozgoryczenie, że byłam bliska łez.

Carter przyglądał mi się z kamienną twarzą.

- Dopóki cię nie zobaczyłam, nie wiedziałam, czy masz lat osiemdziesiąt czy trzydzieści. Nie miałam pojęcia jak wyglądasz i czy jesteś szorstki czy też łagodny, nastawiony do mnie przyjacielsko czy wrogo. - Zorientowałam się, że wygłaszam orację, jednak nie mogłam się powstrzymać, więc jeszcze spytałam: - Czy potrafisz sobie wyobrazić moją reakcję na to, że musiałam się dowiedzieć o twoim istnieniu od obcych ludzi?

Byłam na granicy wybuchu i czułam się jak skończona idiotka. Chcąc się uspokoić, odetchnęłam głęboko. Carter spoglądał na mnie wciąż tak samo twardo.

- Jeśli nie jesteśmy dobrym małżeństwem, po prostu mi to powiedz. Dla mnie nie ma sensu siedzenie tu i doświadczanie z twojej strony nienawiści.

- Jakoś do tej pory nic cię ona nie obchodziła.

- Ale teraz jest inaczej - warknęłam.

Znowu przyglądał mi się w milczeniu, jakby cisza mogła mieć oskarżycielską wymowę.

- Carter, dlaczego się tak wobec mnie zachowujesz? To oczywiste, że nie jesteśmy dobrym małżeństwem. Godzę się z tym, choć nie mam pojęcia, dlaczego do tego doszło. Możliwe, że stało się tak wyłącznie z mojej winy. Muszę jednak wyznać, że czuję się traktowana niesprawiedliwie. Nawet dokładnie nie wiem, co zrobiłam.

- Wybacz, Hillary, ale takie stawianie sprawy jest ci cholernie na rękę.

Łzy popłynęły mi po policzkach. Ciężyło na mnie jakieś przekleństwo z powodu postępów, których nie potrafiłam sobie przypomnieć i byłam karana za winy, za jakie nie czułam się odpowiedzialna.

- Skoro wciąż nie wierzysz, że mówię prawdę, dalsze przekonywanie cię nie ma sensu. Jeśli wolisz mnie nienawidzić, proszę bardzo - oświadczyłam, wycierając łzy.

Carter podniósł się z krzesła przy oknie i podszedł do mnie.

- Oczywiście ubolewam nad tym, że straciłaś pamięć i miałaś groźny wypadek. Naprawdę nie czerpię przyjemności z twojego cierpienia, ale nie bardzo rozumiem, czego ode mnie oczekujesz.

- Posłuchaj - zaczęłam spokojnym tonem. - Z pewnością wyda ci się to dziwne, ale jestem strasznie przygnębiona. Personel szpitala nic o mnie nie wie, więc nawet nie mam kogo spytać o moją rodzinę, o miejsce, w którym się wychowałam czy o nazwisko panieńskie. Nie mam pojęcia, jak się poznaliśmy i od kiedy jesteśmy małżeństwem, ba, nie orientuję się nawet, ile mam lat.

Carter usiadł z powrotem na krzesło i spoglądał na mnie bardziej przychylnie, jakby zaczynał ogarniać umysłem bezmiar moich problemów. Mój żal do niego powoli ustępował miejsca nadziei na zrozumienie.

- Rzeczywiście nic nie pamiętasz? Potrząsnęłam głową.

Teraz patrzył na mnie z powagą. Zapraǳnęłam nagle znaleźć się przy nim i już chciałam poddać się temu impulsowi, lecz powstrzymał mnie lęk.

- Co ci tutaj powiedziano?

- Niewiele, ale zupełnie wytrąciło mnie to z równowagi. Mogę ci powtórzyć.

Siedział w wyczekującej pozie.

- Poinformowano mnie, że w wypadku na jachcie zginął

niejaki Michel Lambert - wyznałam bez ogródek, przeświadczona, że zatajenie przed Carterem, iż o tym wiem, byłoby nonsensem. - Co to za człowiek?

- Czy ty naprawdę chcesz, żebym teraz rozszyfrował tę postać? - Carter spoglądał zimno.

- Był moim kochankiem - stwierdziłam, wzdragając się na te słowa.

Spodziewałam się ostrych wyrzutów, jednak mąż milczał, choć nie krył dezaprobaty.

- Jestem przerażona - wyznałam posepnie. - Ale oczywiście nie przypominam sobie ani tego mężczyzny, ani wypadku.

Carter siedział bez ruchu, surowy i zimny. Miałam to samo co wcześniej przeświadczenie, iż potępia mnie moralnie.

- Myśl, że ci to zrobiłam, jest dla mnie nie do zniesienia. Czuję się strasznie zażenowana, nawet jeśli nic nie pamiętam. - Kajałam się, lecz mężowi nawet nie drgnęła powieka, więc ciągnęłam dalej: -

Naprawdę nie przypominam sobie Michela Lamberta. Ale mimo że nie potrafię powiedzieć, jak wyglądał, dręczą mnie straszne wyrzuty sumienia... - Odetchnęłam głęboko, szukając w sobie odwagi do dalszego wyznania. - Jestem pewna, że żywisz wobec mnie tylko pogardę i rozumiem to, jednak rzeczywiście rozpaczam z powodu bólu, jaki ci zadałam, i mam nadzieję, że choć trochę mi współczujesz. Bardzo trudno jest przeproszać za występki, których się nie pamięta. Chyba to rozumiesz?

Carter wciąż mi się przyglądał, opierając podbródek na splecionych dłoniach.

- Czy to uderzenie w głowę nie przytrafiło ci się w samą porę? Wyznajesz winę, a uchylasz się od moralnej odpowiedzialności.

- Czego innego ode mnie oczekujesz? - spytałam, boleśnie dotknięta tą uwagą. - Nie cofnę tego, co zrobiłam i naprawdę czuję się okropnie z powodu swojego dotychczasowego postępowania!

Okazałam przecież skruchę.

Skinął głową, jakby w końcu uznał moje racje.

- Powiem tyle, że osiągnęłaś postęp, jeśli chodzi o twoje podejście do życia.

Intrygowało mnie, jakie było w przeszłości, ale instynktownie czułam, że lepiej o to nie pytać. Carter z trudem zachowywał powściągliwość.

- Mam nadzieję, że docenisz moją szczerość.

- Hillary, jeśli oczekujesz ode mnie wybaczenia, to nie miejsce i czas ku temu. Jesteś w szczęśliwym położeniu, że nic nie pamiętasz. Żałuję, że nie mogę tego powiedzieć o sobie.

Po tym oświadczeniu straciłam nadzieję na porozumienie. Widocznie żadne moje słowa i czyny nie mogły zmienić stosunku Cartera do mnie. Ocierałam łzy, a on siedział niewzruszony, wpatrując się we mnie.

Po chwili wstał z krzesła i pochylił się, kładąc łokcie na oparciu.

- Rozmawiałem z doktorem Thirionem. Uważa, że odzyskanie przez ciebie pamięci to tylko kwestia czasu. Lekarze woleliby, żebyś tu jeszcze została przez kilka dni. Wyjeżdżam dziś w interesach do Rzymu. Gdy wrócę, zawiozę cię do domu w Montfaucon. Wprawdzie nie planowałem teraz pobytu we Francji, ale w związku z zaistniałą sytuacją postaram się towarzyszyć ci przez jakiś czas. Wtedy porozmawiamy. A gdybyś do mojego powrotu z Rzymu nie odzyskała pamięci, powiem ci wszystko, o co spytasz.

- A teraz nie możesz?

- Doktor Thirion prosił, by nie wprawiać cię w zdenerwowanie, choć obawiam się, że już to zrobiłem.

- Carter, proszę, nie zostawiaj mnie w kompletnej nieświadomości.

- Dobrze. Co chcesz wiedzieć? - Był zniecierpliwiony.

- Od jak dawna jesteśmy małżeństwem? - spytałam po namyśle, zdając sobie sprawę, że pytań jest mnóstwo.

- Prawie od ośmiu lat.

- I nie mamy dzieci?

- Zgadza się.
- Nie chcieliśmy?
- Ty nie chciałaś - oznajmił z naciskiem.
- Rozumiem. - Zakręciło mi się w głowie. Jak mogłam się tego nie domyślić? Dla kobiety to są przecież najważniejsze sprawy. - Skąd pochodzę i gdzie mieszka moja rodzina?
- Wychowałaś się w Nowym Jorku, w Westchester. Twój ojciec był właścicielem firmy inwestycyjnej. Zmarł przed kilku laty, a matka przed rokiem.
- Moi rodzice nie żyją. Uczepiłam się tego, usiłując pobudzić towarzyszące śmierci rodziców uczucia. Bez powodzenia.
- Czy mam rodzeństwo?
- Nie. Jesteś jedynaczką. Gdy się urodziłaś, twoi rodzice byli już w średnim wieku.
- Jak obco brzmiały w moich uszach te informacje. Mąż mógłby równie dobrze mówić o kimś innym. Usiłowałam sobie wyobrazić Nowy Jork. Udało mi się to, lecz obraz miasta był niewyraźny, a okręg administracyjny Westchester nie kojarzył mi się z niczym.
- Carter nie krył, że ta rozmowa nie sprawia mu przyjemności, lecz ja chciałam wykorzystać sposobność dowiedzenia się czegoś o sobie.
- Gdzie się poznaliśmy?
- W Paryżu. Prowadziłem z twoim ojcem interesy i widziałem twoje zdjęcia w jego nowojorskim biurze. Miał ich mnóstwo, tak że nie znając cię, doskonale wiedziałem, jak wyglądasz. Kiedy zamieszkałaś w Paryżu, odszukałem cię tam. Byłaś wówczas bardzo modną w europejskich magazynach modelką, która właśnie przyjechała do Francji z Ameryki.
- Modelką?
- Tak. Kiedy znalazłaś się w Paryżu, zaczęłaś robić prawdziwą karierę. Przez półtora roku twoje zdjęcia bez przerwy pojawiały się na okładkach magazynów. Twoją twarz

i sylwetkę widywało się w kioskach z gazetami w całej Europie.

- Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy - oznajmiłam, szczerze zdumiona tymi rewelacjami.

- Widocznie nie spojrziałaś jeszcze w lustro.

To był największy komplement Cartera. Zarumieniłam się, lecz w ogóle na to nie zareagowałam.

Zastanawiałam się nad kolejnym pytaniem.

- Czy byliśmy z sobą szczęśliwi?

- A jakie to ma znaczenie? - odpowiedział z półuśmiechem, który już zwrócił moją uwagę na początku spotkania, i oświadczył wykrętnie: - Nie możemy zmienić tego, co się stało.

Jego słowa były przytłaczające. Zostałam potępiona na zawsze. Mąż bezwzględnie demaskował moją nędzę moralną.

Przez długą chwilę wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu. Powtórnie spostrzegłam w jego oczach tak niechętnie okazywane współczucie. Natychmiast się skrzywił, dając w ten sposób do zrozumienia, że złości go moja umiejętność wyzwalań w nim życzliwego stosunku.

Ruszył do drzwi, oznajmiając tym samym, że nasze spotkanie dobiega końca.

- Hillary, nie przejmuj się tak wszystkim. Wypocznij. To chyba najlepsze, co możesz zrobić, jeśli zamierzasz odnaleźć dawną siebie.

Nie chciałam dopuścić, żeby teraz wyszedł. Nie dowiedziałam się jeszcze wszystkiego, co chciałam wiedzieć.

- Proszę! - zawołałam, zatrzymując go w drzwiach. - Powiedz mi jeszcze, czy róże mają dla mnie jakieś szczególne znaczenie?

- Po naszym ślubie często cię nimi obdarowywałam. Mnie zawsze się podobały, lecz uczciwie mówiąc nie sądziłem, że przywiązujesz wagę do mojego gestu. Uważałem raczej, że traktujesz te bukiety jako jeszcze jedną z rzeczy, które należą ci się od życia - odparł po namyśle. - Ale dlaczego o to pytasz?



- Niewykluczone, że lubię róże bardziej niż przypuszczasz.

Przez chwilę zastanawiał się nad moją odpowiedzią, po czym bez słowa wyszedł z saloniku.

A o naszym spotkaniu czułam się załamana. Nie potrafiłam pogodzić się z tym, że Carter nie wybaczy mi moich postępów. Straciłam wszelką nadzieję, mimo oznak współczucia z jego strony. Dużo złego wydarzyło się między nami, pewnie zbyt dużo, ale instynktownie buntowałam się przeciw traktowaniu go jak wroga. Z drugiej strony nie byłam w stanie wyrobić sobie na ten temat właściwej opinii. Chcąc zrozumieć moje małżeństwo, musiałam najpierw zrozumieć siebie. Uznałam to za najpilniejsze.

W ciągu dwóch następnych dni mój organizm doszedł do dawnej formy. Mogłam na powrót solidnie się odżywiać, a moje ciało odzyskało sprawność i siłę. Tylko pamięć nieubłaganie odmawiała mi posłuszeństwa. Doktor Lafonem rozmawiał ze mną kilka razy, jednak owocniejsze były spotkania z doktorem Thirionem. Przychodziłam do jego gabinetu, siadałam na skórzanym fotelu i wspólnie usiłowaliśmy pobudzić moją pamięć.

Powściągliwy psychiatra zainteresował się tym, że Carter lubi róże i że przez długi czas obdarowywał mnie nimi. Zwróciło jego uwagę również to, że tylko te kwiaty stwarzają realną nadzieję na odzyskanie przeze mnie pamięci.

- Może w ten sposób próbuje pani dotrzeć do męża. Jeszcze nie potrafi pani przyjąć odpowiedzialności za swoje postępowanie, ale daje mu znak, że to możliwe -sugerował.

- Nie wiedziałam przecież, że Carter lubi róże. Po odzyskaniu przytomności nie miałam pojęcia, że żyje ktoś taki. I wciąż nie znam odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak silnie reaguję na te kwiaty - stwierdziłam sceptycznie.

- Pani Bass, właśnie być może w tym tkwi sedno sprawy.

Czuje pani, że musi się z czymś uporać, ale jeszcze nie potrafi stawić temu czoła - obstawał przy swoim psychiatra.

- Lecz wiem już o swoich nikczemnych postępkach; o tym, że zdradzałam Cartera. Co takiego jeszcze mogłabym przed sobą ukrywać? - argumentowałam.

- Z pewnością jest coś takiego. W przeciwnym razie nie byłoby pani tutaj - nie ustępował.

- Prześladowuje mnie pewne uczucie. Nie potrafię go dokładnie określić, ale czymś się niepokoję.

- Czy boi się pani tego?

- Tak, ale chodzi o coś więcej. Trudno mi to wyrazić... Mam przeświadczenie, że przechowuję w pamięci jakąś tajemnicę, lecz nie potrafię jej z siebie wydobyć.

- Bez wątpienia ukrywa pani przed sobą swoją przeszłość.

- Chodzi o coś bardziej określonego.

- Czyli w jakiś sposób pani wie, że zaistniał pewien ważny fakt, lecz nie pamięta go pani?

- Właśnie. Jednak nie ma to nic wspólnego z moim romansiem.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Dotyczy czegoś innego. Czegoś... Nie wiem, jak to powiedzieć... Czegoś strasznego... czego dotychczas nie wyjaśniono.

Lekarz przyglądał mi się z uwagą.

- Czy sądzi pan, że zwariowałam?

- Ale skądże. Po prostu przeżywa pani kryzys psychiczny i próbuje go pokonać najlepiej jak potrafi. Te słowa miały mnie uspokoić, ale świadczyły o tym, że doktor Thirion nie rozumie, o co mi chodzi. Lecz jak mogłam mu to wytłumaczyć, skoro sama nie znałam źródła udreki? Na pewno wiedziałam tylko to, że problem wykracza poza mój dotychczasowy styl życia, tragiczną śmierć kochanka i zrujnowane małżeństwo.

- Zapytam panią o coś wprost... Jak pani zareagowała na widok męża? Co pani o nim pomyślała?

- Byłam zaskoczona - odparłam po namyśle.
  - Proszę to sprecyzować.
  - Byłam zaskoczona, że jest bardzo pociągającym i przystojnym mężczyzną.
  - Nie spodziewała się pani tego?
  - Raczej nie.
  - A co pani do niego czuje po waszej rozmowie?
  - To oczywiście inteligentny, dojrzały mężczyzna, ale potraktował mnie zbyt szorstko. Był surowy i zupełnie pozbawiony wyrozumiałości.
  - Zatem nie wzbudził pani sympatii.
  - Rozumiem powody, dla których tak się zachowywał, i muszę lojalnie przyznać, że odkryłam w nim również odrobinę życzliwości.
  - A co naprawdę pani do niego czuje, już oswojona z myślą, że to pani mąż?
- To nie było łatwe pytanie. W zamyśleniu spoglądałam w okno, za którym roztaczał się pełen harmonii i spokoju pagórkowaty krajobraz. Z powodzeniem mógłby go namalować Cezanne. Pochłaniał mnie zarówno ten widok, jak rozpamiętywanie spotkania z mężem.
- Mówiąc uczciwie, Carter bardzo mi odpowiada w tej roli. Mam na myśli wszystko, co się z tym wiąże - wyznałam po chwili. - Czy również seks?
  - Tak.
  - A więc potrafi pani sobie wyobrazić miłość do męża?
  - Z łatwością, lecz jak mogłabym go kochać, skoro dopiero go poznałam?
  - Dobrze powiedziane, pani Bass - przytaknął z uśmiechem. - A czy byłaby pani w stanie otworzyć się przed nim i wyznać mu, co najbardziej leży pani na sercu?
  - Rozmawiałam z nim całkiem swobodnie. Moja otwartość mogła go nawet zaskoczyć.
  - Lubi pani mówić wprost?
  - Sądzę, że jestem... - Przerwałam i z uśmiechem

oświadczyłam: - Takie pytanie to wybieg z pana strony, żeby dowiedzieć się o mnie czegoś więcej.

- Droga pani Bass, chciałem tylko zdobyć kolejny przykład, że po wypadku przetrwało w pani więcej, niż pani przypuszcza. Jest pani świadoma swojego charakteru, ma pani sumienie i zasady moralne. Tylko zdarzenia zniknęły z pani życia.

- Ale dlaczego?

- Z powodu tego urazu głowy, choć oboje wiemy, że przyczyna tkwi głębiej. Musimy odkryć pani dotychczasowe życie, *n'est-ce pas?*

„Odkrywanie” mojego dotychczasowego życia raczej nie wróżyło nic dobrego. Ale byłam tym zaintrygowana, nawet jeśli coś nie pozwalało mi wierzyć w prawdziwość istniejących na mój temat opinii. Poza tym moją wyobraźnię zawładnęło małżeństwo. Niezwykła wydawała mi się myśl, że powtórnie poznam... własnego męża. Może nawet pragnęłam się w nim na nowo zakochać, bo z pewnością kiedyś darzyłam go uczuciem.

### *Rozdział trzeci*

Gdy poczułam się zdrowa fizycznie, zaczęłam toczyć z sobą walkę o odzyskanie pamięci, usiłując sobie przypomnieć jakieś fakty z przeszłości. Niestety, bez powodzenia.

Wymyślałam najrozmaitsze obrazy, w nadziei, że któryś z nich okaże się wspomnieniem. Najpierw wyobrażałam sobie siebie jako dziewczynkę bawiącą się śnieżkami, potem jako uczennicę w klasie szkolnej, a następnie jako nastolatkę oczekującą, żeby jakiś chłopak umówił się z nią na randkę. W swoich fantazjach widziałam siebie również jako dojrzałą kobietę, ubraną w eleganckie kreacje modelkę, pozującą do zdjęć, uczestniczącą u boku Cartera w ekskluzywnych przyjęciach i pływającą na jachcie. Nic nie skutkowało. Obrazy były pozbawione smaku prawdziwego życia niczym zdjęcia z ilustrowanych magazynów.

Carter zatelefonował z Rzymu drugiego dnia po wyjeździe. Już odzyskałam siły i chciałam jak najszybciej wyjść ze szpitala.

- Kiedy mnie stąd zabierzesz? Jutro rano? - spytałam z nadzieją.

- Obawiam się, że nie. Właśnie dlatego dzwonię. Muszę tu zostać do jutra.

Czułam się zawiedziona. Pragnęłam znaleźć się w domu, choć mogłam tylko przypuszczać, jak wygląda. Ale byłam

pewna, że znajome otoczenie przyspieszy proces odzyskiwania pamięci.

- A więc nie zostaną jutro zabrana z tego więzienia?

- Jeśli nie chcesz czekać do mojego powrotu, powiem Polly, żeby po ciebie przyjechała.

- Polly?

- Nie pamiętasz jej, ale to twoja sekretarka. Kiedy zanosilo się na twój dłuższy pobyt w szpitalu, pojechała do Anglii odwiedzić matkę. Teraz, skoro nareszcie odzyskałaś przytomność, poleciłem jej wrócić do Francji, sądząc, że będzie ci potrzebna.

A więc miałam sekretarkę, tak samo jak mój mąż.

- To bardzo ładnie z twojej strony - podziękowałam.

- Ona pomoże ci ponownie zaznajomić się z domem w Montfaucon. Zatem mam jej kazać po ciebie przyjechać? - O tak, proszę.

- W porządku. Zobaczymy się w Montfaucon. - Po chwili wahania dodał: - Jak rozumiem, wciąż nie odzyskałaś pamięci...

- Według lekarza nic się pod tym względem nie zmieniło.

- Przykro mi.

Wcale nie byłam tego taka pewna. Moja amnezja dawała mu nade mną całkowitą przewagę. Jednak z drugiej strony jego stosunek do mnie chyba nieco się poprawił. Carter rozmawiał ze mną swobodniej niż poprzednio.

- Hillary, jest jeszcze jedna sprawa. Czy mówiono ci tu coś na temat policji?

- Policji? Nie, a o co chodzi?

- Detektywi z Nicei pilnie chcą cię przesłuchać w sprawie wypadku na jachcie.

- Ale ja nic nie pamiętam.

- Oczywiście, mimo to, jak poinformował mnie doktor Lafon, życzą sobie rozmowy z tobą. Pewnie zadzwonią do ciebie do domu, żeby się umówić. Jesteś jedynym świadkiem.

Świadkiem czego? Czyżby wydarzyło się coś, o czym mi nie powiedziano?

- Carter, o co może chodzić policjantom? Przecież jestem dla nich bezużyteczna.
- Ale zginął człowiek. Muszą zdokumentować wypadek dla celów archiwalnych. Jestem pewny, że to tylko formalność. Nie przejmowałbym się tym przesłuchaniem.

- Chyba masz rację.

Milczał, lecz czułam, że cała sprawa obchodzi go bardziej, niż chce ujawnić.

- Do jutra - pożegnał się w końcu.

- Do jutra.

Nagle zdałam sobie sprawę, że moja sytuacja jest naprawdę skomplikowana, wbrew temu, co mi dotychczas sugerowano. Nie wiedziałam, czy martwić się przesłuchaniem, czy nie. Ale prawdziwy mój problem stanowił związek z Carterem. Od kilku dni miałam tego świadomość, jednak ilekroć o tym myślałam, wolałam uważać, że padłam ofiarą jakiejś straszliwej pomyłki, że nie jestem Hillary Bass i nie mam nic wspólnego z jej życiem. Bo jak mogłam kochać się z mężczyzną i wciąż go nie pamiętać? I czy powinnam robić to z nim, dopóki go sobie nie przypomnę?

Zagadnęłam o to doktora Thiriona podczas wieczornej wizyty.

- Lepiej nie decydować z góry. Czas pokaże, co pani czuje do męża. Teraz powinna się pani odprężyć.

I pozostawmy sprawy ich naturalnemu biegowi - doradzał.

- O ile w ogóle będzie jakiś naturalny bieg - stwierdziłam sceptycznie.

- Nie można wykluczyć, że nie odzyska pani pamięci, ale jest to mało prawdopodobne. Wiele lat temu miałem do czynienia z podobnym przypadkiem. Pewien młody człowiek, świeżo po ślubie, zapadł na amnezję po wypadku samochodowym. Nie poznawał własnej żony.

- Po jakim czasie odzyskał pamięć?

- Po kilku tygodniach. A teraz ma troje dzieci.

- Czyli jest nadzieja.

- O ile chodzi pani o dzieci - odparł ze śmiechem.

Okazało się, że ten nastrojony poważnie psychiatra ma poczucie humoru.

- Chodzi mi o odzyskanie pamięci - przypomniałam, nieskora do żartów.
- Czuję, że niebawem będzie pani dawną sobą - pocieszył mnie, wciąż się uśmiechając.
- Biorąc pod uwagę wszystko, co wiem na temat Hillary Bass, wątpię, by sprawiło mi to przyjemność
- zdobyłam się na ponury żart.
- Takie podejście w niczym nie pomoże. W niczym -przestrzegł mnie z powagą.

Gdy rano pielęgniarka wprowadziła do pokoju Polly Frampton, stałam w oknie, spoglądając na ogród.

- Dzień dobry, pani Bass - przywitała mnie moja sekretarka.

Odwróciłam się, patrząc na nią uważnie, lecz oczywiście jej nie poznałam. Była ubrana w białą jedwabną bluzkę, ciemną spódnicę i pantofle na wysokich obcasach. Miała drobną budowę i uderzająco duży biust, przy tym jasne krótkie włosy, zaczesane do tyłu, lekko wyłupiaste oczy i małe, ściągnięte usta. Nie należała do kobiet specjalnie urodziwych, ale mogła się podobać. Ja, jak mi powiedziano, skończyłam trzydzistkę. Polly wyglądała na osobę w tym samym wieku. Uśmiechała się, lecz w wyrazie jej twarzy nie było ciepła.

- Dzień dobry - odwzajemniłam powitanie.
- Jak się pani czuje?
- Fizycznie dobrze. - Podeszłam i podałam jej rękę. Dłoń Polly była zimna. - Ale cierpię na amnezję. Mam wrażenie, że widzę cię po raz pierwszy.
- Zdaję sobie z tego sprawę. Pan Bass mnie uprzedził.
- Zdaniem lekarza pamięć szybko wróci, ale na razie liczę, że powiesz mi coś o mnie.
- Oczywiście, pani Bass.



Wzięła moją podręczną walizkę i opuściłyśmy szpitalny pokój, podążając w milczeniu do wyjścia. Przy drzwiach pożegnał mnie doktor Lafon wraz z pielęgniarkami. Z pewnym wzruszeniem powiedziałam im „do widzenia”.

Na dworze czekał czarny Bentley. Kierowca - przystojny młody mężczyzna w ciemnych spodniach i rozpiętej pod szyją białej koszuli - przytrzymał tylne drzwi limuzyny. Miał czarne kręcone włosy, barczyste ramiona i chłopięcy uśmiech. Imię Antonio upewniło mnie, że jest częściowo Włochem. - *Bonjour, madame.* - Przywitał mnie wylewnie i lekko ścisnął mi dłoń, pomagając wsiąść do samochodu.

Zastanawiałam się, co ten gest znaczy, ale w końcu uznałam go za wyraz włoskiej afektacji. Antonio wziął od Polly walizkę, położył ją na przednim siedzeniu i usiadł za kierownicą. Sekretarka spoczęła obok mnie. Pomachałam lekarzowi i pielęgniarkom.

Gdy samochód posuwał się zwirowaną alejką w stronę żeliwnej bramy i widniejącej za nią szosy, miałam dziwne uczucie, że dopiero teraz wyruszam na niebezpieczną wyprawę, zamiast z niej powracać, a towarzyszące mi osoby nie są zaufanymi współtowarzyszami podróży, lecz nieznanymi.

Podążaliśmy w stronę wzgórz, przemierzając na wpół wiejski teren, zabudowany skromnymi domkami. Stały w otoczeniu sadów i ogrodów warzywnych. Wkrótce skręciliśmy na bardziej uczęszczaną i prowadzącą do Montfau-con autostradę, która wiała się wśród wzgórz. Dzień był słoneczny, a ja patrzyłam na mijany krajobraz oczami turysty - z zaciekawieniem i rezerwą, ponieważ niczego sobie nie przypominałam.

Tyle rzeczy musiałam na nowo poznać, że poczułam się kompletnie zagubiona. Polly nie była skora do rozmowy, pozostawiając inicjatywę mnie. Nie potrafiłam nawet określić powinności osobistej sekretarki, a w związku z tym zadań, jakie jej powierzam i moich wobec niej oczekiwań.

Z zachowania Polly wnosilaam, ze nasze stosunki sa raczej oficjalne, lecz z drugiej strony jej sztywnosc mogla rownie dobrze byc skutkiem angielskiej flegmy. Odwróciłam się do niej i spytałam, co dla mnie robi.

- Wszystko, czego pani sobie życzy. Zajmuję się sprawami domowymi, pani życiem towarzyskim, korespondencją i interesami. Realizuję każde zlecenie, o ile nie zamierza pani załatwić sprawy osobiście.

- Od jak dawna u mnie pracujesz?

- Prawie od trzech lat.

- Z pewnością znasz mnie bardzo dobrze.

- Sądzę, że tak.

W jej głosie wyczułam jakąś aluzję, a nawet dezaprobatę, choć skrzętnie ją ukrywała. Ale nie byłam tym zaskoczona, skoro dotychczas nie dostrzegłam u siebie zbyt wielu cech, które mnie samej by się podobały.

Gdybym widziała, że nasze stosunki są mniej formalne, prawdopodobnie zarzuciłabym ją pytaniami. Dobrze byłoby wiedzieć, czy jestem zimna wobec ludzi i nie liczę się z niczym, czy raczej zachowuję się przyzwoicie i postępuję rozważnie. Dobrze byłoby też poznać całą prawdę o Michelu Lambercie i oczywiście zebrać więcej informacji o Carterze. Lista pytań wydawała się nie mieć końca. Jednak czułam się skrepowana roztrząsaniem z sekretarką stosunków łączących mnie z tymi dwoma mężczyznami. A i pora nie była stosowna.

- Czy większość czasu spędzam na południu Francji? -podjęłam bezpieczny temat.

- Na ogół pół roku... W każdym razie od kiedy u pani pracuję. Dwa, trzy razy do roku wyjeżdża pani na kilkanaście dni do Paryża, a czasami także na weekendy. Przed śmiercią matki odwiedzała ją pani dwa razy w roku w Nowym Jorku. Większość pozostałego czasu spędza pani w podróżach. Lubi pani wypadki na narty z przyjaciółmi i tym podobne rozrywki.

Moi przyjaciele. Dopiero teraz się o nich dowiedziałam i poczułam ulgę, że w ogóle ich mam.

- Musisz mi o nich opowiedzieć. Będę skrepowana, jeśli ktoś zadzwoni i nie będę wiedziała, z kim rozmawiam.

- W willi czeka na panią mnóstwo kartek i listów. Są także informacje o telefonach i kwiaty. Już przejrzałam całą korespondencję, chcąc sprawdzić, czy nie ma nic pilnego. Wydaje mi się, że wszyscy pani znajomi przekazali telefonicznie życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Polly mówiła obojętnym tonem, lecz mój nastrój poprawił się jeszcze bardziej, nawet jeśli byłam pewna, że nazwisko każdej z tych osób zabrzmiało dla mnie obco. Teraz już przestałam oczekiwać, że cokolwiek okaże się znajome.

- Czy mój mąż spędza dużo czasu w Montfaucon?

- W tym roku nie przyjechał tu ani razu. - Polly wydawała się skrepowana pytaniem.

Wszystko wskazywało na to, że ten rok już okazał się dla wielu spraw rozstrzygający. Umarła mi matka, a moje małżeństwo chyba się rozpadło. Prawdopodobnie krytyczny moment stanowiło pojawienie się w moim życiu Michela Lamberta.

- A gdzie mój mąż przebywa?

- Głównie w Londynie, choć często także w Paryżu. Zwykle tam pani się z nim spotyka. Do tego roku chętnie spędzał w Montfaucon lato.

„Do tego roku.” Równie dobrze mogła powiedzieć: „Zanim pojawił się Michel Lambert.” Byłam ciekawa, jak dużo wie. Sądząc z jej zachowania, nie rozmawialiśmy o moich sprawach osobistych, ale z pewnością zdawała sobie sprawę, że mam kochankę.

- Czy towarzyszysz mi w podróżach?

- Zwykle do Paryża i Londynu. Gdzie indziej raczej sporadycznie.

- Nie znałaś zatem mojej matki.

- Niestety. Nigdy nie byłam z panią w Stanach.

Spoglądałam przez szybę na nieznajomą okolicę. Znajdowaliśmy się wśród wzgórz, od czasu do czasu przejeżdżając przez jakąś wioskę, oddaloną od innych zwykle o kilka czy

kilkanaście kilometrów. Na skrzyżowaniu zjechaliśmy na lokalną drogę, wąską i bardzo krętą. Przez chwilę wysilałam umysł, by zadać Polly kolejne ważne dla mnie pytania.

- Powiedziałaś, że pomagasz mi w interesach. O jakie interesy chodzi?

- Pan Bass nie omawiał ich z panią? - Na jej twarzy malowało się zaskoczenie.

Poczułam się tak, jakbym dotknęła drażliwego tematu.

- A powinien był?

- Po prostu myślałam, że wszystko pani wyjaśnił.

- Rozmawialiśmy bardzo krótko. - Zdumiała mnie powściągliwość mojej sekretarki, więc ponowiłam pytanie: -O jakie interesy chodzi?

- Należy do pani połowa udziałów w firmie inwestycyjnej męża. Pierwotnie stanowiły własność pani ojca, który był współnikiem pana Bassa. Po śmierci starszego pana udziały przeszły na panią, choć część wpływów zapisał żonie. Obecnie również one należą do pani.

- A więc jestem współniczką męża.

- Oczywiście nie uczestniczy pani w operacjach finansowych, a . od jakiegoś czasu woli nie mieć z firmą żadnych kontaktów.

- Czyli ty mnie reprezentujesz?

- Prowadzę rozmowy z księgowymi i prawnikami. Zajmuję się też pani osobistymi wydatkami. To nie jest zbyt absorbujące.

Te informacje rzuciły nowe światło na moje stosunki z Carterem. Nie dziwiłam się teraz, że ocenia mnie tak surowo. W końcu wciąż łączyły nas przynajmniej interesy. Nie byłam zbudowana tym, czego znowu dowiedziałam się o sobie. Ogarnęła mnie pustka, więc gapiłam się tępo w okno. Optymizm, który wstąpił we mnie, od kiedy odkryłam, że mam przyjaciół, ulotnił się jak kamfora. Nic nie mogłam na to poradzić.

- Polly, opowiedz mi o pracownikach - zażądałam po jakimś czasie.

- To znaczy o osobach zatrudnionych w willi?

- Tak.

- Jest tam kucharka Yvonne i sprzątaczką oraz dwóch ogrodników zatrudnianych sezonowo, podobnie jak Antonio.

Słyszając swoje imię, kierowca spojrzął na moje odbicie w lusterku. Uśmiechnął się, ale odwróciłam twarz do Polly.

- Czy większość czasu spędzam w willi czy raczej poza nią?

- To zależy od tego, czy jest pani sama czy w towarzystwie.

Czułam, że lepiej nie rozwijać tego tematu.

- Och, pani Bass, jest jeszcze jedna sprawa. Kilkakrotnie dzwoniło z policji z Nicei w sprawie przesłuchania.

- Mąż mówił mi o tym.

- Ostatnim razem detektyw telefonował dziś rano. Zdaje się, że mają jakieś nowe fakty i chcą bezzwłocznie z panią rozmawiać.

- Jakie nowe fakty?

- Nie wiem. Nie powiedział mi. Poinformowałam go, że dziś wraca pani do domu i radziłam, żeby zadzwonił po południu. Znowu ogarnął mnie stan niepewności. Coś działo się w związku z wypadkiem na jachcie i jak we wszystkich innych sprawach, tylko ja nie miałam o niczym pojęcia. Wjechaliśmy do Montfaucon. Droga przez wioskę była wąska i wybrukowana kocimi łbami, a sama wioska należała do tych, które niewiele się zmieniły w ciągu kilku wieków istnienia.

Opuściliśmy Montfaucon niemal niepostrzeżenie. Ledwie mineliśmy ostatni dom, Antonio zaczął coś mówić i pokazywać przez boczną szybę.

- *Voilà la maison, madame. Là-bas. Vous voyez?* Spojrzałam w ślad za jego ręką. Zobaczyłam w oddali duży dom na wzgórzu. Jak wnioskowałam z gestu kierowcy, była to moja willa. Znajomość francuskiego nie powracała

dostatecznie szybko, ale jako tako rozumiałam prostsze słowa.

- Widzę. Dziękuję. - Odwróciłam się do Polly. - Czy on wie, co mi się przydarzyło?

- Tak. I Antonio, i Yvonne bardzo się o panią martwią i interesują się stanem pani zdrowia.

- To dobrze, że są poinformowani, bo wolałabym nie musieć wyjaśniać im tego wszystkiego.

Niebawem wjechaliśmy na długą, prowadzącą do willi drogę. Wiodła przez sad, który wyglądał na bardzo stary. Na zboczu wzgórza rosła na kilku tarasach winorośl, ale nie wyglądało to na winnicę. Polly podążała za moim wzrokiem.

- Pan Bass robi wino. To jego hobby. Zawsze, z wyjątkiem tego roku, doglądał winobrania.

Znowu usłyszałam w tonie jej głosu wyrzut. Nie miałam wątpliwości, że nie aprobeuje różnych rzeczy, jakie wydarzyły się w moim życiu, choć oczywiście manifestowała to bardzo dyskretnie.

Gdy wjeżdżaliśmy na wzgórze, rozglądałam się po okolicy. Widok był śliczny, wręcz sielankowy.

- Uwielbiam wieś i samotne życie - wyznałam spontanicznie.

- Niewiele czasu spędzała pani sama - przypomniała mi sekretarka. - Do wyjątków należały tygodnie, kiedy w posiadłości nie było jakiegoś gościa czy nawet kilku. I często wyjeżdżała z nimi pani do Cannes lub do Monte Carlo. Zatrzymywała się pani także w mieszkaniu w Nicei.

- Mamy również apartament w Nicei?

- Jest pani wyłączną własnością.

Czułam się osobliwie, dowiadując się w ten sposób o swoim życiu. Polly w najmniejszym stopniu nie pozwalała sobie na okazywanie mi wyższości czy złośliwej satysfakcji w związku z moim stylem życia, choć z pewnością budził jej zastrzeżenia, a mnie zmuszał do stawiania krępujących pytań.

Jednak mało ważne było to, że nie odważyła się niczego

komentować. Jej spojrzenie wymownie świadczyło o tym, za kogo mnie uważa.

Przez bramę w otaczającym posesję murze wjechaliśmy na dziedziniec. Nareszcie mogłam zobaczyć dom z bliska. Byłam zdenerwowana niczym dziewczynka, która po raz pierwszy idzie do szkoły. Zastanawiałam się, czy nagle coś nie przekręci się w mojej głowie i w mgnieniu oka nie wróci pamięć, a wraz z nią znajomość samej siebie i własnego życia.

Wpatrywałam się przez szybę samochodu w willę. Była śliczna - jednopiętrowa, o kremowych ścianach i spadzistym dachu z czerwonej dachówki. Od frontu i z boku częściowo zasłaniało ją bujne dzikie wino, a w pobliżu rosło potężne drzewo otoczone przez klomby kwiatowe. W stosownej odległości stały garaże i oficyny. Ogradzający posesję mur nadawał jej charakter małej twierdzy. Była jedną z tych typowych wspaniałych wiejskich posiadłości nad Morzem Śródziemnym, lecz w najmniejszym stopniu nie wydawała mi się znajoma.

Antonio zatrzymał się przed wejściem. Ciężkie dębowe drzwi zostały już otwarte i w progu stała kobieta po pięćdziesiątce, w szarej sukni i w białym fartuszk. Uśmiechała się, lecz na jej twarzy nie gościła jakaś szczególna radość.

- To Yvonne - całkiem zbytecznie poinformowała mnie Polly.

Antonio wysiadł szybko z samochodu i otworzył tylne drzwi po mojej stronie. Pomógł mi wysiąść, mocno trzymając mnie za rękę i z uśmiechem patrząc mi w oczy. Odwróciłam się od niego, bo właśnie podeszła Yvonne, żeby się przywitać.

Po zdawkowej rozmowie z gospożą przekroczyłam w napięciu i lęku próg domu. Z zapalem rozglądałam się po hallu i po pokojach na parterze, ale okazały się tak samo nieznanymi jak willa z zewnątrz. Były jasne, pełne powietrza i urządzone nowocześnie, a ich białe ściany zdobiły awan-

gardowe kompozycje malarskie. Przez chwilę wpatrywałam się w obraz wiszący nad sofą w salonie - abstrakcyjny, namalowany kolorami podstawowymi.

- Polly, czy ja kupiłam to płótno?

- Tak sędzę.

Oglądałam ten obraz, ponieważ miałam nadzieję, że jeśli nawet nie potrafię go sobie przypomnieć, to powinnam doświadczyć uczucia, które sprawiło, że kiedyś przyciągnął moją uwagę. Niestety, nie pojawiło się.

- Zastanawiające, że nie łączy mnie z tym obrazem żaden emocjonalny związek.

- Nie lubi go pani?

- Nie potrafię określić mojego stosunku do tej kompozycji. Czy to nie dziwne?

- Czy dom ani trochę nie wydaje się pani znajomy? Potrząsnęłam głową i podeszłam do stołu.

Przesunęłam

dłonią po gładkiej drewnianej powierzchni w nadziei, że ją rozpoznam. Potem głęboko wciągnęłam powietrze w przekonaniu, że jego zapach wywoła skojarzenie z czymś bliskim. Znowu doznałam zawodu.

Polly zaprowadziła mnie na piętro, do mojego apartamentu. Stałam w drzwiach, z przejęciem usiłując rozpoznać pokój, który był moją sypialnią - najbardziej prywatnym miejscem w całym domu. Podobało mi się to wnętrze, ale okazało się równie obce, jak wszystkie pozostałe. Urządzone zostało w tym samym stylu co pokoje na dole, z tą różnicą, że kolorystyka była tu delikatniejsza, a taką lubiłam bardziej. W sypialni panował rozgardiasz. Na stole piętrzyły się ilustrowane magazyny, a biurko było zarzucone książkami i stosami listów.

Zastanawiałam się, czy to wszystko rzeczywiście należy do mnie. Rozglądałam się za jakimiś bardziej osobistymi drobiazgami, fotografiami i dziełami sztuki. Mój wzrok natknął się od razu na stojące na toalecie oprawione zdjęcie, na którym byłam z Carterem. Serce mi podskoczyło. Nareszcie natrafiłam na coś, co miało ze mną bezpośredni



związek. Podniosłam fotografie zadowolona, że nadarza się okazja spojrzenia we własną przeszłość. Zdjęcie zostało zrobione w doku. Stałam obok Cartera, uczepona jego ramienia w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że błaznuję. Mąż, w przeciwieństwie do mnie, wyglądał poważnie w swym żeglarskim stroju, a nikły uśmiech na jego twarzy zdradzał jakieś zakłopotanie. Miałam na sobie szorty i koszulę przewiazaną w pasie, tak że wystawało spod niej gołe ciało. Na głowę włożyłam czapkę do baseballu, odwróconą tyłem do przodu. Przybrałam kokieteryjną pozę, wyciągając rękę w stronę fotografa i zginając nogę w kolanie. Widać było, że jestem znakomicie oswojona z aparatem. Odłożyłam zdjęcie i zajrzałam do szuflad toaletki. Odniosłam wrażenie, że rzeczy wkładano do nich bez dbałości o jakikolwiek porządek. Rozejrzałam się po pokoju, sfrustrowana a nie zadowolona wbrew temu, czego się spodziewałam.

- Czy dzielę tę sypialnię z mężem? - spytałam sekretarkę.
- Nie, proszę pani. Pan Bass zajmuje jeden z pokoi gościnnych.
- Od kiedy tak jest?
- Od tego roku. - Twarz Polly sposepniała.
- To znaczy, że przedtem tutaj sypiał?
- Tak, proszę pani.

Nie mam pojęcia, dlaczego spodziewałam się, że może być inaczej, ale poczułam ulgę zorientowawszy się, iż jesteśmy odseparowani. Gdyby Carter oczekiwał teraz ode mnie, że będę dzielić z nim sypialnię, nie wiedziałabym, co robić.

Przeszłam do mniejszego pokoju, który został przerobiony na gigantyczną garderobę. Prawdopodobnie był zaprojektowany jako pokój dziecienny. Widok znajdującej się tu masy rzeczy sprawił mnie w osłupienie. Czułam się w jakiś sposób zawstydzona, że tyle ich nagromadziłam. Znajdowa-

ło się tu kilkadziesiąt par butów, mnóstwo kostiumów, sukien, strojów wieczorowych, ciuszków ekstrawaganckich i sportowych... Zdjęłam z wieszaków kilkanaście sukien i zaczęłam je oglądać. Wszystkie miały metki znanych projektantów, a wiele bez wątpienia zostało uszytych na zamówienie. Nic nie było tu tanie. Niektóre kreacje wydały mi się nieco przestylizowane, ale wszystkie świadczyły o znakomitym guście. Jednak nie potrafiłam ustalić mojego związku z tym bogactwem i nie czułam się w jego otoczeniu dobrze, podobnie jak w ekstrawagancko urządzonych wnętrzach willi. Nie dawało mi spokoju pytanie, dlaczego tak się dzieje i co jest źródłem mojej niepewności.

Wędrując wzdłuż rzędów wieszaków, zaczęłam znowu rozmyślać o czekającym mnie przesłuchaniu przez policjantów z Nicei. Staralam się nie dopuścić do zdenerwowania i bagatelizowałam całą sprawę jako zwykłą formalność, ale wbrew temu moje obawy rosły.

Z westchnieniem wyszłam z garderoby. Polly czekała na mnie, stojąc pośrodku sypialni. Potrzebne mi było lepsze rozeznanie w mojej osobistej sytuacji i postanowiłam wymóc je na sekretarce. Poprosiłam, żeby usiadła w jednym z foteli pod oknem. Ja zajęłam drugi.

- To może się okazać nieprzyjemne dla nas obu, ale jesteś jedyną osobą, do której mogę zwrócić się w pewnej sprawie.

- Rozumiem, pani Bass.

- Co możesz mi powiedzieć o Michelu Lambercie?

- Nie znałam pana Lamberta osobiście. To był pani przyjaciel - odparła nadspodziewanie opanowana.

- Kochanek?

- Tak, kochanek, pani Bass. - Jej spojrzenie było przez moment prowokacyjne.

- Czy często się z nim spotykałam?

- Tak. Kilka razy gościł tu na kolacji i często bywał na wydawanych przez panią przyjęciach, ale zwykle widywała go pani gdzie indziej. Miał dom pod Cannes. Głównie tam się spotykaliście.

- Rozumiem. - Staralam się nie pokazać zmieszania. -Czy wyglądało na to, że byłam poważnie zaangażowana w ten związek, czy też mój stosunek do pana Lamberta wydawał ci się raczej powierzchowny?

- Jeśli interesuje panią czyjaś subiektywna ocena, to powinna pani porozmawiać z lady Nyland. To pani najlepsza przyjaciółka, wtajemniczona w pani sprawy osobiste.

- Lady Nyland?

- Zanim wyszła w tym roku za mąż, nazywała się Goodson, Jane Goodson. Kiedy pani była modelką, zatrudniała ją pani jako agentkę, ale od początku łączyła was przyjaźń. Lady Nyland była świadkiem na pani ślubie. Gdy wyszła za Jamesa Nylanda, przestała pracować, lecz wciąż mieszka w Paryżu i często tu przyjeżdża. Częściej niż ktokolwiek inny.

- Jest żoną Anglika, a przebywa na stałe we Francji?

- Matka lady Nyland była Francuzką, a lady Nyland mówi tak samo dobrze po francusku, jak po angielsku i woli Paryż od Londynu. Lord Nyland jako zagorzały frankofil z przyjemnością odwiedza ją w stolicy Francji. Przypuszczam, że nazwałaby pani taki związek małżeństwem nowoczesnym.

- Czy Jane wie, w jakim jestem stanie?

- Oczywiście. Dzwoni tu regularnie i przekazuje dla pani wiadomości. Telefonowała dziś rano i powiedziała, że zadzwoni ponownie po południu.

Zerknęłam przez okno na skąpane w słońcu wzgórza. Uświadomiłam sobie, że wciąż nie znalazłam czasu, by w pełni docenić, jak wspaniale położony jest dom. Otoczenie było tak urzekające, że wydawało się nierzeczywiste. Zastanawiałam się tylko, ile czasu upłynie, zanim na nowo oswoję się z tym miejscem.

Poczułam się wyczerpana. Zaledwie przed kilku dniami powróciłam do życia ze stanu bliskiego śmierci. Lekarz nakazał mi nie przejmować się niczym zanadto i zalecił częste drzemki oraz wypoczynek.

- Czy dobrze się pani czuje? - spytała Polly, jakby dostrzegła w moich oczach zmęczenie.

- Jestem nieco wyczerpana.

- Czy nie zrobiłaby pani dobrze drzemka przed lunchem?

Mój wzrok spoczął na wielkim łóżku, zarzuconym ozdobnymi poduszkami. Naprawdę wyglądało zachęcająco.

- Może rzeczywiście się prześpię.

Wstałam z fotela, czując lekkie osłabienie. Byłam zaskoczona, że tak szybko się męczę. Podeszłam do łóżka, zrzuciłam pantofle i ciężko opadłam na miękkie materace.

Usłyszałam miauknięcie. W drzwiach ubieralni siedział kot i patrzył na mnie. Odniosłam wrażenie, że go znam. Miałam na końcu języka jego imię, ale zapomniałam je, zanim zdążyłam wypowiedzieć.

- To jest Poof, pani kotka. Czy pani ją poznaje? - odezwała się sekretarka.

- Poof - powtórzyłam, nie przypominając sobie takiego imienia, nawet jeśli sama kotka potrafiła strunę pamięci.

Była czarna, ale miała białe łapki. Pochyliłam się w jej stronę, wyciągając rękę. Podbiegła do mnie rezolutnie, obwąchała moją dłoń i zaczęła ocierać się o nogi. Podniosłam ją i przytuliłam. Po raz pierwszy od chwili powrotu do domu ogarnęła mnie radość.

- Yvonne powiedziała mi, że kotka była nie do poznania podczas pani pobytu w szpitalu. Wygląda na uszczęśliwioną pani widokiem.

- W każdym razie ja jestem uszczęśliwiona jej widokiem. - Poglaskałam łebek Poof.

Sekretarka zdjęła z sofy kaszmirowy pled i położyła go przy mnie na łóżku.

- Na nocnym stoliku jest dzwonek. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę go nacisnąć. Zjawię się ja albo Yvonne.

- Dziękuję, Polly.

Wyszła z pokoju, a ja położyłam kotkę na podłodze

i zdjęłam suknię, przewieszając ją starannie przez oparcie krzesła. W ubieralni znalazłam lekki jedwabny szlafroczek, w sam raz odpowiedni do drzemki. Poof już wdrapała się na łóżko. Położyłam się obok niej na chłodnej atłasowej narzucie brzoskwiniowego koloru i okryłam nogi pledem. Kotka zwinęła się w kłębek, a ja głaskałam ją pieszczotliwie. Wciągnęłam do płuc powietrze, wdychając jego przyjemny zapach, i zamknęłam oczy. Starłam się zapomnieć, że jestem w obcym świecie, w którym każdy utrzymywał, że mnie zna, tylko ja nie znałam nikogo, może z wyjątkiem tej kotki.

### *Rozdział czwarty*

Spałam niespokojnie, na przemian popadając w drzemkę i budząc się. Nie zaznałam więc upragnionej ulgi, ale przynajmniej na krótkie chwile uwalniałam się od brzemienia rzeczywistości.

W pewnym momencie opanowała mój umysł dziwna wizja. Najpierw miałam poczucie, że unoszę się w chmurze, choć nie istniała wyraźna granica pomiędzy niebem a ziemią. Po jakimś czasie z majaczących w oddali kształtów wyłoniły się różane krzewy, obsypane kwiatami. Czułam ich zapach i ogarnęły mnie silne emocje, choć nie wiedziałam, dlaczego. Wśród róż dostrzegłam ulotną kobiecą postać, na przemian pojawiającą się i rozplywającą we mgle. Przywoływałam ją, chcąc się do niej zbliżyć, ale znajdowała się poza moim zasięgiem. To była starsza pani, śniada i czarnowłosa.

Po tym przyszedł głębszy sen, wypełniony przerażającymi koszmarami.

Zbudziło mnie uporczywe pukanie do drzwi. Natychmiast usiadłam. Serce łomotało mi tak, jakbym miała za sobą jakiś wyczerpujący bieg. Byłam przestraszona tym, co mi się śniło. Trwożnie spoglądałam na drzwi, starając się jakoś powrócić do rzeczywistości. Odgarnęłam z twarzy spocone włosy, zupełnie zbита z tropu, bo nie przychodziło mi do głowy, kto to może być.

- Pani Bass, czy dobrze się pani czuje? - usłyszałam głos Polly.
- Dobrze - odparłam raczej nieprzekonywająco, z wysiłkiem przełykając ślinę i starając się oprzytomnieć. ,
- Mogę wejść?
- Proszę.

Delikatnie otworzyła drzwi. Z pokoju wybiegła Poof. Oparłam się na poduszce, wciąż usiłując dojść do siebie. Polly stanęła przy łóżku i spoglądała na mnie z troską.

- Krzyczała pani. Byłam zaniepokojona - wyjaśniła powód pukania.
- Naprawdę? Pewnie pod wpływem snów.

Nadal wstrząsały mną silne emocje, bo doskonale pamiętałam senne koszmary. Znajdowałam się z obcym mężczyzną na jachcie. Walczyliśmy ze sobą. Uderzył mnie, choć nie poczułam bólu.

Usiłowałam wypchnąć go za burzę, a on próbował mnie obezwładnić. Zmagałam się z nim, lecz zarazem znajdowałam się w osobliwej pozycji obserwatora, jakbym oglądała film pokazujący naszą walkę. Widziałam wyraz twarzy tego mężczyzny, gdy chwiał się na burcie.

Spojrzałam na sekretarkę. Poczułam na jej widok ulgę, bo koszmary senne były takie realistyczne. Nie potrafiłam się uwolnić od przerażonej twarzy tego mężczyzny i mojej własnej desperacji.

- Miałam straszny sen.
- Pani krzyk świadczył o silnych przeżyciach.
- Istotnie ich doświadczyłam.

Za oknem widniało bezchmurne niebo. To też przyniosło mi ulgę. Już na dobre otrząsnęłam się ze snu.

- Pani Bass, lunch jest gotowy, choć oczywiście nie chciałyśmy pani budzić.
- Która godzina?
- Wpół do drugiej.
- Długo spałam.
- O tak.

Senne koszmary wciąż mnie prześladowały. Usiłowałam zrozumieć ich związek z rzeczywistością. Zastanawiałam się, czy ten mężczyzna to Michel Lambert, skoro znajdowałam się z nim na jachcie.

- Yvonne poda lunch na tarasie, o ile nie życzy sobie pani jeść w domu - poinformowała Polly, jakby nie zwracając uwagi na moje zagubienie.

- Jestem nieco oszołomiona, ale zaraz się ubiorę i zejść na taras.

- Znakomicie, pani Bass.

Skierowała się do wyjścia, lecz ją zatrzymałam.

- Czy mam zdjęcie Michela Lamberta?

- Sądzę, że jest jakieś w szufladzie toaletki. O ile się nie mylę, kiedyś pani wkładała je tam w mojej obecności.

- Czy mogłabyś je znaleźć?

- Oczywiście.

Podawała mi fotografię z miną dyskretnie wyrażającą dezaprobatę. Spojrzałam na zdjęcie i zaparło mi dech, bo okazało się, że to z Michele Lambertem walczyłam we śnie na jachcie. Trzęsła mi się ręka. Mój kochanek był przystojny i wyglądał na człowieka, który ma pieniądze i obraca się w snobistycznym towarzystwie. Tego wszystkiego mogłam się spodziewać. Pozował do zdjęcia na jachcie, prawdopodobnie moim. Ciemne szpakowate włosy lekko rozwiały mu wiatr. Pod wąskim długim nosem krył się mały wąsik. Na pełnych ustach Michela Lamberta igrał nikły, lecz sugestywny uśmiech. Czyżby przyśniło mi się autentyczne zdarzenie, z którym nie potrafiłam zmierzyć się na jawie? Nie znajdowałam dla sennego koszmaru innego wytłumaczenia. Michel, w przeciwieństwie do wszystkich innych ludzi, nie okazał się kimś obcym. Jeszcze raz uważnie przyjrzałam się fotografii. Naprawdę wyglądał znajomo. Zastanowiło mnie, dlaczego wobec tego nie rozpoznaję Cartera. Od razu uznałam za pewnik, że z powodu urazu do naszej wspólnej przeszłości. Intrygowało mnie również pytanie, czy fakt, że pamiętam



Michela, może pobudzić inne wspomnienia. Doktor Thirion twierdził, że to możliwe. Postanowiłam porozmawiać z nim o moim śnie.

Polly, obserwując moją reakcję na zdjęcie Michela, spytała mnie, czy przypominałam sobie, że wcześniej oglądałam to zdjęcie.

- Tego nie pamiętam, ale z pewnością pamiętam Michela.

Sekretarka milczała. Czyżby szczerą odpowiedź na jej pytanie była nierozsądna?

- To mi uświadomiło, że kiedy pani spała, telefonowano z policji.

- Znowu?

- Niestety. Chcieli się umówić na przesłuchanie, ale oświadczyłam, że nie wolno pani niepokoić.

Inspektor, z którym rozmawiałam, był nieubłagany. Jestem pewna, że niebawem zadzwoni.

Zerknęłam na zdjęcie Michela. Ponownie zaczęłam się zastanawiać, czy utarczka z sennego koszmaru zdarzyła się pomiędzy nami naprawdę, czy też stanowi twór mojej wyobraźni. Na myśl, że na jachcie być może rzeczywiście doszło do przemocy i że policja wie o czymś, o czym ja nie wiem, przeszył mnie dreszcz.

- Było także kilka innych telefonów, ale to nic pilnego. Po prostu życzenia szybkiego powrotu do zdrowia od pani przyjaciół.

- Miło słyszeć, że się o mnie troszczą.

- Pani Bass, ma pani wielu przyjaciół.

- A co z lady Nyland? Czy dzwoniła ponownie?

- Jeszcze nie.

Nawet jeśli Jane była moją najlepszą przyjaciółką, to i tak nie potrafiłam jej sobie wyobrazić.

Intrygowało mnie, czy jej zdjęcie pomogłoby mi przypomnieć ją sobie, jak stało się w przypadku Michela.

- Czy znowu coś drgnęło w pani pamięci? - odezwała się Polly, poruszając się niecierpliwie, bo od dobrej chwili

wpatrywałam się w typowo francuską twarz mojego byłego kochanka.

- Niestety, nie. Wciąż jest przytłumiona, ale to zdjęcie nieco ją pobudziło.

- A zatem coś pani sobie przypomina?

- Niewiele. Może powinnam obejrzeć więcej zdjęć? Z pewnością są jakieś.

- O tak. Ma pani mnóstwo albumów.

- Po lunchu rzucę na nie okiem. Chciałabym też przejrzeć notatnik z adresami, zapiski na temat odbytych spotkań i korespondencję. Wszystko, co pomoże mi zapoznać się z ludźmi obecnymi w moim życiu.

- Oczywiście, proszę pani. Odłożyłam fotografię na nocny stolik.

- To wszystko, Polly. Ogarnę się i niebawem zejść na dół

Gdy wyszła, usiadłam na brzegu łóżka, żeby zebrać siły. Okazało się, że drzemka mnie wzmocniła, mimo przerażających snów. Ruszyłam więc do łazienki. Miałam podpuchnięte oczy. Wpatrywałam się w nie w lustrze, nie tracąc wiary w cud nagłego odzyskania pamięci. Intrygowało mnie, czy wtedy wszystko okaże się mniej groźne i czy będę się z tego śmiać razem z Jane, a może i z Carterem? Westchnęłam. Jakoś nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Nawet jeśli nie pamiętałam naszego małżeństwa, czułam, że ja i mój mąż nie potrafimy się wspólnie śmiać.

Umyłam twarz, spłukując ją zimną wodą, żeby zlikwidować opuchliznę i zajrzałam do apteczki. Znajdowały się w niej typowe podręczne leki, przybory toaletowe i inne drobiazgi, głównie francuskie. Nie wydały mi się ani trochę znajome.

Na dolnej półce stał duży flakon *Caleche*, który natychmiast otworzyłam. Zapach obudził we mnie nieokreślone wspomnienia, tak samo silnie nasycone emocjami jak te, które wywołała woń róż w szpitalu, spotkanie z kotką i zdjęcie Michela Lamberta. Powąchałam perfumy jeszcze

raz. Znałam je bardzo dobrze. Musiały należeć do mnie! Byłam podekscytowana tym małym zwycięstwem nad własną pamięcią. Zamknęłam oczy, starając się jakoś ją ożywić. Zapach miał związek z czymś istotnym, ale nie potrafiłam tego określić. Ogarnęła mnie frustracja.

Poperfumowałam lekko szyję i wyszłam z łazienki.

W pierwszej chwili zamierzałam włożyć tę suknię, w którą ubrałam się rano, ale po namyśle ponownie przejrzałam garderobę. Powiesiłam peniuar i zaczęłam oglądać letnie stroje. Niektóre pominęłam od razu jako raczej niestosowne na domowy lunch. Wszystkie pozostałe miały wspaniałe kolory, ale większość wydała mi się zanadto elegancka, więc z uporem szukałam czegoś skromniejszego. W końcu znalazłam szaroniebieską sukienkę w stylu T-shirt. Była wprawdzie krótka, lecz odpowiadała mi jej prostota.

Zdejmowałam ją z wieszaka, gdy rozległo się pukanie.

- Tak! - zawołałam przekonana, że to sekretarka. - Ktoś otworzył drzwi. - Polly?
- To ja - usłyszałam głos Cartera. - Stał w sypialni i spoglądał na mnie przez otwarte drzwi.
- Och! - Cofnęłam się, kurczowo przyciskając sukienkę do piersi.
- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

Zatrzymał się w progu ubieralni i oparł o framugę. Miał na sobie marynarkę. Rozpiął kołnierzyk koszuli i rozluźnił krawat. Wyglądał na nieco zmęczonego.

Byłam tak poruszona jego widokiem, że cofnęłam się jeszcze bardziej. Nie pojmowałam, że mężczyzna może tak po prostu wejść, gdy się ubieram.

Carter obrzucił wzrokiem moje niemal nagie ciało i uśmiechnął się, wyraźnie zaskoczony.

- Co. z tobą, Hillary? Czyżby to uderzenie w głowę przyprawiło cię również o wstydlivość?
- Nie spodziewałam się ciebie.
- Nigdy nie robiło na tobie wrażenia, jak wchodziłem do twojej sypialni, kiedy się przebierałaś. Każdy mógł wejść,

jeśli już o to chodzi. Gdybym nawet zamienił się nagle w Antonia, też nie zwróciłabyś na to uwagi.  
- Z pewnością zwracam na takie rzeczy uwagę i nie podoba mi się ten komentarz. - Spoglądałam na niego z oburzeniem.

- Właśnie przyjechałem. Nie jadłem jeszcze lunchu. Powiedziano mi, że zaraz zejdziesz na taras, ale jeśli wolisz jeść sama, nie będę ci przeszkadzał - odparował, spoglądając na mnie badawczo.

Postanowiłam włożyć przy nim sukienkę, pokazując mu, że nic sobie nie robię z jego obecności i potrafię się zachowywać jak zobojętniała żona. Jednak wcale nie było to dla mnie łatwe.

- Carter, przepraszam. Nie chciałam cię urazić - wymknęło mi się wbrew postanowieniu.

- Ja chyba też jestem ci winien przeprosiny. Nie wziąłem pod uwagę twojej sytuacji, a powinienem był. Jednak jakoś nie mogę się przyzwyczaić, że jestem dla ciebie kimś obcym. - Stał wyprostowany i patrzył mi w oczy.

- Spróbuj sobie wyobrazić, jak ja się czuję. Skinął głową, błędząc wzrokiem po moim ciele.

- Może usiądziesz? Za chwilę będę gotowa.

- Dobrze. - Przeszedł do sypialni i spoczął na krześle pod oknem.

Widziałam go z ubieralni, ale zachowywał się jak dżentelmen i nie patrzył w moją stronę. Od niechcienia spoglądał w szybę. Całkowicie rozsunał zasłony, żeby lepiej widzieć wzgórze.

Szybko włożyłam sukienkę. Poczułam się pewniej, okryta kawałkiem materiału.

- Jak rozumiem, wciąż nie odzyskałaś pamięci - odezwał się, spoglądając w okno.

Nie mogłam oderwać od niego oczu. Fascynował mnie. Chodziło jednak o coś więcej niż o podziw dla jego męskiej urody. Odpowiadało mi, że jestem jego żoną, choć zarazem czułam z tego powodu dziwny lęk.

- Niewiele się pod tym względem zmieniło. Pojawiły się jakieś przebłyski, ale w dalszym ciągu nic o sobie nie wiem. - Rozglądałam się wśród niezliczonych par butów za jakimiś sandałami.

- Czego dotyczą te przebłyski?

Nie chciałam zbyt szybko rozmawiać o Michelu Lambercie, więc wspomniałam spotkanie z kotką.

- Akurat co się tyczy uczuć do niej, zawsze odznaczałaś się stałością - oświadczył z uśmiechem.

- Byłam uszczęśliwiona jej widokiem - odparłam z powagą, mimo ewidentnego sarkazmu Cartera.

- A dom nie pobudził twojej pamięci?

- Nie. Odnoszę wrażenie, że znajduję się tu po raz pierwszy w życiu.

Wsunęłam stopę w sandał. Skórzana wyściółka okazała się lekko wytarta przez duży palec. Dało mi to większe niż cokolwiek innego poczucie związku z moimi osobistymi rzeczami. Włożyłam drugi sandał i zerknęłam na Cartera. Krzesło przy oknie było puste.

Podeszłam do drzwi sypialni. Stał przy nocnym stoliku i trzymał w dłoni zdjęcie Michela Lamberta.

- Czy miałaś jakieś przebłyski pamięci, jeśli chodzi o niego? - spytał zjadliwym tonem.

- Nie w odniesieniu do spraw, jakie zapewne masz na myśli - odparłam zaczerwieniona.

- Oczywiście, w przeciwieństwie do mnie nie jest dla ciebie kimś obcym. - Carter spoglądał na mnie z ironią.

- To nie tak. - Potrząsnęłam głową.

- Hillary, zawsze miałaś własną hierarchię ważności ludzi i spraw, więc nie czuję się zaskoczony.

- To nie tak - powtórzyłam słabym głosem. - Nie znam Michela lepiej niż ciebie czy kogokolwiek innego. - Zawahałam się. - Przypomniała mi się tylko jedna związana z nim sytuacja.

- Naprawdę? Jaka?

- Po przyjechaniu ze szpitala zdrzemnąłam się. Śniło mi

się, że byłam z Michelelem na jachcie - wyjaśniłam, spuszczać wzrok.

- To brzmi wiarygodnie. Spędzałaś mnóstwo czasu na pokładzie „Pogody” i z pewnością wiele razy z nim pływałaś.

Carter manifestował wrogość czy wręcz nienawiść do mnie i Michela. Patrzył na mnie surowo i zaczepnie.

- Nie mogę zmienić przeszłości. Nic nie da się tu zrobić.

- To raczej oczywiste. Obyś tylko nie zapłaciła za nią zbyt wysokiej ceny. - Ruszył do drzwi. - Yvonne już tak długo czeka z lunchem, że pewnie całkiem wystygł.

Stałam jak posąg, bo wciąż dźwięczały mi w uszach jego słowa o możliwej karze za moje postęпки.

Nie powiedział wprost o prowadzonym przez policję śledztwie, ale bez wątpienia to miał na myśli.

Łzy napłynęły mi do oczu. Byłam przerażona moim domniemanym przestępstwem. Zastanawiałam się, jaką straszną tajemnicę ukrywam nie tylko przed ludźmi, ale nawet przed samą sobą.

- Chodź, Hillary. Zjedzmy lunch - zawołał z hallu Carter.

Ćzekał na mnie na dole przy schodach. Przeszliśmy przez dom w milczeniu.

- Jeśli na dworze jest dla ciebie za gorąco, możemy zjeść w jadalni - odezwał się, gdy znaleźliśmy się na tarasie.

- Nie, dziękuję. Tu jest dobrze.

Podeszliśmy do stołu, osłoniętego od słońca wielkim błękitnym parasolem. Carter odsunął dla mnie krzesło. Odebrałam ten gest kurtuazji jako fałszywy. Mąż z pewnością mną pogardzał, więc po co wysiłał się na uprzejmość? O wiele prostsze było przecież dokuczanie mi z powodu moich upadków.

Gdy usiadłam, zdjął marynarkę, przerzucił ją przez oparcie stojącego obok krzesła i zajął miejsce naprzeciwko mnie. Kładąc na kolanach serwetkę, spoglądał na niezapomniany

krajobraz, jaki tworzyły okoliczne wzgórza. Sprawiał wrażenie pana tych włości w nowoczesnym wydaniu.

Wbrew złej woli, z jaką traktowaliśmy siebie nawzajem musiałam przyznać, że to pociągający mężczyzna. Silnie działał na moje zmysły. Zwróciłam uwagę na jego wspaniały tors, barczyste ramiona i sposób, w jaki na mnie reaguje. Bowiem jego oczy odzwierciedlały nie tylko dezaprobatę, ale i to, że podobam mu się jako kobieta. Miał długie smukłe dłonie, wytworne, lecz silne.

Próbowałam sobie wyobrazić ich dotyk i zastanawiałam się, czy Carter jest delikatnym kochankiem czy raczej szorstkim.

Uznawszy swoje nierozsądne myśli za niebezpieczne, zaczęłam oglądać krajobraz. W oddali spostrzegłam kilka wiosek, ale sama Montfaucon ukrywała się za wzgórzem. Domy o białych ścianach i spadzistych dachach z czerwonej dachówki stały w otoczeniu sadów i winnic. Powietrze było suche, przesycone zapachem kwiatów. Krajobraz emanował pięknem, jednak nie wywoływał u mnie żadnych wspomnień, żadnego poczucia, że znam go od dawna.

Gdy odwróciłam się do Cartera, siedział oparty na krześle i wpatrywał się we mnie o dziwo bez wrogości, której się wciąż spodziewałam.

- Jak było w Rzymie? Czy załatwiłeś wszystko pomyślnie? - podjęłam neutralny temat.
- Hillary, zadajesz mi takie pytanie po raz pierwszy od pięciu lat - skomentował z uśmiechem.
- Gdybyś mi tego nie powiedział, nigdy bym się nie domyśliła. A może wolisz, żebym zachowywała się obojętnie?
- Twoja amnezja w rzeczywistości oznacza poprawę - zachichotał.
- Jeśli nie spodoba ci się moje zachowanie, śmiało daj mi to do zrozumienia.

Z uznaniem skinął głową.

- W Rzymie było gorąco, ale wszystko załatwiłem pomyślnie. Dziękuję za zainteresowanie.

Znowu się we mnie wpatrywał. Odnosiłam wrażenie, że teraz działał na jego zmysły jeszcze silniej. Wydawało mi się raczej oczywiste, że odbiera mnie jak kobietę z krwi i kości. Może nawet przywoływał w pamięci moment, gdy zastał mnie, niemal naga, w garderobie. Zastanawiałam się, jak mógł reagować na takie sytuacje w czasach, kiedy stanowiliśmy normalne małżeństwo. Czy bez skrępowania okazywał seksualne podniecenie i czy mu na to pozwalałam?

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że jestem twoją współniczką w interesach? - spytałam w nadziei, że w ten sposób uwolnię się od niebezpiecznych myśli.

- W żadnym wypadku nie utrzymuję tego w tajemnicy. Po prostu jeszcze do tego nie doszliśmy - odparł ze spokojem. - Ale dlaczego pytasz? Nie odpowiada ci to?

Postawił interesujące dla mnie pytanie. Zastanawiałam się nad odpowiedzią. Czy mi to nie odpowiadało? Nie byłam pewna swojego stanowiska. Zbyt wielu rzeczy nie wiedziałam, żeby móc je zająć.

- Nie mam co do tego pewności. Po prostu zdziwiło mnie, że nie poinformowałeś mnie o tym od razu, ale teraz to wyjaśniłeś, więc wszystko w porządku.

W milczeniu analizował moją odpowiedź, nalewając do szklanek wodę mineralną. Pociągnął sążnisty łyk i lekko się uśmiechnął.

- Gorąco dzisiaj. Potwierdziłam skinieniem głowy.

- A zatem jesteśmy inwestorami? - kontynuowałam wcześniejszy temat.

- Tak, Hillary, jesteśmy. - Z ironiczną intencją położył nacisk na słowie „jesteśmy”.

- Wiem, że nie angażuję się w kierowanie firmą - broniłam się, dotknięta jego sarkazmem. - Chciałam się tylko upewnić co do jej charakteru.

- Więc miałaś rację.

Przez chwilę sączyłam wodę ze szklanki.



- Czy w interesach też się kłócimy?
- Nie, bo nic cię one nie obchodzą, oczywiście dopóki masz wystarczająco dużo pieniędzy, by żyć zgodnie ze swoimi upodobaniami. - Wynika z tego, że jestem pusta i beztroska.
- Jesteś - oświadczył z naciskiem. - Nie oczekuj ode mnie w tym względzie kurtuazji.
- Dobrze coś o sobie wiedzieć.
- To fakt, a nie insynuacja.
- Czyli... nie zaprzętałam sobie głowy interesami, bo zajmuję się wyłącznie tym, co lubię - ciuchami, żeglowaniem i facetami. To chciałeś powiedzieć?

Patrzył na mnie surowo.

- Hillary, księgi rachunkowe są do wglądu. Twoi prawnicy sprawdzają je regularnie. Sama też możesz do nich zajrzeć, jeśli tylko sobie życzysz.
- Nie o to mi chodziło.
- A o co?

Nie znosiłam napięcia i animozji w naszych kontaktach, bo ani nie czułam wobec Cartera wrogości, ani nie uznawałam jej w stosunkach małżeńskich. Miałam jednak poczucie, że z którejkolwiek strony będę próbowała podejść do naszego związku, z każdej czyhała jakaś pułapka.

- To nic ważnego. Nie zawracaj sobie tym głowy.
- Ale z pewnością miałaś na myśli coś konkretnego.
- Carter, ja tylko usiłuję poznać nasze stosunki i siebie samą. Rozumiesz?

Wyglądał na skruszonego.

- Przepraszam, ale chciałem być szczery.

Zerknął na Yvonne, która pojawiła się w drzwiach tarasowych z tacą w rękach.

Podawała nam pierwsze danie - bulion z pieczarkami, a do tego pieczywo. Carter rozmawiał z nią po francusku, dolewając nam wodę mineralną. Z zachowania gosposi wynikało, że mój mąż cieszy się jej sympatią i poważaniem. Zanim wyszła, spojrzała na mnie z naganą.

- Czy naprawdę pracownicy mnie nie lubią, czy tylko tak mi się wydaje?
- Masz na myśli Yvonne?
- Wszystkich. Na przykład Polly jest uprzejma, pomocna i nic nie mogę jej zarzucić, ale wiem, że mnie nie akceptuje.
- Chyba masz paranoję.
- Nie chodzi o urojenia. Uprzedzenia okazuje mi się bardzo dyskretnie, ale są faktem.
- Dawniej nie zwróciłabyś na to uwagi lub w ogóle się tym nie przejęła. Wydaje mi się, że po prostu nie przywykła jeszcze do twojego nowego zachowania po wypadku.
- Bagatelizujesz ten problem.
- Nie miałem takiego zamiaru.

Cieężko westchnęłam i spojrzałam na zupę. Apetyt mi nie dopisywał, ale musiałam jeść z rozsądku, żeby, jak mówił doktor Lafon, zregenerować organizm. Spróbowałam bulionu. Smakował mi, choć miał nowy dla mnie aromat. Wszystko było nowe. Znajdowałam się we własnym domu, razem ze swoim mężem, ale nawet jedzenie okazywało się nieznanne. Teraz rozumiałam, jak czuła się Alicja w Krainie Czarów.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Staralam się jakoś pobudzić apetyt, bo Carter pochłaniał zupę z wielkim entuzjazmem. Na sposób europejski wrzucał do niej kawałki chleba. Obserwowałam go, aż w końcu zorientował się i podniósł wzrok znad talerza.

Zacęłam podziwiać krajobraz za plecami męża. Powietrze przenikało cudowne ciepło, a wzgórza zalewało słoneczne światło. W takim otoczeniu mogliśmy wieść sielankowe życie, a byliśmy do siebie tak źle nastawieni. Uważałam to za żenujące. Pewnie wszystko układałoby się pomyślniej, gdybyśmy się kochali, choć i miłość zdziwiłaby mnie w naszym związku, jak wszystko inne. Zresztą może wtedy porozumiewalibyśmy się z jeszcze większym trudem. Brak uczucia przynajmniej pozwalał, tak jak moja amnezja, zachować powściągliwość i rezerwę.

- Co cię tak pochłania?
  - Słucham? Och, przepraszam, zamyśliłam się.
  - Jak to wszystko znajdujesz? Podoba ci się czy nie?
  - To znaczy, chcesz wiedzieć, czy jestem zadowolona ze swojego życia i z tego, kim jestem?
  - Coś w tym rodzaju.
  - Dom jest uroczy. Odpowiada mi. A co do mnie, to już wiesz.
- Przyglądał mi się w zadumie. W końcu się uśmiechnął.
- Wciąż nie mogę wyjść z podziwu nad tym, co mówisz, bo dotychczas trudno było sobie wyobrazić Hillary Bass niezadowoloną z siebie. Jestem tobą kompletnie zaskoczony.
  - To dobrze? Tak? - W swoim głosie usłyszałam nadzieję, choć nie chciałam jej zdradzić.
  - Mogło być gorzej - odparł rozbawiony moim pytaniem.
  - Ale to nie daje gwarancji na przyszłość.
  - Raczej nie.
  - Już nie wiem, czego powinnam się bardziej obawiać: utraty pamięci czy jej odzyskania. Jedno i drugie ma swoje złe strony.
  - Raczej nie masz tu wyboru. Już sobie co nieco przypomniałaś, więc cofnięcie się amnezji to tylko kwestia czasu. - Dręczy mnie jakieś silne i złowieszcze uczucie, które usiłuje znaleźć dla siebie ujście. Budzi we mnie lęk. - Czy mogłabyś to sprecyzować?
  - Rano, gdy postanowiłam się zdrzemnąć, popadłam w rodzaj transu - na wpół snu, na wpół jawy. Zdawało mi się, że znajduję się w różanym ogrodzie. Zobaczyłam tam starszą kobietę. Nie wiedziałam, kim jest, ale byłam bardzo poruszona jej widokiem.
  - Może to twoja matka.
  - Nie pamiętam mojej matki. Nie potrafię jej sobie wyobrazić.
  - Są tu jej zdjęcia.
  - Obejrzę je.

Na tarasie zjawiała się Yvonne. W milczeniu sprzątnęła talerze po zupie. Odprowadziłam ją wzrokiem do drzwi.

Gdy odwróciłam głowę, napotkałam oczy Cartera. Nasze spojrzenia zamieniły się w niemą rozmowę na temat obopólnej udręki, żalu, ale i nadziei. Czulałam, że wbrew zadawnionym urazom, które zmuszały do zachowania dystansu, coś trudnego do określenia przyciąga nas do siebie. Świadczyło o tym również spojrzenie Cartera. Nie odrywał ode mnie oczu, najwyraźniej niechętny przerwaniu tej wymiany spojrzeń. Ale po chwili nie wytrzymałam i odwróciłam głowę.

- Czy moja matka była brunetką? - Wykrzesalam z siebie odwagę, żeby znowu na niego spojrzeć.

- Nie. Zawsze miała jasne włosy, choć w późniejszym wieku farbowała je.

- To znaczy, że mój ojciec był brunetem.

- Istotnie, miał ciemniejsze włosy od twojej matki. Carter przyłożył dłonie do czoła i obserwował mnie spod

tego „daszka”. Robił to już po raz drugi. Jego niebieskie oczy spoglądały łagodniej niż wtedy, gdy się na mnie gniewał, choć wciąż tak samo badawczo. Sądziłam, że usiłuje sobie wyrobić jakieś zdanie na temat mojego nowego wcielenia, tak jak ja starałam się to zrobić w odniesieniu do niego i naszego małżeństwa. Wydawało mi się, że chce coś powiedzieć, jednak milczał.

- Wolałabym, żebyś tak na mnie nie patrzył - odezwałam się, chcąc go jakoś sprowokować, żeby wyznał, co leży mu na sercu.

- Dlaczego?

- Bo nie wiem, co myślisz.

- Nigdy dotychczas cię to nie obchodziło.

- Ale teraz mnie obchodzi. Zrozum, Carter, to, że w określony sposób zachowywałam się w przeszłości, wcale nie znaczy, że muszę robić to nadal. Szkoda, że tak we mnie wątpisz.

- Nie chciałem cię urazić. Po prostu zastanawiałem się

nad tobą. Widzę, że przeżywasz frustrację, ale nie bardzo wiem, czego ode mnie oczekujesz. Znowu patrzyliśmy sobie w oczy, jakby nie było tej wymiany zdań. Nie miałam pojęcia, co powinnam mu odpowiedzieć. Na szczęście zjawiała się Yvonne z drugim daniem, wybawiając mnie z kłopotu. Uśmiechnęłam się na widok trącającej ją nosem w nogi Poof. Kotka wyglądała na bardzo zainteresowaną tym, co gosposia niesie na tacy. Zrozumiałam powód, gdy okazało się, że to owoce morza. Po wyjściu Yvonne kotka natychmiast zaczęła się do mnie przymilać, ocierając o nogi. Sprawdziłam zawartość półmiska. Wśród kawałków ryb i warzyw odkryłam drobne czułki.

- Tu jest kałamarnica?

- Tak - upewnił mnie Carter.

- Czy Yvonne często ją podaje? - Czułam, jak skręca mi się żołądek.

- To jedno z twoich ulubionych dań.

- Niepojęte, ale widocznie późno polubiłam kałamarnicę i mój żołądek o tym zapomniał.

Carter się roześmiał.

- Mogę poprosić Yvonne, żeby przyniosła ci coś innego.

- Och, nie. Nie chciałabym jej sprawiać przykrości. Uniósł brwi ze zdumienia.

- Od kiedy to robi ci różnicę, czy pomoc domowa czuje się dotknięta twoim zachowaniem czy nie?

Westchnęłam z rozdrażnieniem.

- Proszę, nic już nie mów. Jestem znużona słysząc wciąż, jaka ze mnie jędza. Wolałabym, żebyś mnie ocenił na podstawie obecnego zachowania. - Dziobnęłam widelcem jedzenie.

- Jesteś inna - oświadczył z naciskiem. - To bardzo rzuca się w oczy. Kiedy na ciebie patrzę, widzę inną kobietę. Wysubtelniałaś. Doprawdy zastanawiające.

Wpatrywałam się w niego, usiłując zrozumieć jego intencje. Czy rzeczywiście zamierzał powiedzieć mi komplement?

- Wolę cię z krótszymi włosami. Dodają ci czaru - zmienił temat, jakby wyczytał moje pytanie ze spojrzenia, choć i tym razem powiedział mi komplement, tyle że bardziej bezpieczny.
  - Czy nie noszę stale takiej fryzury? - Poglądziłam końce włosów. - Ta długość wydaje mi się normalna. Ale coż jest jeszcze normalne!
  - Miałaś takie włosy, kiedy się poznaliśmy. Możesz zobaczyć na zdjęciach.
  - A jak wyglądały, gdy widzieliśmy się ostatnim razem?
  - Czyli przed sześcioma lub ośmioma tygodniami w Paryżu.
  - Zatem skróciłam je w tym czasie.
  - Polly będzie wiedziała kiedy dokładnie i gdzie. Zjadłam nieco marynowanych warzyw i zmusiłam się do spróbowania kałamarnicy. O dziwo, smakowała mi, ale nie miałam ochoty na więcej. Dyskretnie wrzuciłam kilka kawałków pod stół, chcąc poczęstować Poof.
  - Hillary, nie musisz jej dokarmiać w tajemnicy przede mną. To twój lunch i twoja kotka.
  - Chodzi tylko o to, że nie chciałabym urazić Yvonne, zostawiając nie zjedzoną kałamarnicę. - Zarumieniłam się.
- Analizując tę odpowiedź, doszłam do wniosku, że absolutnie nie pasuje do Hillary Bass. Jakby na potwierdzenie tego Carter patrzył na mnie rozpromieniony.
- Podoba ci się to lub nie, ale to jestem ja.
  - Chyba nie zauważyłaś, że bym się uskarżał - oświadczył, wzruszając ramionami, jakby nic się nie stało. Zerknęłam w stronę domu i ostentacyjnie dałam Poof jeszcze dwa kawałki. Pogłaskałam ją po jedwabistej sierści.
  - Jak bardzo się zmieniłam w czasie naszego małżeństwa? Czy od początku byłam taką suką? Carter się roześmiał. Właśnie skończył jeść.
  - Hillary, nigdy bym nie uwierzył, że kiedykolwiek wygłosisz taki autokomentarz.
  - Odpowiedz na moje pytanie.

- Nie sędę, żeby ludzie zanadto się zmieniali. Chodzi raczej o to, że kiedy się pobraliśmy, nie potrafiłem dostrzec różnaitości twoich cech.

- Nie traktuj mnie jak dziecka. Nienawidzę tego.

- Naprawdę?

Chcąc nie chcąc, postawił bardzo ważne dla mnie pytanie, ponieważ uświadomiło mi ono, że wykazuję niechęć do protekcyjnalnego traktowania z taką stanowczością, jakbym znała tę swoją cechę charakteru. Ale skąd? Czyżby nawet przy utracie pamięci charakter potrafił przetrwać w człowieku? - A może to ja powinnam ciebie o to spytać? Czy rzeczywiście nie znosiłam protekcyjnalnego traktowania?

- Jeśli chcesz znać prawdę, to raczej nad niczym specjalnie się nie zastanawiałaś. A jeśli nie odpowiadały ci czyjeś poglądy, to po prostu mówiłaś, żeby się od ciebie odpieprzył. - Carter odsunął talerz.

- O Boże. - Znowu się zarumieniłam. Czułam zakłopotanie i wzburzenie, lecz starałam się tego nie okazać. -Kiedy nasze małżeństwo zaczęło się psuć?

Popijałam wodę mineralną, a mąż zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Myślę, że od czasu kiedy zaszłaś w ciążę, nasze wspólne życie już nie wróciło do normy.

Omam nie zachłysnęłam się wodą, więc odstawiłam szklanke.

- Byłam w ciąży? Czyżbym straciła dziecko?

- Zdecydowałaś się na aborcję.

- Dlaczego?

Słowa męża kompletnie mnie poraziły.

- Bo nie chciałaś zostać matką. Ogarnęło mnie przerażenie.

- Zamieniłaś pokój dziecinny w wielką szafę z ciuchami. Ostatecznie przypieczętowałaś tym swoją decyzję. Zachowywałaś się bardzo egoistycznie, choć stwarzałaś pozory, że tak nie jest. Ale naprawdę troszczyłaś się tylko o siebie.

Rozplakałam się. Oczywiście nie pamiętałam tego wszystkiego, lecz tak samo jak Carter czułam gorycz i ból. Dostrzegłam je w wyrazie jego oczu. Łzy płynęły mi po policzkach i nie mogłam ich opanować. Widziałam męża jak przez mgłę, jednak usiłowałam wytropić w jego spojrzeniu pogardę bądź nienawiść. W ten sposób zamierzałam się dowiedzieć, jak moja decyzja usunięcia ciąży wpłynęła na nasze stosunki.

- A ty chciałeś, żebym urodziła dziecko?

- Naprawdę nic nie pamiętasz?

- Oczywiście, że nie! Nic nie pamiętam!

- Nie ma potrzeby o tym rozmawiać.

- Ale ja chcę wiedzieć!

- Byłam całkowicie wytracony z równowagi, bo nawet nie spytałaś mnie o zdanie. Oczywiście chodziło o twoje ciało, jednak przynajmniej mogłaś ze mną porozmawiać.

Zrobiło mi się słabo.

- Wkrótce po tym każde z nas zaczęło żyć własnym życiem. Zajęło trochę czasu, zanim odseparowaliśmy się od siebie całkowicie, ale od tamtej pory jesteśmy małżeństwem tylko formalnie.

Pociągnęłam nosem. Sięgnęłam po szklanekę z wodą.

- Teraz przynajmniej wiem dlaczego. Carter milczał.

Przytłaczał mnie ból, jaki mu zadałam, i czułam straszne przygnębienie.

Na tarasie znowu zjawiała się Yvonne z koszem owoców i z półmiskiem serów. Gdy sprzątała ze stołu, zerknęła na mnie. Nie mogła nie zauważyć, że płakałam. A mąż siedział nieporuszony i wciąż milczał.

Dopóki gospościa nie zniknęła w drzwiach domu, nie padło żadne słowo.

Chciałam ukroić dla niego kawałek sera, lecz podziękował. Zaczęłam kroić dla siebie, jednak nagle straciłam apetyt. Przez odległe pole sunął traktor. Spoglądałam w tamtą stronę, wciąż pogrążona w bólu, że postąpiłam tak strasznie, a zarazem skrzywdziłam męża.



- Dlaczego się nie rozwiedliśmy? Czy dlatego, że posiadam połowę udziałów w twojej firmie?

Nie patrzył mi w oczy i milczał.

- Czy nie masz zamiaru odpowiedzieć?

- Mogłaś rozwieść się ze mną równie łatwo jak ja z tobą.

- Oczywiście, lecz ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam.

- To żadna tajemnica. Może zwlekałem z tym z powodu zwykłej inercji.

Czyżby istotnie obopólna inercja sprawiła, że wciąż byliśmy małżeństwem?

Dźwięk telefonu przerwał ciszę, jaka znowu zapadła po tym wyznaniu. W drzwiach na taras stanęła Yvonne.

- To do pani. Z policji. Spojrzałam na Cartera.

- Może ja powinienem odebrać?

- Wolalabym, żebyś to zrobił.

Nie czułam się na siłach rozmawiać z kimś z policji. A poza tym mogłabym się nie dogadać, skoro niemal całkowicie zapomniałam francuski.

Carter ruszył do domu.

Mimo gorąca, wstrząsały mną dreszcze. Po znanych mi już rewelacjach męża i przed jeszcze niewiadomymi rewelacjami policji zamieifrfam się w kłębek nerwów. Wzięłam Poof na kolana.

Głaskałam ją, a ona wylizywała sobie łapki. Nagle spostrzegłam krążącego w pobliżu jastrzębia.

Wydawało mi się, że patrzy na mnie. Modliłam się, żeby nie był to zły znak.

Naprawdę wstrząsnęła mną wiadomość, że poddałam się aborcji. Carter powiedział mi, że nie chciałam mieć dziecka, jednak nawet przy całym moim dotychczasowym egoizmie i bezmyślności nie mogłam uwierzyć, iż potrafiłam to zrobić. Nie zostałam przecież zgwałcona ani nic mi nie dolegało.

Skoro zaś obecnie potępiałam swój postępek, byłam całkowicie zdezorientowana, jeśli chodzi o wyznawane przeze mnie zasady moralne.

Po kilku minutach Carter wrócił na taras. Miał posepną minę. Z wyrazu jego oczu wynikało, że przynosi złe wiadomości.

- Chcieli tu natychmiast przyjechać - oświadczył przybitym głosem. - Wyperswadowałem im to i zaproponowałem spotkanie jutro rano. Nie mogłem dopuścić, żeby molestowali cię zaraz po powrocie ze szpitala.

- Skąd ten pośpiech?

- Sytuacja się zmieniła. Już nie chodzi o zwykłą formalność.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czego dotyczy zmiana?

- Znaleźli świadków.

- Świadców? Czego?

- Nie wiem, ale nie wróży to nic dobrego. Był szczerze zmartwiony.

- Czyli sprawa jest poważna.

- Obawiam się, że tak - potwierdził.

Znowu zaczęłam drżeć. O Boże, czyżby obarczono mnie odpowiedzialnością za śmierć Michela Lamberta? Podejrzewano, że go zamordowałam? A co sądził o tym Carter? Po głębszym zastanowieniu doszłam do wniosku, że nie dowiedziałam się o sobie niczego takiego, co wykluczałoby popełnienie tej zbrodni. W moich oczach ponownie zamigotały łzy, choć instynkt podpowiadał mi, że nie potrafiłabym tego zrobić. Rozpaczliwie chciałam powiedzieć o tym mężowi. Z drugiej strony nie znałam przecież prawdy. Po prostu nie znałam.

## *Rozdział piąty*

Przemierzałam nerwowo sypialnię w tę i z powrotem. Po raz pierwszy od chwili, w której odzyskałam przytomność, byłam bliska paniki. Dotychczas zdarzały mi się momenty szczególnego niepokoju, teraz jednak miałam poczucie, iż tkwię w jakiejś groźnej pułapce. Co będzie, jeśli oskarżą mnie o morderstwo i aresztują? Co będzie, jeśli skażą mnie na karę więzienia?

Myśl, iż jestem zdolna do popełnienia morderstwa wydawała mi się niedorzeczna i natychmiast wybiłabym ją sobie z głowy, gdyby nie przyśniła mi się awantura z Michelelem na pokładzie jachtu. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej dochodziłam do przekonania, że popadam w szaleństwo. Wprawdzie doktor Thirion zdawał się w ogóle nie brać tego pod uwagę, lecz przecież jeszcze nie znał mojego snu. Postanowiłam natychmiast poinformować go przez telefon o tym koszmarze. Nacisnęłam dzwonek, żeby wezwać Polly. Po chwili była u mnie.

- Chciałabym porozmawiać z doktorem Thirionem. Czy mogłabyś mnie z nim połączyć?
- Oczywiście, pani Bass, ale w tej chwili pani mąż rozmawia przez telefon z kimś z Londynu. Gdy tylko skończy, wykręcę numer kliniki - poinformowała sekretarka i wyszła z pokoju.

Wciąż czułam zdenerwowanie, choć myśl o czekającej mnie konsultacji z lekarzem nieco je zmniejszyła. Zerknęłam na stojący na nocnym stoliku telefon z nadzieją, że Carter nie będzie go zajmował zbyt długo. W końcu postanowiłam sprawdzić, czy jeszcze rozmawia. Podniosłam słuchawkę. Usłyszałam głos mężczyzny, którego akcent zdradzał przynależność do wyższych sfer angielskiego społeczeństwa. Rozmawiał z moim mężem na temat stóp procentowych. Ostrożnie odłożyłam słuchawkę i usiadłam na łóżku.

Wmawiałam sobie, że policja nie zamierza mnie aresztować. Gdyby im o to chodziło - rozumowałam - już by po mnie przyjechali. Chyba raczej chcieli wyciągnąć ode mnie jakieś informacje. Tego przynajmniej nie musiałam się obawiać. Nie miałam im nic do powiedzenia, a tym samym do ukrycia.

Po kilku minutach Polly ponownie zjawiała się w mojej sypialni z nareczem albumów fotograficznych.

- Dzwoniłam do kliniki, proszę pani, ale doktor Thirion jest nieosiągalny. Zostawiłam wiadomość, żeby się z panią skontaktował. Pani mąż zasugerował, by pani w międzyczasie przejrzała albumy.

Położyła je na stole pod oknem. Podeszłam do niej.

- Wspaniale, że Carter o tym pomyślał. - Przesunęłam palcami po gładkiej skórzanej oprawie.

- Pan Bass musi jeszcze odbyć kilka rozmów, ale postara się nie blokować zbyt długo telefonu.

Troska i delikatność mojego męża wciąż zbijały mnie z tropu, zwłaszcza że mogło się okazać, iż policja podejrzewa mnie o dokonanie morderstwa.

- Czy Carter jest z natury uprzejmym człowiekiem? Polly spoglądała na mnie z najwyższym zaskoczeniem.

- Pan Bass to dżentelmen, proszę pani.

- Czy czujesz do niego sympatię?

- Traktuję go z największym szacunkiem - oświadczyła odwracając głowę.

- Ale nie mogłabyś tego powiedzieć o swoim stosunku do mnie, co, Polly?

Odebrała to pytanie jako afront. Błysnęła na mnie oczami, lecz zaraz się opanowała.

- Pani Bass, zawsze starałam się wypełniać swoje obowiązki najlepiej, jak potrafię.
- Polly, to nie była pretensja, tylko próba zrozumienia naszych wzajemnych stosunków.
- Zapewniam, że nigdy nie zgłaszała pani zastrzeżeń do mojej pracy.
- W to akurat nie wątpię.
- Jeśli w jakiś sposób panią uraziłam...
- To ty nie czuj się urażona moim pytaniem. Chodzi tylko o to, że wciąż nie mogę się pogodzić z tym, jaka byłam. Może zresztą doszukuję się w zachowaniu ludzi wobec siebie czegoś, czego nie ma.
- Pani Bass, ja nie mogę pani osądzać.
- Zapomnijmy o tej rozmowie.

Polly wyprostowała się, usiłując przybrać nienaganną postawę sekretarki.

- Czy ma pani jeszcze jakieś życzenia?
- Chciałabym, żebyś mi towarzyszyła podczas oglądania albumów, służąc informacjami.
- Oczywiście.

Usiadłyśmy. Polly otworzyła najstarszy z albumów.

- Należy chyba zacząć od zdjęć z czasów dzieciństwa - zasugerowała.

Przeglądałam je z zaciekawieniem i lekką obawą. Nie sądziłam, że dziecko, które zobaczę, okaże się znajome, ale miałam nadzieję, że znajome okażą się same zdjęcia. Tak się, niestety, nie stało. Mój niepokój wzrósł, gdy zobaczyłam fotografię trzymającej mnie na rękach matki. Wpatrywałam się w twarz tej kobiety, pragnąc ją sobie przypomnieć. Zgodnie z tym, co powiedział Carter, miała jasne włosy, lecz okazała się dla mnie kimś obcym. Podobnie było z ojcem.

- Jak to możliwe, że rozpoznałam Michela Lamberta, a nie poznaję własnych rodziców? - wymknęło mi się.
- Może jakieś nowsze zdjęcia pobudzą pani pamięć?

W następnym albumie rozpoznałam wprawdzie widniejącą na fotografiach małą dziewczynkę jako siebie, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć okoliczności, w jakich zostały zrobione, pozostałych osób oraz samych fotografii. Dziwiłam się, że przy uderzającym podobieństwie do mnie tej dziewczynki, a następnie nastolatki i młodej kobiety, nie mam poczucia, iż kiedykolwiek istniała. Zamknęłam ostatni z albumów i oparłam się na krześle. Polly zwróciła uwagę na moje rozczarowanie.

- Są jeszcze zdjęcia z okresu pani małżeństwa. Sama je porządkowałam. To była jedna z pierwszych czynności, jakie mi pani zleciła.

Oprócz albumów na stole leżały teczki wypełnione wycinkami z gazet i plikami zdjęć, ale Polly wręczyła mi pierwszy w kolejności album z czasów małżeństwa. Czułam się zniechęcona, choć nie dałam tego po sobie poznać. Otworzyłam album. Niewiele sobie po nim obiecywałam, lecz zwyciężyła ciekawość. Naprawdę chciałam zobaczyć siebie z Carterem.

Zdjęcia potwierdziły przedstawiony mi przez niego opis naszego małżeństwa. Zobaczyłam poważnego mężczyznę i niefrasobliwą kobietę. Zachowywali się tak, jakby rzeczywiście należeli do siebie, lecz na ich twarzach spostrzegłam udawaną radość. A w miarę upływu lat coraz bardziej sprawiali wrażenie ludzi przekonanych, że ich małżeństwo jest pomyłką. To zadziwiające, ile rzeczy można odkryć na zdjęciach, jeśli tylko ogląda się je wnikliwie. Bo na przykład nieszczerze uśmiechy są łatwo demaskowane przez rozmaite gesty i pozy.

W kolekcji fotografii z okresu małżeńskiego uderzyły mnie tylko trzy, przedstawiające nas na pokładzie jachtu. Ale nie to, że się tam znajdowaliśmy ani nie nasz wygląd zrobiły na mnie wrażenie, tylko nazwa łodzi: „Pogoda”, dobrze na zdjęciach widoczna. Wprawiła mnie w zdenerwowanie.

- Polly, opowiedz mi o tym jachcie.
- Należy do pana Bassa, ale, jak rozumiem, oddał go do

pani dyspozycji. Uwielbia pani żeglować i przy dobrej pogodzie wypływa w morze dwa lub trzy razy w tygodniu. Również niektórzy pani przyjaciele to lubią, więc jeśli gości ich tu pani, zazwyczaj robicie z jachtu użytek - poinformowała miłym tonem, jakby głęboko ukryła objawioną wcześniej niechęć do mnie.

Uważnie oglądałam jedno ze zdjęć, na którym nazwa jachtu była szczególnie dobrze widoczna. W miarę tego rósł mój niepokój. Usiłowałam go oddalić, tłumacząc sobie, iż pojawił się tylko dlatego, ponieważ w koszmarach sennych szamotałam się na tym jachcie z Michelelem.

W ostatnim z albumów znajdowały się zdjęcia stanowiące kronikę mojego życia towarzyskiego, w którym Carter nie uczestniczył. Uderzyła mnie swoboda mojego zachowania. Zobaczyłam siebie na plaży, z obnażonym biustem, na przyjęciu, w efekciarskim kapeluszu, na kolanach jakiegoś mężczyzny, w minispódniczce, która już nie mogła być krótsza... Kobieta skora do przelotnych flirtów i romansów, dogadzającą swoim kaprysom i zachciankom, nie stroniącą od kieliszka, słowem, zepsuta, używającą życia egocentryczkę.

Zaczęłam pytać o nazwiska towarzyszących mi osób, ale szybko przestały mnie one obchodzić.

Niemniej Polly pokazała mi Jane Nyland.

Moja najlepsza przyjaciółka wyglądała, o dziwo, raczej pospolicie. Może i była urodziwa, ale w sposób, w jaki potrafią być urodziwe tylko Angielki, czyli banalny. Sprawiała wrażenie sprytniej i przebojowej, co być może odziedziczyła po francuskich przodkach.

Na wielu ostatnich fotografiach widniała podobizna Mi-chela. Na tych, które przedstawiały nas razem, sprawialiśmy wrażenie kochanków. Pozy, gesty i miny wskazywały, że zależało mi na nim.

Gdy zamykałam album, jedno ze zdjęć spadło na podłogę. Prezentowało mnie w bikini, w towarzystwie wysokiego, wspaniale zbudowanego i opalonego mężczyzny około trzy-

dziestki. Miał krótko przystrzyżoną brodę. Wiatr rozwiewał mu włosy. Obejmował mnie ramieniem. Z naszego zachowania wynikało, że było nam dobrze razem.

- Co to za mężczyzna?
- Bob Whitford. Zajmuje się pani jachtem, to znaczy, zajmował się dotychczas.
- Dlaczego już tego nie robi?
- Zwolniła go pani na krótko przed wypadkiem.
- Z jakiego powodu?
- Nie orientuję się.

Wpatrywałam się w zdjęcie. Intuicja podpowiadała mi, że za naszymi uśmiechami krył się romans. Ogarnęło mnie przygnębienie i niemal straciłam chęć dowiedzenia się, dlaczego ten mężczyzna przestał u mnie pracować.

- Skąd pochodzi?
  - Z Ameryki. Jeśli dobrze pamiętam, zatrudniła go pani rok później niż mnie.
  - Czy jest w zwyczaju wynajmowanie kogoś na stałe do doglądania jachtu?
  - Pan Bass uważa to za konieczne w przypadku tak wielkiej łodzi żaglowej jak „Pogoda”. Utrzymanie jej we właściwym stanie wymaga wielkiego nakładu pracy.- Czy zajmuje się tym teraz ktoś inny?
  - Tak. Pan Bass wynajął mieszkającą w Tulonie Angielkę. O ile wiem, zatrudniona została tymczasowo, dopóki pani nie podejmie w tej sprawie ostatecznej decyzji.
  - Angielkę?
  - Nazywa się Erica Maxwell. Mieszka tu od lat i znakomicie opanowała sztukę żeglarską.
  - Znasz ją?
  - Spotkałyśmy się - odparła Polly po chwili wahania.
  - Ja też powinnam się z nią spotkać.
  - Biorąc pod uwagę pani zamiłowanie do tego sportu, z pewnością wkrótce to nastąpi.
- Ponownie zaczęłam się wpatrywać w zdjęcie Boba Whitforda.



- Czy ludzie zatrudniani na „Pogodzie” pływają ze mną?

- Pan Whitford mieszkał na jachcie i pływał z panią lub nie w zależności od pani życzenia. A pani Maxwell mieszka w Nicei.

- Rozumiem.

Z nowym zainteresowaniem obejrzałam teraz zdjęcia pokazujące mnie z przyjaciółmi, zwłaszcza te, na których widniała podobizna Michela. Po kilku minutach odłożyłam je i ciężko westchnęłam, poznawszy nieprzyjemną prawdę o sobie. Moje życie, mimo bogactwa i różnorodności zajęć, wcale nie wydawało mi się atrakcyjne.

Zerknęłam na milczącą Polly.

- Odnoszę wrażenie, że lubię towarzystwo moich przyjaciół i liczne rozrywki.

- O tak, proszę pani.

Zacząłam oglądać ilustracje wycięte z magazynów, dokumentujące moją karierę modelki. Były przyjemniejsze od fotograficznej kroniki mojego życia towarzyskiego. Naprawdę mnie zaintrygowały, a nawet zadziwiły swoją magią. Ale nie wyzwoliły żadnych wspomnień. Na najwcześniejszych moja fryzura, zgodnie z tym, co mówił Carter, bardzo przypominała obecną.

To nasunęło mi pewne pytania. Czy mogłam skrócić włosy dlatego, że chciałam zacząć wszystko od nowa? Czy do rękoczynów pomiędzy mną a Michelem doszło dlatego, że pragnęłam z nim zerwać? Pomyślałam, że być może tuż przed wypadkiem uznałam, iż mimo wszystko należę do Cartera. To obudziło we mnie nadzieję.

Polly musiało uderzyć moje nagłe ożywienie, bo spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

- Od jak dawna noszę tę fryzurę? Kiedy skróciłam włosy? - spytałam niecierpliwie.

- Sama się nad tym zastanawiałam, proszę pani. W ciągu ostatnich lat miała pani dłuższe. Zazwyczaj bywała pani u fryzjera w Paryżu. - Zawahała się na moment. - Przypuszczam, że odwiedziła pani nowy salon w Nicei. Na dzień

przed wypadkiem nocowała pani w swoim nicejskim mieszkaniu.

- Hillary, podoba mi się twoja nowa fryzura - rozległ się przy drzwiach głęboki głos. - Może zatem nie powinnaś rezygnować z fryzjera w Nicei?

Carter podszedł do nas. Polly zerknęła na niego z niekłamanym zachwytem, ale on patrzył na mnie, uśmiechając się lekko, jakby na znak pojednania.

Dzięki zdjęciom zaznajomiłam się głębiej z historią naszego małżeństwa. Nie była budująca, lecz przynajmniej lepiej rozumiałam teraz Cartera. Gdyby nie sprawa śmierci Michela, z pewnością wszystko okazałoby się łatwiejsze.

- Czy któreś ze zdjęć jakoś cię poruszyło?

- Tylko te, na których widnieje jacht.

- Nic w tym dziwnego, skoro tam miał miejsce wypadek.

- Dziękuję, że tak nazywasz to, co się wydarzyło.

- Hillary, nie jestem sędzią ani członkiem ławy przysięgłych.

- Może powinnam wyjść - odezwała się Polly, kręcąc się nerwowo na krześle.

- Tak, proszę - podchwycił Carter. - Chciałbym porozmawiać z panią Bass na osobności.

- Oczywiście, proszę pana.

Usiadł na krześle i spoglądał na mnie badawczo. Poczulałam się niepewnie, nie wiedząc, co się za tym kryje. W jego oczach nie dostrzegłam zawziętości, ale też nie znalazłam w nich ciepła. Gdy zerknął na moje nogi, zorientowałam się, że absorbuję raczej jego zmysły. Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Zastanawiałam się, czy mimo naszych konfliktów zwykł był patrzeć na mnie w taki sposób, czy raczej chodziło o coś całkiem nowego. Do tej pory sądziłam, że nasza obopólna niechęć dotyczy również życia seksualnego, więc przestraszyłam się na myśl, iż być może Carter uważa je za rutynową powinność małżeńską. Jednak natychmiast przypomniałam sobie, że zgodnie z informacją przekazaną mi przez Polly od tego roku przestał przyjeżdżać do Montfau-

con. A to oznaczało separację, zwłaszcza że sam nie powiedział mi nic innego. Z drugiej strony dostrzegałam w jego zachowaniu oznaki zainteresowania mną jako kobietą. Czy robił to podświadomie, czy raczej doszukiwałam się w jego reakcjach czegoś, co nie miało miejsca? Bo i w przypadku naszego życia intymnego dawała mi się we znaki amnezja. Carter wiedział o nim wszystko, a ja nic. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio się kochaliśmy i co wtedy czułam. Nie pamiętałam także, czy gdy Michel został moim kochankiem, nadal żyłam z mężem dla podtrzymywania pozorów normalności naszego małżeństwa.

- Muszę wyjechać w interesach - przerwał moje myśli. -Do Cannes. Chcę skorzystać z usług tamtejszego biura maklerskiego, co niekiedy mi się zdarza. Nie będzie mnie przez kilka godzin, ale postaram się wrócić na kolację. - Spojrzał na mnie wymownie. - Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć. Wiem, że denerwujesz się czekającym cię przesłuchaniem. Ja również. Nie będę udawał, że jest inaczej. Ale nie dowiemy się, co odkryli policjanci, dopóki tu nie przyjadą. Nie należy więc wyciągać przedwczesnych wniosków z tego, co oświadczyli przez telefon. Po prostu musimy czekać.

- Cieszę się, że słyszę to od ciebie, jednak z pewnością masz jakieś podejrzenia, nawet jeśli wystrzegasz się przedwczesnych wniosków.

- Nie wiem, co się wydarzyło na jachcie i sądzę, że ty też nie wiesz. W tym sensie jesteśmy w identycznej sytuacji.

Doceniałam taktowne zachowanie Cartera co do przyczyny śmierci Michela. Nie oświadczył jednak, iż uważa mnie za niewinną i nie zapewniał o pomyślnym zakończeniu śledztwa. To budziło moje obawy, ponieważ znał mnie lepiej niż ja.

- Gdy odzyskam pamięć, poznamy prawdę.

- Sądzę, że tak - potwierdził, ale wcześniej długo patrzył mi w oczy.

Dostrzegł mój strach, bo współczująco pogładził mnie po kolanie. To był drobny gest, lecz dla mnie znaczył bardzo

wiele. Carter nie od razu zdjął rękę z mojej nogi. Przebiegł mnie dreszcz. Mąż dotknął mnie po raz pierwszy od chwili, w której go zobaczyłam po odzyskaniu przytomności. Wbrew temu, co mogłam przypuszczać, wcale nie wpadłam w zakłopotanie. Ba, sprawiło mi to przyjemność. Jego gest i moja reakcja świadczyły o tym, że w naszym małżeństwie uczucia jeszcze nie całkiem wygasły.

Wstał z krzesła. Patrząc na niego uświadomiłam sobie, że pragnę, by wziął mnie w ramiona. Nie dlatego, że pociągał mnie fizycznie, ale ponieważ pragnęłam jego bliskości -bardziej niż słów i drobnych gestów.

- Lepiej już pójdę. Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Gdy ruszył do wyjścia, serce mi zamarło.

Zachowywał się

wobec mnie delikatnie i byłam mu za to wdzięczna. Jednak bez wątpienia postępował tak ze względu na swój wrodzony takt, a nie dlatego, że mi ufał. W głębi duszy nie potrafił na mnie polegać.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Przyślę Polly, żebyś mogła dokończyć oglądanie zdjęć. Po jego wyjściu rozplakałam się, przerażona bardziej niż

kiedykolwiek, że tkwi we mnie demon, o którym nie mam pojęcia. Ponownie ogarnęła mnie głęboka niechęć do mojej przeszłości.

^Jdy do pokoju weszła Polly, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- To lady Nyland... Z Paryża.

W pierwszej chwili zamierzałam się wykręcić. Nie byłam w nastroju do prowadzenia towarzyskiej pogawędki. Z drugiej strony nadarzała się sposobność dowiedzenia się czegoś o sobie od jednej z najważniejszych osób w moim życiu. Podeszłam do aparatu. Polly podała mi słuchawkę i wyszła.

- Halo?

- Hillary, najdroższa, czy to prawda? Rzeczywiście stra-

ciłaś pamięć? Kiedy zadzwoniłam do tej cholernej kliniki i powiedzieli mi, że masz amnezję, pomyślałam, że to jakiś żart. To chyba nie mogło się zdarzyć?

- To, niestety, fakt.

- Nic nie pamiętasz?

- Nic.

- Czyli mnie również nie poznajesz?

- Polly opowiedziała mi o tobie i obejrzałam twoje zdjęcia. To wszystko.

Jane roześmiała się.

- Ale heca!

- Żałuję, że nie potrafię doszukać się w tym nic zabawnego - temperowałam jej wesołość.

- Och, kochana Hillary, nie miałam najmniejszego zamiaru bagatelizować twoich problemów. Po prostu wydaje mi się to trochę niesamowite. I cóż za sposób na pozbycie się grzechów!

- Też na to wpadłam. - W słuchawce zapanowała niezręczna cisza, więc dodałam - Jane, przykro mi, że zachowuję się tak dziwnie, ale nie pamiętam nikogo. Nawet Cartera.

- Widziałaś się z nim?

- Dziś po południu przyjechał tu z Rzymu, a wcześniej wpadł do mnie do szpitala.

- Powiedział ci o Michelu? Uff... Nie pamiętasz go, co?

- Pamiętam. Jutro rano będę przesłuchiwana przez policję w sprawie wypadku. I wiem o moim romansie z Miche-lem. Na myśl o tym robi mi się niedobrze.

- Niedobrze? Dlaczego, u licha?

Ze sposobu, w jaki Jane ze mną rozmawiała, wynikało, że istotnie jesteśmy zaufanymi przyjaciółkami, tyle że w moim przypadku chodziło o dawną Hillary Bass. Jak mogłam wytłumaczyć Jane, że ani nie lubię, ani nie szanuję jej starej kumpelki? A poza tym nie chciałam mieć nic wspólnego z Michelelem i być podejrzaną o zamordowanie go.

- Może dlatego, że ta znajomość wpędziła mnie w straszne kłopoty.

- Moje biedactwo. To okropny moment w twoim życiu... Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić? Cokolwiek sobie życzysz... Mam świadomość, że mój głos brzmi dla ciebie obco. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć. A może powinnam do ciebie przyjechać? Czy dałoby ci to coś?
- Nie mam pojęcia. Na razie nic nie zdołało odblokować mojej pamięci, ale może rzeczywiście pomogłoby mi spotkanie z przyjaciółką...
- Weekend spędzam z Jamesem, lecz w poniedziałek mogłabym tu wpaść. Odpowiada ci to?
- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu.
- Ależ skąd. Czy nie po to są przyjaciele, żeby pomogli uwolnić się od brzemienia grzechów? - Roześmiała się. -Przepraszam, że znowu jestem niedelikatna, lecz nie mogę się przyzwyczaić do twojej amnezji.
- Ja też nie. A jak mnie odbierasz?
- Jak... Biorąc pod uwagę, w jakim jesteś stanie... Wydajesz się przytłumiona, ale skoro rozmawiasz z kimś, kogo nie pamiętasz...
- To prawda, jednak bardzo się staram zachowywać zgodnie z oczekiwaniami ludzi.
- Bogu dzięki, że uszłaś z tego z życiem.
- Czasami ogarniają mnie wątpliwości, czy to dobrze. Czuję się odpowiedzialna za... wszystko. I jestem strasznie zagubiona, jeśli chodzi o związki łączące mnie z Carterem. Nie wiem, co myśleć o naszym małżeństwie.
- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będziesz robić z tego problem. Bo co to ma za sens, skoro trwacie przy sobie z wyrachowania? To stare dzieje. Czym się więc martwisz?
- Z wyrachowania?
- Owszem. Carter nie wspomniał ci o tym?
- Wiem tylko, że jesteśmy do siebie zrażeni. To nie wymaga żadnych wyjaśnień.
- Sądzę, że trzymają was razem pieniądze, choć ta historia z Micheleem chyba pogorszyła wasze stosunki. W Londy-

nie mówi się, że Carter już miał wystąpić o rozwód, ale powstrzymała go twoja śpiączka, bo mogłaś umrzeć.

Nie powinnam być wstrząśnięta tą wiadomością, a jednak byłam, choć może przede wszystkim sprawiła mi ból. To prawda, że podczas odwiedzin w klinice Carter zanadto nie okazywał mi współczucia, jednak później stał się bardziej przyjacielski, a dosłownie przed chwilą zachował się naprawdę życzliwie, co wzbudziło we mnie nadzieję na lepsze ułożenie naszych stosunków. I cóż się okazało?

- Czy sam mówił o rozwodzie?

- Hill, to tylko plotki. Zresztą i ty spekulowałaś na ten temat. Żartowałaś nawet, że być może Carter nigdy nie rozstrzygnie, co woli bardziej: wolność czy zachowanie kontroli nad całą firmą. Nieraz się z tego śmiałyśmy. Nie pamiętasz? Och, oczywiście że nie.

- Nawet nie napomknął o rozwodzie... Zresztą, dlaczego miałby to robić...

- Kochanie, tylko nie rozmawiaj z nim o tym. Nigdy się tym nie przejmowałaś. Naprawdę.

- Jane, a czy ja chciałam się rozwieść?

- Brałaś to pod uwagę, zwłaszcza gdy związałaś się z Michelelem. Jednak po jakimś czasie wolałaś pozostać żoną Cartera. Powiedziałaś mi kiedyś, że najszcześniejsza kochanka to mężatka.

- Niemożliwe - zaprzeczyłam z ciężkim westchnieniem.

- To prawda, Hill. Nigdy niczego z góry nie przesądzałaś i twierdziłaś, że to, iż jesteś mężatką, zmusza Michela do ciągłego zabiegania o twoje względy.

- Obrzydliwe.

- Może nie powinnam teraz tak o wszystkim paplać, ale mówię szczerze, kochanie.

- Carter słowem nie wspomniał o rozwodzie - powtórzyłam. - Jak myślisz, zmienił zdanie czy wyznaje zasadę, że nie kopie się leżącego?

- Z tego, co słyszałam, naprawdę wściekł się z powodu tego incydentu z Michelelem w Londynie.

- Jakiego incydentu?
  - O cholera, jasne, że się nie orientujesz. Ale jak możemy prowadzić sensowną rozmowę, skoro muszę ci wszystko przypominać? Od czego mam zacząć?
  - Od czegokolwiek, ale najlepiej od Michela. Prawie nic o nim nie wiem. - Usiadłam na łóżku.
  - Uwielbiał cię. Zakochał się w tobie do szaleństwa.
  - Ale kto to był?
  - Michel to cały Paryż. Dusza towarzystwa, choć nieco nuworyszowski. Miał kupę forsy, ale chciał mieć jeszcze więcej. Dużo więcej. Był czarujący. Naprawdę. Lubiłam go.
  - Z tego wynika, że znałaś go dobrze.
  - Nasza trójka włóczyła się nieco po świecie, zwłaszcza na początku waszego romansu, kiedy towarzyszyłam wam dla zmylenia Cartera. Oczywiście później nie było to konieczne. Zresztą twój mąż sprawiał wrażenie, że nie obchodzi go, jak spędzasz czas, bylebyś tylko nie sprawiała mu kłopotów.
  - Czy miał kogoś?
  - Jeśli chodzi ci o coś poważnego, to o niczym takim się nie plotkowało. - Jane roześmiała się. - W każdym razie my nic nie wiedziałyśmy.
- Odczułam ulgę, choć moja zazdrość świadczyła, najogólniej mówiąc, o jakiejś ironii losu. Bo czego właściwie chciałam i na ile poważnie traktowałam Michela? Właśnie tego pragnęłam się teraz dowiedzieć. - Powiedziałaś, że Michel mnie kochał. A ja jego?
- W jakimś sensie tak. Myślę jednak, że trochę udawałaś, bo porzucił dla ciebie rodzinę. Twierdził też, że chcąc być z tobą, musiał ponieść duże straty w interesach, choć w to nie wierzyłaś. Utrzymywałaś, że on kocha tylko twoje ciało, a jeszcze bardziej twoje pieniądze. Miał firmę inwestycyjną, równorzędną w stosunku do firmy twojego męża. Powtarzał, że gdybyś przekazała swoje udziały w firmie Cartera do jego firmy, to znacznie zwiększyłby obrót pieniędzmi. Ty jednak tylko dręczyłaś go informacjami twoich księgowych



o rosnących zyskach firmy Cartera, jawnie ciesząc się z tych sukcesów. To doprowadzało Michela do szału, ale, jak twierdziłaś, wspaniale wpływało na wasze życie seksualne.

- Jakie pomysły - zażartowałam ponuro. Nie potrafiłam opanować drżenia. - A co z rodziną Michela? Co to dokładnie znaczy, że porzucił ją dla mnie?

- Rozwiódł się po blisko trzydziestu latach małżeństwa. Jego żona, Claudine, to osoba nawet bardziej od niego znana w sferach towarzyskich i wiadomość, że ją zostawił, z trudem została przełknięta. Na jakiś czas w Paryżu powstały dwa obozy - jeden bronił Claudine, a drugi ciebie. Na wielu przyjęciach dostawałam po nosie tylko z powodu naszej przyjaźni, moje złotko.

- To nadzwyczajne - skomentowałam z ironią.

- Na szczęście od pewnego czasu emocje znacznie opadły. Zainteresowanie towarzyszące *affaires de coeur* zwykle szybko mija, ale na początku wszyscy o tym trąbili.

- Czy Michel ma dzieci?

- Tak, dwóch dorosłych synów. Są po stronie matki. Jęknęłam.

- O jakim incydencie w Londynie napomknęłaś przed chwilą?

- Michel postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i rozmówić się z Carterem. Potrafił się zachować jak pełen pychy ordynus, zwłaszcza gdy został wyprowadzony z równowagi. Uważałam to za jego najbardziej nieznośną cechę.

- I co wydarzyło się w Londynie?

- Powiedział Carterowi, że zamierza się z tobą ożenić i że zrobi najmądrzej, jeśli szybko wystąpi o rozwód. Oczywiście nie było mnie przy tym, ale wygląda to na scenę żywcem wyjętą z *Don Juana*.

- Mój Boże.

- Wpadłaś w szal. Zadzwoiłaś do mnie rano w dniu wyjazdu do Nicei i zwierzyłaś się, że zamierzasz wszystko wyjaśnić z Michelem. Tego chyba było już dla ciebie za wiele po niedawnej historii z twoim lodziarzem.

- O jaką historię chodzi?
- Nie sądzę, żeby ktoś ci o tym powiedział. Oczywiście wiesz coś na temat tego klawego faceta, Boba, który zajmował się twoim jachtem?
- Tak. Słyszałam o nim. Wylałam go z pracy.
- A więc wiesz.
- Tyle akurat wiem, ale co to ma wspólnego z Michelelem?
- Zmusił cię do zwolnienia Boba, kiedy, odkrył, że facet nie tylko obsługuje twoją łajbę, ale od czasu do czasu świadczy ci usługi seksualne.
- O Boże - wymamrotałam.
- Nie przypuszczam, żebyś w ciągu ostatniego roku zbyt często chodziła z Bobem do łóżka, jednak Michel był strasznie zazdrosny i zażądał zwolnienia go.
- A czy Carter wiedział o mnie i o tym łodziarzu?
- Z pewnością coś podejrzewał, ale najwidoczniej uważał, że to nic poważnego. Carter, moja droga, nie zawraca sobie głowy tym, że flirtujesz ze swoimi pracownikami. To było kolejne bolesne odkrycie, ale przynajmniej coraz lepiej rozumiałam, jakie jest moje małżeństwo. - Czyli Michel nie okazał się aż tak tolerancyjny.
- Otóż to. W końcu uległaś jego naciskom, żeby pozbyć się Boba, ale czułaś się strasznie urażona. Spotkanie Michela z Carterem przepełniło kielich goryczy. Dostałaś szału i nie mogłam cię uspokoić. To była nasza ostatnia rozmowa.
- Teraz się nie dziwię, że zablokowałam swoją pamięć. Nie potrafiłam ułożyć sobie życia ani z mężem, ani z kochankiem. Nie jestem już zaskoczona, że Carter chce się ze mną rozwieść. Naprawdę nie mogę mieć o to do niego pretensji.
- Hillary, nie rozmawiałaś chyba z pastorem? - odezwała się Jane po dłuższej przerwie. - Nie pojmuję, gdzie podziła się ta kobieta, która zawsze pragnęła używać życia i chrzaniła wszelkie konwencje...
- Potrafię żyć tylko w zgodzie z własnymi uczuciami

i chyba się już ustatkowałam. Nie tylko zdradzałam męża, ale być może spowodowałam także śmierć kochanka.

- Bzdury.

- Możesz mi nie wierzyć, lecz ta sprawa strasznie obciąża moje sumienie.

- Hillary, skrucha w niczym ci nie pomoże - oświadczyła Jane Nyland po chwili wahania. - Byłoby dla ciebie o wiele lepiej, gdybyś jak najszybciej odzyskała wcześniejsze podejście do życia. Wszyscy zamieszani w twoją historię z Mi-chelem to osoby dorosłe. Stosowałaś te same reguły gry co inni.

- A może zamordowałam Michela z premedytacją...

- Z premedytacją? Co ty, na Boga, wygadujesz?

- To jest możliwe - odparłam drżącym głosem.

- Ty nie potrafiłabyś zabić. Nie zachowuj się jak idiotka. Powiedziała to z przekonaniem. Miło było wiedzieć, że

moja najlepsza przyjaciółka nie wyobraża sobie mnie w roli morderczyni.

- Jane, jeśli są jakieś uzasadnione podejrzenia, a pech chce, że traci się pamięć, trudno być sobie pewnym. Żałuję, że nie wierzę w swoją niewinność tak samo mocno jak ty - odrzekłam wciąż drżącym głosem. - Milczała, więc dodałam: - Mam tylko nadzieję, że akurat w tej chwili nie zacznasz we mnie wątpić. - Nie wątpię.

- To dlaczego nic nie mówisz?

- Kiedy spytałaś, czy przypominasz mi osobę, którą znam od lat, odpowiedziałam że tak, choć nigdy nie byłaś tak przytłumiona. Ale teraz nie jestem już tego pewna. Twój głos brzmi całkiem znajomo, lecz mam poczucie, że rozmawiam z inną kobietą. Zmieniłaś się. Absolutnie.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się tym rozczarowana.

- Nic podobnego, złotko. Jestem twoją przyjaciółką i nic się pod tym względem nie zmieni. Po prostu mówię szczerze. Jak zawsze.

- Nie chciałabym, żebyś zachowywała się inaczej.

- Mam uważać, że mój przyjazd tu na początku tygodnia jest nadal aktualny?
- Oczywiście.
- Zadzwoń do ciebie w niedzielę wieczorem.
- Świetnie.
- Uszy do góry, Hill. - Roześmiała się szelmowsko. -*Ciao*, kochanie.

Po odłożeniu słuchawki siedziałam na łóżku i zastanawiałam się nad tym, co usłyszałam. Jane naszkicowała mój wierny portret. Nie dawało mi spokoju, że przestałam go akceptować. Jej pewnie też. I powiększyło się moje napięcie związane ze śmiercią Michela. Jane nieświadomie podsunęła mi powód, ba, może nawet motyw skłaniający do popełnienia morderstwa! To odkrycie było bardzo bolesne. Ale czy istotnie potrafiłabym zabić człowieka? Mogłam się tylko modlić, żeby nie okazało się to prawdą.

## *Rozdział szósty*

Położyłam się na łóżku, wciąż zatopiona w myślach na temat tego, co powiedziała mi Jane. Już zaczynałam czuć nienawiść do mojej amnezji. Na samym początku wydała mi się czymś osobliwym, wręcz surrealistycznym, ale rychło okazała się przekleństwem.

Moją posepną zadumę przerwał telefon od doktora Thi-riona.

Ucieszyłam się, że wreszcie nadarza się sposobność opowiedzenia psychiatrze o moich problemach.

Od razu przystąpiłam do rzeczy.

- Panie doktorze, muszę wiedzieć, czy byłabym zdolna zabić tego mężczyznę?
- Proszę pani, w określonych okolicznościach niemal każdy jest zdolny do popełnienia morderstwa.
- Oczywiście i obawiam się, że w moim przypadku to może okazać się prawdą.
- Dlaczego pani tak uważa?

Opowiedziałam mu sen, w którym mocowałam się z Michelelem na pokładzie jachtu. Wyznałam też, że ze wszystkich zdjęć, które obejrzałam, tylko te z podobizną Michela i „Pogody” poruszyły nieco moją pamięć.

- Ale to żaden dowód na popełnienie zbrodni. Proszę powiedzieć, co pani czuła, walcząc z panem Lambertem?

- Oczywiście byłam przerażona, lecz... miałam do tego dziwny dystans, jakbym równocześnie obserwowała naszą samotność.
- To nic nadzwyczajnego. W snach skojarzenia z rzeczywistością są często raczej nikłe. Nie można ich brać zbyt dosłownie.
- Czyli, innymi słowy, nie można z całą pewnością orzec, co naprawdę się wydarzyło.
- Na podstawie samego snu, nie. Za pewnik należy uważać tylko to, że pani amnezja ma związek z wypadkiem na jachcie. Cała reszta to spekulacje.
- Spekulacje. Szkoda, że nie potrafiłam traktować tego z takim dystansem, ale dla mnie wydarzenie na pokładzie „Pogody” nie było przedmiotem chłodnej analizy. Zadręczało mnie niemal od chwili odzyskania przytomności.
- A co z mężem? - Lekarz przerwał moje milczenie.
- Nie potrafię tego dokładnie określić - odparłam nieco skrepowana.
- Nie potrafi pani?
- Jest dla mnie miły i doceniam to. Nie kłóćmy się, jeśli akurat o to panu chodzi.
- Chodzi mi raczej o pani poczucie bliskości z mężem, o jakieś przebież/ski pamięci w odniesieniu do waszej wspólnej przeszłości.
- Niestety, nic takiego się nie pojawiło. To znaczy nic, co dotyczyłoby mojego męża. Wciąż jest dla mnie kimś obcym. Bardziej znajoma wydaje mi się moja kotka, choć też nie pamiętam na jej temat nic konkretnego.
- Ale przynajmniej pani stosunki z mężem układają się dobrze.
- Biorąc pod uwagę, że uważa mnie za morderczynię, można to tak określić.
- Z całą pewnością nikt nie sugerował, że...
- Formalnie niczego mi się nie zarzuca, lecz policja będzie mnie przesłuchiwać. Znalezione jakichś nowych

świadków. Oczywiście, nikt mnie nie oskarża, ale martwię się. Mąż chyba też.

- Pani podejście do śmierci pana Lamberta raczej trafnie oddaje stwierdzenie mówiące o braniu na siebie cudzych win.

- Pewnie racja jest po pana stronie.

- Ale przynajmniej ma pani teraz więcej energii i jest pani silniejsza.

- Tak, jednak z amnezją żyje się bardzo trudno. Czuję się zagubiona niczym szczur w labiryncie.

- *C'est normal, madame*, choć jestem dobrej myśli.

- Skoro już rozmawiamy, to chciałabym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Powiedział mi pan w klinice, że mam świadomość siebie, hierarchię wartości i zasady moralne

- Tak...

- Czy jest możliwe, że wyjdę z tej amnezji z nowym podejściem do życia?

- Co pani ma na myśli?

- Nie akceptuję siebie. Martwią mnie rzeczy, które robiłam. Zarówno mąż, jak moja najlepsza przyjaciółka twierdzą, że nie jestem już tą samą kobietą. Nawet zmieniły się moje upodobania kulinarne. Mam poczucie, że odrzuciłam styl życia, jaki prowadziłam od czasu zamieszkania w Europie.

- To najbardziej intrygujące. Pani przypadek wygląda trochę nietypowo. Ale zdarzają się ludzie doznający gwałtowej przemiany. Zbrodniarze zostają świętymi, a skąpcy przeistaczają się w filantropów itp. Przemianę często poprzedza jakieś silne przeżycie.

- Czyżby dawał mi pan do zrozumienia, że traktuję swoją sytuację jako sposobność przeobrażenia się w inną osobę?

- Być może rzeczywiście odrzuca pani częściowo swoją przeszłość w taki sam sposób, w jaki nawróceni rozstają się z życiem w grzechu. Ostatecznie Szawel został świętym Pawłem. W gruncie rzeczy jego przemiana różni się od przemiany pani tylko pod tym względem, że on, w przeciwieństwie do pani, pamiętał swoją przeszłość.

- Możliwe, że ma pan rację. Ja naprawdę bardzo się boję zostać na powrót tą samą kobietą. Gdy tkwiłam w tamtej skórze, mąż mnie nie kochał, a teraz, mimo różnych wątpliwości, przynajmniej mi współczuje.

- Podświadomość chyba odznacza się większą mądrością niż nam się zdaje - oświadczył ze śmiechem doktor Thirion.

Miałam nadzieję, że istotnie tak jest.

Przed wyjściem ze szpitala doktor Lafon zalecał mi powolny powrót do normalnego życia. Jednak od chwili przyjazdu Cartera do Montfaucon czułam się tak rozgorączkowana, że musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza. Przebrałam się w czarne szorty i biały podkoszulek,' po czym udałam się do gabinetu, żeby spytać Polly, pochyłoną akurat nad rachunkami, dokąd mogę pójść na spacer. Odpowiedziała, że często przechadzałam się dróżką wijącą się po naszej posiadłości. Carter zaprojektował ją specjalnie do tego celu. Propozycja brzmiała zachęcająco. Poza tym ucieszyłam się na myśl, że dokładniej obejrzę posesję.

Gdy wyszłam na podwórze, Antonio polerował chromowane części Bentleya. Natychmiast zaczął wodzić wzrokiem po mojej sylwetce. Było w tym spojrzeniu coś tak sugestywnego, że poczułam skrępowanie. Lekko skinęłam głową, usiłując go zignorować, ale zawołał mnie po imieniu. Zawa-  
hałam się, a on ruszył w moją stronę. Miał chłopięcy uśmiech, na co już wcześniej zwróciłam uwagę, i reagował spontanicznie. Jego flirciarskie usposobienie byłoby obraźli-we, gdyby nie sprawiało wrażenia czegoś absolutnie naturalnego. Toteż potraktowałam je jako efekt młodzieńczego temperamentu i naturalności.

- *Bonjour, madame. Et votre tete, ca va?*

- Przykro mi Antonio, ale nie rozumiem już francuskiego tak dobrze jak przed wypadkiem.

- Nic nie szkodzi. Możemy przecież rozmawiać po angielsku - powiedział z silnym francuskim akcentem.



- Przynajmniej dopóki nie odzyskam znajomości francuskiego.
- Ja tylko spytałem, jak pani głowa... *La tete...* - Postukał się w skroń. - Już nie boli?
- Och, rozumiem. Nie boli. Czuję się lepiej.

Spojrzał ostentacyjnie na moje nogi i znowu się uśmiechnął.

- W porządku, w porządku. Absolutnie w porządku -powtarzał.

Nie mogłam się zorientować, czy ma na myśli głowę czy nogi. W końcu zdecydowałam, że raczej nogi, bo chyba bardziej go interesowały. Wpatrywał się we mnie, lekko prężąc ramiona i machinalnie gładząc się po torsie, którego bujne owłosienie było widoczne pod rozpiętą koszulą. Nie ulegało wątpliwości, że w tym momencie daje znać o sobie raczej ciało niż umysł mojego kierowcy.

- Wybrałam się na spacer, żeby obejrzeć posiadłość -poinformowałam z zamiarem odejścia.
- Och, tu jest bardzo ładnie. I miło, bardzo miło. Uśmiechnęłam się i odwróciłam.
- Jedną chwileczkę, proszę pani - zatrzymał mnie, omal nie chwytając za rękę. - Czy mogę o czymś powiedzieć?

- Tak, o co chodzi? - spytałam po chwili wahania.

- Ta Angielka. - Skinął głową w stronę domu. - Polly. Proszę na nią uważać...

To jednoznaczne ostrzeżenie zdumiało mnie.

- Co masz na myśli?
- Niech pani jej nie ufa.
- Dlaczego?
- Ona nie jest... Jak to się mówi po angielsku... *devouee...*
- *Devouee?*
- *Oui, devouee.* To znaczy... Och... *fidele.* Czy pani rozumie?
- Lojalna?
- Tak. Nie jest lojalna.

Zaciekawiła mnie ta sprawa o posmaku pałacowej intrygi.

- Antonio, na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- Czasami w samochodzie słyszałem, jak mówiła panu Bassowi o panu Lambercie. Ostrzegałem już panią, *n'est-ce pas?* Nie pamięta pani? Wzbudziło to pani śmiech. A dziś rano, zanim pojechaliśmy po panią do *clinique* w Tulonie, zawiozłem Angielkę do miasta. Kazała mi zostać w samochodzie, lecz ją śledziłem, *vous comprenez?* Weszła do kawiarni, gdzie spotkała się z pewną damą.

- Z jaką damą?

- *Je ne sais pas, madame.* Byłem na ulicy i nie widziałem ich zbyt dobrze. Rozmawiały przez pięć minut.

- Antonio, to bardzo interesujące, ale nie wiem, w jaki sposób świadczy o nielojalności Polly.

Uśmiechnął się szeroko i dotknął nosa.

- Wiem o tym, proszę pani. Angielka myśli, że tylko prowadzę samochód. Nie ma pojęcia, że wiem mnóstwo rzeczy, na przykład to, że jest zakochana w panu Bassie. - Uśmiechnął się swym chłopięcym uśmiechem i znowu spojrzał tęsknie na moje nogi.

Nie podobała mi się ta rozmowa, jednak ostatnia wiadomość mnie zaciekawiła.

- Może Polly podoba się mój mąż, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że się w nim kocha. I nie znaczy to też, że ona go interesuje - oświadczyłam, ku własnemu zaskoczeniu, bez specjalnego przekonania.

- Pan Bass ma piękną żonę i jest bardzo bogaty. Nie potrzebuje do miłości Angielki. Po prostu z nią rozmawia. Ale ona się w nim kocha - potwierdził z promienną twarzą.

- Antonio, może zbyt wiele uwagi poświęcasz innym ludziom? Chyba byłoby lepiej, gdybyś zajmował się tylko prowadzeniem auta.

Wyglądał na urażonego.

- Nie powiedziałem pani tego, żeby zarobić następną butelkę szampana. - Na jego wargach zaigrał lekki uśmieszek. - Nie pamięta pani? Jesteśmy przyjaciółmi.

- Dostałeś ode mnie szampana?

- *Oui, madame* - potwierdził, zdziwiony. - Dlatego że pani mnie lubi. Nie pamięta pani?

- Nie. - Potrząsnęłam głową. - Nic nie pamiętam.

- *Ah, c'est vrai!* Zapomniałem. Cierpi pani na *amnesie*. Ale wszystko w porządku. Powiem pani, co pani zechce. Zawsze była pani dla mnie bardzo miła. I wobec pani jestem *devouee*. Lojalny.

- Dziękuję. - Nie miałam pojęcia, do czego on pije. Ponownie poczułam skrepowanie i jak zwykle straszliwą bezradność. Uznałam, że najlepiej pożegnać Antonia. - Muszę już iść. Myślę, że powinniśmy zapomnieć o przeszłości. Teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Sprawił wrażenie zawiedzionego, ale nie mógł sobie pozwolić na protest.

- *Comme vous voulez* - powiedział z rezygnacją. Ruszyłam energicznie przez podwórze. Wzdrygnęłam się

na myśl, że być może flirtowałam z własnym kierowcą. Bądź co bądź wiedziałam już od Jane Nyland, że - jak to określiła - korzystałam z usług seksualnych mojego lodziarza... Zabawianie się z własnym kierowcą wydawało mi się równie niepojęte. Z drugiej strony być może Antonio próbował wyciągnąć jakieś korzyści z mojej amnezji. Wiedziałam z całą pewnością tylko to, że każdy może mi wmówić niemal wszystko, a ja nie jestem w stanie tego zakwestionować. Ode mnie nie zależało prawie nic. Wyszłam przez bramę i po przejściu kilku metrów drogą dojazdową do willi skręciłam na ścieżkę. Zatrzymałam się na chwilę, oglądając widok doliny i okolicznych wzgórz. Oddychałam głęboko, próbując sobie przypomnieć zapach tutejszego powietrza. Osiem lat życia w Montfaucon bez wątpienia pozostawiło w moim umyśle niezatarte ślady. Teren nie wyglądał obco, ale nie kojarzył mi się ze znanym od lat otoczeniem domu. Każdy mój ruch i każdy napotkany widok oznaczał odkrywanie czegoś nowego. To budziło niepokój, bo ileż razy musiałam oddychać tym powietrzem,

spoglądać na linię wzgórz czy rozkoszować się barwami nieba i ziemi? Im dłużej o tym myślałam, tym większej nabierałam pewności, że istnieje takie miejsce na ziemi, które darzę szczególnym sentymentem, ale jakoś wątpiłam, by chodziło o Montfaucon i okolice. Byłam uczuciowo i fizycznie związana z jakimś pagórkowatym krajobrazem, ale czy rzeczywiście z tym, który mnie teraz otaczał? Doktor Thirion przekonywał mnie, że amnezja to mój sposób obrony przed komplikacjami życiowymi. Pozwalała mi bowiem odroczyć na pewien czas spoczywającą na mnie odpowiedzialność za ich spowodowanie, a zarazem umożliwiała świeżość spojrzenia, stwarzając przez to szansę rozwiązania trudności. Jednak nie tłumaczyła, dlaczego tak totalnie odrzucam Hillary Bass - poczynając od jej upodobań, a na wyznawanych wartościach kończąc. Uznałabym takie nastawienie do siebie za ponury żart, gdyby nie fakt, że nie dysponowałam pamięcią i mogłam się utożsamiać tylko z Hillary Bass jako osobą rzeczywistą.

Posuwając się po zboczu, wróciłam myślami do rozmowy z kierowcą. Istotnie mógł knuć jakąś intrygę. Takie wyjaśnienie jego ostrzeżeń przed Polly narzucało się samo przez się. Zarazem jedna rzecz, o której powiedział, wyglądała na prawdziwą, a mianowicie miłość mojej sekretarki do Cartera. Ścieżka wiła się malowniczo, prowadząc ze wzgórza do lasu w dolinie. W miejscu, w którym się znajdowałam, stała kamienna ławka. Usiadłam, żeby odpocząć, bo wciąż czułam osłabienie po długim pobycie w klinice. Panujący tu błogi spokój pomagał mi nieco zregenerować siły, ale natychmiast ogarnęła mnie rozpacz z powodu mojego straszego położenia. Och, gdybym tylko wszystko pamiętała!

Postanowiłam oddać się medytacji - w nadziei, że uda mi się w ten sposób sprowokować jakieś wspomnienia. Wstrzymałam myśli, koncentrując się na panującej tu niczym niezmaconej ciszy. Tak samo jak rano, kiedy usiłowałam się zdrzemnąć, popadłam w rodzaj transu. Ponownie zobaczyłam różany ogród. Tym razem mgła nie była tak gęsta i za krzewami róż

rozciągała się pusta, bezkresna przestrzeń. Odnosiłam wrażenie, że mój wzrok prześlizguje się ponad granicą światła. Ten widok napawał mnie lękiem, lecz gdy znowu w różanym ogrodzie pojawiła się starsza pani, poczułam się spokojniejsza. Teraz dostrzegałam jej twarz wyraźniej. Wyglądała łagodnie i wyzwalała we mnie miłość. Zdumiało mnie to, bo nie miałam poczucia, że ją znam. Chciałam się do niej zbliżyć, lecz rozplynęła się jak senne widziadło. Próbowałam bez powodzenia ponownie przywołać jej wizję.

Nagle usłyszałam odległe głosy dzieci, jakbym stała na szkolnym podwórku z zamkniętymi oczami. Te dźwięki sprawiały mi przyjemność, choć ich nie rozróżniałam. Zastanawiałam się, dlaczego akurat słyszę dzieci i co to może oznaczać. Dzieci, róże i ta kobieta... Nie istniały w świecie Hillary Bass, a jednak zdawały się przynależeć do mojego życia bardziej niż dom w Montfaucon. Jak to było możliwe?

Siedziałam na ławce przez dłuższy czas, borykając się na przemian z rzeczywistością i z fikcją, z prawdą i ze złudzeniem. Upór, z jakim pamięć odmawiała mi posłuszeństwa, doprowadzał mnie do szału, zarazem jednak czułam niechęć do konfrontacji ze swoim dotychczasowym życiem.

Nie zamierzałam spędzić tu reszty życia, więc ruszyłam w drogę powrotną do domu. Trasa okazała się bardziej męcząca, niż mogłam przypuszczać. Musiałam się zatrzymywać z powodu zawrotów głowy, a raz nawet usiadłam na trawie bojąc się, że zemdleję. W końcu jakoś pokonałam strome wzniesienie, z którego prowadziła droga do willi. Serce łomotało mi z wysiłku. Co kilka metrów odpoczywałam, starając się złapać oddech. Dopiero teraz, niestety zbyt późno, zorientowałam się, jak bardzo osłabiła mnie choroba.

Przed domem stał nie znany mi Peugeot sedan. Nie zauważyłam natomiast ani Bentleya, ani Antonia. Po czole spływał mi pot i czułam drżenie nóg. Na moment oparłam się o drzwi frontowe, odetchnęłam głęboko i weszłam do hallu. W pośpiechu nadbiegła Yvonne. Na jej twarzy malowało się nerwowe podniecenie.

- Ma pani gościa - poinformowała zdyszana.
- Gościa? Kto to jest?
- Dziennikarz z Paryża. Gdy się tu zjawił, byłam sama, bo panna Frampton pojechała z Antoniem do miasta załatwić jakąś sprawę. Powiedziałam dziennikarzowi, że jest pani na spacerze. Spytał, czy może poczekać i oświadczył, że to bardzo ważne. Nie wiedziałam, co robić. Czy życzy sobie pani z nim rozmawiać, czy mam go odprawić?
- Gdzie on jest?
- W salonie.
- Mówi po angielsku?
- Nie orientuję się, proszę pani. - Yvonne załamywała ręce. - Ale w jego francuskim słychać cudzoziemski akcent. Nie wygląda na Francuza, choć nie wiem, skąd pochodzi.
- Poinformuj go, że zaraz do niego przyjdę. Muszę się trochę odświeżyć.
- *Oui, madame.*

Dzięki zwiększonej dawce adrenaliny we krwi poczułam nagły przypływ energii. Idąc po schodach zastanawiałam się, z jakiego powodu dziennikarz z Paryża chce przeprowadzić ze mną wywiad. Czyżby wypadek na jachcie wciąż wzbudzał powszechne zainteresowanie? A może znał fakty, których ja nie znałam - na przykład jakieś szczegóły dotyczące odnalezionych przez policję świadków? Przed przesłuchaniem tylko on mógł mi je zdradzić.

Umyłam twarz i szyję, roztarłam na skórze odrobinę perfum i przeczesalam szczotką włosy. Znowu poczułam osłabienie, ale chciałam się dowiedzieć, po co przyjechał tu paryski reporter.

Yvonne czekała na mnie w hallu.

- Spytałam go. Oczywiście mówi po angielsku, bo to Amerykanin - odezwała się na mój widok.
- Amerykanin? Zatem nie ma się czym martwić. Sama sobie z nim poradzę. Możesz wracać do kuchni.
- Jest pani pewna?
- Oczywiście.

W salonie zobaczyłam mężczyznę o niechlujnych włosach, ubranego w kiepski letni garniturek o stalowoniebieskiej barwie. Reporter stał odwrócony do kominka, najwyraźniej szacując kolekcję dekorującej obramowanie porcelany. Dłonie, niewidoczne pod połami rozpiętej marynarki, opierał na udach.

Odchrząknęłam.

Odwrócił się i przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. W końcu wyszczerzył zęby w uśmiechu. Mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Przy średnim wzroście uderzały jego mocne bary. Ubranie wisiało na nim niechlujnie.

- Pani Bass, poznaję panią dzięki zdjęciu kolportowanemu w magazynach. - Podszedł do mnie, wciąż szeroko uśmiechnięty. - Todd Halley. Z „New York Press Enquirer”. - Wyciągnął rękę.

- Myślałam, że jest pan z Paryża. - Przywitałam się z nim.

- Zgadza się. Jestem głównym europejskim korespondentem „Enquirer”. - Zarechotał. - Głównym i jedynym. Jako wolny strzelec pisuję także do gazet londyńskich i paryskich, a konkretnie, jeśli chodzi o Francję, do „Le Beau Monde”.

- To wspaniała prezentacja, panie Halley. Czemu przypisać zainteresowanie tak wziętego reportera rozmową ze mną?

- W gazetach ukazała się informacja o wypadku na pani jachcie w pobliżu Nicei, ale to nie było nic wielkiego. Zaledwie wzmianka. - Rozstawił palce, jakby w ten sposób demonstrował, o co mu chodzi.

- Nie świadczyła o specjalnym zainteresowaniu, lecz stanowiła produkt zwykłej dziennikarskiej rutyny. A gdyby Michel Lambert nie błyszczał tak w towarzystwie, Paryż nawet nie zauważyłby całej sprawy.

- Cóż więc pana do mnie sprowadza?

- Krążą pogłoski, że pojawiły się jakieś nowe fakty. Chciałbym usłyszeć pani opinię na ten temat.

Przestraszyłam się. Nie ulegało wątpliwości, że reporter wie więcej ode mnie. I choć odpowiedział na pytanie tonem

niemal obojętnym, odebrałam jego słowa jako oskarżenie. Zaczęły mi drżeć kolana.

- Może usiądziemy? - zaproponowałam najspokojniej jak potrafiłam.

Już zamierzałam go wyprosić, ale poczułam się tak słabo, że nie mogłam dalej stać. Obawiałam się, że zemdleję, a do tego nie chciałam dopuścić.

Podeszliśmy do zestawu wypoczynkowego przy kominku. Skinieniem dłoni zachęciłam Halleya, żeby usiadł. Natychmiast opadł na wielki fotel. Ja wybrałam sofę. Oddychałam głęboko, a reporter baczenie mnie obserwował.

- Proszę wybaczyć, ale wybrałam się na spacer i nieco przeszarżowałam.

- Gorąco dzisiaj.

- Jeszcze nie odzyskałam w pełni sił. Przez kilka tygodni znajdowałam się w stanie śpiączki.

- Jasne. To wiem. - Oparł łokcie na kolanach i pochylił się do przodu. - No dobrze, pani Bass.

Przyjechałem tu, żeby się dowiedzieć, co naprawdę stało się na jachcie. To całkiem oczywiste, że nie chodzi o wypadek. Chciałbym usłyszeć pani wersję zdarzeń.

Zamrugałam oczami.

- Co pan rozumie przez stwierdzenie: „To całkiem oczywiste, że nie chodzi o wypadek”? Co pana do tego upoważnia?

Tak wyszczerzył do mnie zęby, że kącikami ust chyba dotykał czoła.

- Każdy może coś zaobserwować albo postawić pytanie.

- Ale to wcale nie znaczy, że otrzyma odpowiedź.

- Co pani mówi? Czyżby miała pani coś do ukrycia?

- Oczywiście, że nie.

- Więc o co chodzi? Jeśli jest pani niewinna, to dlaczego nie odpowiada pani na moje pytanie?

- Niewinna w jakiej sprawie? - natychmiast odbiłam piłeczkę w nadziei, że całkiem czytelnie wyrażam swoje oburzenie.



- Szkoda czasu na takie uniki. Co się tyczy śmierci Lamberta, to policja węszy zabójstwo i podejrzewa panią. Jeśli uważa się pani za niewinną, to chyba chce pani puścić w świat swoją wersję wydarzeń i wydać oświadczenie dla prasy?

- Proszę posłuchać, panie...

- Halley.

- Panie Halley, cierpię na amnezję. Moja pamięć obejmuje zaledwie cztery ostatnie dni. Nawet gdybym chciała, nie potrafię panu pomóc.

- Ma się rozumieć, słyszałem tę historię o amnezji. Szczerze mówiąc, jest dla pani wygodna.

- Nie interesuje mnie, co pan o tym myśli. - Wstałam z sofy. - Jeśli o mnie chodzi, to uważam tę rozmowę za skończoną. Proszę wyjść.

Nawet nie drgnął.

- Niechże pani usiądzie, pani Bass. Nikt pani o nic nie oskarża. A przynajmniej ja. Chciałem tylko wiedzieć, co się dzieje w tej sprawie.

- A na jakiej podstawie uważa pan, że coś się dzieje? I skąd pan czerpie informacje?

- Mniejsza o to. Ważne jest, że wkrótce wszystko się wyjaśni i w pani interesie byłoby znokautować oskarżycieli.

- Jakich oskarżycieli?

- Policję, na początku.

Znowu zaczęły mi drżeć kolana. Musiałam usiąść, nawet jeśli chciałam, żeby ten bezczelny facet wyniósł się natychmiast.

- Trudno doprawdy uwierzyć, żeby powiedziano panu o tym na policji.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

- Skąd pan ma takie informacje?! - Nie potrafiłam powstrzymać krzyku.

- Oględziny zwłok wykazały, że Lambert utonął. Czy wypchnęła go pani za burzę?

Spoglądałam na Halleya w osłupieniu.

- Zrobiła to pani pod wpływem impulsu? Bo, jak rozumiem, raczej nie planowała pani zabójstwa tego mężczyzny?

- Oczywiście, że nie. To był wypadek.

- O ile się nie mylę, usłyszałem przed chwilą, że nic pani nie pamięta. Czy pani amnezja jest wybiórcza, czy może odzyskuje pani pamięć?

- Tego już za wiele! - Zerwałam się z sofy. - Proszę się stąd wynosić! Natychmiast!

- A co ze świadkami? - Halley wciąż tkwił w fotelu. -Z moich informacji wynika, że znaleźli się ludzie, którzy mogą wniesić coś do sprawy. Co pani na to? Nadal będzie się pani upierała przy wypadku?

- Z całą pewnością nie byli świadkami morderstwa. W przeciwnym razie zostałam już aresztowana.

- To co widzieli?

- Nie mam pojęcia.

- Niechże pani usiądzie. Postąpi pani rozsądniej. Rozplakałam się, bezsilna wobec nachalności tego typu.

- Musi pani mieć jakieś wyjaśnienie zajścia na jachcie. Z pewnością coś pani czuje. Chodzi przecież o kłótnię kochanków, bo była pani kochanką Lamberta. Co takiego zrobił, że chciała go pani zabić?

- Precz stąd! - wydusiłam z siebie, łkając histerycznie. Halley z niechęcią podniósł się z fotela.

- Robi pani błąd - ostrzegł, kręcąc głową. Usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi.

Halley odwrócił głowę dopiero na odgłos stóp.

Do salonu wszedł Carter. Marynarkę miał przerzuconą przez ramię, w ręku trzymał bukiet róż.

Spojrzał na nas osłupiały.

- Carter. Każ wyjść temu człowiekowi - poprosiłam z płaczem.

Położył marynarkę i kwiaty na krześle przy drzwiach.

- Co tu się dzieje?

- Panie Bass. - Halley wyprostował się. - Dopiero co

zjawiłem się tu, żeby zadać pańskiej żonie kilka pytań. Źle zrozumiała moje intencje.

- Jakie intencje? Kim pan jest? Podszedł do Cartera i wyciągnął rękę.

- Nazywam się Halley. Jestem z „New York Press Enquirer”. Właśnie przejeżdżałem wtedy i postanowiłem wysłuchać wersji wydarzeń pana żony.

Carter zignorował jego wyciągniętą rękę i spojrział na mnie.

- Hillary, pozwoliłaś wejść temu człowiekowi do domu?

- Gdy wróciłam ze spaceru, już tu był. - Otarłam łzy. Rozwścieczony Carter wskazał reporterowi drzwi.

- Proszę stąd wyjść.

Serce biło mi jak oszalałe i po raz kolejny poczułam się słabo. Zaczęłam łkać, nie potrafiąc się opanować.

- Oczywiście, że wychodzę, ale nie jestem tu ostatnim dziennikarzem. Przyjedzie ich mnóstwo. - Mąż wziął Hal-leya za ramię, ale ten się wyrwał i warknął: - Tylko ręce przy sobie.

- Słuchaj, obmierzły palancie, wynieś się z mojego domu, zanim wyrzucę cię własnoręcznie.

Halley demonstracyjnie ruszył do wyjścia. Patrzyłam na niego i kręciło mi się w głowie. Przy drzwiach odwrócił się, wskazując ręką na Cartera.

- Może mnie pan stąd wyrzucić, ale nie zatuszuje pan prawdy. Jeśli potwierdzi się to, co słyszałem, pańska żona trafi do kicia. - Uśmiechnął się złośliwie. - Ale, jak to mówią, baba z wozu, koniom lżej.

O ile wiem, to dobrze oddaje pana stosunek do żony.

Wyszedł z salonu. Carter odwrócił się do mnie. Ruszyłam do niego, usiłując mu coś powiedzieć, lecz nagle pokój zawirował mi przed oczami. Nogi zrobiły mi się miękkie i straciłam przytomność.

## *Rozdział siódmy*

Mglisto pamiętałam, że Carter podniósł mnie z podłogi i zaniósł na górę. Czułam chłód i miękkość okrywającej mnie atlasowej kołdry. Miałam poczucie, że wokół mnie toczy się normalne życie, ale najbardziej pragnęłam ukojenia, jakie przynosi sen.

Powiedziano mi, że rozebrała mnie Yvonne, jednak i tego nie przypomniałam sobie dokładnie. W pełni oprzytomniałam dopiero wtedy, gdy usłyszałam głos Guya Lafona, a na policzku poczułam dotyk jego chłodnej dłoni.

- Pani Bass - zaczął łagodnym ciepłym głosem. - Proszę się obudzić i otworzyć oczy.

Natychmiast uniosłam powieki. Spojrzałam na jego twarz, oświetloną jedynie światłem zachodzącego słońca. Z wyraźną ulgą poruszył wąsikami.

- No i proszę! Nareszcie! - wykrzyknął z zadowoleniem.

W pierwszej chwili pomyślałam, że znowu jestem w klinice. Czułam silny zapach róż. Rozejrzałam się. Stały w wazonie na sekretarzyku. Zatem nie leżałam w pokoju szpitalnym, a znajdująca się tu kobieta nie była pielęgniarką. Natychmiast rozpoznałam Yvonne. I w przeciwieństwie do stanu po odzyskaniu przytomności w klinice, przypomniałam sobie wydarzenia dzisiejszego popołudnia.

- Gdzie jest mój mąż?

- Rozmawia w salonie z policjantem. Kiedy przyjechałem do willi, tam ich zastałem - poinformował Lafon. - Z policjantem?

- To tutejszy żandarm. Czy chciałaby pani zobaczyć męża?

- Tak, chyba tak.

Lekarz polecił Yvonne przywołać Cartera, po czym usiadł na krawędzi łóżka.

- Doniesiono mi, że wbrew moim zaleceniom wyruszyła pani na wyprawę. - Mówiąc to, spojrzął na mnie tak karcąco, że nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- To była tylko przechadzka.

- Tego rodzaju rzeczy proszę przelożyć na następny tydzień. Musi pani powracać do normalnego życia w wolniejszym tempie.

- Ale siedząc w domu narażam się, że rozszarpie mnie na strzępy jakiś stuknięty reporter.

Lekarz zachichotał.

- Odzyskała pani poczucie humoru. To dobrze. Wcale nie uważałam, że jest dobrze. Pomyślałam o tych wszystkich strasznych rzeczach, które wygadywał dziennikarz. Z pewnością przedstawił mi oficjalną wersję wydarzeń. Może żandarm przyjechał mnie aresztować.

- Zastanawiam się, czy nie byłoby dla mnie lepiej, gdybym umarła.

- Nie wolno pani tak myśleć.

- Nie zdaje pan sobie sprawy, doktorze, jak jest mi ciężko. Obawiam się, że biorąc pod uwagę to, co być może jeszcze mnie czeka, nie będę pragnęła powrotu pamięci.

- *Du calme.* - Poklepał mnie po ramieniu. - Proszę nie wprowadzać się w stan psychicznego podniecenia. Łzy napłynęły mi do oczu, choć bardzo starałam się je powstrzymać. Bo co będzie, jeśli zabiłam Michela? Pomyślałam o jego zrozpaczonej rodzinie. Morderstwo to przecież coś absolutnie innego niż tragiczny wypadek.

- Proszę wziąć pod uwagę, ilu ludziom zadałam ból

wymamrotałam. - Nie dziwię się, że tylu z nich mnie nienawidzi.

- Hillary, miałaś bardzo interesujące życie - usłyszałam głos Cartera. Podszedł do łóżka i wyprostowany patrzył na mnie badawczo. W świetle zachodzącego słońca wydał mi się jeszcze bardziej przystojny, choć wyglądał na zmęczonego. - Bóg jeden wie, co może się jeszcze wydarzyć. Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Leżałam w milczeniu.

- Zostawię pani pastylki nasenne. - Guy Lafon pogładził mnie po ręce i wstał, zwracając się do Cartera: - Czy powinienem wpaść tu jutro?

- Proszę zapytać żonę.

- Nie wydaje mi się to konieczne. O ile oczywiście jakaś rozwścieczona hałastrą nie będzie usiłowała spalić mnie żywcem czy zrobić coś w tym rodzaju.

- Zatem zostawiam panią - pożegnał się ze śmiechem Lafon. - Proszę dużo wypoczywać.

Spojrzałam na męża zawstydzona i zrozpaczona. Byłam mu wdzięczna, że nie okazuje gniewu. Nie wyglądał jednak na szczególnie zadowolonego.

- Napędziłaś mi nie lada stracha. Gdy w żaden sposób nie mogliśmy cię ocucić, pomyślałem, że znowu zapadłaś w śpiączkę.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale tylko łzy popłynęły mi po policzkach.

- Jestem przerażona. Przerażona tym, czego mogłam się dopuścić.

Usiadł przy mnie na krawędzi łóżka. Odniosłam wrażenie, że przeżywa wewnętrzne rozdarcie, nie wiedząc czy okazać złość czy współczucie.

- Nie straciłaś talentu do przysparzania sobie kłopotów. Co ja mam z tobą począć?

- Zastrzel mnie.

- Odpada, bo nie potrafię w ten sposób skrócić mąk nawet koniowi ze złamaną nogą.

- To dlaczego się ze mną nie rozwiedziesz? Spojrzał na mnie zagadkowo.

- Czy właśnie tego chcesz? - spytał wprost.

- To jest coś, czego ty chcesz. Nie mam racji? Czy nie to zamierzasz zrobić?

Milczał. - Byłam niewierną żoną. Postawiłam cię w kłopotliwej sytuacji. Bez wątpienia wszyscy strzepili sobie języki na nasz temat, a to, czego się dopuściłam, pewnie już wkrótce stanie się hitem gazetowym. Na twoim miejscu wystąpiłabym o rozwód.

- Z kim rozmawiałaś?

- Z nikim.

- Czyżby?

- No, Jane zadzwoniła.

- Mogłem się tego spodziewać.

- Ale nie pomyliłam się mówiąc, że chcesz się rozwieść?

- Lady Jane to osoba zdemoralizowana. I ma tytuł szlachecki tylko dzięki małżeństwu.

- Widać, że jej nie lubisz.

- Nie widzimy się. Ale też jakoś nigdy nie gustowałem w twoich przyjaciółach. Zresztą z wzajemnością.

- Niemniej jednak Jane przekazała mi prawdziwą wiadomość? Zamierzasz się ze mną rozwieść?

- Ludzie mówią różne rzeczy, kiedy są źli, nieszczęśliwi czy sfrustrowani. Nie ma sensu wałkować teraz tego tematu. Mamy już dość zmartwień.

Intrygowało mnie, dlaczego się wykręcił. Czyżby był taki wspaniałomyślny, że po prostu mnie oszczędzał ze względu na sytuację? A może istniał jakiś ukryty powód?

- Muszę wiedzieć, co do mnie czujesz.

To pytanie wyraźnie wytrąciło go z równowagi. Odwrócił się do okna i zacisnął zęby.

- Wydajesz się zupełnie bezbronna. Jak mam wytłumaczyć tak złożoną sprawę komuś, kto nawet nie zna siebie? -odpowiedział wymijająco.

- Czy to rzeczywiście zbyt trudne? A może jestem potworem?

Osiągnęłam tylko tyle, że leciutko się uśmiechnęłam. Jednak nie poddałam się. Wiedziona impulsem, położyłam dłoń na jego dłoni. Poczułam miłe ciepło. Spojrzałam mu w oczy. Malowało się w nich zaskoczenie.

- Czy chodzi o dziecko? Czy dlatego tak odsunęliśmy się od siebie?

Zerwał się z łóżka i stanął sztywno, wyraźnie niezadowolony.

- Zmieńmy temat.

- Nie bądź na mnie zły.

- Nie jestem.

Ale wbrew temu, co mówił, był. I zauważyłam coś jeszcze - jakieś uczucie do mnie, które budziło jego niepokój. Prowadził z sobą walkę, tak jak prowadził ją ze mną. Nie rozumiałam dlaczego.

- Dziś po południu znowu miałam wizję - zagadnęłam, usiłując jakoś podtrzymać kontakt. - Wizję różanego ogrodu. Pojawiła się w nim ta sama kobieta, ale było także coś nowego: dzieci. Nie widziałam ich, lecz słyszałam ich głosy.

Carter milczał.

- Sprawily mi przyjemność. To nieprawda, że nie znoszę dzieci. Jestem absolutnie pewna, że je lubię. Nadal nie wydusił z siebie słowa.

- Mówię ci o tym tylko dlatego, że jest to niepodważalny fakt! Nie można cofnąć tego, co zrobiłam, ale liczą się moje obecne uczucia.

Stał nieporuszony.

- Czy nie potrafisz mi uwierzyć? Wciąż tylko patrzył na mnie uważnie.

- Carter, powiedz coś. Proszę!

- Hillary, przestaję cię rozumieć.

Odwróciłam głowę w poczuciu porażki. Kątem oka spostrzegłam, że poruszył się, jakby sytuacja była dla niego niezręczna.



- Co ci naopowiadał ten narwany Halley? - zmienił temat.

Westchnęłam ciężko.

- Usiłował mnie sprowokować do jakichś wyznań. Nie należało wdawać się z nim w rozmowę.

Postąpiłam nierozsądnie.

- Przedstawiłem sprawę miejscowym żandarmom. Obiecali przepędzać takich ludzi sprzed naszego domu. Nie przejmuj się tym typem. To dziennikarska dziwka ze szmatławca.

- Wie o świadkach. - Głos mi się załamał. - Rozmawiał ze mną w taki sposób, jakby miał pewność, że jestem winna.

Carter milczał. Najwyraźniej przetrawiał tę informację. Zastanawiałam się, co by pomyślał, gdyby poznał mój sen o szamotaninie z Michele na pokładzie jachtu. Nie zamierzałam zdradzać mu tego, bo zanadto mnie obciążało. A poza tym w głębi duszy nie wierzyłam, że potrafię popełnić morderstwo. Nie mogłam nagle wywołać w sobie nienawiści do Michela, bo nie żywiłam wobec ludzi tak niskich uczuć, choć oczywiście doskwierała mi świadomość, że nie jestem święta. Z pewnością nieraz zraniłam Cartera, prawdopodobnie nawet w czasach poprzedzających usunięcie ciąży. Nie wiedziałam tylko, w jaki sposób, lecz mój mąż nie miał ochoty tego roztrząsać.

- Tylu ludzi czyha na to, żeby coś ze mnie wydusić, a ja czuję się potwornie, absolutnie bezradnie wobec oskarżeń z powodu amnezji.

- Nie ulegajmy pochopnie żadnym sugestiom. Najpierw spotkajmy się z policją. Halley mógł prowokować albo wyolbrzymiać sprawę - oświadczył Carter, lecz w tonie jego głosu brakowało przekonania.

- Czy policjanci już coś ujawnili?

- To byli miejscowi. Jutro mają przyjechać inspektorzy z Nicei.

Przeszył mnie dreszcz.

Carter podszedł do mnie bliżej.

- Hillary, jesteś zdolna do różnych rzeczy, ale nie sądzę, żeby należało do nich morderstwo. Bez wątpienia chciał mnie uspokoić takim zapewnieniem i byłam mu za to wdzięczna. Instyktownie odgadłam, że żywi wobec mnie jakieś pozytywne uczucie, bez względu na naszą obecną wrogość. Ale jakie? Miłość nie wchodziła w grę, przynajmniej obecnie. Mimo to ze zdumieniem odkryłam, że pragnę wierzyć, iż wciąż nas ona łączy.

- Nie próbuję ci mydlić oczu. Jestem przekonany o słuszności tego, co przed chwilą powiedziałem.

- Jane oświadczyła to samo - wydusiłam przez zaciśnięte gardło.

- Widocznie wbrew wszystkiemu zgadzamy się w niektórych sprawach.

W zapadającym zmierzchu jego niebieskie oczy wydawały się ciemniejsze, a rysy bardziej łagodne. Podobała mi się jego twarz. I promieniowała życzliwością.

Nagle zrobił coś nieoczekiwanego. Pochylił się i pogłaskał mnie po policzku.

Ten gest był w obecnej sytuacji tak dla mnie zaskakujący, że wydał mi się wręcz nie na miejscu. Nie wiedziałam, jak się zachować.

- Żałuję, że nie mogę cofnąć tego, co się stało - wymamrotałam w końcu. - Szkoda, że nie da się niczego naprawić.

- Najpierw musimy poradzić sobie z jutrzejszym przesłuchaniem.

Odwróciłam się do okna, nie potrafiąc już dłużej wytrzymać jego spojrzenia. Wietrzyk poruszał lekko zasłonami. W zapadającym zmroku było coś niezwykłego, coś magicznego.

- Piękny wieczór - zagadnął Carter.

- Może wstanę.

- Nie wiem, czy powinnaś.

- Nic mi nie będzie. Chciałabym usiąść przy otwartym oknie i rozkoszować się tym powietrzem.

Gdy uniosłam się na łóżku i kołdra ześliznęła się ze mnie,

zauważyłam, że mam na sobie kusą nocną koszulę. W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, że mąż zwrócił na to uwagę.

- Podać ci szlafrok?

- Jeśli możesz.

Przeszedł do garderoby, jakby było to czymś zupełnie naturalnym. Zastanawiałam się, czy w dawnych czasach często podawał mi szlafrok. Ponownie pomyślałam o naszym życiu intymnym. Kochałam się z tym mężczyzną mnóstwo razy i nie pamiętałam jego pieszczot. Nie znałam smaku jego pocałunków i dotyku dłoni na nagim ciele. Sytuacja wyglądała na kuriozalną.

Przyniósł mi letni szlafrok, który miałam na sobie rano. Pomógł mi wstać i okryć się miękkim jedwabiem. Na jego twarzy malowała się dziwna zaduma. Bez wątpienia pogrążył się we wspomnieniach, których nie mogłam z nim dzielić.

- O czym myślisz?

- O początkach naszego małżeństwa - wyjawiał szczerze, choć w pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że nie ma ochoty odpowiedzieć na pytanie.

- Czy to miłe wspomnienia? - spytałam zaskoczona tym wyznaniem.

- Tak.

Usiedliśmy przy stole. Wcześniej przeglądałam tu w towarzystwie Polly albumy fotograficzne. Na blacie został akurat ten, w którym przechowywałam zdjęcia z okresu małżeństwa. Carter otworzył go na chybił trafił.

- Czy znalazłaś tu jakieś zdjęcia, które cię ucieszyły?

- Niewiele.

- Jest coś naprawdę przygnębiającego w naszym związku. Prawda?

- Niestety, tak.

Tu było nieco jaśniej niż w pozostałej części sypialni, a przez otwarte okno wpadało łagodne aromatyczne powietrze. Spojrzałam na światła w rozrzuconych po okolicy wio-

skach i farmach, migocące w mroku niczym gwiazdy. W oddali porykiwała krowa. Wiatr poruszał zasłonami.

- Lubię tę willę - wyznałam. - Wprawdzie nie czuję się tu jeszcze jak w domu, ale potrafię go sobie w tym miejscu wyobrazić.

- Hillary, to twój dom. Amnezja tego nie zmieniła.

- Kiedy weźmiemy rozwód, zabierzesz mi go? - Wpatrywałam się w Cartera z napięciem.

- Odnoszę wrażenie, że teraz jesteś tym zainteresowana bardziej niż przed wypadkiem.

- Czuję się niepewnie.

- Przeze mnie?

- Czasami, choć bywasz także miły.

- Przykro mi, że sprawy nie przedstawiają się tak prosto i jednoznacznie, jak byś chciała. - Odwrócił stronę w albumie i wskazał jedno ze zdjęć. Byliśmy na nim oboje w ogródku jakiejś kawiarni. Jak zwykle ja wyglądałam niczym pusto-głowy wamp, a on jak człowiek odpowiedzialny. - Pamiętam ten dzień. Usilnie pragnąłem kochać cię nadal, ale już nie potrafiłem. W każdym razie w taki sposób, w jaki chciałem.

Poraził mnie smutek w jego głosie.

- To dlaczego wciąż jesteśmy małżeństwem?

- Ludzie na ogół nie traktują tak lekko pewnych spraw bez względu na to czy są współnikami w interesach czy nie - powiedział filozoficznie, zamykając album.

Wstał i zupełnie rozsunął zasłony. Słońce skryło się już za wzgórzami, a powietrze zrobiło się chłodniejsze i mniej suche. Gdzieś na odległej drodze hałasowało rozklekotane auto. Odwrócił się do mnie. - Zjesz ze mną kolację czy wolisz, żeby Yvonne podała ci tutaj?

- Zjem z tobą, jeśli ci to odpowiada.

- Oczywiście, że tak. - Machinalnie postukiwał w okładkę albumu. W sypialni było już tak mroczno, że nie widziałam dokładnie jego twarzy. - Ile czasu potrzebujesz na przygotowanie?

- Muszę wziąć prysznic.
- Przyjdę po ciebie za pół godziny. A może wolisz za godzinę?
- Wystarczy pół godziny.

Wykonał taki gest, jakby chciał mnie dotknąć, ale natychmiast się opanował.

- Przyniosłem ci róże. - Wskazał dłonią bukiet.
- Oczywiście spostrzegłam je i chciałam ci podziękować. Są śliczne.

Zerknęłam na stojący na sekretarzyku wazon. Carter musnął lekko palcami moją rękę i wyszedł z pokoju.

Włożyłam prostą sukienkę z czarnej bawełny. Byłam gotowa w ciągu umówionej pół godziny.

Mąż przyszedł po mnie w białej płóciennej marynarce, granatowych spodniach i granatowym krawacie. Wyglądał w tym ubraniu mniej surowo. Przy każdym naszym spotkaniu z zaskoczeniem odkrywałam, że nie jest mi obojętny. Rozmawialiśmy z sobą dostatecznie długo, bym mogła się przyzwyczaić, że to mój mąż, a jednak wciąż czułam się w jego towarzystwie speszona. Nie wiedziałam, czego się po nim spodziewać i jak zareaguje na to, co powiem lub zrobię.

Przypuszczałam, że jutrzejsza wizyta policjantów ciąży również na nim. Myśl o przesłuchaniu wprowadzała mnie w stan takiego napięcia, że z całych sił starałam się ją odpędzić.

- Nie czujesz się już słaba?
- Czuję się dobrze.
- Weź mnie pod ramię. Jeszcze tego brakowało, żebyś spadła ze schodów.

Zrobiłam, co zaproponował, w pełni świadoma, że zaczynamy grać rolę męża i żony. Byłam ciekawa, czy często chodziłam z nim pod ramię i czy w gruncie rzeczy ograniczaliśmy się do udawania małżeństwa. Wiedziałam tyle, że

w ciągu ostatniego roku widywaliśmy się, zgodnie z tym, co powiedziała mi Polly, raczej sporadycznie, więc nie mieliśmy okazji nawet do udawania.

Po obu stronach długiego stołu w pokoju jadalnym paliły się świece, a na kredensie stał kandelabr. Carter wysunął dla mnie krzesło. Usiadłam i położyłam na kolanach serwetkę, ale on wciąż stał nade mną. Zerknęłam na niego. Patrzył na moje ręce.

- Gdzie jest twój pierścionek?

- Jaki pierścionek?

- Zaręczynowy, z diamentem. Nigdy przedtem go nie zdejmowałam.

- W chwili odzyskania przytomności nie miałam go na palcu.

- Zatem zdjęli go z twojej ręki w szpitalu. Nie zwrócili przy wypisywaniu?

- Nie. Może oddali Polly.

- Z pewnością tak się stało. Zwykle nosiłam biżuterię: pierścionki, bransolety, kolczyki. Dopiero teraz uderzyło mnie, że nie masz jej na sobie. - Odwrócił się do drzwi od kuchni i zawołał Yvonne.

- *Oui, monsieur?*

Powiedział do niej coś po francusku; tak szybko, że nie mogłam nadążyć za słowami, ale zrozumiałam, iż chodzi o Polly.

Gdy Yvonne wyszła z jadalni, usiadł naprzeciw mnie.

- Zaraz wyjaśnimy tę zagadkę - stwierdził z przekonaniem.

Spoglądaliśmy na siebie z krańców długiego prostokątnego stołu. Czułam się trochę tak, jakbym grała rolę dziedziczki tych włości, ale było w tej roli coś, co mi się podobało.

Carter nie odrywał ode mnie oczu.

- Dlaczego tak patrzysz?

- Pomyślałam, że bardzo ładnie wyglądasz. To twoje nowe wcielenie ma... wyjątkowy urok.

- Jakie nowe wcielenie? - spytałam z zakłopotaniem.
- Wyglądasz inaczej. Subtelniej i mniej wymyślnie. Zresztą zupełnie nie wiem, jak to wyrazić.
- Może to z powodu nowej fryzury.
- Może.
- Czy przypominam ci siebie z początków naszego małżeństwa?
- Wtedy nie byłaś taka otwarta, ale zawsze cechowała cię odwaga, która z czasem zamieniła się w tupet. Wypadek chyba złagodził twój charakter.
- Dawniej też musiałam przejawiać łagodność. Nie wymyśliłam jej przecież w stanie śpiączki.
- Gdybyś się tak zmieniła z premedytacją, bez wątpienia miałybyś niewiarygodny talent aktorski. - Patrzył na mnie podejrzliwie ponad rozedrganym płomykiem świecy.

Nie wiedziałam, czy powinnam potraktować tę uwagę jako niewinne spostrzeżenie czy jako oskarżenie. Tak czy inaczej nasunęła mi myśl, że wahania Cartera w stosunku do mnie są być może skutkiem braku zaufania. Zastanawiałam się, czy istotnie podejrzewa mnie o udawanie, czy raczej od nowa sprawdza, jaka jestem naprawdę.

Yvonne nalewała nam wino, gdy weszła Polly, ubrana w welurowy dres do joggingu. Wyglądała zupełnie inaczej niż w codziennej przepisowej bluzce i spódnicy. Czowała się skrepowana z powodu swojego stroju.

- Przepraszam, Polly, że wyciągamy cię o tej porze z twojego pokoju, ale pani Bass zdjęto z palca pierścioneł zaręczynowy w którymś momencie po wypadku. Czy w klinice nie zwrócono ci żadnej biżuterii?
- Niestety, nie wspomniano słowem o rzeczach osobistych pani Bass, a ja nie spytałam. Przepraszam.
- Jaki ze mnie głupiec. - Carter stuknął się lekko w czoło. - Na śmierć zapomniałem, że gdy po wypadku przyjechałem do Nicei, żeby odwiedzić żonę w miejscowym szpitalu, policjanci oddali mi jej torebkę, znaną na jachcie. Kazali rzecz zabezpieczyć, więc przywiozłem ją tutaj. Rzu-

ciłem tylko okiem na zawartość, bez szczegółowego sprawdzania. Może pierścionek jest w środku?

- Sądzi pan, że zdjęli go pani Bass z palca i schowali do jej torebki?

- Nie wiem, ale powinniśmy sprawdzić zanim uznamy, że pierścionek zginął. Czy byłabyś tak dobra i zechciała przynieść tu tę torebkę? Położyłem ją w garderobie pani na półce z innymi torebkami. Jest z białego płótna i ma format książkowy.

- Wiem, o którą panu chodzi. Zaraz ją przyniosę.

- Może obejrzenie tej torebki okaże się dla mnie pożyteczne? - odezwałam się po wyjściu sekretarki.

- O ile dobrze pamiętam, znajdowało się w niej zaledwie kilka drobiazgów. Nie należysz do kobiet, które noszą w torebkach cały swój dobytek.

Znowu poczułam się dziwnie, dowiadując się od kogoś, jaka jestem i nie potrafiąc się do tego odnieść. Wprawiało mnie to w kompletne pomieszanie, choć stało się już czymś zwyczajnym.

Yvonne wyłoniła się z drzwi do kuchni z wazą zupy, a Polly z drzwi do hallu, z torebką w ręku.

Zamierzała ją wręczyć Carterowi, lecz skinął w moją stronę.

Na pierwszy rzut oka biały przedmiot nie wydał mi się znany. Istotnie w środku znajdowało się zaledwie kilka drobiazgów: grzebień, małe lustro, kredka do warg, trzy stufrankowe banknoty, karta kredytowa American Express, chusteczka do nosa i dowód tożsamości. Wysypałam zawartość na stół. Pierścionka nie było.

- A więc nie ma go tu - odezwał się mąż. Podziękowałam Polly za fatygę. Stała kilka kroków od stołu, w sztywnej pozycji sekretarki.

Wzięłam do ręki dowód tożsamości, czyli prawo jazdy. Otworzyłam je, chcąc zobaczyć zdjęcie.

Uderzyła mnie zmierzwiona grzywka i puste oczy, utkwione w obiektywie aparatu. Ta twarz wzbudziła we mnie tylko niechęć, a nawet złość. Nie pamiętałam ani uczuć



towarzyszących mi tego dnia, ani samego zdjęcia. Miałam poczucie, że widzę własnego upiora. Yvonne naląła mi zupę.

- Jestem pewny, że nastąpiło jakieś niedopatrzenie. Polly, zadzwoń rano do kliniki w Tulonie i spytaj o pierścionek. Dobrze? - Oczywiście, proszę pana.

- Pani Bass została przewieziona do kliniki ze szpitala w Nicei, więc z pewnością zabrano stamtąd również biżuterię i przekazano ją dyrekcji. Ale dlaczego dotychczas nie zwrócono, skoro zwykle oddaje się pacjentowi rzeczy przy wypisywaniu ze szpitala? Prawda?

- Oczywiście, proszę pana. To normalna procedura.

- Sprawdź zatem, co się stało. Nie sądzę, żeby pozostałe rzeczy były zbyt wartościowe, ale pierścionek miał pięciokaratowy diament.

- Tak, proszę pana.

Włożyłam z powrotem rzeczy do torebki i odsunęłam ją. Polly i Yvonne wyszły z jadalni. Płomyk świecy rzucał dyskretny blask na twarz Cartera.

- *A la tienne*. Na zdrowie. - Podniósł do ust kielich z winem.

Poszłam w jego ślady.

- Smakuje ci?

- Dobrze. Czy to twój wyrób? - spytałam zaciekawiona.

- Tak.

- Czy znam się na winach?

- Otóż twoja amnezja stwarza interesującą sposobność sprawdzenia, czy wraz z nią człowiek traci zdolność rozróżniania gatunków win - oznajmił z szerokim uśmiechem. -Zatem określ to wino,

Hillary. - Już powiedziałam, że jest dobre. Smakuje mi - odparłam wzruszając ramionami.

- Mówisz jak prawdziwa znawczyni - zakpił sobie.

- Mówię uczciwie.

- Hillary, przecież ty jesteś straszną snobką, jeśli chodzi

o wina. Wbrew prawdzie sądzisz, że wiesz na ten temat wszystko, ale trzeba przyznać, że świetnie znasz gatunki i nie boisz się krytykować uznanych smaków. Nie lubisz robionego przeze mnie wina i solidnie wyposażyłaś piwnicę w najdroższe trunki.

Odstawiłam kielich. Drżała mi ręka.

- To nie była krytyka - usprawiedliwiał się, widząc moją reakcję. - Szczerze mówiąc, jesteś bardziej sympatyczna jako kompletna ignorantka.

- Jak rozumiem, powinnam ci podziękować za ten komplement.

Wyglądał na rozbawionego. Zastanawiałam się jednak, czy przypadkiem mnie nie sprawdza. Całkiem możliwe, że mi nie dowierzał. Może uważał, że symuluję amnezję, broniąc się w ten sposób przed oskarżeniem o spowodowanie śmierci Michela? Ogarnął mnie niepokój. Jedząc zupę, rozmyślałam nad tym, jak sprowokować Cartera do wyznania, co naprawdę sądzi na temat mojego zaniku pamięci, ale w końcu dałam za wygraną. Nasza sytuacja była już dostatecznie skomplikowana.

Nagle przypomniałam sobie rozmowę z Antoniem o Polly. Postanowiłam sprawdzić, jaki stosunek ma do niej mój mąż. Skoro on sprawdzał moją prawdomówność...

- Czy uważasz Polly za kompetentną sekretarkę?

- Tak, powiedziałbym, że tak. - Odłożył łyżkę i patrzył na mnie. - Nie sądzę, by w związku z pierścionkiem przedstawiła nam jakąś mistyfikację. To raczej dyrekcja kliniki znajdzie się w niezręcznej sytuacji, jeśli po naszej interwencji będzie zmuszona dostarczyć go tutaj. Ale dlaczego pytasz o Polly? Czyżbyś miała do niej jakieś zastrzeżenia?

- Nie. Przeciwnie. Zdziwiałam się, że tak się stara.

- To skąd to pytanie?

- Trudno mi znaleźć motywację dla jej lojalności wobec mnie. Nie należę do ludzi, u których pracuje się z przyjemnością.

- Nie powinnaś do tego tak podchodzić.

- Masz do niej zaufanie?

- To właściwa osoba na właściwym miejscu. - Sprawiał wrażenie, że nie rozumie, o co mi chodzi.

Zresztą potwierdził moje przypuszczenie, gdy dodał: - Nie wiem, czego właściwie chcesz się o niej dowiedzieć.

Może stawiałam sprawę w sposób zbyt zawołowany, albo mąż wolał nie rozmawiać ze mną na temat mojej sekretarki. Istniało także prawdopodobieństwo, że Antonio wyssał z palca całą tę historię o nielojalności Polly. W takim przypadku jej niewinność była poza dyskusją i niepotrzebnie poruszałam ten temat.

- Chciałam tylko poznać twoje zdanie - odparłam wymijająco.

Yvonne podała nam drugie danie: kurczaka duszonego w jakimś aromatycznym sosie.

Obserwowałam, z jakim namaszczeniem gosposia krząta się przy stole.

- A czy Antonia uważasz za człowieka godnego zaufania? - spytałam męża po jej wyjściu.

- Ja nie latałbym tu w jego obecności na golasa, o ile oczywiście o to ci chodzi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Odnoszę wrażenie, że Antonio wysoko sobie ceni twoją skłonność do opalania się w stroju Ewy.

- O Boże. - Z zażenowaniem spuściłam oczy.

- To jest oczywiście Francja. Tu ludzie opalają się nago. Mnie nie można oskarżać o pruderię, ale czasami nawet ja jestem zdumiony twoją swobodą. Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, to uważam, że świadomie prowokujesz seksualnie Antonia.

Zrobiło mi się niedobrze. Nareszcie zrozumiałam zachowanie kierowcy wobec mnie.

- Yvonne była tym zgorzonna, a poza tym nie przepada za Antoniem. Nie chciałem, żeby dochodziło do jakichś nieprzyjemnych sytuacji, więc zakazałem ci tego, głównie przez wzgląd na nią.

- A dlaczego nie przez wzgląd na siebie? Czy to się dla ciebie nie liczy?
- Przy całym należnym tej sprawie zainteresowaniu muszę troszczyć się jeszcze o całą masę innych - odparł z ironicznym uśmiechem.

Nie wiedziałam, czy ma na myśli sprawy dotyczące mnie czy jego. Ale skoro ujawniono mi już tyle brudów z mojego życia, mogłam otwarcie porozmawiać z Carterem o kolejnym.

- Jane powiedziała mi, że pozwoliłam sobie na kilka sztosów z Bobem-lodziarzem zajmującym się moim jachtem.
  - Zdawałem sobie sprawę, że ci się podobał i że zatrudniłaś go nie tylko z powodu jego umiejętności żeglarskich.
  - Jesteś niewiarygodnie liberalny.
  - Jestem tylko realistą, Hillary. Wtedy już się co do ciebie nie łudziłem.
  - W związku z moim romansem z Michele? - Musnęłam usta serwetką.
  - Tak, choć zapewne mamy na myśli różne rzeczy. -Spojrzał na mnie znużony. - To chyba nie jest obiecujący temat do rozmowy przy kolacji. Jedzenie nie smakuje tak samo. Wolałbym, żeby posiłek upłynął nam w możliwie przyjacielskiej atmosferze.
- Dokończyliśmy drugie danie. Carter opowiedział mi o tym, jak robi wino i o rozmaitych udogodnieniach, które zaprojektował w willi. Przy serach i owocach uświadomiłam sobie, że prowadzimy normalną małżeńską pogawędkę.
- Widocznie na mojej twarzy pojawiło się jakieś ożywienie, bo spytał, czy poczułam się lepiej.
- Tak. Jedzenie mnie wzmacnia.
  - A nie jesteś zbyt zmęczona? Potrząsnęłam głową.
  - Na pewno? Doktor Lafon uważa, że powinnaś wypoczywać w łóżku.

- Ale jedzenie w twoim towarzystwie sprawia mi przyjemność. Mówię szczerze.
- Cenię sobie szczerotę, zwłaszcza jeśli mi się pochlebia.
- Uśmiechnął się do mnie.

Yvonne podała nam kawę i ciasteczka.

Włożyłam do ust dekorującą ciasto truskawkę. Zauważyłam, że Carter obserwuje, jak oblizuję wargi.

Znowu pojawił się pomiędzy nami silny zmysłowy kontakt.

- O czym jeszcze nie rozmawialiśmy? - przerwał ciszę.
- Czy masz do mnie jakieś pytania? Na przykład takie, których nie mogłabyś zadać Polly?
- Tak. Wiem o tobie strasznie mało.
- Chcesz rozmawiać o mnie?
- Właśnie. Wiem o tobie tylko tyle, że zajmujesz się lokatami kapitałowymi, robisz wino i spędzasz większość czasu w Londynie.
- Ale to wspaniale mnie charakteryzuje.
- Opowiedz mi o swojej rodzinie, miejscu, w którym się wychowałeś i dokładniej o sobie samym.

Spełnił moje życzenie i zwięźle przedstawił historię swojego życia.

Miał czterdzieści lat. Zaczynał karierę w Nowym Jorku, a po jakimś czasie wszedł w spółkę z brytyjską firmą z siedzibą w Londynie. Gdy inni udziałowcy popadli w tarapaty finansowe, namówił mojego ojca do wykupienia ich udziałów. Mieszkał w Europie od dwunastu lat. Urodził się i wychował w Wirginii, gdzie wciąż mieszkali jego rodzice. Skończył szkołę w Dartmouth i Harvard Business School. Oprócz tej willi posiadał jeszcze dom w dzielnicy Kensington w Londynie, mieszkanie na tyłach alei Bosquet w Paryżu oraz niewielką farmę w pobliżu Charlottesville w stanie Wirginia.

Kiedy skończył, oparł się na krześle i popijał kawę. Obserwowałam go, gdy Yvonne sprzątała ze stołu. Był naprawdę atrakcyjnym mężczyzną: inteligentnym, wykształconym i towarzyskim. Ale przyciągał mnie do siebie

nie tylko swoją klasą. Miałam poczucie, że łączy mnie z nim jakiś głęboki związek, choć zarazem przeżywałam też męczarnie.

Od chwili, w której zjawił się w klinice, krążyliśmy wokół siebie, skłóceni, a równocześnie związani trudnymi do uchwycenia uczuciami. Swoje pomieszanie tłumaczyłam sobie tym, że Carter, będąc moim mężem, jest zarazem kimś zupełnie dla mnie obcym. Ale uważałam, że moje ciało, w przeciwieństwie do umysłu, z pewnością go pamięta.

Uniosłam filiżankę, lecz zatrzymałam ją w drodze do ust, ponieważ nagle zdecydowałam się wyrzucić z siebie coś, co od jakiegoś czasu nie dawało mi spokoju.

- Czy masz kochankę?

- Co za pytanie? - Ze zdumienia zamrugął powiekami.

- To poważna sprawa. Ty wiesz o mnie wszystko, a ja o tobie tylko trochę.

- Nie mam kochanki.

- Jesteś sam?

- Hillary, zawarliśmy niepisaną umowę, że o nic sobie nie pytamy - odparł z pobłażliwym uśmiechem. - A więc nie chcesz o tym rozmawiać? Dajesz mi do zrozumienia, że powinnam pilnować swojego nosa? - Może przeszlibyśmy na taras, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i ochłodzić umysły? - zaproponował, przyglądając mi się uważnie.

- Jak sobie życzysz.

- Czy uda mi się skusić cię na brandy?

- Nie sądzę. W zupełności jestem usatysfakcjonowana tym winem.

Wziął mnie pod rękę i wyszliśmy na taras. Nie musiał mnie prowadzić, bo osłabienie już mi przeszło, ale ta jego troska była całkiem przyjemna. Zaaprobowałam fluidy, jakie wytwarzała nasza wzajemna bliskość, choć wciąż dręczyło mnie tyle wątpliwości.

Wieczór był pogodny i na niebie jaśniało mnóstwo gwiazd. Wdychałam wspaniale orzeźwiające powietrze

i spoglądałam na Cartera. Właśnie zdjął rękę z mojego łokcia.

- Brakuje mi tego miejsca - wyznał ku mojemu zaskoczeniu.

- Czy powiedziałam ci, żebyś przestał tu przyjeżdżać?

- Sam tak postanowiłem.

- Jakie to przygnębiające. - Odwróciłam wzrok. - Myślę, że stanowimy tragiczną parę. Ludzie nie mogą być z sobą aż tak nieszczęśliwi.

- Od kiedy to, moja droga, człowiek cierpiący na amnezję rozprawia o przeszłości?

Przyjęłam tę uszczypliwość z uśmiechem.

- W błyskawicznym tempie dowiaduję się o spbie i o nas różnych rzeczy.

- Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybyś nic nie wiedziała. - W jego głosie brzmiał smutek.

- Przecież nie mogę od siebie uciec.

- Raczej nie.

- Czy chciałbyś, żebym się zmieniła?

- A jakie to ma znaczenie? Twój obecny stan jest przejściowy. Na dłuższą metę lepiej cię chyba traktować jak kogoś, kogo znałem do tej pory.

Te słowa zabrzmiały dla mnie wręcz okrutnie, choć nie były pozbawione racji. Zresztą, dlaczego Carter miałby brać na siebie brzemię moich win?

Westchnęłam ciężko.

- Chciałbym wierzyć w twoją zmianę, lecz to nie to samo co uważać, że dostałaś od życia szansę.

- Gdybym mogła wymazać przeszłość, zrobiłabym to. Ale oni nie pozwolą mi o niej zapomnieć. - Z naciskiem wymówiłam słowo „oni”. W oczach zamigotały mi łzy.

Oczywiście Carter wiedział, kogo mam na myśli. Zamierzali tu przyjść jutro, choć cel ich wizyty nie został jasno określony. Jednak to do niej sprowadzała się istota moich problemów, a może nawet odpowiedź na pytanie, kim naprawdę jestem. W każdym razie ja tak uważałam. Moja

przeszłość nie tylko określała mnie jako człowieka, lecz decydowała o przyszłości.

- Już cię przestrzegałem przed pochopnymi wnioskami. Poczekajmy, dopóki sami się nie wypowiedzą.

Odwrócił się do mnie i położył dłonie na moich nagich ramionach. Miałam poczucie, że rozkoszuje się moim ciałem. Obejmował mnie mocno swymi ciepłymi dłońmi, usiłując nakłonić do patrzenia mu w oczy. Teraz byłam pewna, że przyprowadził mnie tutaj, bo chciał w tym nastrojowym miejscu doświadczyć naszej fizycznej bliskości. A skoro z nim przyszłam, to może pragnęłam tego samego. W jego oczach zaczynała płonąć namiętność. Gdy pochylił się, szukając moich ust, serce zabiło mi mocniej. Jego pocałunek był czuły i delikatny, choć wcale nieobojętny dla zmysłów. Ale pragnęłam od Cartera czegoś więcej niż intymnego zbliżenia. Pragnęłam uczucia i akceptacji. Zaskoczyło mnie to odkrycie.

Odsunęliśmy się od siebie w tym samym momencie, tak samo szybko, jak szybko się przysunęliśmy. Gdy spojrzałam mężowi w oczy, spostrzegłam, że malują się w nich uczucia, które i mnie nie dawały spokoju: lęk oraz nieufność. W jednej chwili przypominałam sobie, że żaden z oddalających nas od siebie problemów nie został rozwiązany. Nie można było pominąć ani tego, co się stało, ani tego, co miało nastąpić. Poranne przesłuchanie zbliżało się nieuchronnie. O wiele za szybko.



## *Rozdział ósmy*

Obserwowałam twarz Cartera. Zaczął się odsłaniać, lecz po chwili zapanował nad sobą i odwrócił wzrok. Spoglądał w ciemność. Owładnęło mną przekonanie, że w moim przypadku nie kryje się za pocałunkiem nic głębszego. Uległam Carterowi, ponieważ czułam się bezsilna i zagrożona. Nawet nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogło chodzić o wstępną grę miłosną, prowadzącą do intymnego zbliżenia. Ale nie dawało mi spokoju pytanie, có powodowało Carterem. Nie potrafiłam racjonalnie wytłumaczyć jego pocałunku, o ile oczywiście nie kryło się za nim współczucie. Jednak to wyjaśnienie nie było przekonujące jako zbyt proste w przypadku tak nietuzinkowego mężczyzny. Mogłam tylko uważać, że jest tak samo jak ja zdeorientowany.

- Trochę tu zimno. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wrócę do domu.

- Oczywiście. Odprowadzę cię.

W jasno oświetlonym hallu natychmiast spostrzegłam równe mojemu zakłopotanie Cartera.

- Czy na pewno nie masz ochoty na kieliszek koniaku?

- Nie, dziękuję. Czuję się zmęczona. Myślę, że powinnam się położyć.

- Pozwól się odprowadzić na górę. Nie jest ci potrzebny do szczęścia upadek ze schodów z powodu nagłego zemdlenia.

Gdy szliśmy po schodach, mąż, dżentelmen w każdym

calu, trzymał mnie pod rękę. Przed drzwiami sypialni zapanowała pełna napięcia cisza, bo wahał się przez chwilę czy coś powiedzieć.

- Hillary, przepraszam za to, co zdarzyło się na tarasie. Nie powinienem cię pocałować - wydusił w końcu.

Przyjęłam przeprosiny, jakkolwiek były dziwne, bo normalnie mężowie nie okazują skruchy z powodu takiego zachowania. Ale nasze małżeństwo nie należało przecież do normalnych.

- Nie jesteś zobowiązany do żadnych wyjaśnień - oświadczyłam wspaniałomyślnie.

- Jeśli nie uważasz, że wykorzystuję sytuację.

- Naprawdę tak nie uważam. - Spoglądałam na niego z powagą, zastanawiając się, czy to właściwy moment, żeby zadać mu pytanie przesładujące mnie od rana. W końcu odetchnęłam głęboko dla dodania sobie odwagi i zaczęłam ostrożnie: - Muszę się czegoś od ciebie dowiedzieć, ale wprawia mnie to w zakłopotanie.

- Słucham...

- Kiedy ostatni raz się kochaliśmy? - wypaliłam po chwili wahania.

- A dlaczego o to pytasz? - Carter uśmiechnął się leciutko, chyba nieco rozbawiony.

- Chcę wiedzieć o nas również i to, i poznać twoje oczekiwania wobec mnie.

- Nie mam wobec ciebie żadnych oczekiwań. - Patrzył na mnie tak, jakby w wyobraźni odtwarzał nasz pocałunek. - Czy nadal chcesz, żebym odpowiedział na twoje pytanie?

- Tak.

- To zdarzyło się ponad rok temu. No, potem jeszcze raz byliśmy w łóżku bodaj przed ośmioma miesiącami, ale oboje wypiliśmy za dużo i przez cały czas się kłóciliśmy. Seks stanowił raczej jej przedłużenie niż efekt prawdziwej namiętności.

- Jakie to przygnębiające. - Spuściłam oczy.

- O tak.

Już sięgałam po klamkę, gdy dotknął mojego ramienia.

- Hillary, minęły chyba cztery lata od czasu, kiedy spędziliśmy ze sobą tak miły wieczór. Muszę wyznać, że sprawił mi prawdziwą przyjemność.

- Dziękuję za te słowa. - Byłam pod wrażeniem jego szczerości.

- Z pewnością życie w stanie amnezji jest dla ciebie strasznie trudne. Widzę, jak jesteś bezbronna i zależna od innych. Zdaję sobie też sprawę, jak bardzo obawiasz się jutrzejszego przesłuchania i jak je przeżywasz. Wiedz, że podziwiam cię za sposób, w jaki teraz podchodzisz do różnych spraw.

- Dlaczego to mówisz, skoro za dzień lub dwa mogę odzyskać pamięć i zachowywać się tak samo jak dawniej?

- Uczciwość nakazuje brać cię taką, jaką jesteś obecnie, choć oczywiście nie sposób przewidzieć, jak ułoży się sytuacja, gdy amnezja ustąpi.

Miał rację. Zresztą, jak mogłabym występować w imieniu dawnej Hillary Bass, skoro jej sobie nie przypominałam? Z drugiej strony czułam się jak Kopciuszek podczas balu: świadoma, że czary nie będą trwać wiecznie. A Carter, chcąc być fair, traktował mnie właśnie jako osobę zaczarowaną.

Byłam mu wdzięczna, że wolał mnie widzieć właśnie taką.

- Istotnie, pozostaje nam tylko czekać.

- No właśnie - przytaknął.

- Dobranoc, Carter. - Podałam mu rękę.

To oficjalne pożegnanie też go rozbawiło, ale oczywiście uścisnął moją dłoń, przez chwilę przytrzymując ją w swojej, i pocałował mnie w policzek. Na koniec w milczeniu spojrzeliśmy sobie w oczy.

Obudziłam się w nocy. Od razu przyszedł mi na myśl Carter. Może dlatego, że mi się śnił, choć tego nie pamiętałam, albo dlatego, że przed zaśnięciem długo rozpamiętywałam nasz pocałunek i rozmowę?

Podczas pierwszego dnia pobytu w Montfaucon przeżyłam prawdziwą huśtawkę emocjonalną. Wprawdzie zachowanie męża wobec mnie przyniosło mi pewną ulgę, ale w głębi duszy wiedziałam, że będzie mnie jeszcze sprawdzał. Okazał mi życzliwość, bo był przyzwoitym człowiekiem, jednak nasze problemy nie zostały rozwiązane i wciąż istniały poważne podejrzenia, że spowodowałam śmierć Michela Lamberta.

Takie myśli łatwo mogły mnie doprowadzić na skraj rozpacz, bo jak wiadomo w środku nocy wszystko wydaje się gorsze niż jest w rzeczywistości. W trosce o zachowanie spokoju wstałam z łóżka. Nie chciałam dopuścić, by obezwładniła mnie bezsenność.

Gdy znalazłam się przy oknie, do moich uszu dotarły jakieś głosy. Zaczęłam nasłuchiwać. Ktoś cicho rozmawiał na tarasie. Zobaczyłam przez szybę Cartera i Polly. Siedzieli przy stole. Zaskoczył mnie ten widok. Zerknęłam na zegarek na nocnym stoliku. Fosforyzujące wskazówki minęły już północ. Natychmiast przypomniałam sobie ostrzeżenie Antonia przed niełojalnością sekretarki. Czyżby knuła coś przeciwko mnie wspólnie z moim mężem? Wyteżyłam słuch, jednak, niestety, nie potrafiłam rozróżnić pojedynczych słów. Nie widziałam też twarzy Polly, choć przypuszczałam, że wyraża uwielbienie i podziw dla Cartera. Z kolei z jego twarzy nie mogłam nic wyczytać, ale wydawał się odprężony. Swobodnie założył nogę na nogę, a rękę oparł na blacie. Trzymał kieliszek. Właśnie pociągnął łyczek. Prawdopodobnie był to koniak.

Czyżby spotkali się tu, żeby wypić przed snem drinka, a mój mąż zaprosił ją, ponieważ ja odmówiłam? Jednak nie miała w ręku kieliszka. Może zatem wyszła na taras, nie wiedząc, że zastanie Cartera, albo umówili się na rozmowę o finansach lub o moim pierścionku? A może byłam mimowolnym świadkiem ich potajemnej schadzki?

Przysunęłam się do otwartego okna na tyle blisko, na ile starczyło mi odwagi. Z ust Cartera padło chyba imię kierowcy. Czy przypadkiem nie ostrzegał Polly przed wścibskim

Antoniem? Może jednak omawiał z nią jakieś sprawy administracyjne? Kilka razy wymienił moje imię. Zatem rozmawiali również o mnie. Ale o czym konkretnie?

Nie potrafiłam zapanować nad podejrzeniami, bo wątpiłam, by zwykle podejmowali tematy służbowe o tak późnej porze. Coś się działo. Czyżby wcześniejsze zachowanie Cartera wobec mnie stanowiło podstęp lub zasłonę dymną dla jakiejś intrygi? Byłam bardzo niezadowolona, że nie słyszę ich rozmowy.

Po chwili głosy ucichły. Na kamiennej posadzce zaszurało odsuwane krzesło. Polly powiedziała dobranoc, ale nie dosłyszałam, jak zwróciła się do Cartera: po imieniu czy po nazwisku? Ruszyła do drzwi. Wciąż miała na sobie dres. Mój mąż nie odprowadził jej wzrokiem. Usiadł z powrotem na krześle i wpatrywał się w mrok.

Patrzyłam na niego, wstrząsana sprzecznymi uczuciami. Jednak podejrzliwość brała górę nad sympatią. Skąd miałam wiedzieć, komu mogę ufać?

Usłyszałam mruczenie i poczułam na nogach dotyk futerka. Podniosłam Poof z podłogi i przytuliłam ją do siebie. Przynajmniej ona oferowała mi przywiązanie bez stawiania warunków. Pocałowałam ją w łebek, rozkoszując się rzadkim uczuciem czyjejś bliskości. Miauknęła. Odsunęłam się gwałtownie od okna, w obawie, że Carter usłyszał i spojrzy teraz w górę. Ostrożnie wyjrzałam, ale siedział w tej samej pozycji. Spoglądałam na niego, gładząc pieśczośliwie futerko Poof.

Nabrałam pewności, że żywię wobec niego sprzeczne uczucia. Jednak intrygował mnie i fascynował. Rozumiałam, dlaczego za niego wyszłam, ale to, że jeszcze się ze mną nie rozwiódł, naprawdę mnie zdumiewało.

Był teraz taki spokojny. Rozmyślał o mnie czy o Polly? A może o jutrzejszym przesłuchaniu?

Poof znowu miauknęła. Przytuliłam ją do policzka, wciąż obserwując męża. Nie miałam pojęcia, czy mogę mu ufać. Możliwe, że muszę polegać wyłącznie na sobie. Dostrzega-

łam w tym ironię losu, bo w swoim osamotnieniu nie znałam siebie lepiej niż otaczających mnie ludzi. Gdy Carter wszedł do domu, położyłam się do łóżka. Głaskałam kotkę i gapiłam się w sufit, cierpiąc męczarnie. Na szczęście po jakimś czasie udało mi się odpędzić od siebie ponure myśli na temat policji, Michela Lamberta, Polly i Cartera. Rozpłynęli się wraz z nadejściem upragnionego snu. Spałam tak mocno, że rano Yvonne musiała mnie zbudzić.

- Spała pani jak zabita - skomentowała żartobliwie.

To było niefortunne porównanie, ale pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

Usiadłam, przetałam oczy i rozejrzałam się za Poof, jednak nigdzie jej nie spostrzegłam.

- Dzień dobry - przywitałam Yvonne.

- Pan kazał poinformować panią, że policja będzie tu za godzinę. Chciałby, żeby pani zdążyła zjeść śniadanie.

Zadrżałam na myśl o przesłuchaniu. Moment, w którym poznam prawdę, miał nadejść lada chwila.

- Dziękuję, Yvonne.

- Miło słyszeć to słowo z pani ust. Wcześniej nigdy nie zadała sobie pani trudu - odparła w zamyśleniu.

- Jakie słowo?

- „Dziękuję.”

- Nawet tego ludziom skąpiłam? - spytałam zaskoczona.

- Niestety, tak. Nie używała go pani zbyt często, a jeśli już, to w nieuprzejmy sposób.

- Przepraszam. Najwidoczniej nie liczyłam się z ludźmi, ale od tej pory będę się zachowywać sympatyczniej.

- Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby uderzenie w głowę wyszło komuś na dobre. Mam nadzieję, że nie zapomni pani o tej obietnicy kiedy przejdzie pani amnezja.

- Też mam taką nadzieję.

Po jej wyjściu siedziałam przez chwilę na łóżku, usiłując

sobie przypomnieć swoje życie sprzed okresu śpiączki. Bez rezultatu. Za to bardzo dobrze pamiętałam wszystko, co zdarzyło się potem. Przywołałam w myślach najważniejsze dla mnie fakty: powrót do Montfaucon, przyjazd Cartera, naszą wspólną kolację i pocałunek na tarasie. Jednak narzucała się również wizyta Todda Halleya i natarczywe telefony z policji, a tego nie chciałam pamiętać. Bałam się, że oszaleję, jeśli nie uwolnię umysłu od przykrych spraw, więc wstałam, wzięłam prysznic i umyłam włosy.

Gdy malowałam usta, poczułam na nogach dotyk futerka kotki. Wzięłam ją na ręce, próbując sobie przypomnieć jakieś związane z nią zdarzenia i odczucia. Nic nie przyszło mi do głowy. Postawiłam ją na podłodze i szybko włożyłam sukienkę z jasnożółtego jedwabiu. Była szokująco krótka, ale odpowiadał mi jej słoneczny kolor.

Carter siedział na tarasie. Popijał kawę i przeglądał poranne gazety. Odniosłam wrażenie, że jest teraz o wiele bardziej pogodny niż o północy, gdy rozmawiał z Polly. Wstał na mój widok.

- Dzień dobry, Hillary - przywitał mnie z uśmiechem.
- *Bonjour* - odpowiedziałam równie pogodnie.
- Czyżbyś zaczynała sobie przypominać francuski? - Spojrzał na moje nogi.
- Pojedyncze słowa.

Wysunął dla mnie krzesło i usiadł na swoim miejscu.

- Yvonne powiedziała mi, że musiała cię obudzić. Dobrze spałaś?
- Znośnie. Czuję się lepiej. Odłożył gazetę na wolne krzesło.
- Miło to słyszeć.

Sprawa miała wrażenie szczerze zadowolonego. Miał na sobie świetnie skrojoną, rozpiętą pod szyją białą koszulę ze złotymi spinkami u mankietów oraz granatowe spodnie. Był wypoczęty, elegancki i bardzo pociągający.

- Kawy? - Uniósł dzbanek.

- Proszę. - Podsunęłam filiżankę. Gdy ją napełnił, spytałam: - O czym tak szeptałeś z Polly w środku nocy? - Czy zakłóciliśmy twój sen? - W tonie jego głosu dostrzegłam troskę.

- Nie, ale to raczej dziwna pora na rozprawianie o interesach.

- Rozmawiałem z nią tylko przez chwilę - odparł spokojnie. - Jeszcze się nie położyła, więc wymieniliśmy uwagi na różne tematy. - Na mój też?

Tym razem Carter zdradził spojrzeniem, że jest zaskoczony moją dociekliwością.

- Też - odparł z uśmiechem.

- No i co jej powiedziałaś na mój temat? - drażyłam nieustępliwie, popijając kawę.

- Nie słyszałaś? - Zerknął na okno mojej sypialni.

- Nie. Rozmawialiście bardzo cicho, jak ludzie, którzy nie chcą być słyszani.

- Albo jak ludzie, którzy nie chcą zakłócać innym spokoju.

- Czy właśnie dlatego szeptaliście?

- Z całą pewnością. - Uśmiechnął się szeroko.

- A co uznałeś za stosowne powiedzieć? - Spoglądałam na niego przenikliwie.

- Rozmawialiśmy głównie o sprawach domowych.

- To znaczy o mnie. Osłupiał.

- Czy jesteś zazdrosna czy ciekawska?

- Ciekawska - oświadczyłam po namyśle.

- No dobrze, spytałem Polly, jak teraz ciebie odbiera.

- I co ona na to?

- Że zauważyła kolosalną zmianę w twoim zachowaniu.

- To znaczy chciała w ten sposób powiedzieć, że już nie jestem taką wiedźmą jak przedtem?

- Coś w tym rodzaju.

Zastanawiałam się, czy Carter mówi prawdę. Byłam skłonna wierzyć w to tylko dlatego, że chciałam mu wierzyć,



a nie z żadnego racjonalnego powodu. Popijałam kawę, spoglądając na niego znad filiżanki.

- Yvonne powiedziała mi przed chwilą, że dawniej nie zachowywałam się zbyt uprzejmie. Czy rzeczywiście taki ze mnie potwór?

- Nigdy nadmiernie nie liczyłaś się z uczuciami innych ludzi.

- Krótko mówiąc, byłam wiedźmą do którejś potęgi. Carter milczał.

- Jak ze mną wytrzymałaś, kiedy miałam okres? Musiałam być wtedy okropna.

Miał zmieszana minę. Czyżby ten autokomentarz budził w nim aż tak przykre wspomnienia?

- Nie chciałam cię wprowadzić w zakłopotanie - tłumaczyłam się, zaczerwieniona.

- Jakoś wyleciało mi z głowy coś, o czym powinnaś wiedzieć. Przy okazji aborcji usunęłaś macicę. Cierpiełaś na dolegliwości kobiece i kazałaś chirurgowi wyleczyć cię z nich metodą najbardziej radykalną.

Oślupiałam. Nie potrafiłam wydusić z siebie słowa. O tak osobistej sprawie dowiedziałam się w sposób, który mógł przyprawić o szok. Gdy brałam prysznic, nie zauważyłam na brzuchu żadnych blizn, ale macica mogła zostać usunięta przez pochwę. Wstrząsnął mnie dreszcz. Czuję się osobliwie wyobrażając sobie, że operację zrobiono w taki właśnie sposób.

- Powinien mnie zdziwić brak tamponów higienicznych w łazience. - Mimo wszystko usiłowałam się uśmiechnąć. Skończyło się to bolesnym grymasem.

Carter spoglądał na mnie ze smutkiem.

- A więc nie urodzę już dziecka. - Starłam się wypowiedzieć te słowa tak, by zwrócił uwagę, że mężnie znoszę okrutną prawdę.

- Nie.

- Dziwne, że dociera to do mnie z takim trudem. - Sięgnęłam po pieczywo. - Musiało się to zdarzyć dawno temu.

Potwierdził skinieniem głowy, obserwując mnie uważnie.

- Czy nie miałam żadnych wątpliwości? Nie przeżyłam żadnego wstrząsu?

- Nie. Odpowiadało ci to.

Przypomniałam sobie wizję, podczas której usłyszałam głosy dzieci i zareagowałam na nie bardzo ciepło. Co ona oznaczała? Czy nagłe wyrzuty sumienia z powodu aborcji? Może od czasu tego nieszczęsnego zabiegu podświadomie przeżywałam konflikt uczuć, który teraz, przy okazji amnezji, właśnie się uzewnętrznił.

- Nie wierzysz mi? - spytał Carter, z czego wywnioskowałam, że na mojej twarzy malują się jakieś wątpliwości.

- Ależ wierzę.

Posmarowałam chleb masłem i konfiturą. Odgryzłam kęs. Po policzkach płynęły mi łzy. Spojrzałam na męża.

- To o co chodzi? - dopytywał się.

- Coraz wyraźniej widzę w sobie coś takiego, czego nienawidzę. - Usiłowałam zapanować nad emocjami.

On też miał wilgotne oczy. Uśmiechnął się do mnie nieśmiało. Mój uśmiech również wypadł blado.

- Wspaniała konfitura. Czy podobnie jak wino zrobiłeś ją z naszych owoców?

Łzy zalewały mi oczy. Usiłowałam je wytrzeć palcami. Carter podał mi chusteczkę. Wyglądał tak, jakby sam z trudem powstrzymywał płacz.

- Nie, kochanie. Jest ze sklepu.

Skinęłam głową. Odgryzłam kęs chleba i rozejrzałam się. Słońce unosiło się wysoko. Widok wzgórz był olśniewający. Chciałam wyrazić swój zachwyt słowami, jednak zabrakło mi sił. Myślałam, że pięknie mi serce.

Detektywi z Nicei zjawili się, gdy jeszcze siedzieliśmy na tarasie. Zdażyłam już zjeść śniadanie.

Carter polecił Yvonne zaprowadzić ich do salonu. Spoglądał na mnie w skupieniu, jakby w ten sposób pytał, czy jestem gotowa do konfrontacji z policją.

- Czy czujesz się nieco lepiej? - Poglądził moją dłoń.
- Wydaje mi się, że tak.
- Spodziewam się, że nie ma nic, o czym wiesz tylko ty. Pamiętaj, uczciwość popłaca.
- Przychodzi mi z łatwością, bo nic nie pamiętam.
- Zatem postarajmy się mieć to jak najszybciej za sobą. Wzięłam go pod rękę. Ze strachu skręcał mi się żołądek.

Nie miałam przecież pojęcia, co detektywi wiedzą i co ze mną zrobią.

Ci dwaj, którzy czekali na mnie w salonie, z całą pewnością byli Francuzami, ale gliny całego świata są takie same. Może wynika to ze sposobu, w jaki patrzą na podejrzanego i dokonują ocen. Brak zaufania i obłuda muszą odciskać się na ich charakterach. Od razu wiedziałam, że czeka mnie z nimi ciężka przeprawa.

Starszy rangą nazywał się Debray. Był dobrze po czterdziestce; krępy, średniego wzrostu, o ciemnej karnacji. Jego nieskazitelne, posmarowane brylantyną włosy sprawiały wrażenie mokrych. Krzaczaste brwi były zrosnięte nad garbem nosa.

Drugi, nazwiskiem Lepecheur, wyglądał na dużo młodszego. Był wysoki. Miał jasne włosy o rudawym odcieniu i starannie przyciętą rudawą brodę. Nie wyglądał tak apodyktycznie jak Debray i patrzył na mnie jak na kobietę, a nie na osobę podejrzaną.

Przywitałam się z nimi. Carter zachęcił ich, żeby usiedli. Poczekali, aż zajmę miejsce w fotelu i przycupnęli obok na sofie. Mąż stanął za mną.

- Pani Bass - zaczął Debray. - Wiemy, że doznane przez panią obrażenia uszczupliły pani znajomość francuskiego. Jeśli nie ma pani nic przeciwko mojemu nieporadnemu angielskiemu, zadam pani kilka pytań, po czym zostawię już panią w pokoju.

Uśmiechnęłam się leciutko, słysząc jak w angielskim idiomie francuski detektyw zamienił słowo „spokój” na „pokój”. Poczulałam wielką ulgę dowiadując się, że przyjechał mnie

przesłuchać, a nie aresztować. Ale może zastawiał na mnie pułapkę, chcąc tylko osłabić moją czujność.

- Panie Debray, mówi pan świetnie po angielsku. Z pewnością się porozumiemy - zachęciłam go komplementem. - Z góry dziękuję. - Po tej wymianie uprzejmości spojrział na mnie twardo. - O ile dobrze wiemy, cierpi pani na amnezję.

- Niestety, tak. Nie pamiętam niczego, co zdarzyło się do czasu odzyskania przeze mnie przytomności w klinice w Tulonie. - Pani Bass, lekarze to potwierdzają.

- Panie Debray, moja żona znajdowała się przez trzy tygodnie w stanie śpiączki. Tego nie można udawać - odezwał się Carter.

- Proszę mi wierzyć, panie Bass, że nie sugerowałem, iż pańska żona cokolwiek udaje. Ustalałem tylko fakty. - Odwrócił się do mnie. - Mimo że cierpi pani na amnezję, musimy mieć zeznanie. Gdy wróci pani pamięć, zgłosimy się dla celów porównawczych jeszcze raz.

- Rozumiem. - Co pani może powiedzieć na temat wypadku?

- Nic nie pamiętam.

- Zupełnie nic?

- Niestety.

Debray w zadumie pukał się palcem wskazującym w podbródek, zaś milczący Lepecheur pisał coś w trzymanym na kolanach notatniku.

- A co pani pamięta na temat pana Michela Lamberta?

- Też nic, ale rozpoznałam go na zdjęciu.

- Rozpoznała go pani? - Nie rozumiał tego słowa.

- *Il etait familier, connu* - odpowiedział mu Carter.

- *Ah, oui. Merci, monsieur.* - Debray zwrócił się do mnie. - Michel Lambert okazał się więc dla pani osobą znajomą. Jak pani sądzi, dlaczego?

- Zdaniem doktora Thiriona sprawa Michela Lamberta to jeden z ważnych powodów mojej amnezji.

- Czy w związku z wypadkiem na jachcie?
- Tak. Sam jacht również wydał mi się znany. Gdy zobaczyłam go na zdjęciu, w sposób trudny do określenia wyzwolił we mnie skojarzenia z przeszłością.
- Wypadek dotyczy pana Lamberta i wydarzył się na pani jachcie. Czy to ma pani na myśli, mówiąc o skojarzeniach, *n'est-ce pas*?
- Tak. Oglądałam zdjęcia męża, rodziców i przyjaciół, ale nikogo z nich nie rozpoznałam. Zdaniem doktora Thi-riona, skoro Michel jest jedyną osobą, jaką sobie przypomniałam, jego wypadek stanowi klucz do mojej pamięci.
- Wydaje mi się, pani Bass, że sposób, w jaki zginął pan Lambert, stanowi klucz do wielu spraw.
- Gdy żona odzyska pamięć, potwierdzi, że istotnie zdarzył się wypadek. - Carter ponownie pośpieszył mi z pomocą.
- Zerknęłam na niego z zaskoczeniem. Bo dlaczego mnie bronił? Czy w trosce o własną reputację, czy z powodu przekonania o mojej niewinności?
- Może ma pan rację, lecz na razie amnezja się jeszcze nie cofnęła - ripostował Debray. - Jeśli mogę... Carter poruszył się ze zniecierpliwieniem, ale milczał.
- *Alors*. Mimo blokady pamięci rozpoznaje pani pana Lamberta i swój jacht - reasumował detektyw.
- Zgadza się.
- Czy chciałaby pani dorzucić jeszcze coś, co mogłoby nam pomóc?
- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale zapach róż bardzo silnie pobudza we mnie emocje. Również w jakiś sposób nie są mi obojętne moje perfumy.
- Czyli pamięta pani zapachy.
- Z kolei moja kotka, Poof, wprawia mnie w dobry nastrój. Ją też rozpoznałam.
- A co z mężem? - Debray zerknął na Cartera.
- Niestety, nie przypominam go sobie, podobnie jak mojej matki.

Detektyw rozmyślał przez chwilę nad tym, co powiedziałam. Lepecheur notował. Miałam poczucie, że zaraz zostanę zastrzelona jakimś ważnym pytaniem, prawdopodobnie o świadków.

Zaczęły mi drżeć dłonie. Debray to zauważył.

- Pani Bass, czy po odzyskaniu przytomności przydarzyło się pani jeszcze coś, co przybliżyło panią do prawdy p zejściach na jachcie?

Pobladałam. Momentalnie przyszedł mi do głowy sen, w którym szamotałam się z Michele na pokładzie jachtu. Ale nie miałam obowiązku opowiadać policjantom swoich snów. Jednak natychmiast przypomniałam sobie, że rozmawiali z doktorem Thirionem. Zastanawiałam się, czy we Francji psychiatrzy są związani, tak samo jak w Ameryce, tajemnicą zawodową. Niestety, nie wiedziałam nic na ten temat.

- Rozmyśla pani o czymś? - Ledwie zauważalny uśmiezek Debraya sugerował podejrzliwość.

Poczułam się zagrożona; serce biło mi mocniej. Odetchnęłam głęboko.

- Nie, nic takiego mi się nie przydarzyło - odpowiedziałam na pierwsze pytanie.

Pióro Lepecheura zaskrzypiało na kartce notatnika.

- Wielka szkoda - skomentował Debray.

W milczeniu wpatrywali się we mnie. Zerknęłam na Cartera. Serce wciąż mi łomotało, więc znowu wzięłam głęboki, uspokajający oddech. Mąż położył mi rękę na ramieniu. Musnęłam ją policzkiem.

- Proszę wybaczyć, że poruszam sprawy osobiste, ale odnoszę wrażenie, że teraz jesteście państwo w lepszych stosunkach. O ile nam wiadomo, przed wypadkiem każde z was żyło raczej własnym życiem.

- Nie potrafię doszukać się w tym żadnego związku z wypadkiem - zjadliwym tonem skomentował Carter.

- Pani Bass cierpi na amnezję, ale pan chyba pamięta, jak było? - Głos Debraya niemal zatracał o sarkazm.

- To oczywiste.
- Może zatem moglibyśmy odwołać się do pana pamięci, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu?
- Z całą pewnością nie mam. Proszę pytać, o co tylko pan zechce, ale w dniu wypadku byłem w Londynie.
- Wiemy o tym. Czy znał pan osobiście ofiarę?
- Niestety, tak.
- Czy znał pan dobrze pana Lamberta?
- Lepiej, niż bym chciał. Nie widziałem żadnego pożytku płynącego ze znajomości z tym łajdakiem, ale stykaliśmy się przy różnych okazjach.
- Czy jedna z nich nie nadarzyła się na krótko przed tym nieszczęsnym wypadkiem?
- Istotnie, nadarzyła się. Lambert przyjechał do Londynu, żeby się ze mną spotkać. - Carter zerknął na mnie.
- Czy mógłby pan opowiedzieć nam o tym? Słuchałam zwięzłej relacji Cartera w poczuciu ulgi, że chwilowo nie jestem w centrum zainteresowania policji, nawet jeśli nie miałam ochoty po raz drugi przekonać się, że Michel zażądał od niego rozwodu ze mną. Niestety, gdy tylko mąż umilkł, skończył się mój odpoczynek od przesłuchania.
- Jak pani odebrała to spotkanie? - Debray błyskawicznie odwrócił się w moją stronę.
- Oczywiście byłam zdenerwowana. Tak przynajmniej mi powiedziano - odparłam, siląc się na spokój.
- Czy to pan Bass powiedział pani o tym?
- Nie, moja przyjaciółka, lady Jane Nyland. - Poczułam do siebie obrzydzenie, że zupełnie bez potrzeby mieszam ją w ten horror.
- Aha. - Starszy z detektywów skinął na młodszego, żeby zanotował nazwisko mojej przyjaciółki i ponownie utkwiał we mnie wzrok czujnego drapieźnika. - Wspomniała pani o zdenerwowaniu. Czy raczej nie chodziło o wielką złość? Taką, która mogła skłonić do popełnienia morderstwa?

- Chwileczkę - wtrącił się kolejny raz Carter. - To absurd, żeby na podstawie plotek formułować oskarżenie. Wyraźnie poluje pan na moją żonę.
- Panie Bass, rozumiem, że występuje pan w jej obronie, ale w śledztwie o zabójstwo poznanie motywów działania osoby podejrzanej jest bardzo ważne. Chcąc oskarżyć panią Bass o popełnienie zbrodni, trzeba ustalić skłaniający ją do tego powód - replikował szorstko detektyw.
- Jeśli ma pan jakieś dowody przeciwko mojej żonie, proszę je przedstawić. W przeciwnym razie nie ma potrzeby rozmawiać o motywach - odbił piłeczkę Carter.
- Naszym obowiązkiem jest ustalić prawdę - oświadczył dosadnie Debray.
- Ja zaś nie mogę pozwolić na nieuzasadnione zarzuty, ba, zwykłe insynuacje pod adresem mojej żony.

Carter naprawdę spełniał rolę mojego obrońcy - energicznie czy wręcz agresywnie. Byłam tym nieco zaskoczona, choć oczywiście miałam z tego powodu lepsze samopoczucie. Dotknęłam jego dłoni. Natychmiast uściśnął moją.

Debray obserwował nas, ani trochę nie zbity z tropu.

- Panie Bass, staramy się być uprzejmi i naturalnie ubolewamy nad niedyspozycją pana żony, ale może zdołamy w grzeczny sposób przedstawić zwięźle problem. Nakreślę go zatem.
- Życzylibyśmy sobie tego - zachęcał Carter.
- *Tiens*. Ustaliliśmy, że w dniu wypadku pan Lambert przybył wraz z panią Bass do doków, żeby odebrać naprawiony jacht. Przepraszam panią, ale muszę poinformować, że trzech dokerzy słyszeli pani gwałtowną kłótnię z panem Lambertem. Groziła mu pani zabójstwem.
- Słucham? - Carter zdawał się nie dowierzać własnym uszom.
- Tak zeznali świadkowie.

Serce podeszło mi do gardła. Taktyka policjantów wreszcie stała się dla mnie oczywista. Najpierw usiłowali wydobyć ze mnie ewentualny motyw zbrodni, a teraz przygważdżali



mnie oświadczeniem dokerów. Sen o potyczce z Michele na jachcie wydał mi się jeszcze straszniejszy.

- Debray, to niczego nie dowodzi - replikował Carter. -Ja też straszylem tego sukinsyna. W gniewie ludzie mówią różne rzeczy.

- Mam tego pełną świadomość, panie Bass. Ale pańska żona wygłaszała pogrożki pod adresem pana Lamberta zaledwie na kilkanaście godzin przed wyłowieniem jego zwłok z morza, niedaleko od jachtu, na którym wciąż się znajdowała.

- Absolutnie nie wyklucza to wypadku. Detektyw z przekonaniem skinął głową.

- Ma pan rację, lecz nasze śledztwo jest w toku. Poza tym czekamy na odzyskanie przez panią Bass pamięci. To będzie dla nas wszystkich najważniejszy moment.

Zamarłam w bezruchu. Czułam, jak zaciska się pętla na mojej szyi, powoli, acz nieubłaganie. Tylko dotyk Cartera pomógł mi zapanować nad histerią. Pod wpływem przeszywających spojrzeń detektywów poczułam napływające do oczu łzy.

- Czy macie panowie jeszcze jakieś pytania? Jeśli nie, to moja żona uda się na odpoczynek. Została tak ciężko doświadczona, że żaden z nas nie potrafi sobie tego wyobrazić - ponaglił ich Carter.

- Jest tylko jedna drobna sprawa, którą chciałbym z panem wyjaśnić.

- Słucham?

- Opowiedział nam pan, panie Bass, o spotkaniu z panem Lambertem. To chyba nie przypadek, że w ostatnich miesiącach spotkał się pan również z panią Claudine Lambert?

Carter nie odpowiedział od razu. Zerknęłam na niego.

- Istotnie się z nią spotkałem - potwierdził w końcu.

- A czy byłby pan łaskaw poinformować nas, w jakim celu? Carter podrapał się za uchem.

- Pani Lambert skontaktowała się ze mną. Spotkaliśmy

się dwukrotnie. Raz w Londynie, w styczniu, a potem, w lutym lub w marcu, w Paryżu.

- O czym państwo rozmawialiście?

- O romansie jej męża z moją żoną. - Carter poruszył się, najwyraźniej skrępowany tym tematem. - Pani Lambert była tym wstrząśnięta i rozgoryczona. Miała zdjęcie Hillary i Michela, zrobione przez prywatnego detektywa. Myślała, że ja o niczym nie wiem i chciała mnie poinformować.

- Czy chciała również sprowokować pana do działania?

- Przypuszczam, że tak. Szukała sposobu odplacenia Michelowi za wszystko. Przyniosła raport o stanie finansów jego spółki, jak sądzę w nadziei, że wykorzystam to przeciwko niemu.

- I zrobił pan z tego użytek?

- Nie, bo nie marzyłem o tym, żeby zrujnować Lamberta, nawet gdybym mógł.

- A co pan zamierzał zrobić? - Debray znowu poskrobał się po brodzie.

- Chciałem być jak najdalej od całej sprawy - wyznał Carter po chwili wahania i spojrzał na mnie.

- Czy rozmawiał pan z żoną o spotkaniach z panią Lambert?

- Nie.

- Dlaczego?

- To byłoby bezcelowe. Mieliśmy już dość kłopotów.

- Rozumiem. - Detektyw sprawiał wrażenie zadowolonego, że udało mu się wprawić mojego męża w zakłopotanie.

Zapanowało milczenie. Teraz rozumiałam, o co naprawdę chodziło w tym przesłuchaniu. Policja podejrzewała mnie o popełnienie morderstwa. Określiła już kierujące mną motywy. Chcąc mnie powiesić, musiała tylko zdobyć pieprzone dowody, bo jeśli o to chodzi, nie dysponowała niczym.

- Czy jeszcze coś panów interesuje? - spytał z powagą Carter.

Debray odwrócił się do Lepecheura. Młodszy detektyw potrząsnął głową.

- *Je n'ai pas de questions.*

- Już nic do państwa nie mamy - poświadczył za swym podwładnym Debray.

- Za to ja chciałbym przedstawić panom pewien problem - zaczął Carter. - Wczoraj moja żona została słownie zaatakowana przez marnego dziennikarzynę z prasy brukowej. Szantażował ją tymi świadkami, o których pan mówił. Jak panowie sądzą, skąd o nich wiedział?

- *Oui, monsieur.* Słyszeliśmy o tym od miejscowych funkcjonariuszy. Mogę tylko stwierdzić, że jest to dla nas wielce kłopotliwe. Badamy sprawę.

Inspektor patrzył w podłogę.

- Mam nadzieję, że nie zamierzacie szukać wyjaśnienia tylko w redakcjach gazet.

- Oczywiście, że nie.

- Ten incydent naraził panią Bass na wielkie przykrości. Byłbym wdzięczny za wyjaśnienie, w jaki sposób doszło do takiego przecieku do prasy - drążył Carter.

- Będę się czuł zobowiązany poinformować państwa o tym.

Debray podniósł się z sofy, a za nim Lepecheur. W tej kolejności podawali mi rękę. Chciałam wstać, lecz brakowało mi sił.

Carter odprowadził ich do hallu. Spuściłam powieki, znowu czując w oczach łzy. Ocierałam je, słysząc trzask frontowych drzwi i kroki Cartera w salonie.

Patrzył na mnie bez słowa. Nie wyglądał na tak roztrzęsionego jak ja, ale oczywiście świetnie wiedział, że sprawa jest poważna. Sprawiał wrażenie skrupowanego, jakby nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Dziękuję, że stanąłeś po mojej stronie. Jestem ci za to wdzięczna, choć nie pojmuję, dlaczego to zrobiłeś.

- Nie mogłem dopuścić, żeby cię zastraszyli.

- Ale dlaczego?

Był wyraźnie skonsternowany.

- Z powodu amnezji sama się nie obronisz. Potrafię się wczuć w twoją sytuację. Czy to nie wystarczy?
- Nie zdenerwowałaś się wiadomością, że ludzie słyszeli jak groziłam Michelowi?
- Sam mu groziłem.
- Ale chyba nie tym, że go zabijesz...

Mąż wyglądał na nieco rozdrażnionego moim uporem.

- Istotnie nie tym, ale - jak oświadczyłem policjantom - z faktu, że czymś groziłaś Michelowi, nie wynika, że to zrobiłaś.
- Przecież ty nie wiesz, co rzeczywiście zrobiłam, bo ja sama tego nie wiem.
- Hillary, czy przypadkiem nie bierzesz strony inspektorów?

Zagryzłam wargi.

- Ja tylko się boję. Przeraza mnie to, że nie mam pojęcia, co się stało.

Carter usiadł naprzeciw mnie. Pochylił się do przodu i patrzył mi głęboko w oczy.

- Dopóki nie odzyskasz pamięci, nikt nie będzie wiedział, co przydarzyło się Michelowi, więc chyba nie powinnaś zadręczać się na zapas.
- A ciebie to nie intryguje? - spytałam z całym przekonaniem. - Nie obchodzi cię, z jaką kobietą się ożeniłeś?
- Oczywiście, że mnie obchodzi, ale nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Powtarzam: dopóki amnezja się nie cofnie, nic nie możemy zrobić.

Doceniałam podejście Cartera do całej sprawy, ale to nic między nami nie zmieniło. Choć istotnie był dla mnie życzliwy, dzielący nas dystans pozostał. Zastanawiałam się czy kiedykolwiek zdołamy go zmniejszyć.

- Opowiedz mi o żonie Michela. Chyba strasznie mnie nienawidzi. Ostatecznie ma do tego prawo.
- Nie ma sensu o niej rozmawiać.

- Gdy odzyskam pamięć, to przecież przypomnę sobie i tę kobietę. Równie dobrze już teraz mogę się czegoś o niej dowiedzieć.

- Ale po co? Żeby się zadrećzać? Dlaczego chcesz wkładać Włosienicę?

Najpierw pomyślałam, że jest taki powściągliwy, ponieważ chce mnie oszczędzić. Ale zaraz przyszło mi do głowy, że nie chce, bym poznała prawdę o sobie. Wolał mnie taką, jaka byłam teraz i chyba pragnął w miarę możliwości nie dopuścić do zmiany.

To mi pochlebiało, jednak nie pomagało rozwiązać naszych problemów. Nie mogłam uciec od osoby, jaką byłam naprawdę.

- Pomyśl o tym, że przez swoje postępowanie zniszczyłam wielu ludziom życie - stwierdziłam posepnie. - Nie potrafię tak po prostu odsunąć tego od siebie. Chciałabym jakoś naprawić swoje błędy, lecz czuję się kompletnie bezsilna.

- Nic się nie da zrobić.

- Wcale nie jestem o tym przekonana. Mogę choćby przeprosić żonę Michela.

- To śmieszne. - Carter miał kwaśną minę.

- Przeproszę ją. Dlaczego miałabym się przed tym powstrzymywać? Na miły Bóg, przecież jej też zniszczyłam życie.

- Nie ty, lecz Michel.

- Carter, chcę się z nią spotkać. Znasz ją, więc możesz mnie do niej zawieźć. - Wstałam gwałtownie. - Proszę, zrób to dla mnie. Pojedź ze mną do niej.

Przyglądał mi się z uwagą, a widząc, jaka jestem roztrzęsiona, wstał i przytulił mnie do siebie. Tak się wzruszyłam, że po raz kolejny łzy napłynęły mi do oczu. Głaskał mnie po włosach, a ja cicho łkałam.

- Boże, ta twoja świeżo objawiona prawość ma swoje mankamenty. Wcześniej przynajmniej wszystko było prostsze.

- Chcesz, żebym wskoczyła w swoją dawną skórę? - spytałam pochlipując.

- W żadnym wypadku! - wykrzyknął ze śmiechem. Oparłam podbródek na jego ramieniu i uśmiechnęłam się przez łzy, pokrzepiona tą manifestacją pozytywnych uczuć.

Gdy uniosłam głowę, spostrzegłam w drzwiach Polly. Widząc, że została zauważona, bez słowa wycofała się do hallu.

## *Rozdział dziewiąty*

Po kilku godzinach żmudnych poszukiwań Carterowi udało się ustalić, że Claudine Lambert przebywa w sanatorium w pobliżu Cannes. Przyjechała tam przed czterema dniami z powodu załamania nerwowego. Jej syn twierdził, że bardzo ciężko przeżyła śmierć Michela.

Pracownicy sanatorium nie ujawnili Carterowi nazwisk pacjentów, więc znowu zaczął mnie odwozić od pomysłu spotkania się z Claudine. Jednak tak nalegałam, że ustąpił, choć dopiero pod wpływem argumentu, że sama przejażdżka dobrze mi zrobi.

Antonio zajechał przed dom Bentleyem. Yvonne przygotowała nam zimny lunch. Była dla mnie cieplejsza niż dotychczas. Gdy powiedziałam o tym Carterowi, oświadczył, że trudno się temu dziwić, ponieważ teraz o wiele bardziej dają się lubić.

Kierowca wprowadził mnie w zakłopotanie, bo wciąż nie wiedziałam, jak przedstawiają się nasze stosunki, zwłaszcza że swoim prostym angielskim nie potrafił wyrazić, co naprawdę miał na myśli mówiąc, że jesteśmy przyjaciółmi.

Na szczęście Carter pochłaniał niemal całą moją uwagę. Huśtawka uczuć określających nasze stosunki - od chłodnego dystansu po gorące uściski - wpędzała mnie w stan frustracji. Pragnęłam zdobyć przyjaźń męża i znaleźć w nim oparcie, co oczywiście nie było łatwe, zwłaszcza że wciąż budziły moją

nieufność różne sprawy, nawet te drobne. Łączyły mnie z Carterem interesy, spotykał się zarówno z Michele, jak z Claudine, kochała się w nim Polly... Wszystko to miało swoje wytłumaczenie, lecz przyprawiało mnie o psychiczną udękę.

Jechaliśmy tą samą trasą, którą Antonio wiozł mnie z kliniki. Obserwowałam krajobraz w nadziei, że natrafie na coś, co uprzytomni mi, że jestem z nim zżyta od dawna.

- Co sądzisz o Debrayu? - przerwałam milczenie, chcąc się dowiedzieć, jak Carter podchodzi do śledztwa w sprawie śmierci Michela. - Czy to przesłuchanie to rzeczywiście poważna sprawa, czy raczej rutynowa praca policji?

- Debray chyba traktuje to śmiertelnie poważnie, ale rzecz w tym, czy istotnie gromadzi jakieś dowody, czy tylko stara się stworzyć takie wrażenie.

- Czy powinniśmy się martwić?

- Gdyby faktycznie mieli to, czego im potrzeba, już by to wykorzystali. Przypuszczam, że są skazani na to, co ty zeznasz po odzyskaniu pamięci.

- Zatem, inaczej mówiąc, od mojej woli będzie zależało, czy zawisnę na szubienicy?

- Hillary, w twojej pamięci kryje się klucz do rozwiązania zagadki.

Odwróciłam głowę do okna, obserwując ruch panujący na krętej szosie, którą podążaliśmy na wschód, wzdłuż Lazurowego Wybrzeża.

- Ta niewiedza jest straszna. Gdybym miała pewność, że jestem niewinna, nie bałabym się prawdy. Z powodu amnezji nie mogę oprzeć się na niczym, a już najmniej na sobie.

- Przyjmij, że to był wypadek - perswadował. - Myśląc o najgorszym, nie zyskasz niczego.

Odwrócił się do okna i w zadumie oglądał krajobraz. Nie mógł w żaden sposób uciszyć mojego niepokoju, bo przecież też nie znał prawdy.

Po półgodzinnej jeździe polecił, by Antonio zatrzymał się nie opodal Yal d'Esquieres, w miejscu, z którego roztaczał się wspaniały widok na morze. Obrzeże drogi było gęsto



usiane lubującymi się w piknikach Francuzami, więc usiedliśmy w pobliżu samochodu.

Antonio wysiadł dopiero po zjedzeniu lunchu. Palił papierosa i wpatrywał się w morze. Po chwili spostrzegłam, że opiera się o błotnik i kieruje na nas wzrok.

Siedząc na kocu, spoglądałam w niebieskozieloną wodę Morza Śródziemnego. Wdychałam ciepłe balsamiczne powietrze, czując zarazem dyskretny zapach wody kolońskiej Cartera. Przypominał mi o wczorajszym pocałunku. Choć naszego małżeństwa nie łączył już związek uczuciowy, coraz lepiej rozumiałam powody, dla których pokochałam tego mężczyznę i wyszłam za niego za mąż. Znowu wstąpiła we mnie nadzieja na poprawę naszych stosunków.

Yvonne przygotowała na zimny lunch opróżnioną do połowy butelkę białego Bordeaux oraz szynkę, sery, pieczywo i owoce. Popijałam wino, wciąż rozkoszując się nadmorskim powietrzem i obserwując sunące po połyskliwej wodzie łodzie żaglowe. Wiatr tworzył z nich roztańczony korowód i wydymał ich żagle.

- Czy potrafisz żeglować tak jak oni?

- Tu są głównie małe łodzie, a ty samodzielnie i fachowo prowadzisz „Pogodę”, która ma czternaście metrów długości. Może nie należysz do czołówki światowej, ale cholernie dobrze radzisz sobie z jachtingiem.

- O ile to nie to samo co jazda na rowerze, mogłam wraz z amnezją utracić tę zdolność. Nie mam bladego pojęcia, jakie czynności wykonują ludzie na tych łodziach.

- Nic w tym dziwnego. Jeśli zamierzałaś coś w sobie stłumić, to chyba właśnie umiejętność żeglowania, toteż masz do niej uraz.

- Czy tłumaczy to także, dlaczego ciebie wyparłam ze świadomości?

- Nie. Sądzę, że w moim przypadku nie wchodzi w grę żaden uraz.

- Czy zatem wraz z tym, co złe, mogłam zapomnieć to, co dobre? - spytałam zaskoczona.

- Mniej więcej. - Carter długo patrzył mi w oczy. Przez chwilę podziwialiśmy żaglówki. Mknęły po wodzie

niczym łabędzie po powierzchni bezkresnego stawu.

- Kiedy Debray podczas przesłuchania spytał cię o wydarzenia na jachcie, zdałem sobie sprawę, że o czymś nie pomyśleliśmy.

- O czym?

- Może gdybyś wyprowadziła „Pogodę” w morze, rozjaśniłaby się twoja pamięć i przypomniałabyś sobie okoliczności wypadku.

Zupełnie nie przyszło mi to do głowy, choć narzucało się w tak oczywisty sposób.

- Mówisz o powrocie na miejsce zbrodni - stwierdziłam drżącym głosem.

- Czy nie do tego zmierzasz? To znaczy, do odzyskania pamięci?

Powiew wiatru zdmuchnął mi włosy z twarzy. Po raz kolejny odwróciłam wzrok w stronę morza.

Żaglówki ślizgały się po wodzie z takim wdziękiem, a miejsce było nadzwyczaj spokojne, lecz sugestia Cartera wzbudziła we mnie przerażenie. Widocznie to zauważył, bo zaczął delikatnie głaskać mój podbródek. - O co chodzi, Hillary? - spytał z troską.

- Nie wiem, czy jestem już przygotowana na poznanie prawdy. - Patrzyłam mu w oczy.

- A więc wolałabyś nie wchodzić na pokład?

- Oczywiście, to mądra myśl i doceniam ją, ale budzi we mnie lęk. - Zagryzałam wargi. - Jacht jest teraz w Tulonie?

- Tak, na przystani. Policja zatrzymała go w Nicei, lecz po dokonaniu oględzin został zwrócony. Skoro zwolniłaś M.W, musiałem znaleźć kogoś innego, żeby odholował „Pogodę” do Tulonu.

- Co to jest M.W?

- To znaczy Murzyn do wszystkiego na jachcie. Ludzie używają tego skrótu - odparł zakłopotany Carter.

Zbladłam.

- Nie jestem świętoszką, ale raczej wynajdę inne określenie na pracę łodziarza.
- Rób, jak uważasz... Zawsze tak postępowałaś.
- Doszłam do pewnej teorii na swój temat - oświadczyłam po chwili zadumy.
- To ciekawe...
- Może i potrafię zachowywać się jak suka, ale nie jestem zła do końca. Jane mnie lubi i mam także innych przyjaciół. Poza tym, na miły Bóg, ożeniłeś się ze mną. Możliwe, że stłumiłam wszystkie swoje pozytywne cechy, zaś ten wypadek na nowo dopuścił je do głosu.
- Mówisz tak jakbyś była przez cały czas straszna, a to nieprawda.
- Tak czy inaczej, muszę się zmienić.

Carter odgarnął mi z twarzy nasunięte przez podmuch wiatru pasmo włosów i pogłaskał mnie po policzku.

- Zrobiłaś dobry początek.

Ujęta tą pieszczotą, spuściłam wzrok, a potem znowu zapatrzyłam się w morze. Mąż też skierował wzrok w tamtą stronę. Wiatr zaczął wiać silniej.

- Czy po wypadku byłeś na pokładzie jachtu?
- Nie, ale wynająłem do opieki nad nim nową osobę... Angielkę. Erica sprawia wrażenie kompetentnej i odpowiedzialnej, lecz decyzja o jej stałym zatrudnieniu należy do ciebie.
- Jak ją znalazłeś?
- Polly mi ją poleciła. Zna wielu Brytyjczyków mieszkających na Rivierze. To dało mi do myślenia. Bo dlaczego Polly wstrzymała się z odpowiedzią, gdy spytałam ją, czy zna Ericę? Powiedziała tylko, że się spotkały.
- Jeśli będziesz chciała pokreć się po morzu na „Pogodzie”, z przyjemnością się z tobą zabiorę.
- Będziesz musiał, ponieważ nie mam zielonego pojęcia, jak poruszać się na jachcie. Na samą myśl o wejściu na pokład ogarnia mnie przerażenie.

- Masz za sobą ciężkie przeżycia - stwierdził z ciepłym uśmiechem. - Ale z żeglowaniem rzeczywiście jest tak samo jak z jazdą na rowerze. Jeśli się człowiek wywróci, to wstaje i próbuje od nowa. Już wkrótce będziesz pływała jak stara wyga. Przekonasz się.

Obserwowałam jego gesty, wyraz twarzy i wsłuchiwałam się w ton głosu. Odkryłam w nim łagodność i cierpliwość.

- Byłbyś wspaniałym ojcem. Masz takie życzliwe nastawienie do ludzi.

Posmutniał. Zaczął zbierać rzeczy do koszyka.

- A więc co postanowiłaś? Chciałabyś się wybrać na przejażdżkę naszym jachtem, na przykład jutro po południu? - ciągnął stary temat.

- Niech będzie. Nie mogę spędzić reszty życia uciekając przed prawdą.

Wróciliśmy do samochodu. Antonio z respektem otworzył drzwi. Wyruszyliśmy w dalszą drogę do Cannes. Sanatorium było położone wśród otaczających miasto wzgórz. Jechaliśmy tam długą, wysadzaną cyprysami aleją. Budynek wieńczył jedno ze wzgórz. Zgodnie z tutejszym stylem miał spadzisty, pokryty dachówką dach, a po murach pięła się kwitnąca winorośl. Wyglądał bardziej na rezydencję niż na zwykłe sanatorium. Zatrzymaliśmy się na określonym podjeździe.

- Chyba powinienem pójść pierwszy i przedstawić Clau-dine twoje życzenie. - Carter położył rękę na mojej dłoni.

Ta sugestia wydała mi się dziwaczna. Pomyślałam, że mąż chce coś przede mną ukryć. Ale po chwili doszłam do wniosku, że działa rozsądnie.

- Jeśli uważasz, że tak jest lepiej.

Wszedł do środka, a ja spojrzałam na widoczną w lusterku twarz Antonia.

- Czy czuje się już pani dobrze? - Natychmiast nawiązał rozmowę, wykorzystując nieobecność mojego męża.

- Czuję się lepiej.

- To świetnie, że państwo jesteście w przyjacielskich

stosunkach. Pan Bass to wspaniały człowiek. O wiele wspanialszy od pana Lamberta. Nie przepadałem za panem Lambertem.

Wszystko wskazywało na to, że kierowca ma wyrobioną opinię na temat mężczyzn w moim życiu. Zastanawiałam się, czy wygłosił ją bez żadnego skrupowania, ponieważ dotychczas pozwalałam mu na takie rzeczy. Nadarzyła się sposobność zapytania go wprost.

- Antonio, powiedziałeś mi wczoraj, że jesteśmy przyjaciółmi. Co dokładnie przez to rozumiesz?

- Lubi pani mężczyzn, pani Bass, *n'est-ce pas?* A ja jestem mężczyzną. - Odwrócił się do mnie i uśmiechał swoim chłopięcym uśmiechem.

- To nie jest odpowiedź, o jaką mi chodzi. - Odetchnęłam głęboko, bo czekało mnie pytanie o to, czy był moim kochankiem. Czułam się strasznie speszona. W końcu wyrzuciłam z siebie: - Czy kiedykolwiek spaliśmy ze sobą?

T Muszę odpowiedzieć uczciwie - zaczął uśmiechnięty od ucha do ucha. - Nie, pani Bass, nigdy.

- Dzięki Bogu - mruknęłam pod nosem.

Wiadomość o dwóch kochankach - Michelu i Bobie - dostatecznie mnie przytłaczała. Ale przynajmniej nie było ich już w moim otoczeniu. Nie zniósłabym codziennego kontaktu z Antoniem, gdyby i on okazał się moim kochankiem.

- Ale jeśli pani spytała, czy darzy mnie pani sympatią, odpowiedziałbym, że tak. - Uśmiechał się do mnie z ufnością. - Nie ma przecież nic złego w naszej przyjaźni, *n'est-ce pas?*

- To dobrze, jeśli ludzie są dla siebie mili - oznajmiłam, siląc się na stanowczość. Ale musisz wiedzieć, że teraz wszystko się zmieni. Absolutnie.

- Co pani ma na myśli?

- Chciałabym, żebyś się skupił na swojej pracy.

- Proszę mi powiedzieć, czy czymś panią rozzłościłem? Opowiadaliśmy sobie świńskie kawały i śmialiśmy się do rozpuku. Co w tym złego?

- Być może nic, ale nie jestem już tą samą osobą. Nie

chcę być przez ciebie źle rozumiana, więc mówię ci uczciwie, co teraz czuję. Chyba już bardziej nie mogę być wobec ciebie w porządku.

- To ta Angielka - stwierdził markotnie. - Rozmawiała z nią pani na mój temat?

- Nie, ale jeśli chcesz zachować tę pracę, zapomnij o przeszłości.

- *Oui, madame.* Wolałbym, żeby nie przydarzyło mi się to samo co Bobowi. - Patrzył na mnie z pokorą.

- A więc musisz, Antonio, pilnować swoich spraw. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- *Bień, madame. Comme vous voulez.* Jak pani sobie życzy. - Wzruszył ramionami.

Sprawiał wrażenie, że się poddał. Czulałam jednak, że nie do końca go przekonałam o powadze mojej decyzji. Może buntowało się przeciwko temu jego ego, a może odebrał moje ostrzeżenie jako pustą paplaninę, lecz przynajmniej spełniłam swoją powinność. Przy okazji przekonałam się, że przeobrażanie mojego życia wcale nie jest łatwe.

Minęło już dziesięć minut od czasu, gdy Carter wszedł do sanatorium. Uznałam, że nie ma sensu siedzieć dłużej w samochodzie z zapatrzonym we mnie kierowcą, więc wysiadłam i podeszłam po schodkach do drzwi. Przekroczyłam próg, przygotowana na spotkanie z Carterem i Claudine.

Recepcjonistka siedziała przy wielkim zabytkowym biurku, na którym stał kryształowy wazon z kwiatami, a na marmurowej posadzce leżały wschodnie kobierce. Miałam poczucie, że jest to raczej luksusowy pensjonat, a nie sanatorium.

Uśmiechnęłam się kurtuazyjnie.

- *Bonjour, madame* - przywitała mnie, unosząc pytająco brwi.

- Wszedł tu przed chwilą mój mąż, Carter Bass. Chciałabym do niego dołączyć. Gdzie on jest?

- Rozmawia w ogrodzie z panią Lambert. - Wskazała dłonią korytarz za swoimi plecami.

- Dziękuję.

Korytarz prowadził do solarium na tyłach budynku. Zatrzymałam się przed oszklonymi drzwiami. W jednym z dalszych rogów szklanego pawilonu spostrzegłam dwie starsze kobiety oraz towarzyszące im pielęgniarki. Nie zauważyłam nikogo więcej, więc spojrzałam przez szklaną ścianę na wprost.

Oddzielała solarium od ogrodu. Najpierw zobaczyłam mężczyznę w piżamie i szlafroku, przechadzającego się w asyście pielęgniarza, a następnie Cartera. Stał rozmawiając z ciemnowłosą kobietą. Na widok żony mojego kochanka poczułam, że mam przyspieszony puls.

Claudine była szczupła i niewysoka. Mimo iż miała na sobie strój raczej niedbały, uderzyła mnie jej wytworność, choć także agresywność pozy. Dobiegała pięćdziesiątki, ale oczywiście wyglądała na bardzo zadbaną. Jej fryzura i makijaż były nieskazitelne. Z pewnością należała do kobiet, które inwestują w swój wygląd dużo czasu i pieniędzy.

Odniosłam wrażenie, że rozmawia z moim mężem raczej zaczepnie. Jej twarz odzwierciedlała silne wzburzenie. Carter na coś nalegał, a ona odmawiała. Przez kilka minut ze zdumieniem obserwowałam wytrwałość obojga, aż wreszcie dotarło do mnie, że rozmawiają ze sobą ludzie jednakowo upokorzeni przez niewiernych małżonków. Oboje mieli prawo mnie nienawidzić. Poza tym to ja, a nie Michel, wyszłam cała z tarapatów. Uświadomiłam sobie nagle, że nakłaniając Cartera do przywiezienia mnie tutaj, postawiłam go w trudnej sytuacji. Zaczęło mnie dręczyć takie poczucie winy z powodu egoizmu i przytępionej wrażliwości, że aż się rozplakałam. Miałam ochotę odwrócić się i uciec do samochodu, lecz całą siłą woli zmusiłam się do pozostania na miejscu.

Carter wyciągnął rękę do Claudine. Po chwili wahania pożegnała się z nim. Ruszył zwirowaną alejką do budynku.

- Och, Hillary - odezwał się, zaskoczony moim widokiem. — Znużyło cię czekanie?

- Tak.

- Przepraszam, że trwało to tak długo. Lekarz Claudine

pozwolił mi przedstawić jej twoje życzenie, ale z uporem odmawiała spotkania.

- Zauważyłam jej roztrzęsienie.

- A więc obserwowałeś naszą rozmowę.

- Tak.

- Naprawdę ją prosiłem, ale ona ma bardzo emocjonalny stosunek do Michela.

Zerknęłam na ogród. Claudine Lambert siedziała na ławce, nieświadoma mojej bliskości. Widziałam jej profil i splecione dłonie. Wyglądała na zdesperowaną - udręczoną i wyczerpaną z powodu skrajnego napięcia. Wstrząsnęło to moim sumieniem.

- Musi mnie serdecznie nienawidzić, co?

- Nie chce się z tobą spotkać, więc już nic nie próbujemy robić.

Nie potrafiłam jednak tak po prostu wycofać się i o wszystkim zapomnieć. Patrząc na nią, cierpiałam katusze. - Co mogę zrobić?

- Nic. Absolutnie nic.

- Ale ja nie mogę znieść własnej nikczemności. Spójrz na nią. Przeżywa straszny wstrząs. Jeśli nawet Michel zginął w wypadku, i tak obciąża to mnie. Zrujnowałam jej życie.

- Jest rozgoryczona, ale z czasem wróci do normy.

- Nie mogę tak po prostu odejść, jakby nic się nie stało! Muszę coś zrobić!

Dotknął moich ramion i spojrzał mi w oczy.

- Hillary, takie stawianie sprawy niczego nie rozwiąże. Co się stało, to się nie odstanie. Musisz patrzeć w przyszłość.

- A jak ty się czujesz?

Leciutko mną potrząsnął, jakby wyrażał w ten sposób swój stan ducha.

- Przekonywałam Claudine, że się zmieniłaś, ale nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Ona nie chce ci dać satysfakcji, że ją przeprosiłaś, więc musimy to tak zostawić. Moje szczęście nie może się ulotnić z powodu jej uczuć i ty też nie powinnaś dopuścić, żeby do tego doszło w twoim przypadku.



Mówił to z takim przekonaniem, że poruszył mnie do głębi.

- Carter, rzeczywiście tak to traktujesz?

Lekko zacisnął dłonie na moich ramionach. Miał poważną, wręcz posępną twarz.

- Posłuchaj, od kilku dni zmagam się z pytaniem, kim naprawdę jesteś i mam w głowie istne pomieszanie. Raz mówię sobie, że to wszystko jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe, a kiedy indziej mam poczucie, że niczego nie udajesz.

Nie potrafiłam powstrzymać łez.

- To, że tu przyjechałaś, upewniło mnie, że powinienem akceptować cię taką, jaka jesteś. Jeśli się nie zmienisz, to wspaniale, a jeśli wskoczysz w swoją starą skórę, musimy sobie z tym radzić. Jednak nie powinniśmy przejmować się na zapas.

Zacęłam drzeć. Przytulił mnie do siebie. Przez jego ramię znowu spojrzałam na kobietę, którą przyprawiłam o takie cierpienie. Zastygła w bezruchu niczym posąg. Nie udało mi się jej przeprosić, jednak przyjazd tu przyniósł jakiś pożytek. Nareszcie doszliśmy z Carterem do porozumienia.

Wziął mnie za rękę i ruszyliśmy przez hall do drzwi frontowych. Musiałam zetrzeć ślady łez przed powrotem do samochodu. Recepcjonistka wskazała mi drogę do toalety. Po chwili wróciłam do stanu równowagi. Carterowi też poprawił się nastrój. Uśmiechał się, gdy wychodziliśmy na dwór.

Antonio siedział na ławce z drobną jasnowłosą pielęgniarzką. Chichotała.

- Nasz kierowca znowu celuje w kobiece serce - zażartował Carter.

- Czy lubi to?

- To uwodziciel, ale naprawdę wie, jak należy postępować z kobietami.

Na nasz widok rzucił się do samochodu, lecz mój mąż już pomógł mi usadowić się na siedzeniu.

- *Je suis desole, monsieur.* - Antonio wśliznął się za kierownicę.

- *Vous avez eu assez de temps pour obtenir son numero de telephone?* - spytał ze śmiechem mój mąż.
- *Aucune importance, monsieur. Il y a assez des jolies filles a Toulon.*
- O czym rozmawialiście? - spytałam szeptem Cartera, gdy ruszyliśmy.
- Spytałem go, czy miał czas zapisać numer telefonu tej dziewczyny - mruknął konspiracyjnie.
- I co ci odpowiedział?
- Oświadczył, że to bez znaczenia, bo w Tulonie jest dość ładnych dziewczyn.

Nie byłem pewna, czy Antonio słyszał nasze szepty, ale chyba domyślił się, o czym rozmawiamy, bo spojrzał rozpromieniony w odbicie mojej twarzy w lusterku.

Charter zaproponował, żebyśmy coś zjedli w Cannes, jednak byłem zbyt zmęczona, więc pojechaliśmy prosto do domu. Postanowiliśmy natomiast pójść na kolację do wiejskiej gospody w Montfaucori, jeśli oczywiście będę się czuła na siłach.

Po drodze do willi niewiele rozmawialiśmy. Wyszukiwałam bezpieczne tematy, ze względu na obecność Antonia nie dotyczące spraw osobistych.

Spytałam Cartera o jego rodziców. Ojciec wywodził się ze starej ziemskiej elity stanu Wirginia i był z wykształcenia prawnikiem, ale zajmował się posiadłością. Z kolei matka okazała się piękną kobietą, pochodzącą z równie dobrej rodziny ze stanu Maryland, inteligentną, z pasją interesującą się kulturą i nauką. Carter z dumą oświadczył, że jest na wpół konfederatem, a na wpół Jankesem.

- Czyli od kołyski przeżywasz kryzys tożsamości? - skomentowałam złośliwie.
- Nie uwierzysz, ale moi rodzice nigdy się nie kłócą na temat wojny secesyjnej.
- To musi być niesłychanie trudne nie wykrzyzczyć od

czasu do czasu tak odmiennych politycznych deklaracji: za Południem, albo za Północą.

- Oni bardzo się szanują nawzajem. Zawsze to u nich podziwiałem i trochę im tego zazdrościłem. Takie oświadczenie nie było oczywiście żadną wymierzoną we mnie prowokacją, lecz mimo to doszukiwałam się w nim aluzji do naszego ułomnego małżeństwa. Ostatecznie Carter tak bardzo się na mnie zawiódł.

- Czy wrócisz kiedyś do Stanów?

- Kto wie. Nie wyrzekam się Stanów, ale lubię Europę.

- Dlaczego?

- Odpowiada mi życie tutaj, choć wiem, że ten kontynent nigdy nie stanie się moim prawdziwym domem.

- Czy posiadanie dzieci coś by zmieniło?

Na twarzy Cartera malowało się niezadowolenie.

- Może - odparł spokojnie, lecz pewnie miał na końcu języka reprimendę za takie pytanie.

Po kilku minutach ciszy spytałam, co sądzi o mnie jego matka.

- Odpowiada jej, że pochodzisz z Północy. Uważa, że jakaś piękność z Południa mogłaby się okazać zbyt mało praktycznie nastawiona do życia. Chciała, żebym się ożenił z kobietą mocno stojącą na ziemi i przedsiębiorczą, zwłaszcza że nie należę do zagorzałych konserwatystów.

- Czy aby nie mówisz mi w ten elegancki sposób, że twoja matka mnie nie lubi?

- Nigdy nie nawiązałaś z nią głębszego kontaktu. Oczywiście nie musiałam pytać, jak mam rozumieć tę odpowiedź.

- Czy w ogóle widzimy się z twoimi rodzicami?

- Raz lub dwa razy w roku wpadam do nich na kilka dni.

- A czy oni przyjeżdżają do Europy?

- Przestali od czasu, gdy ojciec podupadł na zdrowiu. Od trzech lat nie ruszają się z domu.

Spojrzałam na morze. Kołysała się na nim samotna żaglówka.

- Chcę ich lepiej poznać. Czy mogę pojechać do nich z tobą przy najbliższej okazji?
  - Jeśli sobie życzysz. Jego wyraz twarzy wskazywał, że przeżywa zarówno radość, jak i zaskoczenie.
  - Pragnę też zobaczyć miejsce, w którym się wychowałam.
  - Wygląda na to, że nie spodziewasz się szybkiego odzyskania pamięci.
  - Mówiąc uczciwie, przestałam tego oczekiwać. Pomimo wszystkich moich problemów, terażniejszość wydaje mi się bardziej zachęcająca niż przeszłość.
  - Hillary, nie zmartwiłbym się ani trochę, gdyby twoja amnezja nigdy się nie cofnęła. Potarł moją dłoń kciukiem i podniósł ją do ust. To był przyjęty sposób okazywania pozytywnych uczuć, ale mnie przeszedł dreszcz po plecach. Spojrzałam Carterowi w oczy. Silniej niż dotychczas dotarło do mnie, że to mój mąż. Przeżywałam najszcześniejsze chwile od czasu obudzenia się ze śpiączki, a zarazem niepokoiła mnie myśl, iż przedwcześnie uzewnętrzniamy nasze uczucia. Oczywiście, my mogliśmy próbować zapomnieć o naszych strasznych problemach, ale inni nie zamierzali. W mojej głowie tykała bomba zegarowa. Miała wybuchnąć z chwilą odzyskania pamięci i tylko jeden Bóg wiedział, co wtedy nastąpi.
- Po powrocie do domu położyłam się. Poof, moja niezawodna towarzyszką, zwinęła się obok mnie w kłębek. Wkrótce zapadłam w drzemkę.
- Zanim udałam się do sypialni, ustaliliśmy z Carterem plan na wieczór. Na skraju Monfaucon była gospoda, w której regularnie jadaliśmy w ubiegłych latach. Zdecydowaliśmy się pójść tam na kolację. Po obudzeniu się z drzemki przebrałam się i zesłam do salonu. Zastałam tam pogrążoną w lekturze Polly. Oprócz mnie i Cartera w domu była tylko ona. Yvonne i Anto-

nio dostali wychodne. Sekretarka poinformowała mnie, że mój mąż jest w sadzie i wraz z ogrodnikiem robi przegląd drzew.

Od wczoraj z nią nie rozmawiałam, więc postanowiłam wykorzystać nadarzącą się okazję wysondowania jej uczuć. Przeprosiłam, że przeszkadzam, równocześnie odsuwając podnózek, na którym zamierzałam przycupnąć. Natychmiast zamknęła książkę i zaproponowała, żebym usiadła na jej krześle, ale nakłoniłam ją do pozostania na miejscu.

- Jeśli nawet dotychczas nie byłam nadmiernie egalitarna, to teraz jestem - oświadczyłam.

Wyraz twarzy Polly wyrażał powątpiewanie, co stanowiło kolejny powód, żeby sądzić, iż przeszłość jeszcze długo będzie rzucała cień na moje życie.

- Pani Bass, mam do przekazania ważną informację, jeśli oczywiście mogę zmienić temat.

Rozmawiałam rano przez telefon z dyrektorem administracyjnym kliniki w Tulonie. Nie przysłano mi ze szpitala w Nicei żadnych pani rzeczy osobistych. Uznał to za niedopatrzenie i postanowił interweniować. Sprawa wyjaśni się najpóźniej na początku przyszłego tygodnia.

- Czy mój mąż wie o tym?

- Tak, proszę pani. Powiedziałam mu, gdy pani spała.

- Będzie bardziej niż ja zasmucony wiadomością o zaginięciu pierścionka. Ja po prostu nie pamiętam tego pierścionka, więc nie odczuwam jego braku.

- Był naprawdę śliczny.

Zaległa nieprzyjemna cisza. Chciałam się dowiedzieć pewnych rzeczy i musiałam zadać Polly stosowne pytania, a ona łatwo nie zdradzała swoich myśli. Dręczyły mnie jednak sprawy, o których powiedział mi Antonio, więc postanowiłam ją przycisnąć.

- Zapewne zdajesz sobie sprawę, że próba uchwycenia atmosfery panującej w tym domu jest dla mnie trudniejsza, niż się spodziewałam.

- Obawiam się, że nie rozumiem, co pani ma na myśli. -Spoglądała na mnie zaskoczona.
- Prawie w każdej grupie ludzi zdarzają się jakieś intrygi i niesnaski. Mam przeświadczenie, że ty i Antonio jesteście do siebie źle usposobieni.
- Nie jestem pewna, pani Bass, czy właśnie w ten sposób określiłabym moje stosunki z kierowcą.
- A zatem, jak byś je określiła?

Widać było, że wolałaby uniknąć odpowiedzi na to pytanie, ale nie miała wyboru.

- Chyba ani ja, ani Antonio nie darzymy siebie nawzajem jakimś specjalnym szacunkiem.
- Dlaczego tak się dzieje?
- Nie potrafię powiedzieć, jeśli oczywiście nie chodzi po prostu o to, że jestem Angielką. Niektórzy Francuzi mają do nas jakieś uprzedzenia, choć nie tak wielkie jak do Niemców.
- Uważasz zatem, że do tego sprowadza się cały problem?
- Tak mi się wydaje.

Skinęłam głową, zastanawiając się nad jej odpowiedzią.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałabym wiedzieć, dlaczego to panią niepokoi?
- Chcę, żeby teraz wszystko toczyło się tu gładko, bez dawnych nieprzyjemnych sytuacji i negatywnych uczuć.
- Osobiście uważam, że moje stosunki z Antoniem układają się znośnie. On wykonuje swoje obowiązki, a ja swoje. Chyba nie ma pani powodu do niepokoju, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Polly okazała się dyskretna jak każda dobra sekretarka. W pierwszej chwili chciałam ją spytać wprost, z kim się spotkała w Tulonie, zanim odebrała mnie z kliniki, ale rozmyślałam się. Mogłoby to tylko pogorszyć jej stosunki z Antoniem, bo z łatwością odgadłaby, że informacja pochodzi od niego.
- Absolutnie się z tobą zgadzam, lecz jeśli uznasz, że jest coś, o czym powinnaś ze mną porozmawiać, nie zawahaj się.

- Nie zawaham się, proszę pani.

Przez oszklone drzwi spostrzegłam na tarasie męża. Towarzyszył mu ogrodnik - zasuszony brodaty staruszek w niebieskim roboczym kombinezonie. Sprawdzali rosnące w donicach ozdobne krzewy. Obserwowałam Cartera w roli gospodarza. Polly też odwróciła głowę w jego stronę.

- Czy mój mąż zawsze tak wygląda w Montfaucon?

- Nie, proszę pani. Teraz wydaje się bardziej odprężony. Polly raczej nie była zachwycona tym pytaniem. Kto wie

czy nie dodała w myślach: „i bardziej szczęśliwy”. Oczywiście nie chciałam czerpać satysfakcji z przeżywanego przez nią zawodu, że polepszyły się moje stosunki z Carterem. Ale wyraz jej twarzy upewnił mnie, że Antonio nie przesadzał, mówiąc mi, że Angielka darzy mojego męża uczuciem. Naturalnie nie mogłam przesądzać z góry, że lepszy nastrój Cartera wróży dla nas pomyślność, jednak krzepła we mnie nadzieja. Bo to był dobry znak, a ja rozpaczliwie potrzebowałam jakiegoś punktu oparcia.

- Przepraszam, ale wyjdę na taras.

Wstałam z podnóżka bez triumfalnego uśmiechu i nie pożerałam wzrokiem mojego męża. Po prostu wysliznęłam się przez oszklone drzwi na zewnątrz. Cóż mogłam poradzić na bolesne przeżycia Polly i na jej uprzedzenia do mnie? Musiała pomóc sobie sama. Ja miałam pod dostatkiem własnych kłopotów.

## *Rozdział dziesiąty*

Odkryłam, że w Montfaucon mamy również Jaguara, lecz był rzadko używany. Widocznie wolałam, żeby Antonio woził mnie Bentleyem. Ale skoro kierowca miał wychodne, zaś Carter chciał się wybrać na kolację do pobliskiej gospody, więc wybraliśmy się Jagiem.

Dotychczas przejechałam przez Montfaucon tylko dwa razy, toteż tak naprawdę jeszcze nie poznałam wioski. Mąż zaproponował, żebyśmy wysiedli na placyku przed kościołem i na piechotę dotarli do gospody.

Kościół był maleńki i wyglądał raczej na kaplicę. Odważyliśmy się wejść do środka. Na ołtarzu paliły się świece, choć nikogo nie zastaliśmy we wnętrzu. Przez kolorowe witraże wpadały promienie zachodzącego słońca.

- Jest rozkoszny - szepnęłam.

- Rozkoszny?

- Jak babci szkatułka z biżuterią.

- Do tej pory nie gustowałaś w nim. Uważałaś, że jest banalny. Odpowiadał ci raczej paryski Sacre Cœur.

Zabolały mnie te słowa. Nawet jeśli Carter nie chciał mi dokuczyć, znowu opanowały mnie wątpliwości na mój temat. Ale ostatecznie taki stan rzeczy trwał, z krótkimi przerwami, od czasu spotkania z mężem w klinice.

- Jednak teraz jest inaczej. Czuję się tu uduchowiona. Przystanął i spoglądał na mnie z powątpiewaniem. Robił



tak, gdy moje reakcje nie zgadzały się ze znanymi mu z przeszłości. Na jego ustach wykwitł sardoniczny uśmieszek.

- Matko Tereso, teraz pójdźmy coś zjeść, a jeśli chcesz sprawdzić czy drzemie w tobie jakaś duchowość, przywiozę cię tu w niedzielę na nabożeństwo.

Wziął mnie za rękę i ruszyliśmy przez wioskę. Spotykani po drodze ludzie mówili nam dobry wieczór, jedni mniej, inni bardziej uprzejmie, lecz prawie wszyscy spoglądali na nas ze zdziwieniem.

- Jak nas traktują?

- Jak Amerykanów, którzy mają w pobliżu dużą posiadłość. Inaczej mówiąc, są tolerancyjni. Ale też staram się dla nich coś robić: daję im pracę i szczerze finansuję różne miejscowe potrzeby. Jak to w życiu bywa, raz udaje się lepiej, a raz gorzej.

- Chciałeś raczej powiedzieć, że to tobie się udaje, a mnie nie.

- Na jakiej podstawie możesz tak twierdzić? - Carter odwrócił się do mnie.

- Mam takie przeczucie. Ścisnął mi mocniej rękę.

Mijający nas rowerzysta wykrzyknął *bonsoir*. Pozdrawiali nas również ludzie siedzący na werandach domów, z których dochodziły zapachy gotowanych na kolację potraw.

- *Bonsoir, monsieur Bass!* - zawołała przez otwarte okno uśmiechnięta kobieta w średnim wieku, wychylając się ponad skrzynką z czerwonymi pelargoniami.

- *Bonsoir, madame* - odwzajemnił pozdrowienie z niekłamana przyjemnością. Dom stał tuż przy drodze, więc Carter podał jej rękę przez okno. - *Et votre fils, ça va?*

- *Tres bien, merci, monsieur. Grace a vous, n'est-ce pas? Il va revenir la semaine prochaine. Tout le monde l'attend, surtout moi, sa maman. Je suis tres contente. Merci.* - Uśmiechała się promiennie do mojego męża. W końcu odwróciła się do mnie: - *Bonsoir, madame. Tres contente de vous voir,*

Odwzajemniłam uśmiech i skinęłam głową. Kobieta wyglądała na szczęśliwą z jakiegoś powodu.

- O co chodzi? - spytałam męża, gdy ruszyliśmy do gospody.

- To wdowa. Jej syn ma wybitny talent muzyczny. Przerósł miejscowych nauczycieli i zorganizowano zbiórkę pieniędzy, żeby mu zapewnić studia w Paryżu. Wyłożyłem prawie połowę potrzebnej sumy.

- Rzeczywiście zachowujesz się jak szcudroblivy dziedzic na swoich włościach - orzekłam z podziwem.

- Pewien mój przyjaciel wyszukuje w tych stronach potrzebujące dzieci z taką gorliwością, że dla mnie już niewiele zostaje.

Uścisnęłam go za ramię, dumna z jego postawy.

Gospoda znajdowała się kilkaset metrów za wsią, na tyle blisko, że mogliśmy dotrzeć tam pieszo.

Czułam radość, jakiej zapewne nie doświadczałam zbyt często w swoim dotychczasowym życiu.

Zapadł zmierzch i w rozrzuconych po wzgórzach farmach rozbłysły światła. Gdzieś przy wodopoju beczała owca, a w dolinie poszczekiwał pies. Powietrze przesycił zapach zroszonego siana.

Zerknęłam na niebo. Przedstawiało niezapomniany widok. Ciszę przerywały tylko dochodzące z żywopłotu popiskiwanie lelka. Miałam poczucie, że czas się zatrzymał, a to, że znajdowałam się tu z Carterem, dodawało wszystkiemu szczególnego uroku.

- Czy w początkach małżeństwa potrafiliśmy spędzać razem tak urocze chwile? - Nie potrafiłam ukryć swoich myśli.

Usłyszeliśmy dzwonek nadjeżdżającego z tyłu roweru. Przystanęliśmy, żeby go przepuścić na tej wąskiej drodze. Mijający nas chłopcy skinęli głowami. Carter wziął mnie z powrotem za rękę i ruszyliśmy do gospody.

- Czy wyobrazasz sobie, że przeżywaliśmy je w taki właśnie sposób? - Moje pytanie najwyraźniej nie dawało mu spokoju.

- Tak.

- Hillary, szczerze żałuję, że nie mogę tego potwierdzić.
- Jakie to straszne.
- Ale czy nie wystarczy, że teraz nam się to przydarza?
- No cóż, nie mogę dowierzać tej pustej głowie - skonstatowałam ze smutnym uśmiechem.
- Myśl raczej, że twój umysł został oczyszczony z różnych niedobrych skłonności.

Gospoda mieściła się w starym farmerskim domu. Dawny salon i jadalnia zostały połączone, ale wciąż był to mały pokój, zdolny pomieścić osiem stolików.

Właścicielka, pani Coupat, krępa i przedwcześnie posiwiiała, uśmiechała się miło. Niesforne kosmyki opadały jej na czoło. Witając nas, odgarniała je pulchnymi palcami. Jej serdeczność wydała mi się szczerą. Zaprowadziła nas do stolika przy otwartym oknie, w rogu sali. Carter odsunął dla mnie krzesło. Gdy usiadłam, natychmiast poczułam zapach róż. Wychyliłam się za parapet. Zobaczyłam mały różany ogródek. Sądząc po uśmiechu męża, zarezerwował ten stolik przez telefon.

Pani Coupat zaproponowała Carterowi jakieś wino i odeszła od stolika. Przymknęłam oczy, wdychając wonne powietrze, bo znowu ogarnęło mnie znane, lecz wciąż niezrozumiałe uczucie, pojawiające się wraz z zapachem róż.

- To oczywiście nie przypadek, że siedzimy przy tym oknie? - spytałam Cartera, podnosząc na niego oczy.

- Jasne, że nie.

Rozejrzałam się po wnętrzu. Były zajęte tylko dwa stoliki po przeciwnej stronie. Przy jednym siedział otyły mężczyzna w białej koszuli z krótkimi rękawami. Czytał gazetę i palił papierosa. Przy drugim starsza, zamożnie wyglądająca para. Spojrzeli w naszą stronę i skinęli głowami. Carter powiedział im *bonsoir*.

Gospoda w żadnym wypadku nie należała do wytwornych. Meble stanowiły raczej zbieraninę, ściany zdobiły tapety w kwiatki. Wokół wisiały stare, pożółkłe oleodruki w brązowych ramkach. Niewiele można było na nich zoba-

czyć. Jedyłą przyciągającą uwagę rzecz stanowił tu wielki mahoniowy kredens. Stały na nim talerze z serami, wypełnione owocami misy oraz klosze z ciastem. Leżał także pęk bagietek.

- Oto typowa wiejska gospoda - odezwał się Carter, gdy spostrzegł, że już dokonałam oględzin.

- Podoba mi się.

- Pomyślałem, że może sprawi ci przyjemność ten różany ogródek. To przedmiot dumy pani Coupat. Przez telefon powiedziałem jej, że przyjdiesz specjalnie podziwiać róże i musimy mieć stolik pod oknem. Wybrałem także wino i potrawy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. We wszystkim jestem neofitką. Właścicielka postawiła na stole butelkę.

- Jak się pani czuje? Tak się martwiliśmy tym wypadkiem - zagadnęła mnie z troską, napełniając kielichy.

- Dziękuję, dobrze. Z każdym dniem nabieram sił.

- *C'est bien*. Wszyscy tutaj życzymy pani szybkiego powrotu do zdrowia.

- Dziękuję.

Kolacja była wspaniała. Carter zamówił jagnięcinę wiedząc, że to moje ulubione danie w tej gospodzie. Ale to towarzystwo Cartera sprawiło, że wszystko nabrało fantastycznego smaku.

Po kawie i deserze pani Coupat zaprowadziła nas do ogródka. Siedzieliśmy na ogrodowych krzesłach przy niskim stole i popijaliśmy koniak. Ciszę zakłócało tylko cykanie świerszczy i kumkanie żab.

Właścicielka zapaliła grubą niską świecę z pszczelego wosku. Światło wydobyło z mroku ostre rysy twarzy Cartera. W zadumie sączyliśmy koniak.

- Czy zaczynasz się czuć w Montfaucon jak w domu? -odezwał się po chwili.

- O ile to możliwe w przypadku kogoś cierpiącego na amnezję.

- Hillary, wkrótce odzyskasz pamięć. Wejście na pokład jachtu może się okazać tym bodźcem, który ją odblokuje.

Na myśl o znalezieniu się na „Pogodzie” przeszył mnie dreszcz. Ta łódź i mój nieżyjący kochanek... To było najgorsze, co przydarzyło mi się w życiu. I bałam się konfrontacji z rzeczywistością, choć wiedziałam, że muszę spojrzeć prawdzie w oczy i stawić jej czoło.

- Dlaczego masz taką minę? - spytał Carter.

- Jaką?

- Posępną.

- Sama nie wiem - odparłam, wciąż pochłonięta przez mroczne myśli. - Czasami moja przeszłość tak mnie zadręcza, jakby podświadomość domagała się potwierdzenia, czy istotnie dojrzałam do poznania prawdy o sobie.

- A dojrzałaś?

- Nie mam pewności.

Widoczną z ogródka drogą przejechał rozklekotany *Deux Chevaux*. Jego żółte przednie światła ledwie rozjaśniały mrok. Gdy warkot ucichł w oddali, spojrzałam na róże, chcąc uciec od myśli o wypadku. Na najbliższym krzewie zauważyłam pęk na długiej łodydze. Przyciągnęłam ją do siebie. Pochyliłam się i wciągnęłam do płuc delikatny zapach.

- Jaka szkoda, że nie wiem, dlaczego róże tak na mnie działają.

- To dziwne, bo nigdy wcześniej nie miały dla ciebie specjalnego znaczenia.

Chciałam, by moja reakcja na te kwiaty jakoś łączyła się z Carterem, ale w głębi duszy wiedziałam, że to tylko pobożne życzenie. Zagadka wciąż pozostawała nie wyjaśniona.

Gdy skończyliśmy koniak, Carter zapłacił i ruszyliśmy w drogę powrotną do wioski. Do naszych uszu sączył się dźwięk włączonych telewizorów. Niektórzy mieszkańcy wioski wciąż siedzieli na werandach, rozmawiając i paląc. Co chwila rozlegało się ich i nasze „dobry wieczór”.

Wybrukowaną uliczką doszliśmy, ramię przy ramieniu, do samochodu. Stał ukryty w cieniu otaczających kościelny plac drzew. Carter otworzył dla mnie drzwi, ale zamiast

wsiąć, spojrzałam na niego i ujęłam w dłonie jego świeżo ogolone policzki.

- To był cudowny wieczór. Nigdy go nie zapomnę -wyznałam.

- Mam taką nadzieję.

Patrzyłam mu w oczy, ale w mroku nie mogłam określić ich wyrazu.

- Jeśli pozwolimy na naturalny bieg spraw, może się skończyć tym, że wyładujemy dziś w tym samym łóżku -powiedziałam drżącym głosem.

- A nie chciałabyś tego?

- Chciałabym...

- W twoim głosie usłyszałem jakieś wahanie. Dotknęłam koniuszkiem palca jego ust, myśląc o naszym ostatnim pocałunku.

- Ja po prostu nie wiem, czy to, czego chcę, jest równoznaczne z tym, co najbardziej dla mnie wskazane.

- O?

- Nie mam pewności, czy powinnam dopuścić do kolejnej komplikacji w moim życiu, skoro tak rozpaczliwie usiłuję je na nowo uporządkować.

- O ile mi wiadomo, seks może spowodować wiele różnych rzeczy, ale żeby od razu komplikację życiową... -zdziwił się.

- Seks naprawdę komplikuje życie.

- Chyba tak. - Odsunął z mojej skroni kosmyk włosów. - Nawet życie małżeństwa z ośmioletnim stażem. Przysunęłam jego twarz bliżej i zaczęłam go całować. Miał bardzo zmysłowe usta. Gdy coraz silniej zaczęły dochodzić do głosu nasze namiętności, poddałam się pocałunkowi i rozplątałam w ramionach męża. Rozchyliłam wargi, a on pieścił je językiem. W poczuciu obezwładniającej błogości reagowałam coraz intensywniej, zaskoczona tym porywem zmysłów w odpowiedzi na bliskość Cartera. Przyciskał mnie do siebie coraz mocniej, gładząc po plecach i pośladkach.

Gdy przestaliśmy się całować, wtuliłam twarz w jego szyję. Wdychałam zapach jego ciała, a serce biło mi w zwariowanym rytmie.

- Boże, czy rzeczywiście jesteśmy małżeństwem? - wymamrotałam.

- A czy plac przed kościołem nie jest najwłaściwszym miejscem, by się przekonać, że pomiędzy nami tli się jeszcze iskierka uczuć?

- Iskierka?

- Może i spowoduje to jakąś komplikację, ale ja z pewnością uznam ją za fantastyczną. - Musnął wargami moje usta, pogładził mnie po włosach i dodał z westchnieniem: -Hillary, nie odpychaj mnie. Łzy napłynęły mi do oczu. Byłam wewnętrznie rozdarta. Pragnęłam go, lecz czegoś się obawiałam - być może wciąż nie odkrytej prawdy.

- Chcę spędzić z tobą tę noc. Chcę się z tobą kochać -szeptał Carter.

- Proszę, nie kuś mnie.

- Nie wiem, czego się boisz, kochanie. - Całował mnie po włosach. - Czy moje uczucia nie stanowią dla ciebie dostatecznej ochrony?

Odsunęłam się, żeby lepiej widzieć jego twarz.

- Boję się przyszłości.

- Więc nie zaprzataj sobie nią głowy.

- Ilekroć myślę o jachcie, tracę spokój. Mam przeczucie, że jutro zdarzy się jakiś dramat.

- Ale nic się między nami nie zmieni, jeśli do tego nie dopuścimy.

- Chciałabym w to wierzyć, lecz nie potrafię. Zniecierpliwiony, spojrział w górę na tonące w mroku konary drzew.

- Dlaczego tak trudno przekonać kobietę? - spytał retorycznie.

- Ponieważ my opieramy się na głębszych prawdach niż prosta wiedza o faktach - odparłam ze śmiechem.

- Nie pozostaje mi nic innego jak zgodzić się z tym. -Przycisnął policzek do mojego czoła. Uśmiechnęłam się. Żywiłam wobec Cartera tyle ciepłych uczuć.
- A co będzie, jeśli wejdzie jutro na pokład jachtu nie poruszy twojej pamięci? Jeśli nic się nie wydarzy?
- Wtedy muszę poszukać innego klucza do zagadki mojej amnezji. Patrzył na mnie krytycznie. Mrok nie był na tyle gęsty, bym tego nie zauważyła.
- Myślę, że pora dopuścić do głosu męską logikę.
- To znaczy?
- Zgódźmy się co do tego, że nasze obawy niczego nie rozwiązują i skoncentrujemy na tym, co pozytywne. Kierujmy się uczuciami, a nie przypuszczeniami, że wynikną z nich jakieś komplikacje.
- Czyli, innymi słowy, chodźmy do łóżka. Uśmiechał się szeroko.
- Teraz wyciągasz z naszej sytuacji logiczne wnioski.
- Jesteś niepoprawny.
- Wracajmy do domu, nawet jeśli musimy spać oddzielnie. - Uścisnął mnie.
- Nie jesteś na mnie zły?
- Chcę tylko być przez ciebie dobrze rozumiany.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Nie jestem zły, tylko sfrustrowany. Od kilku lat moja miłość do ciebie ledwie się tliła, a teraz nagle dała o sobie znać z nową mocą - odparł w zadumie. Spojrzałam mu w oczy. Serce znowu zabiło mi żywiej. Wycisnęłam na jego ustach gorący pocałunek.
- Jestem szczęśliwa, słysząc te słowa - szepnęłam i objęłam go.
- Właśnie tego pragnę. Pragnę tego dla nas obojga.



## *Rozdział jedenasty*

Rano po przebudzeniu byłam w dobrym, niemal radosnym nastroju. Spędziłam z Carterem miły, wręcz cudowny wieczór. Wciąż miałam żywo w pamięci towarzyszące nam pozytywne uczucia. Leżałam przez chwilę w łóżku, rozkoszując się wspomnieniem naszego ostatniego pocałunku.

Może mieliśmy już za sobą punkt krytyczny?

Gdy wieczorem wróciliśmy do domu, oświadczyłam, że pragnę od razu udać się do sypialni.

Potrzebowałam chwili samotności, chcąc ogarnąć myślami rozbudzone uczucia. Carter zapewnił, że doskonale mnie rozumie i odprowadził na górę. Na pożegnanie objął mnie i pocałował tak zniewala-  
lająco, że omal mu nie uległam.

Zastanawiałam się, co przyniesie dzisiejszy dzień. Czy potwierdzi uczucia, które dzieliliśmy wczoraj?

Mąż już pracował w swoim gabinecie. Byłam zawiedziona, bo myślałam, że przynajmniej wypiję z nim poranną kawę. Z rezygnacją zasiadłam w samotności do śniadania. Yvonne podała mi jajka na miękko oznajmiając, że do tej pory zawsze je lubiłam. Przyjęłam tę drobną informację z większą ufnością niż wszelkie inne. Istotnie nie miałam nic przeciwko takiemu śniadaniu. Może zatem moje upodobania smakowe nie zmieniły się tak dalece, jak skłonna byłam sądzić?

Gospośnia nalewała mi drugą filiżankę kawy, gdy przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Wyszła sprawdzić, kto przyjechał.

- To kurier przywiózł dla pana Bassa przesyłkę - poinformowała, wracając po kilku minutach do jadalni.

- Mąż wciąż pracuje?

- Tak, proszę pani. Od rana prowadzi negocjacje przez telefon. Kazał to pani powiedzieć. I jeszcze to, że po lunchu pojedziecie państwo na przystań jachtową w Tulonie.

Poprosiłam Yvonne, żeby usiadła ze mną przy stole, co ją niezmiernie zdziwiło. Ale szybko odzyskała swój zwykły wigor i zaczęła rozprawiać o sprawach domowych. Dowiedziałam się, że Antonio zawiózł Polly do banku w Tulonie. Usiłowałam się zorientować, jaki jest stosunek Yvonne do mojej sekretarki, ale była bardzo powściągliwa. Najwidoczniej nauczyła się unikać otwartych konfliktów.

Po śniadaniu zaczęłam krążyć po domu. Zabijałam czas, oglądając książki, różne ozdobne przedmioty i obrazy. Przez chwilę dreptała za mną Poof, ale potem gdzieś zniknęła. Kilka razy przechodziłam obok gabinetu Cartera. Kusiło mnie, żeby tam zajrzeć i powiedzieć mu „dzień dobry”, jednak powstrzymałam się.

Zapowiadał się upał, więc włożyłam szorty i cienką bawełnianą bluzkę, której poły związałam pod biustem. Przyszło mi na myśl, że podświadomie tak się ubrałam, powodowana chęcią prowokowania mężczyzn. Martwiło mnie, czy aby nie zaczyna się objawiać z powrotem moja swoboda obyczajowa. Tłumaczyłam sobie jednak, że taki strój wcale nie musi o tym świadczyć. Carter był przecież moim mężem, choć dopiero zaczynałam się do tego przyzwyczajać.

Po przejrzeniu rzeczy usiadłam w salonie. Nie potrafiłam przestać myśleć o Carterze, bez względu na to, czy chciałam tego czy nie. Postanowiłam sprawdzić, czy wciąż rozmawia przez telefon.

Nasłuchiwałam pod drzwiami gabinetu, ale nie docierał do mnie żaden dźwięk. Lekko zapukałam i zajrzałam do

środku. Mąż siedział przy biurku i trzymał przy uchu słuchawkę. Już miałam się wycofać, ale skinął dłonią, żebym została. Gdy weszłam, oszacował mnie wzrokiem, ostentacyjnie zatrzymując spojrzenie na moich nogach.

- Hillary, skończę za kilka minut. Jeśli zechciałabyś poczekać - odezwał się, wykorzystując przerwę w rozmowie i zasłaniając słuchawkę. Skinął głową w stronę krzesła po przeciwnej stronie biurka.

- Nie. Zamierzałam tylko powiedzieć ci „dzień dobry” -szepnęłam.

Ta informacja sprawiła mu przyjemność, ale musiał podjąć rozmowę przez telefon. Znowu z naciskiem wskazał krzesło.

Dając za wygraną, opadłam na kremowe skórzane obicie i założyłam nogę na nogę. Carter uśmiechał się do mnie, kontynuując rozmowę. Usiłowałam zachowywać się swobodnie, lecz szybko straciłam pewność siebie. Strasznie długo rozprawiał z kimś o kursach akcji, więc zaczęłam błądzić wzrokiem po biurku. Przyciągnęła moją uwagę jeszcze nie otwarta przesyłka ze Stanów, nadana za pośrednictwem *Federal Express*. Po chwili spojrzałam na Cartera, bo ton jego głosu stał się uderzająco stanowczy. Postukiwał ołówkiem w blat i wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku. Jego usta i oczy komunikowały zupełnie różne rzeczy.

Pod wpływem tej subtelnej gry, jaką prowadziliśmy od chwili, gdy tu weszłam, serce zaczęło mi bić gwałtowniej. Mąż sprawiał wrażenie, że rozbiera mnie wzrokiem. Siłą woli opanowałam drżenie nóg. Nie rozumiałam, dlaczego akurat teraz patrzy na mnie tak wyzywająco, ale widać było, że to uwodzenie sprawia mu ogromną przyjemność. Boże, ratuj - pomyślałam, bo i ja poddałam się całkowicie tej magii spojrzeń.

- Zatem kup je, George - powiedział do słuchawki, przerywając moją zadumę. Uśmiechnął się do mnie tak kusząco jak sam diabeł. Spoglądając na moje nogi, poinformował, że ma przerwę w rozmowie i oświadczył: - Nie

pamiętam, kiedy po raz ostatni kobieta tak cudownie rozpraszała mnie w czasie załatwiania służbowego telefonu.

- To przypomnij sobie, kiedy po raz ostatni twoja sekretarka miała na sobie minispódniczkę.
- Moja sekretarka ma pięćdziesiąt pięć lat. A przy okazji, wyglądasz fantastycznie.
- Dziękuję.
- Czy szorty służą temu, żeby doprowadzić moje zmysły do szaleństwa, czy raczej ulegam myśleniu życzeniowemu?
- Jesteś strasznie zepsutym facetem. - Znowu musiałam siłą woli powstrzymać drżenie nóg.
- Przedtem raczej nie widywałem cię w szortach.
- Dzień zapowiada się upalnie.
- Czy zatem zawsze mam prosić niebiosa o upały?
- Nie dokuczaj mi, bo sobie pójdę.
- Uczciwie mówiąc, miałem nadzieję, że usiądziesz mi na kolanach - oznajmił z szelmowskim uśmiechem. - Tak, George, jestem przy telefonie. - Wzruszył ramionami i kontynuował służbową rozmowę.

Zastanawiałam się, czy to wyznanie powinno mi dodać pewności siebie, czy przeciwnie, zbić mnie z tropu. Carter nie należał przecież do notorycznych flirciarzy, lecz był poważnym, odpowiedzialnym człowiekiem. A obecnie i ja uważałam siebie za osobę stateczną. Oczywiście jego frywol-ne zachowanie sprawiało mi przyjemność, nawet jeśli ogarniały mnie rozmaite wątpliwości. Poza tym oboje potrzebowaliśmy jakiegoś odprężenia. Zdziwiło mnie jednak, że tak pohamowuję Cartera. Dawna Hillary Bass nie stawiała sobie żadnych zakazów, a we mnie odzywały się nawet skrupuły, że przeszkadzam mu w pracy. Postanowiłam się wycofać.

Gdy wstałam, przeprosił swojego współnika, zasłonił dłonią słuchawkę i spojrzał na mnie.

- Hillary, czyżbyś zamierzała wyjść?
- Jesteś zajęty. Nie chcę ci utrudniać wykonywania służbowych obowiązków.

- Może mnie i rozpraszasz, ale z pewnością mi nie przeszkadzasz. Jestem tylko niepocieszony, że ta telefoniczna rozmowa trwa tak długo.

- Muszę znaleźć sobie bardziej produktywne zajęcie. Zobaczymy się, jak skończysz - rzuciłam, zmierzając do drzwi.

Wyglądał na zawiedzionego.

- A może wrócisz tu za chwilę? - zaproponował, gdy stałam już w progu.

- Kto wie. - Uśmiechnęłam się i wyszłam. Uśmiechałam się z zadowoleniem przez całą drogę do sypialni. Po raz pierwszy od chwili odzyskania przytomności było mi lżej na sercu, jeśli oczywiście nie liczyć wczorajszego wieczoru. Zarazem zmiana nastroju wydała mi się zbyt radykalna. Nawet zaczęłam podejrzewać, iż przeceniam frywolne zachowanie męża. Ale naprawdę służyło mi to jego uwodzenie.

Piękne słońce skusiło mnie, żeby usiąść przy oknie. Tak zatopiłam się w myślach, rozpamiętując najprzyjemniejsze chwile wczorajszego wieczoru, że straciłam poczucie czasu.

Wyrwało mnie z zadumy pukanie do drzwi. Wszedł Carter.

- *Un coup de telephone pour madame.*

- Kto dzwoni?

- Huguette Cuvillier. Pobladłam.

- To jedna z twoich najlepszych przyjaciółek, druga po lady Jane.

- Nie mam pojęcia o jej istnieniu. Czy mówi po angielsku?

- Znakomicie. Zreferowałam jej pokrótce stan twojego zdrowia. Ma do ciebie mnóstwo pytań i koniecznie chce z tobą rozmawiać.

Co prawda zdecydowałam się na rozmowę z Jane Nyland, wiedząc o niej całkiem niewiele od mojej sekretarki, ale

Huguette Cuvillier nie kojarzyłam nawet z żadną osobą w albumie ze zdjęciami.

- Wolałabym najpierw coś o niej wiedzieć...

- Dobrze. Mówiąc w największym skrócie, jest od ciebie o kilka lat starsza, jej mąż to strasznie nadęty i wiekowy staruszek, emerytowany paryski bankier. Huguette słynie w towarzystwie z tego, że co roku w styczniu organizuje wśród znajomych wyjazd do Marrakeszu. Nazwałbym to seks-safari. Wiem, że brałaś w tej wyprawie udział co najmniej dwa razy, oczywiście jeszcze zanim zaczęłaś spotykać się z Michelelem.

- Dzięki za dorzucenie nowych informacji na mój temat - odparłam z przekąsem.

- Przykro mi, kochanie, ale sama pytałaś.

- O czym mam z nią rozmawiać?

- Powiedz jej, że teraz możesz zaspokajać nawet najdziksze potrzeby seksualne w domu - dociał mi z krzywym uśmiechem.

- Nigdy więcej nie przyjdę do twojego gabinetu, a teraz mi pomóż.

- A więc, kochanie, wyrównaliśmy nasze rachunki. Ruszyłam wreszcie do telefonu, niezbyt zachwycona perspektywą rozmowy z kimś kompletnie nieznanym.

- Halo? - odezwałam się do słuchawki, siadając na łóżku. - Hillary, *ma cherie*. Carter powiedział mi o wszystkim. Tak mi przykro z powodu tej amnezji. Jakie to smutne.

- Rzeczywiście nie jest zabawne. - Byłam taka powściągliwa, bo po tym, co usłyszałam od Cartera, nie miałam ochoty na odnowienie znajomości z tą kobietą.

- Znam na to lekarstwo. Butelka szampana i dwóch ślicznych chłopaków wystarczy, żeby nam obu świat wydał się znowu piękny. Co ty na to, Hillary?

- Obawiam się, że od czasu tego urazu głowy bardzo się zmieniłam.

- Tak się o ciebie martwiliśmy, *ma cherie*. Gdy zapadłaś na tę długotrwałą śpiączkę, baliśmy się, że umrzesz. No

i cała ta historia z Michele. Był takim czarującym mężczyzną. Chyba masz złamane serce, *non*?

- Huguette, nie pamiętam go.

- Och, *mais oui. Cette amnesie*. Gdy się dowiedziałam, że Michel utonął w pobliżu twojego jachtu, a ty zostałam ranna, byłam pewna, że nie chodzi o wypadek. Od razu pomyślałam o Robercie. To ten *mechant*. Wyobrażasz sobie, że dzwonił do mnie w Paryżu?

- O kim mówisz?

- O tym muskularnym brodaczu. Twoim... Jak ty go zawsze nazywałaś? B.N. czy coś w tym rodzaju?

- Aha, o nim mówisz. Do czego zmierzasz?

- Do niczego, ale zatelefonował do mnie rozwścieczony, że pozbawiłaś go pracy na jachcie. Ział nienawiścią do Michela, bo wiedział, że to on skłonił cię do tego.

- Kiedy do ciebie dzwonił?

- Chyba na dwa dni przed wypadkiem. Nie pamiętam dokładnie. Robert uważa mnie za zaufaną przyjaciółkę po tym jak zabrałam go do Włoch. Oczywiście kocha ciebie, ale do mnie zwraca się z problemami. Powtarzałam mu: „Zapomnij o Hillary, bo nic nie może dla ciebie zrobić. Znajdź sobie inną piękną kobietę z pięknym jachtem.” Jednak był tak zły na ciebie i Michela, że nie chciał mnie słuchać.

Zerknęłam na Cartera. Od początku rozmowy siedział przy mnie. Obejmował mnie w talii, a teraz zaczął całować w policzek. Przeszkadzając mi w taki sposób w rozmowie z Huguette, najwyraźniej rewanżował się za to, że wtargnęłam do jego gabinetu. Odsunęłam się, na ile było to możliwe, ale wtedy zaczął delikatnie dmuchać mi do ucha. Przebiegł mnie dreszcz. Przełożyłam słuchawkę do drugiej ręki, chcąc uniemożliwić mu tę pieśczętę.

- Huguette, mówisz mi ważne rzeczy, choć wszystko, czego dowiaduję się od kilku dni, stanowi dla mnie nowość.

- Koniecznie musimy znowu wspólnie się zabawić i porozmawiać jak za dawnych czasów.

- Może spotkajmy się podczas mojego najbliższego pobytu w Paryżu?

Carter zaczął mnie całować w szyję. Wilgotnym językiem wodził po mojej skórze, a potem dmuchał w te miejsca. Niemal straciłam oddech.

- Hillary? Co się stało?

- Och, nic. Jakiś mały szkodnik mnie zaatakował, ale mam nadzieję, że zaraz się go pozbędę.

Carter zachichotał. Zdjęłam jego rękę z mojej nogi i spojrzałam na niego pytająco, choć tylko udawałam niezadowolenie z powodu jego zachowania.

- *Comment?*

- Przepraszam, Huguette, ale dla mnie nie jest to dobra pora na rozmowę. Czy mogę do ciebie zadzwonić podczas pobytu w Paryżu?

- *Certainement.* Nie zatrzymuję cię już dłużej, *ma chérie*. Chciałam tylko przekazać ci moje najlepsze życzenia. Z pewnością bardzo się denerwujesz tym, o czym piszą gazety.

- Co masz na myśli?

- Nie zaglądałaś wczoraj do „Le Beau Monde”? Tam jest artykuł o tobie i twoje zdjęcie...

- Niestety, nie. A co piszą?

Carter pogładził mnie po nodze, wstał z łóżka i ruszył do drzwi. Byłam zadowolona, że wyszedł z pokoju, bo Huguette miała dla mnie naprawdę skandaliczne wiadomości. Nie mogłabym ich spokojnie wysłuchać, gdyby nadal prowokował mnie seksualnie.

- Twoje zdjęcie w bikini jest bardzo dobre. Pewnie zachęci wszystkich twoich dotychczasowych adoratorów do ponownego spróbowania u ciebie swoich szans.

- W bikini? A co jest w artykule?

- Piszą, że policja przesłuchiwała cię w sprawie śmierci Michela. To jedyny fakt, na jaki się powołują. Reszta to insynuacje i plotki o twoich przygodach erotycznych, o zdradzie małżeńskiej i o morderstwie Michela. Wszystko,



czego mogłaś się spodziewać. Wiesz, co sprzedają gazety, *ma chérie*.

- O Boże, tylko tego trzeba Carterowi - jęknęłam. - Czy wymienili go?

- Oczywiście. Rogacz jest bardzo ważny w takich opowiastkach. Każdy musi się dowiedzieć, o kogo chodzi.

Zamknęłam oczy. Ciarki przeszły mi po plecach.

- Mogło być jeszcze gorzej - ciągnęła Huguette. - Jeśli interesuje cię moje zdanie, to uważam, że za tym wszystkim kryje się Claudine Lambert. Jej rodzina jest tak ustosunkowana, że z łatwością może zdobyć na policji informacje na temat twojego przesłuchania. Wszystko tu śmierdzi polityką, *ma chérie*. Kiedy w grę wchodzi znane nazwiska i pieniądze, policja przymyka oczy na *favoritisme*.

Do pokoju wszedł Carter. Trzymał w ręku ekspresową przesyłkę, którą rano przywiózł kurier i która potem leżała na biurku w jego gabinecie. Z powrotem usiadł przy mnie na łóżku, słuchając paplaniny Huguette.

- Hillary, wszyscy za tobą przepadamy i nie chcemy, żebyś musiała się tak martwić. Rozmawiałam z kilkoma osobami. Gdy wszystko się skończy, urządzimy wielkie party. Zgadzasz się?

- Ale nie wcześniej, niż ustąpi moja amnezja.

- A dlaczego nie wcześniej, *ma chérie*? Pomyśl tylko, o ile bardziej będzie to ekscytujące, jeśli wszyscy okażemy się dla ciebie nieznanymi?

- Pozwól, że się nad tym zastanowię i oddzwonię do ciebie.

Huguette Cuvillier dała mi wreszcie spokój. Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na Cartera!

- To nie fair. Jak miałam z nią rozmawiać, skoro dmuchałeś mi do ucha?

- Tylko się zrewanżowałam.

- A co takiego ci zrobiłam?

- Podniecałaś mnie.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Więc może rzeczywiście jestem strasznie zepsutym facetem, jak to powiedziałaś. - Pocałował mnie w szyję.

- Carter, są złe wiadomości. - Odsunęłam się.

- Jesteś w centrum uwagi ilustrowanych piśmideł.

- Skąd wiesz?

Podał mi kopertę. Była otwarta.

- Nie zamierzałem ci tego pokazywać, ale skoro Huguette wszystko wypaplała uznałem, że powinienem. Przyjaciel przysłał mi to z Nowego Jorku. Przyszło dziś rano.

Spojrzałam na niego z obawą i wyciągnęłam z koperty magazyn. To był „The New York Press Enquirer”. - O Boże - jęknęłam. - W tym też o mnie napisali?

- Strona trzecia. Ale nie pozwól się wyprowadzić z równowagi. Niektórzy ludzie poczytują sobie za zaszczyt znaleźć się w centrum uwagi „Enquirera”.

Uśmiechnęłam się blado i otworzyłam magazyn na trzeciej stronie. Nad tekstem widniał nagłówek: *Żona amerykańskiego finansisty wplątana we Francji w romans i morderstwo*. Były pod nim trzy zdjęcia: Cartera, moje i Michela. W ich przypadku pokazano tylko twarze, a pod spodem zamieszczono imiona i nazwiska. Natomiast mnie wyeksponowano w kostiumie bikini. Widocznie wzięli zdjęcie z jakiegoś starego pokazu mody. Opatrzyli je pytaniem: „Hillary Bass, czyżby plan się nie powiódł?”

Poczułam łzy pod powiekami. Nie miałam odwagi spojrzeć Carterowi w oczy, więc zaczęłam czytać tekst autorstwa Todda Halleya. Wystarczyło przebiec wzrokiem kilka akapitów, żeby się przekonać, iż Halley postarał się z całych sił przedstawić dowolnie zestawione fakty w aurze skandalu. Cytował policjantów, jakoby spodziewających się demaskacji jakiejś nieczystej gry. Przytoczył też wypowiedzi anonimowych osób na temat mojego romansu z Michele i ironiczny komentarz dotyczący mojej amnezji. Artykuł kończył następujący akapit: „Dlaczego zginął Michel Lambert? Czy w grę wchodziła miłość i seks, czy jak zwykle pieniądze? Inspektor Paul Debray, kierujący śledztwem prowadzonym

przez policję w Nicei, obiecał znaleźć odpowiedź na to pytanie."

- Och, Carter, czuję się strasznie. Zostałeś okropnie upokorzony. Niczym nie zasłużyłeś sobie na to... chyba tylko tym, że się ze mną ożeniłeś.

Pociągnęłam nosem.

- Większość facetów ma nudne żony, a o tobie nie sposób tego powiedzieć. - Otoczył mnie ramieniem.

- Przestań obracać wszystko na moją korzyść. Jesteś tak samo jak ja udręczony tą całą sytuacją.

- Istotnie, teraz sprawa nabrała rozgłosu.

- Czy doprowadzi to do bankructwa firmy?

- Nie, absolutnie nie. To nie ma nic wspólnego z prowadzonymi przeze mnie interesami. - Ujął moją twarz w dłonie i delikatnie mnie pocałował.

- Chyba wolałabym, żebyś nie był taki serdeczny, bo mam jeszcze silniejsze poczucie winy.

- A czego byś chciała? Żebyś cię boksował?

- Nie.

- Zatem czego?

- Czy nie możemy zaskarżyć tych gazet? Odparować ciosu?

- To tylko pogorszyłoby sprawę. Prawdzie raczej nie można zaprzeczyć, bez względu na to, jak niekorzystnie dla nas ją przedstawiają, więc zapomnij o sądach, Hillary.

- Czy myślisz, że na tym się skończy? - Spojrzałam na gazetę.

- A czy to wiadomo? Ten sam artykuł został przedrukowany również w londyńskim brukowcu. Jeśli nic nowego nie wyskoczy, to możemy uważać, że najgorsze mamy już za sobą.

- Jestem tym wszystkim wykończona.

Potrząsnęłam z desperacją głową. Cierpiałam taką psychiczną udrękę, że postanowiłam zaszyć się gdzieś w samotności, ale Carter nie pozwolił mi odejść.

- Kochanie, posłuchaj. Nic sobie nie robię z tego gazetowego gówna.

Łzy napłynęły mi do oczu. Objęłam go, a on mocno przytulił mnie do siebie.

- A więc zapomnij o wszystkim. - Otoczył mnie ramieniem i patrzył mi w oczy. Opór gdzieś się ulotnił, gdy przysunął twarz do mojej twarzy i pocałował mnie. - Usiłuję wykorzystać każdą chwilę twojej skruchy.

Osunęliśmy się na łóżko. Pieścił moją szyję koniuszkiem języka. Wiłam się pod nim i wzdychałam. Jego język był coraz bliżej piersi, a prawą rękę przesunął na wewnętrzną stronę moich ud.

Zatrzymałam ją.

- Jesteś łajdakiem, że wprawiasz mnie w takie podniecenie, bo nic nie podważy faktu, że byłam zdemoralizowaną żoną - wymamrotałam.

- Byłaś?

- Chyba nie chodzi ci o jakiś rewanż?

- Absolutnie słodki.

- Powstrzymaj się - powiedziałam z westchnieniem. Położyłam dłonie na jego głowie, ale nie potrafiłam go odepchnąć. - Wciąż mamy przed sobą wizytę na tym przeklętym jachcie.

- Możemy to sobie darować.

Spojrzałam mu w oczy, usiłując się zorientować, czy chodzi tylko o seks czy o coś więcej. Nie potrafiłam orzec, ale sama byłam podniecona i zdobywałam się na opór z coraz większym trudem.

- Nie masz żadnych spraw do załatwienia? - Usiłowałam wykazać stanowczość.

- Mam, lecz teraz nic mnie one nie obchodzą.

- Wolałabym, byś mi później nie wyrzucał, że z mojego powodu czegoś nie zrobiłeś.

- Przysięgam, że nie będę.

Znowu wiłam się pod nim na łóżku, ale kiedy zaczął drażnić kciukiem mój pepek, usiadłam.

- Nie, Carter. Najpierw wejdziemy na jacht. Muszę sprawdzić, czy poruszy to moją pamięć.

- Wcale nie jestem pewny, czy chcę, żebyś ją odzyskała - wyznał w zadumie.
  - A ja tak.
  - Rzeczywiście?
  - Muszę poznać prawdę. Ta niepewność mnie wykańcza.
  - Hillary, prawda nie ogranicza się do tej jednej sprawy.
  - Ale to, co się stało na jachcie, oznacza krytyczny moment również w naszych stosunkach.
  - Dla mnie nie.
  - Dziękuję - szepnęłam, przysuwając jego czoło do mojego. - Dziękuję również za to, że jesteś taki cudowny i dajesz mi szczęście.
  - Naprawdę czujesz się szczęśliwa? Skinęłam głową.
  - Ale wciąż myślisz tylko o wizycie na jachcie.
  - Istotnie.
  - Więc nie pozostaje mi nic innego tylko zawieźć cię do Tulonu.
- Ponownie skinęłam głową i pocałowałam go.
- Muszę jeszcze wykonać dwa telefony. Od kiedy stałaś się taka prawa, chyba powinienem zachowywać się odpowiedzialnie
  - Nie chciałabym, żebyśmy zbankrutowali. Zachichotał. Czule pogładził mnie po udzie i wstał.
  - Może wieczorem, po żaglach, będziemy mieli powód do jakiejś celebracji.
  - Mam taką nadzieję.
- Mrugnął do mnie i wyszedł z pokoju.

## *Rozdział dwunasty*

Gdy jechaliśmy na przystań jachtową w Tulonie, Carter powiedział mi, że na Francuskiej Ruderze przypada na jeden metr kwadratowy więcej żaglówek niż gdziekolwiek indziej na świecie, także w porównaniu z Florydą i Południową Kalifornią. Nasz wkład w to stanowiła czternastometrowej długości Cambria, która ponadto miała sto metrów kwadratowych żagla. „Pogoda” to, jak się wyraził, sakramencko dobra łajba.

Gdy spytałam go, czy wciąż żegluje, odparł, że w Stanach ma łódź odziedziczoną po wuju.

- To stary Hinckley, Bermuda czterdziestka. Jest zacumowana w Oxfordzie, na Wschodnim Wybrzeżu, w Maryland, blisko miejsca, z którego pochodzi moja matka. Hillary, to jest prawdziwa łódź żaglowa. - W jego głosie słychać było dumę. - Ostatnia z tych budowanych z drewna. Wuj Ben, brat matki, nauczył mnie żeglować na tym Hinckleyu i zostawił mi go w spadku. Gdy pływam, zawsze czuję się tak wspaniale jak w domu podczas świąt Bożego Narodzenia.

Jego entuzjazm uświadomił mi, że chodzi o przyjemności, których nigdy dotychczas z sobą nie dzieliliśmy. Ogarnął mnie smutek.

- Czy kiedykolwiek byłam z tobą na pokładzie tego Hinckleya?

- Raz czy dwa.
- A sprawiło mi to radość?
- Raczej trudno orzec, czym potrafiliśmy się wspólnie cieszyć, a czym nie... Tak przeplatały się w naszym życiu rzeczy dobre i złe...  
To już wiedziałam, ale za każdym razem, kiedy mówił o problemach naszego małżeństwa, czułam ból.
- Nie ma sensu poruszać tego tematu - oświadczył, jakby czytał w moich myślach. - Mieliśmy się skupić na chwili obecnej. Pamiętasz?
- Pamiętam. Skoro jednak żeglarstwo okazuje się tak ważne zarówno w twoim, jak w moim życiu, chcę wiedzieć, jak było. - A konkretnie?
- Czym wyrządziłam ci przykrość, gdy pływaliśmy na twojej łodzi w Maryland?
- Kręciłaś nosem na wszystko. Nie chciałaś, żebym kupił nowego Hinckleya na nasz użytek we Francji, prawdopodobnie dlatego, że domyśliłaś się, iż podjąłem już decyzję. Twierdziłaś, że nie odpowiada ci drewniana konstrukcja i techniczne wyposażenie. Uważałaś, że Hinckley jest niezgrabny, powolny i zbyt ciężki. - Westchnął. - Kiedy oświadczyłem, że nowy model czterdziestki jest najszybszy wśród żaglowców o tym samym zanurzeniu, zaczęłaś szydzić. Powiedziałaś: „B czterdzieści może sobie być najszybszy wśród żaglowców tej samej wielkości, ale przy jego żaglu pobije go jednomasztowa „Przyjaźń”.
- Powiedziałam coś takiego?
- Jestem pewny, że powtórzyłaś to za jakimś pośrednikiem handlowym.
- Nie potrafię tego pojąć.
- Chodzi o to, że lubię mojego Hinckleya i dlatego musiałaś go skrytykować. Ponadto połączyłaś krytykę łodzi z krytyką mojej osoby, wuja i wybrzeża Maryland. Odpowiadało ci niewiele związanych ze mną ludzi i rzeczy.  
Znowu poczułam się okropnie i Carter to zauważył.

- Teraz rozumiesz, dlaczego unikam rozmów na temat przeszłości.
  - O tak, zwłaszcza że wszystko, co możesz o mnie powiedzieć, jest raczej straszne.
  - Hillary, nie potrafię ocenić cię obiektywnie. Na mnie też spoczywa odpowiedzialność za zło, które wydarzyło się w naszym życiu. A skoro nie możesz się bronić, skupmy się na tym, co znamy oboje.
  - Czyli na teraźniejszości.
  - Tak. - Poklepał mnie po ramieniu. - A gdy będziemy kupować nowy jacht, może zdołam cię namówić na Hinckleya.
  - Bez wątpienia.
  - Ta *tabula rasa* w twojej głowie podoba mi się coraz bardziej - wyznał ze śmiechem.
- Carter był optymistą i nie denerwował się tak jak ja wejściem na pokład „Pogody”. Ale dla mnie wszystko stanowiło tajemnicę i obawiałam się tej konfrontacji nawet bardziej niż spotkania z Claudine Lambert.
- Wjechaliśmy do Tulonu. Miasto wyglądało znajomo, lecz nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy dlatego, że zaczynałam odzyskiwać pamięć, czy w związku z tym, że przejeżdżałam przez nie, wracając do domu z kliniki.
- Spotkamy się na przystani z Ericą. Poleciałem jej przygotować jacht do wypłynięcia w morze. Nareszcie ją poznasz.
- Milczałam, ponieważ nie wiedziałam, czy powinnam podzielić się z mężem podejrzeniami wobec Polly i opiekującej się jachtem Angielki. Mąż mógłby potraktować moje zastrzeżenia jako zwykłe czepianie się albo uznać je za objaw paranoi. Poza tym chciał, żebym odniosła jakiś pożytek, zjawiając się na pokładzie „Pogody”, więc i ja się na to nastawiłam.
- Zostawiliśmy Jaguara na parkingu w pobliżu przystani i ruszyliśmy do doków pieszo. Po drodze uważnie przyglądałam się zabudowaniom i ludziom.



Budka strażnika przy wejściu na przystań była pusta, więc Carter pomachał w stronę mężczyzny wyglądającego przez okno budynku kapitanatu portu.

- Zobaczmy jak... dobrze pracuje Erica. - Kliwer powinien być na pokładzie, a główny żagiel na bomie.

- Skoro tak mówisz.

Roześmiał się i objął mnie, przyciskając mocno do siebie. Gdy ruszyliśmy przez istny labirynt nagich masztów, poczułam ucisk w dołku. Słone nadmorskie powietrze przesycił zapach ryb, a w górze krążyły stada mew, tworząc chaotyczny i zgiełkliwy balet z powodu walki, jaką toczyły między sobą o wyrzucane ze statków resztki. Panował tu bezwietrzny upał.

Gdy zbliżyliśmy się do końca doku, natychmiast rozpoznałam, że jeden z trzech zacumowanych tam jachtów to „Pogoda”. Była wyjątkowo piękna - idealnie biała, o pokładach z drewna tekowego i żaglach z cienkiego dakronu, a stojąc nieruchomo tylko kamuflowała swą niezwykle zwrotność.

- Czy rzeczy naprawdę są takie, na jakie wyglądają?

- Jest rzeczywiście dobra i prezentuje się wyśmienicie. Cartera cieszył widok tego jachtu, więc i ja odczuwałam

zadowolenie. „Pogoda” bez wątpienia kosztowała więcej niż niejedna wspaniała willa, więc ważne było, w jakim znajduje się stanie.

Na rufie jachtu pokazała się rudawa blondynka z końskim ogonem. Miała na nosie ciemne okulary.

- Dzień dobry - pozdrowiła nas, schodząc z pokładu, żeby się przywitać.

To była Erica Maxwell, muskularna kobieta o wyglądzie mężczyzny. Nie mogła mieć więcej niż trzydzieści kilka lat. Zsunęła się po trapie ze zręcznością osoby świetnie obeznanej z takim otoczeniem.

- Dzień dobry, panie Bass. - Podała Carterowi dużą dłoń, po czym z uśmiechem wyciągnęła ją do mnie.

- Przykro mi, że zaczęłaś pracować na naszym jachcie, zanim mnie poznałaś.

- O ile wiem, stan pani zdrowia był bardzo ciężki, ale spodziewam się, że czuje się już pani całkiem dobrze.

- Już prawie. Uśmiechnęła się.

Stanowiła klasyczny okaz człowieka spędzającego mnóstwo czasu na żeglowaniu podczas słonecznej pogody. Świadczyła o tym również jej opalenizna. Erica nie miała makijażu, a jej ubranie - wyblakły niebieski podkoszulek, obcięte na udach dżinsy i zszarzałe tenisówki - wydawało się z nią zrośnięte. Odrobinę ode mnie niższa, miała szerokie ramiona, muskularne ręce i prawie płaski biust. Tylko uda zdradzały jej płeć, bo nawet pociągła twarz, z wyjątkiem delikatnych ust, uderzała męskimi rysami. Nasunęła okulary na czoło, więc mogłam zobaczyć jej oczy. Były szare, z lekkim zezem i nadawały jej poważniejszy wygląd niż sylwetka.

- Ma pani śliczny jacht. Nie pracowałam dotąd na Cam-brii, ale czuję ją już całkiem dobrze. To morze wydaje się dla niej idealne.

- A więc nie masz żadnych problemów? - spytał Carter.

- Nie, proszę pana. Łódź jest bardzo zadbana. Przybrudziła się tylko w ciągu ostatnich tygodni, ale nic w tym dziwnego. - Z dumą zerknęła na „Pogodę”, z powrotem zakładając okulary. - Powiedziałabym, że znajduje się w idealnym stanie. Nie została tylko zaprowiantowana.

- Nie szkodzi. Wypływamy na krótko.

- Czy mam przyjść wieczorem, żeby ją roztaklować?

- Będziemy na morzu dwie - trzy godziny.

- Czy coś jeszcze, proszę pana? - Zerknęła na mnie. - Pani Bass?

Oddałam głos Carterowi.

- Nie sędzę, Erico. - Spoglądał już na żagle.

- Wobec tego pojedę do miasta. Miłego popołudnia. Czołem!

Spoglądaliśmy za nią, gdy szła w stronę wyjścia z przystani.

- Wydaje się kompetentna. I miła - przerwałam milczenie.

- Ma dobre referencje.

Odwróciliśmy się w stronę „Pogody”. Powrócił cały mój lęk. Nie potrafiłam opanować ucisku w dołku. Mąż patrzył na mnie, ale całą moją uwagę pochłaniał jacht.

- Carter, znam tę łódź. Byłam na jej pokładzie - odezwałam się po uważnych oględzinach „Pogody”.

- Jasne, że znasz. Byłaś tam setki razy.

- Nie rozumiesz. W moim łóżku też sypiałam wcześniej, ale tak tego nie odbieram. Podobnie jest z domem i z tobą. Kiedy się całowaliśmy, miałam poczucie, że robimy to po raz pierwszy. A w przypadku jachtu jest inaczej. Świetnie pamiętam, że byłam na pokładzie.

Przesunął wzrok z dziobu na rufę, a następnie na nagi maszt.

- Czyli osiągnęliśmy pewien postęp. - Wyciągnął dłoń w stronę „Pogody”. - Zatem wejdźmy, kochanie, na pokład.

Sądziłam, że jestem na to przygotowana, ale stałam jak wrośnięta w ziemię.

- Nie mogę - wydusiłam z siebie. - Owładnęło mną to straszne, złowieszcze uczucie. Uczciwie mówiąc, robi mi się słabo.

- Aż tak silnie działa na ciebie widok „Pogody”? - Carter był zdumiony.

Skinęłam głową.

- To może nie powinniśmy wypływać? - zasugerował.

- Muszę się przemóc.

- Daj rękę. Ostrożnie wejdziemy na pokład. Zacisnęłam spoconą ze strachu dłoń na jego dłoni.

- Wiem, że zachowuję się jak dziecko, ale naprawdę jest mi niedobrze.

- Cokolwiek zdarzyło się wtedy na „Pogodzie”, przyprawiło cię o uraz. Może więc taka twoja reakcja nie powinna być zaskakująca?

Wspięłam się po trapie, przytrzymując się histerycznie

poręczy po obu stronach wejścia. Zerknęłam na pokład pośrodku jachtu.

- Tu mnie znaleziono?

- Pamiętasz to?

- Nie przypominam sobie, co się wydarzyło, ale mam poczucie, że stałam w tym miejscu, zanim zostałam uderzona.

- Najprawdopodobniej przez bom. To mogło się przytrafić tylko nowicjuszowi, ale policja nie była w stanie znaleźć innego wytłumaczenia. Gdy cię znaleziono, przez jakiś czas leżałaś tu nieprzytomna. Weszliśmy do kokpitu. Carter zasugerował, żebym usiadła. Rzuciłam okiem na wyściełane ławki, ster i przyrządy nawigacyjne. Wszystko wyglądało znajomo. Gdybym tylko potrafiła coś sobie przypomnieć... Czułam się bardzo dziwnie. Staralam się opanować przyśpieszone bicie serca.

- Od czasu odzyskania przytomności jeszcze nie miałam tak osobliwych doznań. - Z trudem złapałam oddech. - Chyba zaraz eksploduję.

Carter przysunął się bliżej i wziął mnie za rękę.

- Postaraj się wyrzucić to z siebie, cokolwiek by to było.

- Też tego chcę. - Rozglądałam się wokoło w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby przekłuć balon. Zaledwie drobne fale uderzały w kadłub leciutko rozkołysanego jachtu, a ja już czułam mdłości. I z moim żołądkiem było coraz gorzej. Narastał we mnie strach.

- No jak? Możemy wypłynąć? - spytał mąż.

- Tak. - Zamknęłam oczy, z trudem przełykając ślinę.

- Zostań tu i postaraj się odprężyć.

Zaczął uruchamiać jacht. Kilka razy schodził pod pokład, ale szybko wracał w pobliże kokpitu.

Niemal nie zwracałam uwagi na to, co robi, tak pochłaniała mnie walka z własnymi nerwami. Czułam się bezużyteczna i bezradna. Tyle samo wiedziałam o żeglowaniu co o nawigacji lotniczej, czyli nic.

Po wykonaniu wstępnych czynności włączył silnik i manewrując farwaterem wypływał z doku na pełne morze.

Patrzyłam na niego, gdy stał za sterem i zaciskałam palce na wyściółce ławki.

- Jak się czujesz? - Zerknął na mnie.

- Raczej niedobrze. Wydaje mi się, że mam atak morskiej choroby.

- Mówisz poważnie? Morze jest spokojne jak kaczy staw.

- Widzę, ale czuję się potwornie.

- Może wystaw głowę za burtę. Tylko na zawietrzną. Minęliśmy falochron i wypłynęliśmy na otwartą przestrzeń. „Pogoda” zaczęła się lekko kołysać.

Ilekcó Carter na mnie spojrział, nadrabiałam miną, ale czułam się podle. Nie chodziło tylko o mdłości, lecz także o sięgające zenitu napięcie. Cierpliwie tłumaczył mi, co robi, podnosząc kliwer, zaknagowując fał, a następnie podciągając grot.

„Pogoda” ruszyła z kopyta niczym ognista klacz. W twarz dmuchał mi wiatr. Jednak zamiast radości czułam narastający strach i oszalałe bicie serca. Po kilku minutach poddałam się. Już dłużej nie potrafiłam tego znieść.

- Carter. Nie dam rady. Czy nie moglibyśmy zawrócić?! - zawołałam, przekrzykując wiatr.

- Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz. - Wzruszył ramionami, raczej poirytowany.

Zrobił zwrot, wybrał żagle i skierował „Pogodę” w stronę wejścia do portu. Nie odrywając rąk od steru, obserwował mnie uważnie.

- Jesteś blada jak papier. Łudziłem się, że na pełnym morzu odzyskasz równowagę.

- Dostałam strasznych mdłości.

- Czy to atak morskiej choroby czy coś innego?

- Wiąże się to z pobytem na jachcie.

- Jeśli nie słyszysz szumu w uszach, zejź pod pokład, ale gdybyś rzeczywiście miała objawy morskiej choroby, poczujesz się jeszcze gorzej, nie widząc horyzontu.

- Chcę się położyć w kabinie. Wskazał dłonią zejściówkę.

Gdy znalazłam się w salonie, odniosłam wrażenie, że jestem z powrotem w willi. Zapach powietrza, twarde drewno i skóra okazały się szokująco znajome. Ale już tak przywykłam do nie znanego mi otoczenia, że ilekroć coś sobie przypomiinałam, budził się we mnie lęk. Rozglądając się po wnętrzu nabrałam pewności, że kiedyś już tu byłam. Samo to odczucie napawało mnie strachem. Jednak nie pamiętałam nic konkretnego.

Byłam bliska zemdlenia, więc bezwładnie osunęłam się na miękką kanapę pod ścianą. Dzwoniło mi w uszach. Słyszałam też jakieś krzyki, ale zaraz się zorientowałam, że są wytworem mojej wyobraźni. Przywarłam do kanapy, z trudem łapiąc oddech.

Sen o potyczce z Micheleem na pokładzie jachtu zaczął się odtwarzać w mojej pamięci niczym filmowa taśma. Widziałam nasze pałające gniewem twarze, fruujące ramiona i sylwetki - tuż przy burcie.

Łkałam histerycznie, na wpół świadoma tego, gdzie się znajduję. Straciłam także poczucie czasu.

Ktoś podniósł mnie za ramiona. Otworzyłam oczy. Siedział przy mnie Carter. Objął mnie.

- Tak mi przykro, kochanie. Nie przyszło mi do głowy, że będzie aż tak źle.

Przytuliłam się do niego, a on gładził mnie uspokajająco po włosach.

- Czy znajdujemy się w porcie?

- Tak. Jacht jest zacumowany.

- Dzięki Bogu.

- Może przeczucisz się na skoki spadochronowe? Żeglowanie zupełnie już do ciebie nie pasuje - zażartował ponuro.

- Nie dokuczaj mi - prychnęłam.

- Wracasz do normy?

- Jestem bardzo słaba. Czuję się tak, jakby wszystko wydarzyło się po raz drugi.

- Co, Hillary? Powiedz mi: Spojrzałam na niego z udręką.

- Sen, który kiedyś miałam, odtwarzał się bez końca w mojej głowie. Szamotałam się z Michele na pokładzie jachtu. - Zagryzłam wargi. - Uderzyłam go i...

- I?

- Usiłowałam wypchnąć za burtę...

- To tylko sen i twoja wyobraźnia. - Pogładził mnie po włosach.

- Ale nasza walka wyglądała tak realistycznie. - Byłam zrozpaczona. - Carter, obawiam się, że to zrobiłam... że zabiłam Michela.

- Bądź rozsądna. Straciłaś panowanie nad nerwami i nad wyobraźnią. To wszystko.

- Tak się boję. - Objęłam go za szyję.

- Odpocznij tu, a ja pójdę po samochód. Podjadę pod bramę portu. Nie ma sensu ciągnąć cię w takim stanie na parking. Wrócimy do domu.

- Nie zostawiaj mnie tu samej.

- Wrócę za kilka minut. Poczekasz na mnie w samochodzie, dopóki nie zwinę żagli. Erica jeszcze długo się tu nie zjawi.

Nie miałam siły, żeby się nadal upierać. Chciałam tylko jak najszybciej znaleźć się w domu.

- A może zaprowadzić cię do naszej dawnej kabiny? Byłoby ci wygodniej.

- Dobrze. - Wstałam i chwiejnym krokiem ruszyłam do forpiku.

- Och nie. Tam są kabiny dla obsługi jachtu. - Wziął mnie pod rękę i zaprowadził na rufę.

Łóżko w kabinie wyglądało tak zachęcająco, że natychmiast opadłam na miękkie poduszki. Carter usiadł przy mnie i pocałował mnie w czoło.

- Poradzisz sobie beze mnie?

- Tylko wracaj szybko.

Spoglądając przez luk na mały port jachtowy zastanawiałam się nad doznana przed chwilą wizją.

Doszłam do wniosku, że nie była produktem wyobraźni, lecz na nowo prze-

żyłam coś, co mi się przydarzyło naprawdę, choć nie mogłam sobie tego przypomnieć. Nie potrafiłam odblokować pamięci, ale nie wątpiłam, że kryją się w niej fakty stanowiące przedmiot wizji. Intuicja podpowiadała mi, że są straszne i złowieszcze, i dlatego bronię się przed nimi za pomocą amnezji. Podniosłam się z łóżka i chwiejnym krokiem przeszłam z powrotem do salonu. Znowu zaczęły mnie prześladować omamy słuchowe. Zerknęłam przez luk na widniejący w górze port i zaczęłam drżeć. Nie miałam pojęcia, czego tak się obawiam, bo nie dostrzegłam nic szczególnego. Jednak opętał mnie szaleńczy strach. Pragnęłam rozpaczliwie znaleźć się poza jachtem. Drżały mi nogi i nie potrafiłam iść prosto, lecz wysiłkiem woli wspięłam się po trapie na pokład. Owiał mnie chłodny wiaterek. Byłam mokra od potu. Przerazał mnie pisk krążących w górze mew. Instynktownie uciekając z jachtu, zsunęłam się po drabince pokładowej, omal nie wpadając do doku. Nie dostrzegłam żywej duszy, a nagie maszty łodzi żaglowych stały nieruchomo w grobowej ciszy. Ruszyłam do bramy portowej. Nie wiem, jak daleko uszłam, kiedy to się stało. Znajdowałam się dwadzieścia lub trzydzieści metrów od „Pogody”, gdy ciszę przerwał ogłuszający huk. Podmuch powietrza rzucił mnie na beton. Po otrząśnięciu się z szoku uświadomiłam sobie, że leżę twarzą do ziemi, a wokół mnie znajduje się mnóstwo gruzu. Osłupiała, tkwiłam bez ruchu w chmurze gryzącego dymu, czując w uszach niemiłosierne dzwonięcie. Z całą pewnością mogłam powiedzieć tylko to, że wciąż żyję.



### *Rozdział trzynasty*

Upłynęła dobra chwila, zanim ktoś do mnie podszedł. Najpierw przybiegł portowy strażnik, a tuż po nim Carter, omal nie przewracając biedaka. Wciąż leżałam na brzuchu, ale uniosłam głowę, spoglądając na męża. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu uderzyła mnie biel jego ubrania. Klękając przy mnie, odrzucił przytłaczające mnie odłamki gruzu.

- Boże drogi, Hillary, czy nic ci nie jest?

- Nie wiem, ale mam nadzieję, że nie - wymamrotałam oszołomiona.

Świat wokół mnie nabrał dziwnych, surrealistycznych cech. Czułam się absolutnie z niego wyłączona, choć rejestrowałam wszystko, co się działo. Nie doświadczałam żadnych szczególnych doznań zmysłowych, z wyjątkiem uporczywego dzwonięcia w uszach, choć i ono zdawało się dochodzić z daleka. Miałam też poczucie, że moja świadomość odłączyła się od ciała. Obserwowałam, jak Carter obmacuje moje kończyny, szukając ewentualnych złamań.

Zaczęłam się rozglądać. Napotkałam oczy równie jak ja zdumionego strażnika, mężczyzny po pięćdziesiątce, z siwymi wąsami i w służbowej czapce.

- Spróbuję cię odwrócić. - Carter delikatnie przekreślił mnie na plecy, jakby miał do czynienia z inwalidką.

Usiadłam, spoglądając na koniec drogi, którą tu przyszłam. Nie dostrzegłam nawet szczątków „Pogody”, tylko

zniszczonej części doku. Stojąca tam żaglówka przechyliła się o czterdzieści pięć stopni, zawadzając masztem o pokład sąsiedniej.

Strażnik ruszył niezdarnie w stronę rumowiska, lecz po chwili zatrzymał się i spojrzał na nas z niedowierzaniem.

- *Est-ce qu'il y a quelqu'un d'autre?* Czy był tam ktoś jeszcze?

- *Non, personne.* Nie - odparł Carter. Spoglądaliśmy na siebie. Mąż był przestraszony.

- Co się stało? - wymamrotałam.

- Nie wiem. „Pogoda” wybuchła. Jak się z niej wydostałaś?

- Zeszłam z pokładu, chcąc znaleźć ciebie, a zaraz potem... - Poczulałam łzy w oczach, bo nareszcie zaczęło do mnie docierać, co się naprawdę stało.

- Hillary, mogłaś zginąć. - Carter objął mnie i mocno przytulił.

Dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. Gdybym nie wpadła w panikę i nie opuściła jachtu, zostałabym razem z nim rozerwana na strzępy.

Podbiegli do nas inni pracownicy portu. Patrzyli na nas zdumieni i zadawali pytania. Nie rozumiałam, bo mówili po francusku, ale wszystko mogłam wyczytać z tonu ich głosów. Wkrótce otaczał nas wianuszek ciekawskich. Carter nie wypuszczał mnie z objęć.

- *Est-ce que madame est blessée?* - Czy pani jest ranna? - *Que s'est-il passé?* - Co się stało? *Doit-on faire venir une ambulance?* - Może trzeba wezwać pogotowie?

- Chcesz wstać, kochanie, czy wolisz siedzieć? - szepnął mi do ucha mąż.

- Chcę wstać.

Wraz z jakimś mężczyzną pomógł mi się podnieść. Byłam słaba i odrętwiała, lecz nic mnie nie bolało. Objął mnie w talii i ruszyliśmy do wyjścia. Rozległ się sygnał wozu policyjnego. Zatrzymał się na nasz widok, a policjant spytał, czy nie ma innych poszkodowanych. Mąż

poinformował, że tylko ja ucierpiałam, lecz raczej nic poważnego mi nie dolega.

Gdy znaleźliśmy się przy samochodzie, na miejsce eksplozji wyruszał oddział straży pożarnej. Wciąż byłam tak zszokowana, że Carter musiał mnie posadzić w Jaguarze. Teraz już w pełni docierało do mnie, że byłam o krok od śmierci.

- Czy zawieźć cię do szpitala? - Mąż siedział za kierownicą i troskliwie trzymał mnie za rękę.

Miałam lekko rozcięty łuk brwiowy i otarty naskórek na dłoniach. Skaleczenia były tak drobne, że wcześniej ich nie zauważyłam.

- Nic mi nie jest.

- Co się stało na jachcie? Nie dotykałaś niczego?

- Nie. Nic tam nie robiłam. - Zasłoniłam uszy dłońmi i potrząsnęłam głową. - Czyżby wyciekła benzyna? - Nic takiego nie mogło się zdarzyć, bo na „Pogodzie” zawsze był zamontowany diesel. A czułaś zapach benzyny?

Ponownie potrząsnęłam głową.

- A może usłyszałaś lub zobaczyłaś coś podejrzanego?

- Nie, nie skłoniło mnie do zejścia z jachtu nic takiego. Nie czułam się dobrze, więc pewnie nie byłam zbyt spostrzegawcza, ale naprawdę niczego nie zauważyłam.

Carter sprawiał wrażenie zaskoczonego i zmartwionego. Zastanawiałam się, o czym myśli.

Przy wejściu na przystań zgromadził się już spory tłum. Usłyszałam sygnał alarmowy karetki pogotowia, a za moment zobaczyłam sam ambulans. Stróże porządku starali się zapanować nad sytuacją, zawracając gapiów zmierzających na miejsce wypadku.

- Powiniennem porozmawiać z policjantami. Czy jesteś w stanie siedzieć tu przez chwilę sama?

- Oczywiście. Nic mi nie jest.

Carter wysiadł, a ja spoglądałam w stronę tłumu. Nie pojmowałam, jak to się stało, że wciąż żyję, choć zgodnie z logiką powinnam leżeć martwa. Trudno było mi oswoić się z myślą, że o ludzkim życiu może decydować jakiś zbieg

okoliczności czy zwykły przypadek. Obserwowałam Cartera. Rozmawiał z wysokim, trzymającym się prosto funkcjonariuszem policji, ubranym w prosty letni uniform i kepi. Podszedł z Carterem do Jaguara.

- Czy byłaby pani tak uprzejma, żeby przejść do policyjnej furgonetki? Będzie nam tam wygodniej rozmawiać.

Wysiadłam z samochodu. Policjant przedstawił się jako kapitan Marguet. Mówił wolno, ale jego angielski był jasny i na ogół poprawny. Dziwne wrażenie robiły na mnie jego poruszające się w trakcie mówienia wąsiki. Zerknęłam na Cartera. Wciąż miał posępną, zamyśloną twarz.

Wsiadliśmy do furgonetki. Kapitan przywołał sanitariusza pogotowia, by opatrzył moją lekko krwawiącą lewą dłoń. Poczęstował mnie wodą mineralną. Mąż usiadł naprzeciwko mnie. Miał smutne oczy i ściągnięte brwi.

Marguet poprosił mnie o przedstawienie przebiegu zdarzeń. Gdy skończyłam, zaproponował, żebym tu jeszcze przez chwilę posiedziała i zastanowiła się, czy naprawdę nie powinien mnie zbadać lekarz. Oświadczyłam, że nic mi nie jest.

Gdy wysiadł, Carter od razu znalazł się przy mnie. Ujął moją dłoń w swoje.

- Mam nadzieję, że niebawem pozwolą mi zabrać cię do domu.

- Naprawdę czuję się dobrze.

- Muszę wyznać, że po tym zdarzeniu straciłem nieco dotychczasową pewność siebie. Oczywiście słyszałem o wylatujących w powietrze jachtach, ale widziałem to po raz pierwszy. - Pieszczotliwie gładził mnie po dłoni.

- Czy „Pogoda” była ubezpieczona?

- Oczywiście.

- To może będziesz mógł teraz kupić swojego ulubionego B czterdzieści czy jak go tam nazywają.

- To kusząca sugestia, ale taki sposób pozbycia się „Pogody” w ogóle nie przyszedł mi do głowy.

Dopiero teraz pomyślałam, że ktoś mógł chcieć mnie

zabić, rozmyślnie doprowadzając do eksplozji jachtu. Zaczęły mi drżeć ręce.

- Czy sądzisz, że to był wypadek, czy raczej ktoś chciał się nas pozbyć?

- Nie mam pojęcia. Właśnie policja usiłuje tego dociec. - Wskazał głową na gęstniejący w pobliżu furgonetki tłum urzędników i pracowników odpowiedzialnych za bezpieczeństwo w porcie. - To niewiarygodne, że niewielka ilość gazu lub benzyny może spowodować takie zniszczenia. Okazuje się, że niesie większe zagrożenie niż pół kilograma materiału wybuchowego.

- Mówiłeś, że „Pogodę” uruchamiał diesel, a nie silnik benzynowy.

- Zgadza się, jednak gazolina mogła się tam znajdować z innych powodów. Kiedyś przewoziliśmy na zewnątrz jachtu zbiorniki z benzyną i jeden pozostał w izolacie. Muszę spytać Ericę, czy znajdował się tam jeszcze. - Carter przeczesał nerwowo włosy. - Istnieje też możliwość, że Whitford trzymał na jachcie kuchenkę benzynową lub gazową. Ludzie, którzy dużo gotują, często tak robią, bo kuchenki spirytusowe nie dają nadmiernego ciepła, choć są bezpieczniejsze.

- Co wywołuje taki wybuch? Myślałam, że w dzisiejszych czasach stosuje się różne zabezpieczenia.

- W przypadku gazu łodzie są szczególnie narażone na eksplozję, bo jest lżejszy od powietrza i zbiera się na dnie, bez względu na to, gdzie znajduje się kuchenka lub zbiornik. Gdy zgromadzi się dostateczna ilość, wystarczy iskra, żeby nastąpił wybuch. Wprawdzie automatyczna pompa powinna się uruchomić i zalać ewentualny płomień, ale może nastąpiło zwarcie w instalacji elektrycznej.

Połącz to wszystko, a nie będziesz mogła wykluczyć eksplozji jachtu wartego ćwierć miliona dolarów, o sile wybuchu, jaką daje bomba ważąca tonę.

- Brzmi to tak, jakbyś ani przez chwilę nie wątpił, że faktycznie zdarzył się wypadek.

- W tej chwili to jest najbardziej logiczne wytłumaczenie. - Spojrzał mi głęboko w oczy.

Zerknęłam na kłębiących się wokół furgonetki ludzi. Trudno mi było uwierzyć, że znajduję się w centrum tego wszystkiego. Zaczęłam drżeć.

- Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek ustalą, co się wydarzyło.

- Marguet poinformował mnie, że eksperci od wybuchów i nurkowie są już w drodze z Marsylii. Bez wątplenia najdrobniejsze odłamki gruzu mogą im dużo powiedzieć. Kapitan usiłuje się skontaktować telefonicznie z inspektorem Debrayem w Nicei. Powiadomiłem Margueta o śledztwie.

- Uważasz, że eksplozja może mieć jakiś związek ze śmiercią Michela?

- Wolałbym tak nie myśleć.

Nie byłam pewna powodu, dla którego Carter udzielił mi takiej odpowiedzi, ale z mojego paranoicznego punktu widzenia miała ona głęboki sens, bo być może ktoś chciał mi odpłacić tym samym za tragiczną śmierć Michela podczas przejażdżki jachtem.

- Hillary, może chciałabyś zmienić otoczenie... Co powiesz na propozycję spędzenia weekendu w Paryżu? - Carter objął mnie, jakby starając się zapewnić mi w ten sposób poczucie bezpieczeństwa.

- W Paryżu?

- Wybieram się tam w interesach i nie chciałbym zostawiać cię samej. Jeśli ze mną pojedziesz, nie będę musiał się o ciebie martwić.

- Sądysz, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

- Może nie, ale wolałbym, żebyś nie była wystawiona na żadne ryzyko. Poza tym dobrze byłoby mieć cię przy sobie.

Po dwudziestu minutach pozwolono nam pojechać do domu. Podczas podróży powróciłam myślami do bardziej znajomej rzeczywistości, jednak wciąż czułam strach i drę-

czyło mnie przeświadczenie, że wybuch „Pogody” to nie koniec groźnych zdarzeń. Zanim dotarliśmy do Montfaucon, dawało mi się we znaki nie tylko wyczerpanie psychicznie, ale i straszny ból głowy. Od razu skierowałam się do sypialni. Carter odprowadził mnie na górę, pytając, czy nie posłać po doktora Lafona. Czułam sympatię do tego serdecznego człowieka, ale nie mógł przecież działać więcej niż tabletki aspiryny, więc uznałam jego wizytę za zbędną.

- Czy czegoś potrzebujesz? - zatroszczył się mąż gdy dotarliśmy do mojego pokoju.

- Gdzie może być Poof? - Usiadłam na łóżku i rozglądałam się wokoło.

- Chcesz, żebym ją odszukał?

- Lubię ją głaskać, gdy zasypiam.

- Zatem rozejrzę się.

- Nie trzeba.

- To żaden kłopot. - Poglądził mnie po włosach. Zajrzał pod łóżko, a nie znalazłszy tam kotki, ruszył do garderoby. - Poof jest pewnie na dole - powiedział od drzwi i wyszedł.

Czując woń róż, odwróciłam głowę w ich stronę. Po chwili wstałam, żeby je powąchać. Jak zwykle ogarnęła mnie fala niezrozumiałych emocji. Budziły udrekę, choć wciąż najdotkliwiej doskwierała mi niechciana wizja walki, jaką toczyłam z Michelelem na pokładzie jachtu. Była bardziej namacalna i przerażająca od przeczuć wywoływanych przez róże. Zastanawiałam się, czy na skutek dziwnego zrzędzenia losu ta wizja może mnie prześladować do końca życia. I po raz któryś przyszło mi do głowy straszne pytanie: czy przypadkiem moja pamięć nie ukrywa czegoś znacznie gorszego niż ta walka, i czy wizja nie stanowi tylko zapowiedzi dalszych zdarzeń?

Usłyszałam kroki Cartera w hallu. Wszedł do pokoju, niosąc na ręku Poof i głaszcząc ją pieszczotliwie.

- Znalazłem ją w kuchni. - Podeszedł do mnie i położył kotkę na łóżku.

Dotknęłam jej nosa, czując przyływ radości.

- Od kiedy ją mam?

- Od jakichś pięciu lat. Jest ze Szwajcarii. Byliśmy na nartach w Gstaad. Kotka z domu wypoczynkowego urodziła młode. Gdy się tam zjawiliśmy, była przy niej jeszcze tylko Poof. Przypominała ci kota, którego miałaś w domu rodzinnym, więc postanowiłaś przemycić ją do Francji. Przewiozłaś ją przez granicę w torebce.

- To jedyna historia z mojego życia, w którą potrafię uwierzyć. - Pocałowałam Poof w łebek. Carter uśmiechnął się ze zrozumieniem. Widać było, że nie ma ochoty wychodzić, ale mnie dawało się we znaki wyczerpanie i chciałam się położyć.

- Przykro mi, że jestem taka małoduszna.

- Po tym, co przeszłaś, powinnaś odpocząć. Przeżycia dzisiejszego dnia powinny ci starczyć przynajmniej do końca roku.

Nietrudno było mi się z nim zgodzić. Gdy wyszedł, zażyłam dwie aspiryny i wraz z Poof ułożyłam się do snu. Zamiast upragnionego odprężenia wciąż czułam tylko zdenerwowanie. Odetchnęłam głęboko i skupiłam się na popołudniowych wydarzeniach. Dopiero teraz, w ciszy sypialni, potrafiłam je w pełni ogarnąć. Bez końca odtwarzałam w pamięci moment przerażającej eksplozji jachtu.

Po jakimś czasie wróciłam myślami do ostatnich chwil spędzonych z Carterem na „Pogodzie”.

Wybierał się po samochód, zachęcając mnie do pozostania na jachcie... Przyszło mi do głowy straszne pytanie: czyżby wiedział, że zaraz nastąpi wybuch? Przypuszczenie, że nie chodzi o wypadek, podziało niczym cios w serce. Mąż z taką pewnością rozważał wyciek benzyny lub ulatnianie się gazu jako możliwe powody eksplozji, a ja myślałam teraz o bombie i o tym, że mógł o niej wiedzieć. Zarazem nie potrafiłam uwierzyć, że chciał mojej śmierci. Tłumaczyłam sobie, że tylko przez przypadek zszedł z pokładu kilka minut przed wybuchem. A poza tym bombę mógł podłożyć ktoś inny. Ostatecznie kierowanie podejrzeń na Cartera uznałam za objaw mojej paranoi.



Obudziłam się z drzemki, pamiętając dwa sny. Jeden przedstawiał walkę z Michelelem, w drugim ścigał mnie Carter. Gdy do sypialni weszła Yvonne, by poinformować, że niebawem poda kolację, oświadczyłam, że nie czuję się dobrze. Przystałam na jej propozycję, żeby zjeść posiłek tutaj. Po kilku minutach od wyjścia gospozi zjawił się Carter.

- Widzę, że masz się nie najlepiej. - Sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego.

- Jak widać, żaden cios mnie nie omija.

Usiadł na łóżku i wziął mnie za rękę. Usiłowałam reagować w sposób opanowany i naturalny, jednak bez powodzenia. Spostrzegł w moich oczach lęk.

- Naprawdę jesteś wytrącona z równowagi.

- To, co wydarzyło się po południu, podziało na mnie silniej, niż się spodziewałam - odparłam z anemicznym uśmiechem.

- Czy chcesz, żebym sprowadził doktora Thiriona?

- Nie trzeba. Wystarczy mi zdrowy mocny sen.

- Jesteś pewna? Potaknęłam gorliwie.

Pogładził moją dłoń tak pieczołtliwie, że przeszył mnie dreszcz podniecenia. Jednak nie potrafiłam patrzeć mu w oczy. Wprawdzie mówiłam sobie, że to ze mną, a nie z nim są problemy i że nie zrobiłby nic, co mogłoby wyrządzić mi krzywdę, ale wcale nie byłam tego taka pewna.

Yvonne zjawiła się z kolacją. Podziękowałam jej. Od razu wyszła z pokoju, za to Carter wciąż tkwił przy mnie. - Nie zamierzasz jeść? - spytałam nerwowo.

- Już coś przekąsiłem, ale jeśli nie masz nic przeciwko mojemu towarzystwu, chętnie wypiję z tobą kawę.

- Oczywiście.

Jadłam w skupieniu zupę, choć apetyt wcale mi nie dopisywał. Po prostu wciąż nie potrafiłam podnieść oczu na Cartera, mimo iż nadal mówiłam sobie, że zachowuję się paranoicznie, gdyż podejrzewanie go o okrutne czyny i zamiary nie znajduje żadnego uzasadnienia. Zanim udaliśmy

się na przystań, okazał mi czułość i przywiązanie, i wspinał się ze mną droczył. Usiłował mi nawet wyperswadować przejażdżkę jachtem, chcąc się ze mną kochać. To doprawdy nie pasowało do kogoś, kto planował morderstwo. A poza tym, jaki motyw mógłby nim powodować? Żądza pieniędzy? Był wystarczająco bogaty. Z kolei przypuszczenie, że chciał w ten sposób odpłacić mi za zdradę, wydawało się całkiem niedorzeczne, zważywszy, jak mnie traktował.

Zjadłam kilka kęsów filetu z piersi kurczaka i nieco zielonego groszku, po czym odłożyłam widelec.

- Nie jestem głodna - oznajmiłam rozdrażniona. Odebrał z moich rąk tacę i odstawił ją, a sam z powrotem usiadł na łóżku i wziął mnie za rękę.

- Hillary, muszę ci o czymś powiedzieć - zaczął z powagą. Staneło mi serce.

- Kiedy spałaś, zadzwonił kapitan Marguet. Chciałby się do nas wybrać.

- Po co?

- Jest absolutnie pewny, że eksplozję spowodowała bomba. Otworzyłam usta ze zdziwienia. Na domiar złego dowiadywałam się tego od Cartera.

- Bomba?

- Tak. Przesłuchiwali Ericę Maxwell.

- Ericę - powtórzyłam za nim jak automat. Ależ tak, choć dotychczas w ogóle nie przyszło mi to do głowy. Została wynajęta do opieki nad jachtem, więc podejrzenia były uzasadnione, choć oczywiście mogły obejmować wiele osób. Jak zatem mogłam tak pochopnie obciążać odpowiedzialnością własnego męża? Wreszcie spojrzałam mu w oczy i spytałam: - Ale z jakiego powodu Erica miałaby to zrobić?

- Kapitan Marguet nie twierdzi, że to ona. Uważa tylko, że powinna lepiej niż inni znać jacht i wiedzieć, czy ktoś kręcił się w pobliżu.

- Oczywiście.

- Sądziłem, że jestem ci winien informację na temat

podejrzeń Margueta przed naszym z nim spotkaniem. Chodzi o to, żebyś była przygotowana na jego rewelacje. - Dziękuję.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

Zawahał się, lecz milczałam, czekając, aż dokończy.

- Niepokoi mnie, co mogłaś pomyśleć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy nie zastanawia cię, że zszedłem z pokładu zaledwie na kilka minut przed eksplozją tej cholernej łajby? Zanim spytał, wpatrywał się we mnie w skupieniu.

- To znaczy chcesz wiedzieć, czy cię nie podejrzewam? - Byłam zaskoczona jego otwartością.

- Chyba nie przemawia na moją korzyść to, że zostawiłem cię samą na jachcie na chwilę przed wybuchem? - odpowiedział pytaniem na pytanie i wzruszył ramionami.

- Ale dlaczego miałbyś chcieć mojej śmierci? Czy mimo woli nie sugerujesz, iż mógłbyś być nią zainteresowany? - Starłam się, by ton mojego głosu zdradzał niewiarę w taką możliwość.

- Z całą pewnością tego nie sugeruję. Jak powiedziałem, niepokoi mnie, że możesz zadrećcać się pytaniem, jaki był rzeczywisty powód, dla którego zszedłem przed tobą z pokładu.

- Uznałam ten, który mi podałeś - odparłam obojętnie.

- Czyli nie brałaś pod uwagę innego?

- Nie - skłamałam.

Odetchnął z ulgą, jakby zrzucił z ramion nieznośne brzemię, i uśmiechnął się. Usiłowałam zachowywać się swobodnie, ale wątpliwości wciąż mnie nie opuszczały. Bo czy Carter dawał mi do zrozumienia, że jest niewinny, czy raczej zastosował wybieg, chcąc wyeliminować moje podejrzania? Uczciwie mówiąc, doprowadzały mnie one do szału, ponieważ pragnęłam mieć męża, na którym mogłabym polegać, zamiast kwestionować jego uczciwość.

- Oczywiście absolutnie mi nie odpowiada, że okoliczności wybuchu przedstawiają mnie w niekorzystnym świetle.

W pierwszej chwili nawet nie przyszło mi do głowy, że mogę być podejrzewany, ale po rozmowie telefonicznej z Margue-tem zacząłem to brać pod uwagę. Teraz, rzecz jasna, ubolewam nad tym, że nie zabrałem cię do samochodu.

Żałowałam swoich podejrzeń wobec niego bardziej chyba niż on własnej nieostrożności, lecz nie potrafiłam mu o tym powiedzieć.

- Carter, przestań się tym przejmować, bo nie żywię wobec ciebie żadnych obaw.

Uścisnął mi dłoń.

- Gdybym rzeczywiście zamierzał pozbawić cię życia, spędzane z tobą ostatnio chwile oznaczałyby tylko marnowanie czasu. To chyba oczywiste.

Ta myśl była logiczna. Bo po co pielegnować miłość, skoro naprawdę pała się do kogoś nienawiścią i chce zagarnąć jego majątek?

- Przynajmniej możemy być wdzięczni losowi, że wszystko dobrze się skończyło.

- O tak - potwierdził skwapliwie. - Wolałbym jednak, żeby wypadki potoczyły się inaczej. - Pocałował mnie. -Dziękuję za okazanie zaufania. To dla mnie bardzo ważne.

Uśmiechnęłam się, ale w głębi duszy czułam się okropnie. Bo dlaczego w chwili, w której zaczęłam wierzyć w możliwość odbudowania naszego związku, wszystko się pogmatwało? Czyżby moje winy były tak straszne, że sama sobie zgotowałam los osoby skazanej przez innych na śmierć?

Znajdowałam się w tak tragicznej sytuacji, że coraz lepiej rozumiałam Hioba. Ale ten biblijny starzec przynajmniej wiedział, kim jest i co uczynił. Z powodu spodziewanej wizyty Margueta przebrałam się w lekką bawełnianą sukienkę. Carter, który na dobre utkwiał w mojej sypialni, zaproponował, żebyśmy, czekając na kapitana, zagrali w cribbage.

- Na początku naszego małżeństwa grywaliśmy w to

całkiem często. To była jedna z niewielu rzeczy, która nam obojgu sprawiała przyjemność.

- Jakie to przygnębiające. A kiedy po raz ostatni graliśmy w cribbage?

- Przed czterema czy pięcioma laty.

- Kto wygrywał?

- Na ogół ty.

Poszedł po planszę i karty, a ja ruszyłam wolno przez pokój, starając się panować nad uczuciami.

Zatrzymałam się przy otwartym oknie. Zmierzchało. Zapowiadał się kolejny piękny wieczór.

Spojrzałam na zabandażowaną dłoń. Ponownie zaczęło mnie dręczyć pytanie, dlaczego ta cholerna eksplozja zdarzyła się akurat teraz, kiedy wszystko zaczęło się układać?

Wrócił Carter. Usiedliśmy przy stole. Wyciągnęliśmy karty, żeby ustalić, kto rozdaje. Wypadło na mnie. Zaczęłam tasować talię. Zerknęłam na męża, przypominając sobie, jak uroczo zalecaliśmy się do siebie dziś rano. Czy mógłby się tak zachowywać, gdyby rzeczywiście za kilka godzin zamierzał posłać mnie na tamten świat? Wydawało mi się, że ten Carter Bass, którego znałam od kilku dni, nie jest zdolny do takiej okrutnej premedytacji.

Skończyłam rozdanie i oboje zrzuciliśmy się z kart. Carter zaczął wyciągać.

- Nie zapomniałaś, jak się gra. Zadziwiające jest, co pamiętasz, a czego nie. Zgadzasz się ze mną?

Nie zastanawiałam się nad tym, ale miał rację. Zapomniałam wszystko, włącznie z francuskim. Nie potrafiłam już rozróżnić win ani żeglować, ale umiałam grać w cribbage.

- Może gry pamięta się tak samo jak czytanie i pisanie?

- Sprawdźmy, jak ci idzie.

Po kilku rozdaniach zdecydowanie prowadziłam.

- Coś mi to przypomina - orzekł ze śmiechem.

- Może francuski, wina i żeglowanie kojarzą mi się z Mi-

chelem i dlatego zapragnęłam wyrzucić je z pamięci? -spekulowałam na głos.

- Ale przecież pamiętasz nie mnie, lecz jego - replikował Carter.

- Jednak nie są to miłe wspomnienia.

Pogładził mnie po ręce. W zamyśleniu spojrzałam na jego palce. Jakże chciałam mu ufać. Gorąco pragnęłam poznać prawdę, zdobyć dowód jego niewinności. Teraz jedynym sposobem oczyszczenia go z podejrzeń było oczywiście skierowanie ich na kogoś innego.

Zastanawiałam się nad możliwymi winowajcami. Erica Maxwell zrobiła na mnie dobre wrażenie, lecz to ona miała najlepszą sposobność ukrycia na jachcie bomby. A jeśli tego nie zrobiła, to dlaczego temu nie zapobiegła lub przynajmniej w porę nie zorientowała się w sytuacji? Pomyślałam też o Polly.

Kierowca powiedział mi przecież, że zanim odebrała mnie z kliniki, spotkała się z jakąś kobietą. Może właśnie z Eriką? A dziś rano pojechała do banku do Tulonu. Czy przypadkiem nie zrobiła również wypadu na przystań? Jednak Antonio raczej poinformowałby mnie o tym, o ile oczywiście nie działał w zмовie z nią, udając tylko przede mną, podobnie jak ona, ich wzajemną niechęć.

Jeśli mimo wszystko wykluczyłabym tę trójkę z kręgu podejrzanych, to jeszcze pozostawała Claudine Lambert, a także Bob Whitford. Huguette uważała, że był tak rozwścieczony na Michela, że mógł chcieć go zabić. A skoro na Michela, to dlaczego również nie na mnie? Z kolei Claudine pałała do mnie nienawiścią... Tylko jeden Bóg wiedział, ile jeszcze osób żywiło wobec mnie jakieś urazy.

- Hillary, plansza - przypomniał mi Carter, gdy obliczyłam punkty zarobione na kartach trzymanyh w ręku.

Podniosłam karty leżące na stole. Były wśród nich cztery kiery.

- Spójrz, mam sekwens! - krzyknęłam.

- W żadnym wypadku, bo jest też jeden pik.

- Ale zarobiłam cztery punkty za kiery.
  - Na planszy sekvens to pięć kart tego samego koloru. Tylko w przypadku kart w ręku wystarczą cztery.
  - To nieprawda. Zarobiłam te punkty.
  - Nie, spieraliśmy się o to, gdy graliśmy po raz pierwszy. Sprawdziliśmy w instrukcji i okazało się, że mam rację. W przypadku ręki i stołu obowiązują dwie różne zasady. Spojrzałam na niego z dezaprobatą.
  - Nie pamiętasz?
  - Oczywiście, że nie. Jakim cudem miałabym pamiętać, skoro nawet tobie coś się myli!
- Roześmiał się.
- Chyba mnie oszukujesz - upierałam się.
  - Chcesz, żebym przyniósł instrukcję?
  - Nie. Zamierzam cię doszczętnie pobić, zarabiając czterdzieści punktów.
- Spoglądał na mnie uważnie, pocierając dłonią podbródek. Miał dziwną minę.
- O co chodzi?
  - To zastanawiające, że pamiętasz tę odmianę cribbage, w którą grałaś, zanim się poznaliśmy, zupełnie jakbyś wyparła ze świadomości cały okres małżeński.
  - A może rzeczywiście mnie oszukujesz - nie ustępowałam.
  - Nie. Hillary, zaskakujące jest, że nie pamiętasz trzech rzeczy, których nauczyłaś się w okresie małżeńskim, to znaczy: francuskiego, rozróżniania gatunków win i żeglowania. Natomiast nie zapomniałaś wersji cribbage, jaką znałaś wcześniej. Chyba zgodzisz się ze mną?
  - Jak sądzisz, co to znaczy? Wzruszył ramionami.
  - Czy nie okażę się zbyt tendencyjny, jeśli powiem, że być może podświadomie próbujesz zacząć wszystko od początku? - spytał rozpromieniony.
  - Istnieje taka możliwość.

- Jedyna, jaka mnie cieszy. - Roześmiał się dobrodusznie.

Wciąż graliśmy w cribbage, gdy zapukała Yvonne. Zaanonsowała przyjazd kapitana Margueta i jeszcze jednego oficera policji.

- No, no. Gliny uratowały mnie od klęski. Hillary, jak zwykle nie masz za grosz litości.

Podał mi rękę, pomagając wstać. Osunęłam się w jego ramiona i przytuliłam do niego, pragnąc poczuć się pewniej i bezpieczniej.

- Przynajmniej tym razem policjanci nie przyszli tu, żeby mnie oskarżać o popełnienie morderstwa. Sprawy przyjęły nieoczekiwany obrót, bo teraz to ja jestem niedoszłą ofiarą.

- Sądzę, że poprzednim razem też byłeś ofiarą.

- Naprawdę tak uważasz, czy raczej starasz się być miły?

- Wierzę w twoją niewinność. Już ci mówiłem.

Był tak przekonywający i wiarygodny, że wszelkie podejrzenia wydały mi się teraz bezpodstawne. Buntowały się przeciwko nim także moje uczucia. Zwątpienie w czystość intencji Cartera strasznie ciążyło mi na sumieniu.

Zeszliśmy do salonu, gdzie czekali na nas policjanci. Wyglądało to na odwrotność powtórnej wizyty detektywów z Nicei, bo zjawili się teraz inni funkcjonariusze i inny był cel ich przybycia.

Kapitan Marguet przywitał się z nami sztywno, jak przystało na prowadzącego przesłuchanie urzędnika, przedstawił nam swojego towarzysza, krępego detektywa nazwiskiem Alliod, i natychmiast przystąpił do rzeczy.

- Technicy ustalili, że na pokładzie jachtu znajdowała się bomba plastikowa. Najprawdopodobniej została zamontowana w pobliżu zbiornika z benzyną przez prawdziwego profesjonalistę.

Wymieniliśmy z mężem spojrzenia. Jego oczy nie zdradzały żadnych uczuć.



- Istnieje przypuszczenie - ciągnął Marguet - że mechanizm zegarowy uruchamiało włączenie silnika. Podejrzewamy, że eksplozja miała nastąpić po wypłynięciu jachtu daleko w morze.
- Wynikałoby z tego, że bomba wybuchła po naszym wpłynięciu do portu tylko dlatego, że bardzo szybko wróciliśmy - reasumował Carter.
- To bardzo prawdopodobne - potwierdził kapitan.
- Zatem mieliśmy zginąć oboje.
- Nie sposób ustalić, czy zabójca wiedział, że będzie pan na jachcie - Marguet skorygował rozumowanie Cartera.

Alliod, który niezbyt dobrze znał angielski, miał do mojego męża pytania dotyczące Eriki Maxwell. Rozmawiali po francusku, więc niewiele rozumiałam, ale zorientowałam się, że chodzi głównie o okoliczności zatrudnienia Angielki na naszym jachcie.

- Czy Erica jest podejrzana? - zagadnęłam Margueta.
- Pani Bass, w takiej sytuacji wszyscy są podejrzani. Obaj policjanci zaczęli po francusku wypytywać Cartera o prowadzone przez niego interesy. Szybko się poddałam, przestając śledzić tok rozmowy, więc niczego się z niej nie dowiedziałam. Następnie Marguet poprosił mnie, żebym powiedziała, gdzie dokładnie przebywaliśmy z mężem na jachcie. Alliod zwrócił się z tym samym do Cartera.
- Chciałbym przez chwilę porozmawiać z panią na osobności. Wieczór jest bardzo ciepły - zmienił temat kapitan.

Ruszyliśmy na taras. Na ten widok Carter się nachmurzył, bo doskonale wiedział, o co chodzi Marguetowi. Kapitan zmierzał wolnym krokiem w stronę balustrady. Gdy się tam zatrzymaliśmy, przez chwilę w milczeniu nasłuchiwał świerszczy i wyprostowany spoglądał w mrok.

- Proszę pani - odezwał się w końcu, wyraźnie skrepowany. - Czy istnieje jakiś powód, dla którego mąż życzyłby sobie pani śmierci?

Wiedziałam, że przyprowadził mnie na taras po to, by się tego dowiedzieć, ale zaskoczył mnie pytaniem wprost.

- Nie - zaprzeczyłam, siląc się na stanowczy ton. - Nie potrafię wskazać takiego powodu.
- Jest pani absolutnie pewna?
- Wie pan, kapitanie, że cierpię na amnezję, więc znajduję się w niekorzystnej sytuacji, ale naprawdę nie potrafię wskazać żadnego powodu.

Znowu w milczeniu spoglądał w mrok, a ja czułam coraz większy strach.

- Czy pan podejrzewa mojego męża? - wypaliłam w końcu, przerywając pełną napięcia ciszę.
- Musimy brać pod uwagę każdego.
- Ale dlaczego akurat Cartera Bassa? Czy nie powiedział pan, że bomba zegarowa miała wybuchnąć po wypłynięciu jachtu daleko w morze? Gdyby nie to, że zasłabłam, mąż też mógł zginąć.
- To tylko jedna z możliwości. Zgodnie z inną pan Bass mógł przed zejściem z pokładu uruchomić mechanizm zegarowy, tak by bomba wybuchła za kilka minut. Jak wynika z pani zeznań, nie wie pani, gdzie mąż przebywał przed opuszczeniem jachtu...
- Tak, ale to wcale nie znaczy, że w tym czasie podłożył bombę.
- Mogła już być na swoim miejscu. Należało ją tylko uruchomić. Według ekspertów wchodzi w grę nawet zdalne sterowanie.
- A zatem można podejrzewać wiele osób.

Marguet wreszcie na mnie spojrzał, przesuwając palcem po wąsikach.

- Wydaje się pani absolutnie przekonana o niewinności męża.
  - Dopóki nie przedstawi pan dowodu na poparcie swoich podejrzeń, wolę obstawać przy swoim przeświadczeniu.
  - Zatem proszę mi powiedzieć, na jaką sumę opiewa pani ubezpieczenie na życie?
- Gdy zastanawiałam się nad ewentualnymi korzyściami

Cartera z mojej śmierci, odrzuciłam je jako motyw zabójstwa, ale teraz ogarnęły mnie wątpliwości.

- Nie mam pojęcia - wyznałam, siląc się na obojętność.

- O ile wiem, jesteście państwo współwłaścicielami firmy. Na kogo, w przypadku pani śmierci, przeszłyby udziały?

- W tym też się nie orientuję.

- Postaramy się dowiedzieć.

Nie odpowiadały mi płynące stąd wnioski i włączenie Cartera w krąg podejrzanych, ale też byłam zaskoczona własną stanowczością. Czułam, że mąż jest niewinny, choć z drugiej strony zaczęłam się obawiać swojej naiwności.

- Spodziewam się, że sprawdzanie tych informacji oznacza tylko stratę czasu.

- Ależ proszę mnie zrozumieć, pani Bass. Nie oskarżam nikogo. Rozmawiam z panią na osobności, ponieważ jest wielce prawdopodobne, że ma pani w stosunku do męża jakieś podejrzenia.

Ciężko westchnęłam, lecz nie ustosunkowałam się do tego przypuszczenia. Teraz oboje wsłuchiwaliśmy się w nocny koncert świerszczy.

- Musi pan brać pod uwagę jeszcze inne osoby - przerwałam w końcu ciszę.

- Przesłuchujemy różnych ludzi. Mogę panią zapewnić, że śledztwo jest w toku.

- Mąż chce mnie zabrać na weekend do Paryża - oświadczyłam po chwili zastanowienia. - Obawia się o moje bezpieczeństwo.

- W pełni to rozumiem. Sposób przygotowania zamachu nie zdradza śladu amatorszczyzny. A gdyby rzeczywiście, zgodnie z ewentualnym planem, wybuch nastąpił na pełnym morzu, prawdopodobnie nie udałoby się ustalić jego przyczyny. Zginęłaby pani i nie można by nawet podejrzewać morderstwa.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że raczej nie grozi

mi otwarty atak, na przykład próba zastrzelenia mnie na ulicy?

- Trzeba się z tym liczyć, skoro dotychczasowy plan pozbycia się pani, bliski zbrodni doskonałej, nie powiódł się. Oczywiście nie sposób przewidzieć, co się zdarzy. - Spojrzał na zegarek. - Zrobiło się późno. Jeśli mój kolega zdążył już przesłuchać pani męża, pora wrócić do Tulonu.

Ruszyliśmy do drzwi.

- Wiem, że zadając mi takie pytania, wykonywał pan tylko swoją pracę, ale to przesłuchanie ani trochę mnie nie uspokoiło. Teraz będę bez przerwy bacznie spoglądać przez ramię.

- Niestety, taki jest ten świat. Nie zawsze czujemy się w nim szczęśliwi. - Ze zrozumieniem pokiwał głową.

### *Rozdział czternasty*

Carter odprowadził kapitana Margueta i inspektora Allioda do drzwi. Gdy wrócił do salonu, zapanowało straszne napięcie. Był tak przygnębiony jak podczas odwiedzin w klinice. Usiadł w fotelu naprzeciwko mnie.

- A zatem jestem podejrzany?

- Każdego podejrzewają - odparłam z powagą.

- Co powiedziałaś Marguetowi, gdy spytał, czy miałem jakiś powód, żeby się ciebie pozbyć?

Otwartość, z jaką mąż postawił ten problem, zaskoczyła mnie. Oświadczyłam, że nie potrafię wskazać żadnego powodu. Wbrew temu, czego się spodziewałam, Carter nie wyglądał na usatysfakcjonowanego. Zastanawiał się nad moją odpowiedzią.

- Nie miałam racji? - przerwałam nieznośną ciszę.

- Oczywiście, że miałaś - potwierdził zaskoczony tym pytaniem.

- Więc nie musimy się niczym martwić.

- Jeśli chodzi o nasze stosunki, nie, ale ktoś chciał zabić ciebie lub mnie, bądź nas oboje. Tego nie możemy lekceważyć.

- Co więc mamy robić?

- Wciąż uważam, że wyjazd stąd, choćby na dwa dni, to dobry pomysł. Pozwoli nam otrząsnąć się po wybuchu i ocenić wszystko klarowniej. - Widząc moje wahanie, spytał: - Nie przemawia to do ciebie?

- Sama nie wiem. Czuję się tu bezpiecznie, nawet jeśli jest to mój dom zaledwie od kilku dni. To wszystko, co mam.

- Oczywiście nie zamierzam wywierać na tobie presji. Jeśli uważasz, że będziesz czuć się tu lepiej niż w Paryżu, zostań. Ale może, mimo wszystko, chciałabyś odwiedzić Jane? Oczywiście na nic nie nalegam.

Niepokoił się o mnie. Gorąco pragnęłam, żeby nie musiał się o mnie bać.

- Kiedy chcesz wyjechać?

- Jutro. Pewnie znowu zaroi się tu od dziennikarzy i trzeba ulotnić się jak najszybciej. Rano muszę być w Cannes, ale jak tylko załatwię sprawy, możemy wylecieć do Paryża.

Oczekiwał na moją decyzję, a ja nie wiedziałam, co robić. Podejrzenia kapitana Margueta zasiały we mnie ziarno wątpliwości.

- Czy mogłabym powiadomić cię o mojej decyzji rano? Teraz wszystko płacze mi się w głowie.

- Oczywiście. Oświadczyłem, że nie zamierzam wywierać na tobie presji. Pragnę, żebyś czuła się tak bezpiecznie, jak to tylko możliwe. Masz za sobą kolejne straszne przeżycie.

- Zaczynam się do tego przyzwyczajać. - Usiłowałam lekko traktować swoje udreki. - Tylko role zostały odwrócone: z myśliwego zamieniłam się w zwierzynę.

- Nie pozostawię cię samej sobie - oświadczył z determinacją.

Skinęłam głową. Z całego serca pragnęłam wierzyć, że istotnie troszczy się o mnie. Potrzebowałam go. Czułam się już dostatecznie podle, nie wiedząc, czy rzeczywiście zamordowałam człowieka. A teraz, na domiar złego, zagrożone było moje życie. Ktoś na mnie polował.

o obudziła mnie Polly. Przecierając oczy spojrzałam na zegarek na nocnym stoliku. Minęła dziewiąta.

- Gdybyś się tu nie zjawiła, pewnie przespałabym cały dzień - wymamrotałam.
  - Pan Bass uważa, że powinna pani spać jak najdłużej, byle tylko nie spóźniła się pani na samolot. Zabukował bilety na lot do Paryża wczesnym popołudniem i chciałby potwierdzenia z pani strony.
  - Już jest w Cannes?
  - Tak. Wyjechał, zanim zjawili się reporterzy.
  - Są tutaj?
  - Policja trzyma ich z dala od posiadłości, ale niektórzy telefonowali. Pan Bass prosił, żeby pani z nikim nie rozmawiała.
  - Kiedy będzie z powrotem?
  - Ma zadzwonić około jedenastej, żeby się dowiedzieć, jakie są pani plany.
- Czułam się jak rozpieszczone dziecko. Carter traktował mnie tak prawdopodobnie ze względu na moje zagubienie i niepewność. To, że świetnie się wyspałam, oczywiście ani na jotę nie zmniejszyło mojej dezorientacji. Zerknęłam na Polly. Czekwała na dyspozycje. Ubrała się dziś w białą bluzkę, granatową spódnicę i pantofle na wysokich obcasach; tak samo jak w dniu, w którym zobaczyłam ją w klinice. Znowu zaczęłam się zastanawiać, czy ma coś wspólnego z eksplozją bomby na jachcie. Oczywiście podejrzewanie wszystkich związanych ze mną osób było niemądre, jednak po rozmowie z kapitanem Marguetem stałam się jeszcze bardziej nieufna.
- Czy spakować panią?
  - Decyzję w sprawie wyjazdu podejmę po śniadaniu.
  - Gdzie pani będzie jadła?
  - Na dole.
  - Tak, proszę pani. - Odwróciła się, chcąc wyjść.
  - Mam do ciebie kilka pytań. Proszę, zamknij drzwi. -Usiadłam, opierając głowę na poduszkach. Polly stanęła w pozycji wyczekującej.
  - Niewiele rozmawiałyśmy na temat mojego majątku.

Chciałabym wiedzieć, czy jestem ubezpieczona na wypadek śmierci?

- Wykupiła pani kilka polis.

- Na jaką sumę?

- Żeby to określić dokładnie, musiałabym policzyć, ale w przybliżeniu chodzi o milion dolarów.

- Kto by je otrzymał?

- Pan Bass. Pierwotnie kwota należna za najdroższą polisę była zagwarantowana dla pani matki, ale po jej śmierci przeszła na pana Bassa jako drugiego spadkobiercę.

- A jak jest z moimi udziałami w firmie?

- Tak samo. Zgodnie z pani testamentem przechodzą na pana Bassa.

Nie czułam się zaskoczona. Nie miałam nikogo bliskiego oprócz Cartera. Jednak wnioski wynikające z tych informacji, jeśli chodzi o podejrzenia wobec niego w związku z wybuchem jachtu, nasuwały się same przez się.

- Dziękuję, Polly.

- W willi jest kopia pani testamentu. Chciałaby pani zapoznać się z nim?

- Może kiedyś, ale nie ma pośpiechu.

- Tak, proszę pani.

- Za pół godziny zejść do jadalni.

Po wyjściu sekretarki przez chwilę spoglądałam na zalane słonecznym blaskiem okno. Wiadomości, jakie mi przekazała, raczej nie wyprowadziły mnie z równowagi. Nic się bowiem nie zmieniło. Moje zaufanie do Cartera nadal wymagało próby.

Zgadłam śniadanie: ulubione jajko na miękko, pieczywo oraz kawę z mlekiem.

Gdy tylko wróciłam do sypialni, zadzwoniła z Anglii Jane Nyland. Polly przełączyła telefon.

Zaczęłam rozmawiać z przyjaciółką, równie jak poprzednio wylewną i pełną wigoru.



- Boże, Hill, co się jeszcze może zdarzyć?!
- Mówisz to w związku z wybuchem „Pogody”?
- Piszą o tym we wszystkich dzisiejszych gazetach. Jak twoje nerwy?
- Gdybym została na pokładzie chwilę dłużej, nie troszczyłabym się już o swoje nerwy. Chyba przede wszystkim powinnam się cieszyć, że uszłam z życiem.
- Moje biedactwo. Całym sercem jestem z tobą.
- Miło słyszeć czyjś współczujący głos.

Wierzyłam w szczerą uczuć Jane i czułam naszą wzajemną bliskość, mimo że nie pamiętałam przeszłości. Uważałam, że wcześniej, tak samo jak teraz, trudno było odtrącić jej autentyczne zaangażowanie. - Oczywiście policja nie wie, kto to zrobił.

- Niestety.
- A ty jak sądzisz, kto za tym stoi?
- Nie mam bladego pojęcia — wykręciłam się, ale powiedziałam to bez przekonania.
- Nie dostałaś żadnych pogróżek?
- Nie, lecz przypuszczam, że ten ktoś bardziej ceni sobie wymowę czynów.

Jane milczała. - Czy mój głos brzmi normalnie?

- Zdradza napięcie.
- A więc to sfychać. Znowu zaległa cisza.
- Hill, coś jest nie tak. Wiem, że po tym, co się stało, zadrecza cię strach, ale czy tylko o to chodzi? Nie chciałam być nielojalna wobec Cartera, lecz z drugiej strony potrzebowałam czyjegoes potwierdzenia lub obalenia moich podejrzeń.
- Chyba mam kompletną paranoję - odważyłam się rozpocząć delikatny temat.
- Co chcesz przez to powiedzieć?

Z najwyższym trudem wyrzuciłam z siebie informacje, że chodzi o bombę zegarową, że Carter zszedł z pokładu

przede mną i że uratowałam się tylko przez przypadek. Powiedziałam też Jane o rozmowie z Carterem i o jego propozycji, żebyśmy spędzili weekend w Paryżu oraz o przesłuchaniu przez kapitana Margueta.

- Dobry Boże - westchnęła. - Zawsze miałaś szczęście do niezwykłych przygód, ale tym razem przeszłaś samą siebie.

- Jane, ty znasz Cartera. Czy byłby zdolny targnąć się na moje życie?

- O Chryste, co za pytanie... Uczciwie mówiąc, uważam, że nie. Ale to ty tkwisz w środku tego wszystkiego i z pewnością nie zawodzi cię ani instynkt, ani uczucia, jeśli chodzi o twój męża. W istocie tak było. Wierzyłam, że Carter zaczyna mnie na nowo kochać i uważałam, że jego troska jest autentyczna, ale bałam się uznać ten sąd za nie podlegający dyskusji. Bądź co bądź moje życie zaczęło się przed tygodniem i miałam wokół siebie samych obcych ludzi. Zarazem mąż był wśród nich kimś najlepiej mi znanym.

- Ta otchłań niewiedzy wytrąca mnie z równowagi. Muszę dowiedzieć się różnych rzeczy i wyrobić sobie właściwy do nich stosunek.

- Skoro tak, to może ruszyłabyś tyłek z Montfaucon i przyjechała do mnie na wieś, do Bakesly Court. Powiedz Carterowi, że chcesz odpocząć. Możesz ze mną spędzić kilka spokojnych dni i podjąć jakieś postanowienia. Kochanie, będziesz tu absolutnie bezpieczna. To takie straszne zadupie, że żaden szanujący się zabójca nie raczy tu zajrzeć.

- Gdzie to jest?

- O cholera! Na śmierć zapomniałam o twojej amnezji. To posiadłość mateczki Jamesa w Cotswolds, a w zasadzie jej była posiadłość, bo staruszcze zmarło się, zanim ja nastąpiłam. Oprócz wążania kwiatków i nawozu niewiele jest tam do roboty. Można się tylko pieprzyć. Oto dlaczego spotykamy się tam z Jamesem co dwa tygodnie. Jest święcie przekonany, że seksualne orgietki powinny poprzedzać okresy

abstynencji. Lubi to, bo niebawem stuknie mu sześćdziesiątka. Ale lady Nyland jest kwitnącą czterdziestką, więc nalega na okazjonalne sztosy w Paryżu czy w Londynie, bo w przeciwnym razie lord Nyland musiałby dzielić się nią z jakimś usłużnym żabojadem. - Jane odetchnęła głęboko. - Zatem, Hillary, skoro tak ładnie opowiedziałam ci nie tylko o Bakes-ly Court, ale także o pożyciu seksualnym lorda i lady Nyland, może wsiadłabyś w samolot i przyleciała do mnie? W niedzielę wieczorem James wyjedzie, więc będziemy miały czas wyłącznie dla siebie. Jest tam tylko stara wierna służąca, która niedowidzi i ledwie chodzi, czyli bez skrepowania będziemy mogły troszkę sobie pogwarzyć ku pokrzepieniu serc. No i co ty na to?

- To wspaniała propozycja - odparłam rozbawiona. - Jesteś naprawdę wielkoduszna, ale obawiam się, że przyjeżdżając tam raczej uciekłabym od swoich problemów. Wydaje mi się, że powinnam pojechać z Carterem do Paryża. W głębi duszy tego pragnę. Chciałam tylko, żeby ktoś otworzył mi na to oczy.

- Czy aby na pewno nie planujesz sztosu ze swoim własnym mężem? Nie taką Hillary Bass znałam i uwielbiałam.

- Do wybuchu tej przeklętej łodzi wszystko było możliwe, ale teraz wyjazd do Paryża to przede wszystkim sposobność wyrwania się stąd i pokrzyżowania szyków reporterom, choć oboje z Carterem mamy nadzieję na odbudowanie naszego związku.

- Hillary, mówisz jak kobieta, która pragnie się zakochać.

- Tego nie jestem pewna, lecz muszę zacząć się bronić. - Uderzyła mnie moja nagła stanowczość. - Nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż mnie zabiją.

- Brawo! Przedsiębiorczość to twoja nieodłączna cecha. Obyś tylko nie zniechęciła się nazbyt szybko... Czy wciąż chcesz, żebym tu przyjechała na początku tygodnia, czy raczej mogę planować powrót po weekendzie do Paryża?

- Chcę się z tobą gdzieś spotkać.
- Świetnie! Gdzie mam zajechać swoją superrakieta? Tu czy gdzie indziej?
- Może zdzwońmy się jeszcze w tej sprawie w niedzielę wieczorem.
- Znakomicie. Czy będziecie w waszym mieszkaniu w Paryżu?
- Myślę, że tak.
- Zatelefonuję do ciebie.
- Będzie mi bardzo miło.
- Aha, Hillary, czy przypadkiem nie dzwoniła do ciebie Huguette Curvillier?
- Tak. Rozmawiałyśmy przez chwilę. Telefonowała, żeby mi powiedzieć o tym liście miłosnym Todda Halleya do mnie, zamieszczonym w „Le Beau Monde”.
- Ona uwielbia skandale.
- Zasugerowała ciekawą rzecz, a mianowicie, że za tym artykułem kryje się Claudine Lambert. Ponadto uważa, że w śledztwie maczają palce jacyś politycy. Co o tym myślisz?
- To całkiem możliwe. Rodzina Claudine należy do niebywale ustosunkowanych. Jej brat jest wiceministrem jakiegoś resortu. - Tylko tego nam brakowało. - Ciężko westchnęłam.
- Hillary, najlepiej nie zaprzataj sobie tym głowy. Przetrwałaś już skandal, gdy zaczęłaś kręcić z Michelelem, ba, potrafiłaś wyciągnąć z tego korzyści. Przetrawasz i ten.
- Też tak myślę, a ty mówisz jak prawdziwa przyjaciółka.
- Ciesz się moją opinią, kochanie. Dziękuję. Koniecznie muszę ci coś wyznać. W pierwszej chwili nie bardzo wiedziałam, jak traktować cię w tej twojej nowej skórze, ale teraz podobasz mi się coraz bardziej. Ja też już nie jestem tą Jane z czasów przedmażeńskich. Spoważniałam. To pewnie dobrze wróży jako znak naszej dojrzałości. - Chciałabym tak uważać.
- Może jeszcze bardziej zbliżymy się do siebie.
- Byłoby wspaniale, Jane.

- Robi się już zbyt słodko. Zatem kończę, kochanie.
- Do miłego usłyszenia.
- Cześć.

Już odkładałam słuchawkę, gdy usłyszałam trzask na linii, jakby ktoś również odkładał słuchawkę. Od razu zaczęłam podejrzewać Polly o podsłuchiwanie rozmowy. Zaczerwieniłam się ze złości.

Musiałam ją znaleźć w związku z pakowaniem, więc wyszłam z sypialni. Siedziała w gabinecie Cartera, pochylona nad jakimiś papierami. Telefon stał w rogu biurka.

- Słucham, pani Bass?

Spoglądała niewinnie. Była tak opanowana, że nie potrafiłam rozstrzygnąć czy podsłuchiwała czy nie.

- Postanowiłam pojechać do Paryża. Trzeba spakować rzeczy.

- Czy mam pójść z panią teraz? - Podniosła się z krzesła.

- Jeśli mogłabyś, bardzo proszę.

W mojej garderobie szybko ustaliliśmy, jaki rodzaj ubrań powinnam zabrać. Zaczęłam wyszukiwać odpowiednie rzeczy.

Polly wyszła po walizki, a ja udałam się do łazienki po kosmetyki. Gdy stałam przy apteczce, zjawiała się Poof. Miauknęła i spojrzała na mnie. Wzięłam ją na rękę. Dotarło do mnie, że opuszczam ją na dwa dni. Zrobiło mi się smutno, bo wyjątkowo się do niej przywiązałam.

Stałam w drzwiach, trzymając ją na rękach, gdy w sypialni zjawiała się z walizkami Polly.

- Mam nadzieję, że Poof lepiej zniesie pani wyjazd niż pobyt w szpitalu.

- Czy była markotna?

- Ja spędziłam większość czasu w Londynie, ale Yvonne mówiła mi, że zachowanie kotki bardzo ją martwiło. Poof musiało pani bardzo brakować, bo całymi dniami wpatrywała się tęsknie w drzwi sypialni. Dziwne, że czasami jeszcze to robi, choć sprawia wrażenie zadowolonej, że jest już pani w domu.

- Czyżbyś tak samo jak twoja pani cierpiała na zanik pamięci? - Dmuchnęłam Poof w pyszczek, drażniąc się z nią pieszczotliwie.

- Wydaje mi się, że koty przywiązują się do trybu życia ludzi - odezwała się Polly. Postawiłam kotkę na podłodze. Spoglądałam za nią gdy mknęła jak strzała do drzwi.

Zadzwoił telefon. Polly podeszła, żeby odebrać,

- To do pani. Pan Bass. Podeszłam do nocnego stolika.

- Czy powinnam wyjść? - spytała.

- Nie. To nie jest konieczne. - Podniosłam słuchawkę.

- Jak się czujesz, kochanie?

Głos Cartera świadczył o wyśmienitym nastroju. Słyszając go byłam uszczęśliwiona, jakby wszystkie moje obawy gdzieś się ulotniły.

- Hillary, jesteś tam?

- Oczywiście. Przepraszam. Czuję się dobrze, o wiele lepiej niż wczoraj. Świetnie spałam, co bardzo mi pomogło.

- Czy to znaczy, że nasz wspólny weekend w Paryżu jest aktualny?

- Jeśli wciąż chcesz ze mną pojechać.

- Oczywiście. Zarezerwowałam lot. Wszystko, czego nam trzeba, to twoja energia.

- Czy wrócisz wkrótce do domu?

Zerknęłam na Polly. Składała ubrania i pakowała je do walizek. Przysięgłabym, że pilnie słucha mojej rozmowy z mężem.

- Wolałbym, żeby Antonio podwiózł cię tu do biura maklerskiego, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Łatwiej byłoby mi zakończyć transakcję.

- Jak sobie życzysz.

- Hillary, naprawdę się cieszę, że ze mną jedziesz. To znaczy dla mnie więcej, niż przypuszczasz.

Uszczęśliwiły mnie te słowa, ale w duchu modliłam się,

żeby moja decyzja okazała się słuszna, skoro w naszym małżeństwie, tak jak w wielu innych, wzajemne zaufanie stało się problemem.

Pożegnaliśmy się i odłożyłam słuchawkę. Polly miała pogodną twarz, ale byłam przekonana, że cierpi. Dostała dziwnych wypieków.

- Może zabieram zbyt dużo rzeczy na weekend?

- Zawsze pani lubiła mieć w czym wybierać. Lepiej wziąć za dużo niż za mało. Ciągłe to pani powtarzała.

Skinęłam głową, dochodząc do wniosku, że w pewnych sprawach o wiele łatwiej przychodzi mi zaakceptować przeszłość niż ją zmienić.

- A przy okazji, czy Yvonne informowała panią o czymś podczas śniadania?

- Nie. A miała taki zamiar?

- Po prostu pomyślałam, że być może powiedziała pani, że wczoraj, podczas pani pobytu w Tulonie, zjawili się tu Paul Debray i Jacques Lepecheur.

- Ci detektywi z Nicei?

- Tak. Przesłuchiwali Yvonne, Antonia i mnie. Poinformowałam o tym dziś rano pana Bassa. Prosił, żebym przekazała pani tę wiadomość.

- Jaki był cel przesłuchań? - spytałam nie bardzo wiedząc, co z tym fantem zrobić.

- Sądzę, że to była rutynowa praca policji. Przynajmniej sami policjanci zawsze tak mówią.

Wypytywali mnie głównie o pani stosunki z panem Lambertem, zwłaszcza w dniach poprzedzających wypadek. Teraz uprzytomniłam sobie, że moja wcześniejsza rozmowa z Polly na temat Michelau była zbyt ogólna. Wciąż nie miałam pojęcia o tym, co działo się w ciągu kilku ostatnich dni przed jego śmiercią. Usiadłam na łóżku, obserwując obojętną twarz sekretarki.

- Czy mogę wiedzieć, co zeznałaś?

Zauważyłam w jej oczach isierki zadowolenia. Doskonale zdawała sobie sprawę, że z powodu mojej amnezji ma

nade mną przewagę. Wiedziała więcej ode mnie na temat moich stosunków z Michelelem.

- Nie miałam wiele do powiedzenia. Tuż przed wyjazdem do Nicei raz czy dwa rozmawiała pani z panem Lambertem przez telefon. Jedną z rozmów dobrze zapamiętałam, bo to ja podniosłam słuchawkę. Oczywiście nic nie słyszałam, ale po tej rozmowie wyglądała pani na zdenerwowaną.

- Nie zwierzyłam ci się z moich planów?

- Nie. Wybierała się pani do Nicei, żeby odebrać jacht ze stoczni remontowej. Pani lodziarz wprowadził „Pogodę” do doku kilka tygodni wcześniej, ale ponieważ został zwolniony, musiała pani sama odebrać jacht.

Podczas pierwszej telefonicznej rozmowy Jane powiedziała mi, że nie zamierzałam poświęcić Michelowi zbyt wiele czasu, gdyż w Nicei, oprócz wyprowadzenia jachtu z doku, miałam jakąś inną sprawę do załatwienia. Ale nie wiedziała, o jaką sprawę chodziło.

- Czy pojechałam do Nicei przede wszystkim po to, by odebrać jacht?

- Mówiła pani o spotkaniu z kimś, nie wymieniając nazwiska. Pan Debray nalegał, żebym je ujawniła, ale jestem pewna, że nie poinformowała mnie pani, o jaką sprawę chodziło i kogo zamierzała pani spotkać. Antonio zawiózł panią do Nicei, więc może będzie wiedział lepiej. Nie orientuję się, co zeznał policjantom.

- Rozumiem.

Spoglądałam na pakującą moje walizki sekretarkę, zastanawiając się nad tym, co usłyszałam. Z kim, poza Michelelem, mogłam się spotkać w Nicei?

- Czy znieść pani bagaż na dół? - Polly zerknęła na mnie z wymuszenie miłym wyrazem twarzy.

- Jeśli jesteś tak uprzejma.

- Czy ma pani do mnie jeszcze jakieś sprawy?

- Uważaj, żeby ktoś nie włożył bomby do walizki.

- Bomby?

- Skoro odważyli się raz, to mogą spróbować po raz drugi.



- Co pani chce przez to powiedzieć? - Polly wyglądała na zaskoczoną.
  - Przecież wiesz, że „Pogoda” wyleciała w powietrze.
  - Tak, ale pan Bass oświadczył wczoraj, gdy wróciliście państwo z Tulonu, że to z powodu ulatniania się gazu.
  - A więc nie znasz najnowszych ustaleń. Wieczorem policjanci poinformowali nas, że ktoś podłożył na „Pogodzie” bombę zegarową. Usiłowano mnie zabić, a być może również i Cartera. Tylko wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności znajdowaliśmy się w momencie eksplozji poza jachtem.
  - Nie wiedziałam... Jakie to straszne... przerażające -mamrotała pobladła Polly, podnosząc dłoń do ust.
  - Pisali o tym we wszystkich dzisiejszych gazetach. Dlatego Jane zadzwoniła.
  - „The Guardian” przychodzi dzień później, a miejscowych gazet jeszcze nie zdążyłam przejrzeć. Pan Bass też mi nic nie powiedział, ale może myślał, że wiem - tłumaczyła się zaszokowana sekretarka. Jej oczy wciąż zdradzały zaskoczenie. - Tak mi przykro.
- Zachowanie Polly stanowiło dla mnie niespodziankę. Nie sądziłam, że potrafi reagować tak emocjonalnie, lecz wyglądała na autentycznie roztrzęsioną.
- Przesłuchiowano twoją przyjaciółkę, Erikę Maxwell. Biorąc pod uwagę, jaką pracę wykonuje, wiedziała więcej od innych, co dzieje się na łodzi.
  - Czy istnieje pewność, że to bomba? - spytała jęklwym tonem Polly, przysiadając na łóżku.
  - Tak.
- Naprawdę była przerażona.
- Mój mąż uważa, że dopóki przestępca nie zostanie ujęty, możemy się spodziewać najgorszego. Martwię się, że z mojego powodu narażeni są inni ludzie.
  - Nie sądzę, żeby powinna pani zadrećcać się tym -powiedziała bezbarwnym tonem.
  - Polly, wybacz, że o to pytam, ale dlaczego starałaś się

sprawić na mnie wrażenie, że nie znasz zbyt dobrze Eriki Maxwell? Tymczasem mąż wyjawiał mi, że poleciłaś ją do pracy na jachcie. - Nie zamierzałam tworzyć takiego wrażenia, proszę pani - odparła zmieszana.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego Erica byłaby zainteresowana, żeby mi się coś stało?

- Ależ skąd. - Polly podniosła się gwałtownie z łóżka. - Czy mogę znieść walizkę?

- Oczywiście, dziękuję - zgodziłam się, nie wiedząc, jak zareagować na jej dziwne zachowanie.

Z grobową miną wyszła pośpiesznie z pokoju. Wiadomość o bombie bez wątpienia wyprowadziła ją z równowagi. Nie rozumiałam dlaczego, dopóki nie zwróciłam uwagi na to, że przecież Carter był o krok od śmierci. Zamknęłam podręczną walizkę, wzięłam torebkę i zaczęłam schodzić na dół. W połowie schodów spostrzegłam, że Polly wybiega na dwór.

Na mój widok w drzwiach zatrzymała się Yvonne.

- Dokąd udała się moja sekretarka?

- Nie wiem. Powiedziała, że ma jakąś sprawę do załatwienia i wróci za godzinę.

Na zwirowanej alejce rozległ się hałas szybko jadącego samochodu.

- Polly ma auto?

- Tak, mikrusa do osobistego użytku.

- Czy wyglądała na zdenerwowaną?

- *Oui, madame.*

- Ciekawa jestem, o co chodzi?

- *Je ne sais pas.*

- Powinam już jechać. - Zerknęłam na zegarek.

- Czy mam zawiadomić Antonia, żeby podstawił wóz?

- Proszę.

Yvonne ruszyła do garażu, a ja stanęłam przed domem i spoglądałam na kwiatowe klomby, wdychając przesycone zapachami powietrze.

Antonio podjechał Bentleyem. Gospośia powiedziała mi „do widzenia”, a szofer włożył moje walizki do bagażnika.

- Piękny dzień, prawda, proszę pani? - zagadnął okrążając drzewo.

- Bardzo piękny.

Wyjechaliśmy przez bramę na szosę. Stał tu samotnie miejscowy żandarm. Zasalutował mi. Nigdzie nie było widać dziennikarzy.

Antonio uśmiechnął się, spoglądając na moją twarz w lusterku.

- Co się przydarzyło tej Angielce? Wydawało mi się, że strasznie się dokądś śpieszy - zagadnął.

- Nie wiem.

Gdy przejeżdżaliśmy przez Montfaucon, z rozrzwinięciem spoglądałam na kościółek, przy którym spędziłam z Carterem cudowne chwile. Czułam błogość, przypominając sobie pocałunek i sposób, w jaki mąż mnie obejmował. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że Carter mógłby się tak zachować na dzień przed planowanym morderstwem. Nie. On nie ma nic wspólnego z eksplozją. Teraz byłam tego pewna.

- O ile wiem, wczoraj, podczas mojego pobytu z mężem w Tulonie, w domu zjawili się policjanci - zagadnęłam po przejechaniu kilku kilometrów.

- Tak, wypytywali o panią i pana Lamberta.

- Polly powiedziała mi, że w dniu wypadku odwoziłeś mnie do Nicei.

- Tak, proszę pani. Zgadza się.

- Czy informowałam cię o swoich planach?

- Miała pani odebrać jacht. Dlatego nie czekałem, żeby odwieźć panią do domu. Zamierzała pani popłynąć „Pogodą” do Tulonu. Tam kazała mi pani po siebie przyjechać.

- Czy mówiłam ci jeszcze o czymś?

- Tak. Zawiozłem panią do Nicei dzień wcześniej, bo musiała pani odebrać kogoś z lotniska.

- Z lotniska? Kogo?

- Nie wiem, ale podrzuciłem tam panią. Właśnie na lotnisko, a nie do miasta, nie do apartamentu czy na spotkanie z panem Lambertem.

- I nie widziałeś, z kim się spotkałam?

- Nie, bo odesłała mnie pani do domu. Oświadczyła pani, że wynajmie taksówkę. Spytałem: „Po co? Przecież tu jestem?”, a pani odparła: „Rób, co ci każe, *mon chou*.” -Uśmiechnął się szeroko. -

Żartobliwie nazywała mnie pani kapuścianą głową, *ne'est-ce pas*”? To była ta nasza niewinna zabawa. Spytałem, czy to tajemnica i pani potwierdziła.

- Jakie to zagadkowe. Zastanawiam się, o kogo może chodzić. Czy przypadkiem nie o Michela?

- Nie, pan Lambert znajdował się już w Nicei. Powiedziała mi pani o tym.

Byłam zbита z tropu. Ta brakująca informacja mogła okazać się ważna. Dyskrecja, z jaką traktowałam osobę spotkaną na lotnisku, pogorszyła mój nastrój. Przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie miałam drugiego kochanka. Przeszył mnie dreszcz, gdy pomyślałam, że być może z tego powodu doszło pomiędzy mną i Michelelem do awantury, nie zaś dlatego, że spotkał się w Londynie z Carterem. Zastanawiałam się, czy ta tajemnicza osoba może mieć coś wspólnego z wybuchem bomby na „Pogodzie”. Wszystko wydawało się coraz bardziej skomplikowane. A jeśli jeszcze dodać do tego dziwne zachowanie Polly...

- Antonio, o ile wiem, wczoraj przed południem zawiozłeś moją sekretarkę do Tulonu?

- *Oui, madame*. - Spoglądał na odbicie mojej twarzy w lusterku.

- Gdzie konkretnie?

- Do banku.

- Nigdzie więcej?

- Nie, proszę pani.

- I była tam przez cały czas?

- Tak sędzę, ale nie wszedłem z nią do środka. Czekałem w samochodzie.

- Jak długo to trwało?
- Jakieś dwadzieścia minut, ale dokładnie nie pamiętam.
- I potem od razu wróciliście do domu?
- Tak, proszę pani.

Zatem Antonio nie miał dla mnie użytecznych informacji, o ile oczywiście w ogóle uzasadnione było powątpiewanie w lojalność mojej sekretarki. Gdyby mi powiedział, że spotkała się z Eriką Maxwell, byłoby więcej powodów, żeby ją podejrzewać. Moje prywatne śledztwo okazało się mało produktywnie. Po przyjeździe do Cannes zatrzymaliśmy się przed starym, zwracającym uwagę budynkiem w handlowej dzielnicy miasta. W sobotnie przedpołudnie nie było tu specjalnego ruchu. Antonio otworzył drzwi Bentleya. Gdy stanęłam na chodniku, z budynku natychmiast wyszedł Carter z dyplomatką w ręku. - Witam, kochanie. - Uścisnął mnie i powiedział do kierowcy: - Jak rozumiem, nie miałeś podczas jazdy żadnych problemów.

- *Non, monsieur. Rien de tout.*

- Antonio, nie wiem, kiedy dokładnie wrócimy, więc zostawię Jaguara na lotnisku. Gdybyśmy cię potrzebowali, zadzwonię.

- *Oui, monsieur. A co z walizką pani?*

- Oczywiście trzeba ją zabrać.

Kierowca wyjął ją z bagażnika i postawił na chodniku. Zasalutował nam i wszedł do Bentleya.

Carter obejmował mnie, trzymając w drugiej ręce moją walizkę i swoją dyplomatkę. Spoglądaliśmy w ślad za odjeżdżającym kierowcą. - Mam nadzieję, że nie musiałaś opędzać się od reporterów.

- Szczęśliwie nie odebrałam żadnego telefonu.

- To dobrze. Kazałem Polly odprawiać wszystkich z kwitkiem. Zanim wyjechałem, sam znokautowałem jednego dziennikarzynę. Hillary, mówi się o tobie w Paryżu i w Londynie.

- Nie aspiruję do tego rodzaju sławy.

- Ale to, że ktoś usiłował cię zabić, może ci zjednać odrobinę sympatii.

- Nie obchodzi mnie, co ludzie o mnie myślą. Pragnę tylko, żeby wszystko się wyjaśniło.

Spojrzałam na męża z nadzieją, że uda się nam przywrócić tę wzajemną bliskość, która zaczynała dochodzić do głosu przed fatalną eksplozją. Bo teraz oboje traktowaliśmy siebie z rezerwą. Nie podobało mi się to ani cały niekorzystny rozwój wypadków.

- A czy chcesz również odzyskać pamięć?

Z pewnością Carter nie zamierzał tym pytaniem nawiązać do ciemnych spraw w moim dotychczasowym życiu, wśród których najbardziej obciążała mnie śmierć Michela, lecz, niestety, natychmiast przypominałam sobie o nich.

- Chcę, bez względu na to, co się stało. Sądzę, że potrafię stanąć twarzą w twarz nawet z najgorszym. Po prostu pragnę mieć to już za sobą.

Podeszliśmy do pobliskiego garażu, gdzie stał nasz Jaguar. Przez chwilę czekaliśmy na jego wyprowadzenie. Opowiedziałam Carterowi o dziwnej reakcji Polly na wiadomość o podłożeniu bomby na jachcie. Spodziewałam się komentarza pozwalającego mi lepiej zrozumieć tę reakcję, lecz mąż okazał się bardzo powściągliwy.

- Spytałam ją o to przy najbliższej okazji - odparł wymijająco, jakby chciał, żebym nie zaprzętała sobie tym głowy, choć sam sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

- O czym to może świadczyć? - nie ustępowałam, wyczuwając jego zatroskanie.

- Nie mam zdania. - Objął mnie i stwierdził trzeźwo: -W przypadku tego zamachu niczego nie należy przesądzać.

- Czy zatem powinnam się martwić jeszcze bardziej?

- Nie chcę cię niepotrzebnie niepokoić, ale sądzę, że ktoś śledził mnie dziś rano w drodze do Cannes. -

Z powagą patrzył mi w oczy.

- Kto to mógł być?

- Nie mam pojęcia. Nawet nie jestem pewny, czy rzeczywiście ktoś za mną jechał, bo samochód, który zwrócił moją uwagę, szybko zniknął. Jednak zadzwoniłem do Antonia, prosząc, żeby uważał, wioząc cię do Cannes.

- To dlatego spytałeś go, czy nie miał po drodze jakichś kłopotów?

- Tak. Ale widocznie nie zauważył nic podejrzanego. Ogarnął mnie strach, najsilniejszy od czasu eksplozji.

Informacja męża przypomniła mi, że wciąż czyhają na mnie jakieś niebezpieczeństwa.

Ktoś z obsługi garażu podjechał Jaguarem i otworzył przed nami drzwi. Opadłam na siedzenie. Carter zapłacił i usiadł przy mnie w fotelu kierowcy. Gdy zapiął pasy, spojrzał na mnie.

- Obawiam się, że groźba zamachu nie minęła... Potaknęłam głową na znak, iż zdaję sobie z tego sprawę.

- W tej sprawie nie da się nic przewidzieć - ciągnął znużony. - Może wcale nie chodzi im o ciebie.

- Chcesz powiedzieć, że zamachowiec chciał zabić ciebie?

- Ja nic nie wiem, ale uważam, że lepiej będzie, jeśli oboje znikniemy stąd na jakiś czas. Jestem zadowolony z tego wyjazdu do Paryża.

- Jane zadzwoniła dziś rano i zaprosiła mnie do siebie na wieś.

- I co ty na to?

- Ze dostałam lepszą propozycję.

- Z pewnością, kochanie. - Uśmiechnął się i pocałował mnie.

Ruszył przed garaż. W chwilę później pędziliśmy bulwarem w kierunku lotniska w Nicei.

Znowu wróciła mi radość, jaką czerpałam ze związku z Carterem. Cieszyłam się, że jesteśmy razem i wyjeżdżamy do Paryża. Może na chwilę uda się nam zapomnieć o kłopotach i na nowo się w sobie zakochać? I może przestaną mnie prześladować senne koszmary?

## *Rozdział piętnasty*

W drodze z Cannes na lotnisko w Nicei Carter był rozkojarzony. Bez przerwy spoglądał w lusterko. Zresztą i ja zerknęłam kilka razy przez ramię.

- Czy ktoś za nami jedzie? - spytałam w końcu.

- Nie wydaje mi się.

- Ale czegoś się obawiasz?

- Jestem tylko ostrożny, kochanie.

Ogarnęło mnie przerażenie. Bo jak tu żyć, zachowując stale czujność i zastanawiając się, kiedy znowu ktoś będzie usiłował cię zabić?

- Ubolewam, że narażam cię na niebezpieczeństwo. To nie w porządku.

- Twoja sytuacja nie jest mi obojętna.

Mąż otwarcie okazywał solidarność ze mną i to napawało mnie otuchą. Dla wspólnego dobra nakazałam sobie myśleć o jaśniejszych stronach naszego związku. Skupiłam się na tym wyjeździe, ponieważ stanowił szansę przeżycia przygody i odnowy naszego małżeństwa, a może nawet wskrzeszenia miłości. Pragnęłam, żeby wszystko ułożyło się pomyślnie. Chciałam odzyskać utracone szczęście.

Na lotnisku w Nicei poczułam się tak, jakbym wchodziła na pokład „Pogody”. Przed halą odlotów ogarnął mnie dziwny niepokój, a na widok ulicznej kwiaciarki doznałam emocjonalnego wstrząsu.



Ta drobna siwowłosa staruszka, ubrana w czarną suknię, siedziała pod wielkim parasolem, w otoczeniu wazonów z kwiatami. Miała znajomą twarz, choć niczego więcej sobie nie przypomiinałam. Gdy tylko podeszłam do straganu, utkwiała we mnie czarne oczy. Nie uśmiechała się, lecz spoglądała na mnie uważnie, prawdopodobnie z powodu mojego zagapienia.

- *Des fleurs, madame? Vous voudriez des roses?* - Wyjęła z wazonu czerwoną różę o długiej łodydze.

Kwiat drżał lekko w jej kościstej, zdeformowanej przez artretyzm dłoni.

Na widok tych czarnych oczu wciąż przeżywałam emocjonalny wstrząs. Wzięłam od niej różę i zaczęłam wdychać zapach. Czułam się tak oszołomiona, jakbym zażyła silny narkotyk. Silniejszego lęku doznałam tylko wtedy, gdy z pomocą Cartera wchodziłam na pokład jachtu.

- *Elle est belle, n'est-ce pas? Trds belle.* Skinęłam głową, wciąż wdychając zapach róży.

- *Combien en voulez-vous, madame? Une douzaine?* To pytanie uświadomiło mi, że jestem dla niej tylko klientką. Spytała, ile chcę róż, nie pragnąc się dowiedzieć, dlaczego tak dziwnie na nią patrzę.

- Proszę tylko jedną. Ile płacę? *Combien de francs?* Sprawiała wrażenie niezadowolonej, że zrobiłam takie

widowisko, chcąc kupić zaledwie mały pączek.

- *Dix. Dix francs.*

Gdy przeszukiwałam portmonetkę, nadszedł Carter i wręczył kwiaciarce dziesięciofrankowy banknot.

- Czy na pewno masz ochotę tylko na jedną?

- Tak - potwierdziłam, spoglądając na tę kobietę i usiłując zrozumieć, dlaczego wyzwała we mnie tak osobliwe emocje. Mąż wziął mnie za łokieć, bo chciał wejść do hali odlotów, ale go zatrzymałam. -

Poczekaj. Mógłbyś po francusku spytać o coś kwiaciarkę? Czy widziała mnie już wcześniej?

Przetłumaczył moje pytanie. Pilnie wsłuchiwałam się w jej odpowiedź, ale nic nie rozumiałam.

- Twierdzi, że wyglądasz znajomo, bo choć każdego dnia przewija się tu tłum ludzi, trudno cię zapomnieć z powodu urody. - Carter uśmiechnął się szeroko. - W pełni się z nią zgadzam.

- A czy kiedykolwiek wcześniej kupowałam u niej kwiaty?

Przetłumaczył pytanie, a ona przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Twierdzi, że bodaj przed miesiącem też kupiłaś u niej jedną czerwoną różę.

Uderzyła mnie ta wiadomość. Teraz w jakiś sposób przypominałam to sobie, choć nadal nie pamiętałam konkretnej sytuacji. Carter spoglądał na mnie dziwnie.

- Ciekaw jestem, dlaczego tu byłaś miesiąc temu, tuż przed wypadkiem. Czy dokądś leciałaś, czy skądś wracałaś?

- Antonio powiedział mi, że przywiózł mnie na lotnisko, bo miałam kogoś odebrać.

Znowu spojrzałam na kwiaciarkę. Do tej pory przypominałam sobie tylko Michela, a teraz nie tylko rozpoznałam tę kobietę, ale również ona rozpoznała mnie. Było zadziwiające, że dotyczyło to akurat osoby spoza mojego otoczenia...

- Spytaj ją, czy ktoś mi towarzyszył.

Odparła, że podeszłam do straganu sama. Poczulałam bolesny zawód. Nie spuszczałam z niej oczu, usilnie starając się pobudzić pamięć.

- *Merci, madame* - podziękowałam, bo odwróciła się do następnego klienta. - Wzięłam Cartera pod rękę i ruszyliśmy do budynku. Przy wejściu czekał z naszymi walizkami bagażowy. - Znam tę kwiaciarkę. Świetnie ją pamiętam.

- Sam ją widziałem wiele razy. Jest tu od dawna.

- Tak, lecz jest to pierwsza ludzka istota, którą rozpoznałam i która rozpoznała mnie. Nie zdarzyło się to w przypadku mojej matki, ani w twoim przypadku! - obruszyłam się.

- Ale to jakiś absurd, bo dlaczego akurat pamiętasz właśnie ją? - zauważył trzeźwo Carter.

- Żebym to ja wiedziała.
- Skoro zaś przyjechałaś tu po kogoś, to pewnie dla niego kupiłaś różę.
- Czy to możliwe, że miałam jeszcze jednego kochanka? Po raz drugi przyszło mi do głowy, że być może przyjechałam na lotnisko właśnie po kochanka i dla niego kupiłam różę.
- A ty jak uważasz?
- Nie wiem, lecz to mogłoby wyjaśnić, dlaczego doszło do awantury pomiędzy mną i Michelelem.
- Ale nikogo sobie nie przypominasz - stwierdził rzeczowo. - Szliśmy do kasy biletowej.
- Nie.
- Więc raczej uznaj to za pomyślną wiadomość i nie powiększaj swoich udręk.
- Przepraszam, jeśli zdenerwowałam cię tymi przypuszczeniami.
- Hillary, naprawdę jest lepiej, jeśli nie wracasz do swojej przeszłości. - Patrzył mi w oczy.
- Przecież właśnie do tego doszło. Kompletnie usunęłam ją ze swego życia - oświadczyłam z ironią.
- Zatem może nie powinnaś tak rozpaczliwie pragnąć odzyskać pamięci. - Uśmiechnął się.
- Wiem, że wolałbyś, bym do końca życia cierpiała na amnezję.

Stanęliśmy przed kasą.

- Wcale nie jestem tego pewny, ale muszę wyznać, że twoje nowe wcielenie naprawdę mi odpowiada
- odparł po namyśle.

Gdy płacił bagażowemu, rozejrzałam się po hali. Spostrzegłam zbliżających się do nas Debraya i Lepecheura. Jak zwykle włosy pierwszego tak błyszcząły, że wydawały się mokre.

- *Bonjour, monsieur, madame.* - Debray uniósł krzaczaste brwi. Jego przyjacielski ton był czysto kurtuazyjny.

Carter odwrócił się na dźwięk głosu detektywa.

- Aaa, to panowie, cóż za miła niespodzianka. - Szacował ich wzrokiem.
- Przepraszamy za to najście, ale dowiedzieliśmy się od

gosposi, że wybieracie się państwo do Paryża i postanowiliśmy przesłuchać was przed odlotem.

- A w jakiej sprawie? - spytał Carter.

- Ta rozmowa oszczędzi nam wszystkim wyjazdu do Tulonu na wizję lokalną, *non?* - odpowiedział Debray pytaniem na pytanie.

Mąż zerknął na zegarek.

- To zajmie tylko kilka minut. O ile wiem, do odlotu zostało jeszcze trochę czasu - uspokajał go inspektor.

- Może najpierw kupię bilety.

Oznajmił detektywom, że możemy im poświęcić najwyżej kwadrans. Debray zapewnił go, że zdążymy na samolot.

Zaprowadził nas do małego pokoju śniadaniowego dla obsługi lotniska, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności. Usiedliśmy z Carterem na zniszczonej, pokrytej skórą kanapie, a policjanci usadowili się naprzeciwko nas.

Debray zerknął na moją różę, a potem utkwiał wzrok w blacie dzielącego nas niskiego stołu, zarzuconego ilustrowanymi magazynami z oślimi uszami i plastikowymi kubkami po kawie. Niczym prawdziwy pedant ustawił kubki na brzegu stołu, po czym oparł łokcie na kolanach i spojrzał na mnie.

- Pani Bass, proszę przyjąć od nas wyrazy ubolewania z powodu utraty jachtu... w tak straszny sposób. To niewiarygodne zdarzenie.

- Dziękuję. - Uderzył mnie mój drżący głos. Zerknęłam na męża, chcąc sobie dodać otuchy, bo Debray przestraszył mnie zarówno swą zdawkową uprzejmością, jak podejściem do wybuchu „Pogody”.

- Wielka strata. - Spojrzał na Cartera.

- Debray, moja żona o mały włos nie zginęła. Jacht się w ogóle nie liczy - osadził go mąż.

- Absolutna prawda. - Detektyw porządkował porzucane magazyny. - Jesteśmy w stałym kontakcie z kapitanem Marguetem, więc wiemy o wszystkim.

- Z pewnością nie przyszliście tu, żeby poinformować nas o tym - warknął Carter.

- Nie. Chcemy porozmawiać o czymś innym. - Zerknął na Lepecheura, który wygładzał bródkę, trzymając w pogotowiu notes. - Marguet nie ma dowodów, więc nie może wskazać winnego. Ciekaw jestem, jakie są państwa podejrzenia.
- Nie mamy pojęcia, kto się za tym kryje - odezwał się, bo Debray patrzył na mnie. - Z pewnością powiadomilibyśmy już kapitana Margueta o ewentualnych podejrzeniach. Czy uważa pan, że podłożenie bomby ma jakiś związek ze śmiercią Michela Lamberta?
- Nie mamy podstaw, żeby tak twierdzić - odparł zaskoczony moim pytaniem. - Ale trzeba brać pod uwagę różne możliwości. - Wpatrywał się w paznokcie. - Na wiele sposobów można łączyć te dwa fakty. Oczywiście nasuwa się hipoteza, że ktoś chciał się zemścić za śmierć pana Lamberta. Ale również można sądzić, że jakaś osoba pragnęła zarówno jego, jak i pani śmierci. Przychodzi mi do głowy jeszcze taka możliwość, że ktoś chciał panią zabić, zanim odzyska pani pamięć. - Spoglądał to na mnie, to na Cartera. - Ta ostatnia hipoteza wydaje mi się bardzo interesująca.
- Z jakiego powodu? - spytałam.
- Gdybym to wiedział, znałbym nazwisko zamachowca.
- Nie ma pewności nawet co do tego, czy rzeczywiście zamierzano zgładzić moją żonę. Całkiem możliwe, że chodziło o mnie - odezwał się Carter.
- Nie można wykluczyć tej ewentualności. Rozważaliśmy ją z kapitanem Marguetem, choć nie znaleźliśmy dostatecznych argumentów. Zamachowiec musiałby wiedzieć, że będzie pan tego dnia na jachcie. Skoro zaś dotychczas użytkowała go wyłącznie pańska żona, przestępca mógł spodziewać się jej na pokładzie w każdej chwili. Ile osób orientowało się, że zamierzał pan wtedy wypłynąć w morze?
- Raczej nikt spoza domowników. Osobiście informowałem o tym tylko Erikę Maxwell.
- To prawda, że natychmiast narzuca się jej osoba - stwierdził obojętnym tonem Debray.

- Czy obciążają ją jakieś podejrzenia? - spytałam.
- Ktoś, kto ma idealne warunki, żeby podłożyć bombę, raczej nie działa tak otwarcie bez wyraźnego motywu. W każdym razie nie postępują tak ludzie myślący racjonalnie, a panna Maxwell myśli całkiem racjonalnie. - Debray pocierał podbródek.
- A zatem nie podejrzewa jej pan - orzekł Carter.
- Nikogo nie wykluczam, lecz osobiście traktuję sceptycznie możliwość popełnienia przez nią przestępstwa. Poza tym przesłuchiwałam ją kilka razy i nie przyniosło to ważnych ustaleń.
- Zatem w jakim punkcie znajduje się śledztwo? - spytał mąż.
- Również w tej sprawie dużo zależy od odzyskania pamięci przez panią Bass. - Detektyw przeniósł wzrok na mnie. - Czy stwierdza pani jakieś oznaki cofania się amnezji?
- Niestety, nie przypominałam sobie niczego, co miałoby związek ze śmiercią Michela Lamberta.
- Jest pani pewna? - spytał po chwili, najwidoczniej wyczuwając w moim głosie wahanie. Z westchnieniem zerknęłam na Cartera. Detektyw nie spuszczał ze mnie wzroku.
- Wciąż niczego jasno nie pamiętam, ale gdy znajdowałam się na pokładzie „Pogody”, wstrząsały mną straszne uczucia i miałam wizję...
- Hillary - wtrącił się Carter. - Nie ma potrzeby informować o tym. Koszmarne sny, wizje czy inne cholerne doznania, jakie miałaś, nie stanowią dowodu przestępstwa.
- Co konkretnie pani widziała? - nie dał za wygraną Debray.
- Swoją walkę z Michelelem Lambertem.
- To o niczym nie świadczy. Mogłaś się bronić przed napaścią - skomentował Carter.
- Co pani mogłaby dodać? - Detektyw zignorował uwagę męża.
- Rozpoznałam jacht i przypominałam sobie, że byłam

na nim. Naprawdę wydał mi się znajomy, w przeciwieństwie do tylu innych rzeczy.

- Hillary - napomniał mnie Carter.

- Carter, to prawda. Nie zamierzam jej ukrywać.

- Hillary, ci faceci nie są tu dla zabawy. Chodzi o poważne sprawy - nie ustępował. - Kwiaciarka sprzed budynku też wydała ci się znajoma, co świadczy tylko o tym, że twoja mizerna pamięć funkcjonuje raczej chaotycznie. - Odwrócił się do Debraya: - Nie sądzi pan, że emocje mojej żony i jej mgliste wizje nie mają dla śledztwa żadnego znaczenia?

- A jak było z tą kwiaciarką, pani Bass? - Detektyw wciąż nie zwracał uwagi na Cartera.

Zreferowałam mu sytuację. Lepecheur zapisał kilka linijek.

- To wszystko jest śmiechu warte z punktu widzenia śledztwa - odezwał się znowu mąż. - Hillary, nie pojmuję, dlaczego tak się trudzisz? - Poruszył się niecierpliwie. - Musimy zdążyć na samolot.

- Oczywiście. Nie zamierzamy niweczyć pańskich planów - oznajmił Debray i wstał z kanapy, a my za nim. - Ale ja, pani Bass, w przeciwieństwie do pani męża nie oceniam tych wizji i przypomnień jako zupełnie pozbawionych znaczenia.

- Jeśli okaże się, że jestem winna, proszę o niezwłoczne powiadomienie. A po odzyskaniu pamięci nie zamierzam ukrywać prawdy, bez względu na konsekwencje.

Carter nie wyglądał na zadowolonego, ale już nic nie powiedział. Przy drzwiach Debray zatrzymał się.

- Mamy jeszcze jedną sprawę. Jesteśmy pani winni przeprosiny za incydent z reporterem Halleyem. Dowiedziałem się, że ktoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przekazał kuzynowi pani Lambert poufną informację na temat śledztwa. Rodzina Lambertów podała ją do prasy, chcąc w ten sposób, jak sądzimy, zdyskredytować panią. Tak czy inaczej czujemy się naprawdę zakłopotani i przepraszamy państwa.

- Pańska szczerłość jest godna podziwu - stwierdził sarkastycznie Carter.  
- Pracujemy w policji, ale jesteśmy tylko ludźmi, więc i nam zdarzają się potknięcia. - Przepuścił nas pierwszych.

Ruszyliśmy do wyjścia na płytę lotniska. Carter trzymał mnie za rękę. Wdychałam zapach róży.

- Zachowałaś się bardzo inteligentnie. W pierwszej chwili pomyślałem, że postradałaś zmysły, mówiąc Debrayo-wi tak dużo, ale potem zorientowałem się, do czego zmierzasz. Po prostu chciałaś stworzyć wrażenie, że może na sto procent liczyć na twoją współpracę.

- Naprawdę może-oświadczyłam z naciskiem.-Jak już powiedziałam, nie zamierzam niczego ukrywać. Myślałam o tym. Jeśli rzeczywiście zabiłam Michela, to znaczy, jeśli pewnego dnia odzyskam pamięć i okaże się, że dopuściłam się zbrodni, zeznam, co się wydarzyło. Nie potrafiłabym z tym żyć.

Mąż zatrzymał się i patrzył na mnie z niedowierzaniem. Po chwili bez słowa wziął mnie za rękę i ponownie ruszyliśmy do wyjścia na płytę lotniska. Gdy tam dotarliśmy, ogłoszono, że nasz samolot przygotowuje się do startu.

Carter odciągnął mnie na bok, w pobliże obejmującej się na pożegnanie młodej pary. Ujął moją twarz w dłoń.

- Hillary, nigdy dotychczas nie było mi tak trudno oszacować, co jest prawdą, a co fałszem, ale muszę ci wyznać, że na nowo się w tobie zakochałem.

Uśmiechnęłam się.

Gdy mnie pocałował, cała moja udręka nabrała nagle jakiegoś nieoczekiwanego sensu.



## *Rozdział szesnasty*

W chwili, w której samolot znalazł się w powietrzu, odczułam wielką ulgę. Oczywiście nie zapomniałam o swoich kłopotach, ale przynajmniej zmienialiśmy z Carterem otoczenie, a także odsuwaliśmy od siebie obawy i zagrożenia, jakie czyhały na nas w ciągu mijającego tygodnia. Jednak nie tylko z tego powodu czułam się szczęśliwa. Gdy Carter wyznał, że ponownie się we mnie zakochał, przepełniła mnie radość i nadzieja na odbudowanie naszego związku.

Od momentu wystartowania samolotu niemal nie rozmawialiśmy, lecz Carter przez cały czas trzymał mnie za rękę. I to był wymowny gest. A gdy pochyliłam głowę w jego stronę, pochylił również swoją, i przytuliliśmy się do siebie policzkami.

Prawdopodobnie myśleliśmy o tym samym - że wkrótce znowu będziemy się z sobą kochać, bez wzajemnych oskarżeń i przeprosin, ale też, przynajmniej w moim przypadku, bez poczucia pewności, jeśli chodzi o przyszłość. Wprawdzie mąż wyznał mi miłość, jednak pod wieloma względami wciąż stanowił dla mnie zagadkę. Nie pamiętałam jego ciała i erotycznych upodobań. Dzięki temu wyjazdowi dopiero miałam poznać je na nowo.

Zdjęłam z kolan różę i upajałam się jej zapachem. Róże stały się moją obsesją, wywołując emocje i tajemnicze wizje.

Zamknęłam oczy, przypominając sobie kobiecą postać w różanym ogrodzie. Była taka drobna, a zarazem zastanawiająco nieugięta. Nawet teraz miałam poczucie, że usilnie nalega na zrobienie czegoś przeze mnie. Nie dostrzegłam żadnego związku pomiędzy nią i kwiaciarką z lotniska. Tę pierwszą spalało jakieś głębokie uczucie. Dzieliłam je wraz z nią, choć nie potrafiłam go rozpoznać. Na pokładzie zjawił się steward z drinkami. Carter zaproponował, żebyśmy się napili wina. Z przyjemnością przystałam na jego propozycję. Wino miało tak przyjemny smak, że dość szybko opróżniłam kieliszek, gawędząc z mężem o różnych sprawach. Powiedział mi, że stale kursuje pomiędzy Paryżem i Londynem, i że w ostatnich miesiącach niemal nie bywał na południu Francji. Spytałam go, jaki tryb życia prowadzi w Londynie. Oświadczył, że bardzo różny od tego, jaki wiemy w Montfaucon.

Zachowywaliśmy się jak potencjalni kochankowie, obserwując siebie nawzajem i zalecając się do siebie w sposób pozwalający czerpać z tego coraz większą przyjemność, a więc bez gwałtownych reakcji. Ale przynajmniej dla mnie ta gra miłosna była o tyle osobliwa, że nie pamiętałam swojego życia erotycznego. Oczywiście pozostałam normalną kobietą, więc pocałunki podniecały moje zmysły. Reagowałam zupełnie naturalnie.

- Masz niezwykle wyraz twarzy. Odważę się spytać, o czym tak myślisz? - Carter wyrwał mnie z zadumy.

Roześmiałam się, co go tylko zdezorientowało.

- Czy w świecie, w którym teraz przebywasz, jest ci aż tak dobrze? - zagadnął drwiąco.

- Zaczerwieniłam się?

- Powiedz, umieram z ciekawości.

- Myślę o seksie - szepnęłam mu do ucha.

- Każdy dżentelmen dowiadyuje się o tym z przyjemnością.

- Tylko nie wyciągaj z tego pochopnych wniosków. Seks to dla mnie problem.

- Boisz się, że zapomniałaś, jak to się robi?

- Niezupełnie, ale spróbuj się postawić w mojej sytuacji i wyobraź sobie, że nie pamiętasz swojego życia seksualnego.

Opanował śmiech, ale naprawdę był rozbawiony. Szturchnęłam go łokciem.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Czy chciałabyś, kochanie, żebym cię oświecił w tych sprawach? Będę zachwycony, mogąc ci powiedzieć wszystko, czego sobie zażyczysz. - Nachylił się do mojego ucha, zniżając głos.

- Nie sądzę, żeby to była właściwa pora - studziłam jego zapalę, nie potrafiąc ukryć zmieszania. Tym razem rzeczywiście się zaczerwieniłam.

- Jesteś czy nie jesteś zainteresowana tym tematem? -Nie ustępował, podnosząc moją dłoń do ust, jakby pragnął uspokoić mnie tym gestem.

Zastanawiałam się przez chwilę. Rozmowa miała swój sens, bo jak inaczej mogłam poznać nasze dotychczasowe życie seksualne?

- Nie chciałabym wysłuchać jakiejś, z pewnością wiele razy wyrażanej przez ciebie oceny, ale jestem ciekawa, jak nam z sobą było na początku naszej znajomości - powiedziałam cicho.

- Zastanawiam się, od czego zacząć. Jak już wiesz, po raz pierwszy spotkaliśmy się w Paryżu. Twój ojciec zadzwonił z Nowego Jorku, prosząc, żebym sprawdził, co porabiasz. Od kilku dni rodzice nie mogli skontaktować się z tobą przez telefon i trochę się martwili. Tak jak oni dzwoniłem do ciebie wiele razy, ale nigdy nie udało mi się zastać cię w domu. W końcu wybrałem się do ciebie. Trudno cię było upolować, bo prowadziłaś bogate życie towarzyskie -chodziłaś z przyjęcia na przyjęcie albo pochłaniały cię jakieś szalone wyjazdy. Ale miałem szczęście. Właśnie wpadłaś do domu, żeby się przebrać i podeszłaś do drzwi w bieliźnie. Strasznie cię rozbawił cel mojej wizyty.

- Rozbawił?
- Tak. Spytałaś mnie, co spodziewałem się zastać. Odparłem, że zamierzałem tylko sprawdzić, czy nie zagłodziłaś się na śmierć. Wtedy ty, z całą swoją ówczesną bezpośredniością, spytałaś, co bym zrobił, gdybyś wyglądała jak szkielet. Odpowiedziałem, że zacząłbym karmić cię siłą.
- A co ja na to?
- Że skoro tak się troszczę, to powinienem zaprosić cię gdzieś na kolację. Zastrzegłaś się, że w grę wchodzi tylko restauracja z trzema gwiazdkami, bo pozwalasz się zabierać nieznajomym tylko tam, gdzie dobrze karmią. - Raczej nie brakowało mi tupetu.
- Nie. Nigdy. Zanim zdążyłaś się ubrać, zadurzyłem się w tobie po uszy. Ale wtedy po raz pierwszy spotkałem tak piękną kobietę.
- Czyli była to miłość od pierwszego wejrzenia.
- Jestem dostatecznie inteligentny, by w porę spostrzec, że nie całkiem pasowałaś do mojego ideału kobiety, z powodu twojej lekkomyślności, wyrachowania i pozerstwa. Jednak zeszło to na dalszy plan, bo nie potrafiłem się oprzeć twojemu urokowi. Poza tym łudziłem się, że moja rozwaga pomoże ci osiągnąć dojrzałość.
- Czyli, innymi słowy, zamierzałeś mnie zmienić.
- Chciałem cię uratować przed samą sobą.
- Pragnąłeś zostać moim wybawcą, ale ja wolałam mieć pełną swobodę?
- Pociągałem cię, lecz nie w takim stopniu jak cały ten cygański styl życia. Kiedyś wyznałaś, że zafascynowała cię sposobność uwiedzenia współnika ojca.
- Budujące podejście.
- Zawsze lubiłaś skandalizować, choć nie sądziłem, że byłaś taka wyzwolona, za jaką chciałaś uchodzić. Jednak rzeczywiście robiłaś ze swego życia niezłe widowisko. Tak czy inaczej ledwie zdążyliśmy wsiąść do taksówki, żeby pojechać gdzieś na kolację, gdy spytałaś, czy przypadkiem w mojej lodówce nie mrozi się szampan. Na uwagę, że, jak

rozumiem, chcesz mnie odwiedzić w moim domu, odparłaś: „Bass, szybko myślisz.”

- A więc zachowywałam się jak pozbawiona skrupułów młodzianka rozpustnica. Czyli nigdy nie dojechaliśmy na tę kolację.

- Nie. Jedyne „danie”, jakie spożyliśmy, to szampan.

- Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć, co było potem. -Zakryłam twarz dłonią.

- Spędziliśmy naprawdę uroczy wieczór.

- Dałabym głowę, że istotnie - oświadczyłam z ironią.

- Przyjechaliśmy do mojego mieszkania i od razu posłałaś mnie po szampana. Gdy wróciłem, nie było cię w salonie. Pomyślałem, że sobie poszłaś, ale okazało się, że bierzesz kąpiel, po szyję zanurzona w pianie. Mówiąc w skrócie, ty popijałaś szampana, leżąc w wannie, a ja siedząc na bidencie.

- Boję się spytać o ciąg dalszy. Carter uśmiechnął się jak szelma.

- Zaprosiłaś mnie do wanny. Nie należę do tych, którzy tracą tak wspaniałą okazję, więc natychmiast skorzystałem z propozycji. Oświadczyłaś, że w przeciwieństwie do większości kobiet lubisz patrzeć na rozbierającego się mężczyznę, bo to cię podnieca.

- I oto mamy za sobą pierwszą randkę - wymamrotałam.

- Nie chcesz wiedzieć, co było dalej?

- Czuję, że i tak mi to powiesz.

- Z pewnością nie, jeśli sobie nie życzysz.

- No dobrze, co było dalej? - Rozejrzałam się dyskretnie, sprawdzając czy ktoś nie podsłuchuje.

Szczęśliwie nikt nie sprawiał takiego wrażenia.

- Po kąpieli poprosiłaś, żebym cię posmarował balsamem do ciała. Jako kawaler nie miałem damskich kosmetyków, ale zaproponowałem krem po goleniu. Uparłaś się, że najpierw ty posmarujesz mnie, a potem ja ciebie. Gdy już mieliśmy to za sobą, natychmiast zaczęliśmy się kochać w łazience na posadzce.

Ta opowieść podnieciła mnie, choć nie wiem, czy Carter świadomie pobudzał nią moje zmysły, czy raczej wpływ miało moje obecne nastawienie do niego. Odetchnęłam głęboko.

- Z całą pewnością nie można mnie uważać za wstydliwą.

- Nikt nie śmiałyby cię o to posądzać.

Napiłam się wina. Wpatrując się w kieliszek, obracałam go, przytrzymując za nóżkę. Na końcu języka miałam pytanie narzucające się samo przez się.

- Czy było ci ze mną dobrze? - nie wytrzymałam.

- Tak. A za pierwszym razem nie zawsze do tego dochodzi.

- A mnie z tobą?

- Powiedziałaś, że lubisz perwersyjny, wyzwolony seks i że to jest to. Wyznałaś, że w twoim przypadku spora doza ekscytacji wynika z naruszenia tabu, to znaczy z faktu, że kochasz się ze współpracownikiem ojca.

- Czy nie odczułeś, że potraktowałam cię instrumentalnie? - spytałam zaszokowana swoją postawą.

- W gruncie rzeczy oboje tak siebie potraktowaliśmy, ale mnie naprawdę zaczęło na tobie zależeć.

Przy moim ówczesnym idealizmie wierzyłem, że w głębi duszy ty również mnie kochasz. I nie całkiem się myliłem. Stanowiliśmy dobrane, żeby nie powiedzieć szczęśliwe małżeństwo, przynajmniej dopóki nie zaczęły go niweczyć jego słabe strony.

- To nie daje wielkiej nadziei na przyszłość.

- Uważam, że nie można myśleć w ten sposób. Wiele się zmieniło. Hillary, teraz docierają do mnie od ciebie zupełnie inne wibracje i wypowiadasz całkiem odmienne poglądy. Bez względu na to, jak sceptycznie i podejrzliwie traktowałam cię przez ten cały tydzień ani razu się na tobie nie zawiodłem.

Samolot podchodził do lądowania. Wyglądałam przez okno, zastanawiając się nad słowami Cartera.

Czyżby ten wyjazd oznaczał dla naszego małżeństwa nowy początek?

Wracaliśmy do miejsca, w którym wszystko się zaczęło, ale byliśmy starsi i mądrzejsi, i oboje pragnęliśmy szczęścia.

Moje zamyślenie przerwało zjawienie się na pokładzie stewarda. Gdy podaliśmy mu tace z opróżnionymi kieliszkami, Carter pocałował mnie w ucho.

- Nie chcę, żebyś się tak spalała. Zdaję sobie sprawę, jakie napięcie wiąże się dla ciebie z tym wyjazdem. Mam jednak nadzieję, że świadomość mojego uczucia i troski o ciebie łatwiej pozwoli ci wszystko znieść.

Dotknęłam policzkiem jego policzka. Też chciałam mu wyznać miłość, ale nie potrafiłam. Bo cóż to była za miłość, skoro nie miałam do niego zaufania? Poza tym najpierw musiałam uwierzyć w siebie. Carter nic nie mógł na to poradzić.

Patrzyłam na Paryż przez okno taksówki w poczuciu, że jestem tu po raz pierwszy. W zapadającym zmierzchu w tym mieście światła kontury budowli zacierały się jak w świecie snów. Podobało mi się to. Trzymając Cartera za rękę, rozglądałam się na wszystkie strony. Jechaliśmy wzdłuż Sekwany. Wieża Eiffla nieustannie wyłaniała się zza domów. Carter powiedział mi, że nasz apartament znajduje się niedaleko Parc du Champ, czyli miejsca, z którego ona góruje nad miastem. To było w Siódmej Dzielnicy - siedlisku burżuazji - bardzo drogiej i o nieco dusznej atmosferze, ale znajdującej się w centrum. Poza tym, jak zapewnił mnie mąż, nasze mieszkanie to śliczne *pied-à-terre*, znakomicie spełniające swoją rolę. Od dawna stanowiło dla nas neutralne terytorium, miałam więc nadzieję, że raz na zawsze zostawimy za progiem wzajemną wrogość. Znaleźliśmy się na Quai de Grenelle; zaczęłam się denerwować. Pobyt sam na sam z Carterem w naszym paryskim apartamencie stanowił wyzwanie nie tylko dla mojej pamięci-

ci, ale i dla mojej kobiecości. Z powodu amnezji w pewnym sensie musiałam rywalizować sama z sobą.

Carter wyczuł mój lęk, bo zalewał mnie potokiem słów na temat miasta.

Kiedy jechaliśmy Avenue Bosquet, pokazywał mi miejsca, które dla mnie coś znaczyły. Niemal go nie słuchałam, ogarnięta kryzysem wiary w możliwość poradzenia sobie z nową sytuacją.

- Jesteś spocona? Chyba nie czujesz się dobrze? - Przycisnął moją dłoń do swojego policzka.

- To tylko lekkie zdenerwowanie.

- Odpręż się. Zachowywałaś się całkiem swobodnie w tym mieszkaniu, będąc w nim po raz pierwszy, a miałaś dopiero dwadzieścia dwa lata - zażartował, chcąc, żebym się nieco odprężyła.

- I właśnie to mnie martwi.

Taksówka wzięła jeszcze dwa zakręty, wjechała w boczną ulicę i zatrzymała się. Spoglądałam przez szybę na wolno stojący dwupiętrowy budynek, do którego kiedyś z pewnością przylegały inne. Na każdym poziomie znajdował się apartament. Nasz był na drugim. Nie poznałam tego budynku, lecz oczywiście wcale mnie to nie zaskoczyło.

Gdy wysiedliśmy, rozejrzałam się po cichej uliczce, usiłując wyobrazić sobie siebie wysiadającą tu z taksówki niemal przed dziesięciu laty. Byłam wtedy modelką, wiodącą luksusowy żywot, która przyjechała do Cartera, chcąc zaznać smaku wyzwolonej miłości. A teraz miałam trzydziestkę i drżałam z lęku, nie wiedząc nic o sobie jako o partnerce seksualnej.

Ruszyliśmy do środka. Hall prezentował się jak w starym dobrym hotelu. Pewnie przed laty uderzyło mnie to samo skojarzenie. Zastanawiałam się, jakie jeszcze myśli i uczucia towarzyszyły mi podczas tej pierwszej wizyty u Cartera. Czy w głębi duszy nie obawiałam się, że odtrąci moje zaloty? I czy moje zamiłowanie do skandalizowania nie skrywało przypadkiem zachwianego poczucia bezpieczeństwa?



Szliśmy po schodach, a za nami taksówkarz z bagażami. Dotknęłam lśniącej poręczy. Teraz uświadomiłam sobie, że częściowo mój strach bierze się z obawy przed rozczarowaniem Cartera, gdy idzie o seks. Bo co będzie, jeśli w tej sferze doznamy porażki i nasz romantyczny weekend okaże się pomyłką? A najbardziej przerażające wydało mi się nagłe ustąpienie amnezji i załamanie nerwowe z powodu ujawnionych przez pamięć faktów.

Drzwi do mieszkania były ciężkie i wysokie. Carter otworzył. Weszłam do środka, a on na korytarzu płacił taksówkarzowi. Rozglądałam się, olśniona i zaciekawiona, jak pierwszego dnia w domu w Montfaucon.

W salonie zapach skóry i luksusowego drewna mieszał się z wonią róż. Pokój był duży i urządzone zgodnie z wymaganymi standardami. Pod wykuszowym, wychodzącym na ulicę oknem stał antyczny, intarsjowany stół, a na nim wazon z dwunastoma różowymi różami. Ruszyłam do nich przez wielki wschodni dywan niczym medium w stanie transu. Zaczęłam je wąchać. To były świeżo ścięte, ledwie rozwinięte pąki, więc ktoś musiał je tu przynieść na polecenie Cartera. Wciąż jeszcze trzymałam w ręku różę kupioną na lotnisku w Nicei. Nieco przywiędła. Wstawiłam ją do wazonu - jedyną czerwoną wśród dwunastu różowych.

Wyjrzałam przez okno. Taksówkarz właśnie odjeżdżał, a z naprzeciwka nadchodził starszy mężczyzna ze sznucerem. Docierał tu przytłumiony dźwięk ruchu ulicznego z pobliskiego bulwaru. Odwróciłam się, czując na sobie wzrok Cartera. Stał przy drzwiach i w milczeniu patrzył na mnie. Ja też się nie odzywałam, zwłaszcza że wyobraziłam sobie swoją „wyzwoloną” paplaninę podczas pierwszej wizyty, kiedy sprowokowałam go do pójścia od razu do łóżka. W przyszłości zamierzałam określić granice, poza które w sprawach seksu nie zamierzałam wykraczać, ale teraz byłam pełna obaw, bo znałam zaledwie ten pierwszy wyskok z Carterem, i to tylko

na podstawie jego relacji. Tak czy inaczej umiar wkraczał w moje życie, gdy stuknęła mi trzydziestka.

- No i jak ci się tu podoba? - odezwał się Carter.

- To znaczy salon? - upewniłam się, rozkojarzona. Skinął głową.

Rozejrzałam się, dopiero teraz zauważając dzieła sztuki: dwa obrazy impresjonistyczne, jakieś stare płótno przedstawiające pejzaż i kilka miniatur.

- Jest urządzony bardzo surowo, ale panuje tu ciepły nastrój. Podoba mi się.

- Aha, oczywiście róże są dla ciebie. Pomyślałem, że dzięki nim być może zapanuje tu bardziej domowa atmosfera.

- Dziękuję. To miłe z twojej strony. - Powąchałam pączek.

Carter zapalił nocną lampkę w rogu pokoju i usiadł swobodnie w fotelu w stylu Ludwika XVI..

Prawdopodobnie była to replika. Ja wciąż stałam przy oknie.

- Prawdziwy mój dom znajduje się na londyńskim Ken-singtonie. Dopiero na tej podstawie mogłabyś spróbować ocenić mój gust i upodobania.

- Założę się, że nie powiedziałaś tego, gdy zjawiłam się tu po raz pierwszy - wypomniałam mu sposób, w jaki mnie wtedy potraktował.

- Nie. Troska o to, co sądzisz na temat mojego mieszkania, w ogóle nie zaprzętała mojej uwagi.

Myślałem tylko o jednym.

- Oczywiście o seksie?

- Jasne.

- A co powiedziałam na temat twojego mieszkania?

- Że panuje tu strasznie duszna atmosfera, w sam raz dla jakiejś pieprzonej Francuzki - odparł po namyśle. - Uznałaś, że zarówno ja, jak i moje mieszkanie potrzebujemy więcej luzu.

- Dziwię się, że mnie nie wyrzuciłeś.

- Impertynencja była dla ciebie typowa. Lubiłaś mnie

prowokować i nie zgadzałaś się ze mną, jeśli tylko miałaś w tym jakiś cel. A przy okazji, cieszę się, że to już nieaktualne.

- A jaką różnicę stanowi trwający u mnie zaledwie od tygodnia stan amnezji?

Carter tylko się uśmiechnął.

- Broń Boże nie przyzwyczajaj się do nowej sytuacji. Nie mogę ci niczego zagwarantować - ostrzegłam.

Uniósł brwi, ale nic nie odpowiedział.

- Chciałabyś coś zjeść lub się napić? Lodówka jest zaopatrzona.

- A co masz?

- Proponuję szampana.

- Czy już kiedyś gdzieś tego nie mówiłeś? - spytałam ze śmiechem.

- Czy to znaczy, że nie masz ochoty?

- Teraz to całkiem miła propozycja, abstrahując od skojarzeń.

- Hillary, przecież różnica tkwi w nas, a nie w twoim stosunku do szampana. - Wstał. - Wniosę bagaże i zaraz się napijemy.

Gdy wyszedł z salonu, wciągnęłam głęboko do płuc przesycone zapachem róż powietrze. Odwróciłam się do okna. Spojrzałam w ciemne niebo. Usłyszałam dźwięk syreny, dochodzący gdzieś z nad Sekwany. Przypomni mi straszne zamieszanie na przystani po eksplozji „Pogody”. Przeszył mnie dreszcz, bo nieoczekiwanie pomyślałam, jak blisko byłam śmierci.

Moją uwagę przyciągnął samochód zaparkowany na wprost domu. W środku siedział mężczyzna. Wydawało mi się, że spogląda w okna naszego apartamentu. Zdenerwowałam się na myśl, że ktoś może nas szpiegować. Zarazem podejrzewałam, że moje obawy stanowią wytwór chorej wyobraźni, wręcz paranoi. Przez otwarte okno samochodu snuł się dym z papierosa. Mówiłam sobie, że nie ma nic nadzwyczajnego w widoku mężczyzny siedzącego w samo-

chodzie zaparkowanym w środku miasta. Może po prostu czeka na kogoś, paląc papierosa? Moje obawy jednak nie ustąpiły. Przez chwilę patrzyłam na nieznajomego. Sprawiał wrażenie, że też na mnie patrzy.

Do salonu wszedł Carter, wnosząc kubek z mrozącym się szampanem i kieliszki. Nie miał na sobie marynarki. Wydawał się odprężony i w dobrym nastroju. Wyglądał bardzo pociągająco w koszuli i krawacie. Pragnęłam znaleźć się blisko niego, więc odeszłam od okna.

- Carter, czy możemy czuć się w Paryżu bezpiecznie?

- Bezpiecznie? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic konkretnego. Chyba zwyczajnie boję się strzału z rewolweru. Nie potrafię się uwolnić od myśli, że ktoś nas szpieguje.

- Nie powinienem był mówić ci o moich podejrzeniach, że ktoś dziś rano śledził mnie w drodze do Cannes. - Zdjął z butelki drucianą zatyczkę korka.

- To nie twoja wina, ale moich nerwów.

- Łatwo to zrozumieć po twoich przeżyciach na przystani jachtowej w Tulonie, ale nie myśl o tym teraz. Skup się na Paryżu, na tym, że jesteśmy tu razem i możemy wspaniale spędzić czas.

- Masz rację. Zamartwianie się w niczym nie pomoże. -Przytuliłam policzek do jego ramienia.

- Trzeba ci teraz odrobiny szampana. - Uścisnął mnie, po czym napełnił kieliszek i podał mi, nalewając również sobie. - Witam w Paryżu. - Zasalutował mi.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, podnosząc do ust perlisty napój.

- Czy chciałabyś obejrzeć mieszkanie? Na dobrą sprawę jeszcze go nie widziałaś.

- Jasne.

Z kieliszkami w ręku przeszliśmy do kameralnej jadalni. Zwróciła moją uwagę antyczna serwantka, nad którą wisiało lustro w złożonej barokowej ramie. Wyobraziłam sobie, że jemy tu przy świecach.

Do jadalni przylegała duża kuchnia. Została przebudowana, ale z powodu wysokiego sufitu i zabytkowych kafli zachowała dawną atmosferę. Podeszłam za Carterem do lodówki. Na półkach leżały starannie zapakowane, opatrzone etykietkami produkty. Były także świeże warzywa, mleko, ciasteczka z kremem w plastikowym kontenerku i trzy butelki wody mineralnej Laurenta Perriera.

- Czy to mieszkanie zawsze jest tak zaopatrzone na twój przyjazd?

- Zajmuje się nim kobieta, którą zawiadamiamy o spodziewanej wizycie w Paryżu. Robi zakupy i porządki. Każde z nas przyjeżdża tu na dłużej na ogół trzy razy w roku.

Stanęliśmy pośrodku kuchni, patrząc sobie w oczy. Podniosłam do ust kieliszek.

- Czy potrafisz gotować? - spytałam po chwili.

- Niestety, nie gotujesz tak dobrze jak grasz w cribbage. Kręcenie się po kuchni znajduje się na końcu listy twoich upodobań.

Wróciliśmy do salonu.

- Została nam łazienka - oświadczył, ruszając do hallu.

- Okryta złą sławą - zażartowałam.

- Zgadza się.

Przez otwarte drzwi zobaczyłam kosztowne białe kafelki.

- Pozwól ją sobie pokazać - zachęcał Carter.

- Sama tam za chwilę wejdę.

- To obejrzymy sypialnię.

Najpierw weszliśmy do małego gościnnego pokoju, a następnie do małżeńskiej sypialni. To był segment, złożony z części sypialnej i wypoczynkowej oraz z ubieralni. Wnętrze zostało urządzone nieco mniej sztywno niż salon, ale również tu brakowało przytulności. Przyciągnęło moją uwagę typowo europejskie, wysokie łoże ze złożonym zagłówkiem. Ten piękny antyk z łatwością potrafił pobudzić moją wyobraźnię. Sama myśl o spoczywających tu naszych nagich ciałach działała podniecająco.

Carter otworzył okno wychodzące na tył domu. Znajdował się tam mały ogród, pełen kwiatowych klombów i ozdobnych krzewów. Na tle pociemniałego nieba stanowiły niezapomniany widok. Ponad dachami pobliskich domów górowała wieża Eiffla. Z pewnością podziwiałam ten widok niezliczoną ilość razy, ale wiedziałam, że na zawsze pozostanę pod jego urokiem.

- W Paryżu czujesz się jak w domu, kochanie. - Carter pociągnął łyk szampana.

- Jest piękny... Taki romantyczny.

Spojrzałam na migocące na wieży światła i przeniosłam wzrok na męża. W wieczornym świetle jego niebieskie oczy wydawały się ciemniejsze. Lekko zsunięte na czoło bujne włosy zmiękczyły rysy jego twarzy. Emanowała z niego siła i męskość. Nieśmiało zatęskniłam za jego ciałem.

- Jaka ty jesteś śliczna - szepnął.

Ze wzruszenia nie mogłam oddychać. Postawił nasze kieliszki na stojącej obok komodzie i objął mnie. Zarzuciłam mu ręce na szyję. Zaczęliśmy się całować. Najpierw drażnił językiem moje dziąsła, a potem zniewalająco pieścił wnętrze ust, chcąc, bym się dla niego otworzyła. Zareagowałam natychmiast, zaskoczona żarem, jaki we mnie wyzwał i tym, że lęk tak łatwo wyparło pożądanie. Gdy w końcu nasz namiętny pocałunek dobiegł kresu, zaczerpnęłam do płuc powietrza. Czułam zapach ciała Cartera, zmieszany z wonią kwiatów pod oknem. Drżałam. Chciałam coś powiedzieć, lecz nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Czułam na szyi oddech męża i dotyk jego ust za uchem.

- Przepraszam, jeśli zanadto poniosły mnie uczucia.

- Czy tyle lat po ślubie ludzie są zdolni do takich reakcji? - spytałam.

- Może nie, ale ja z pewnością nie udawałam. Obejmował mnie czule i troskliwie. Czułam się kochana i bezpieczna, jakby w jednej chwili opuściły mnie wszystkie demony.

- Powinnam się odświeżyć. - Wyśliznęłam się z jego

ramion i rozejrzałam po sypialni. - Czy jest tu gdzieś mój podręczny neseser?

- Tak, ale zanim pójdziesz do łazienki, chciałbym ci coś dać. - Przeszedł do ubieralni. Usłyszałam dźwięk otwieranej szafy. Carter wrócił z pakunkiem owiniętym w nieskazitelny plastik. - Przed rokiem albo wcześniej przywiozłem to dla ciebie z Japonii. Chciałbym, żebyś teraz przyjęła ten prezent.

- Jakie śliczne. - W opakowaniu znajdowało się białe jedwabne kimono z wyhaftowanym na plecach czarnym ibisem. - Och, Carter, dziękuję. Zaraz je włożę.

Ujął dłonią mój podbródek, muskając mnie ustami. Pragnęłam zarzucić mu ręce na szyję i całować się z nim jak przedtem, jednak siłą woli odsunęłam się, bo gdyby trwało to odrobinę dłużej, już nie potrafiłabym wyśliznąć się z jego ramion.

Ruszyłam do okrytej złą sławą łazienki, jak ją nazwaliśmy. Gdy zamknęłam za sobą drzwi, serce wciąż mi łomotało. Oparłam się o drzwi, w nadziei, że pomoże mi to ochłonać.

Łazienka okazała się całkiem duża. Zgodnie z europejskim zwyczajem nie była połączona z ubikacją. Wielka biała wanna lśniła jak lustro!, Z łatwością snułam fantazje, że siedzę w tej wannie, po szyję zanurzona w pianie, i pijam szampana, zarazem prowadząc z Carterem grę miłosną. Ale nie miało to nic wspólnego z odzyskiwaniem pamięci, bo nie tak sobie wyobrażałam tę łazienkę. Niemniej bez trudu widziałam siebie w wannie, jak prowokacyjnie wystawiam nogę, chcąc podniecić Cartera. Gdy zerknęłam na posadzkę, poczułam na plecach jej chłód. Oczami wyobraźni zobaczyłam siebie podnieconą i leżącą na tej posadzce, i stojącego nade mną nagiego Cartera. Zobaczyłam, jak pochyla się i klęka pomiędzy moimi rozchylonymi udami. Te wyobrażenia ekscytowały mnie do tego stopnia, że z całych sił usiłowałam sobie przypomnieć, co czułam, gdy Carter we mnie wchodził. Niestety, tylko dotyk jego ust i języka nie stanowił już dla mnie tajemnicy. Drżałam z podniecenia, wyobrażając sobie, jak leżymy na tej posadzce w miłosnych objęciach.

Usiłując zapanować nad zmysłami, podeszłam do umywalki i zrosiłam policzki zimną wodą. Nieco pomogło. Rozebrałam się, przetręłam ciało zwilżoną gąbką i włożyłam kimono. Poczułam na skórze chłodny, zmysłowy dotyk jedwabiu. Perwersja kryjąca się w takiej osłonie nagiego ciała była naprawdę ekscytująca. Zastanawiałam się, czy to doznanie nie oznacza przypadkiem, że daje o sobie znać moje stare zamiłowanie do hedonizmu. Jednak postanowiłam nie zaprzętać sobie tym głowy, bo uważałam, że bez względu na to, czy odzyskam pamięć czy nie, już na zawsze pozostanę odmienioną Hillary Bass. Wprawdzie moje życie stanowiło dalszy ciąg „jej” życia, spałam w „jej” łóżku i byłam bliska kochania się z „jej” mężem, lecz uważałam to za zupełnie normalne. Poza tym Carter pragnął mnie tak samo, jak ja pragnęłam jego. I tylko to się liczyło.



## *Rozdział siedemnasty*

Gdy weszłam do sypialni, mąż zasuwał okienne zasłony. Zamarł na mój widok.

- Wyglądasz w tym kimonie ślicznie. Naprawdę ślicznie. Uśmiechnęłam się.

Stałam przy drzwiach udając, że poprawiam włosy, bo czułam się bardzo niepewnie. Jedwab delikatnie ocierał się o moją skórę.

Mąż odwrócił się, żeby dokończyć zasłanianie okna. Mignęła mi przed oczami rozświetlona wieża Eiffla.

Powietrze w sypialni przesycił zapach kwiatów. Tylko w wypoczynkowej części pokoju paliła się mała lampka, tworząc we wnętrzu tajemniczy teatr cieni.

Carter podszedł do mnie. Wyobraziłam sobie, jak się kochamy i lekko rozchyliłam usta. Powracał do życia mężczyzna, z którym przed laty doznałam w tym mieszkaniu rozkoszy. Zdjął krawat i rozpiął koszulę. Zobaczyłam śniady owłosiony tors. Snułam fantazje na temat dotyku tego torsu na swoich obnażonych piersiach. Nie potrafiłam myśleć

o niczym więcej. Milczeliśmy. Mąż chyba odgadł, że cisza pomaga mi na powrót odnaleźć naszą bliskość - tę duchową

i tę fizyczną, bo z pewnością pragnął obu. Jakby w reakcji na jakieś fluidy, objął mnie w talii i zaczął całować. Pieścił językiem mój język, a ja czułam, jak narasta w nim pragnienie i jak dalece dzielimy je z sobą.

Po pocałunku zaczęłam drżeć.

- Carter, kochajmy się. -wymamrotałam.

Oczy mu pociemniały. Wolno i z rozmysłem rozwiązał moje kimono. Spojrzał na piersi i podniósł oczy. Płonęła w nich taka namiętność, że przeszył mnie dreszcz. Męskie dłonie zsunęły z moich ramion biały jedwab. Stałam przed mężem naga.

Wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka. Leżałam zdumiona, że wszystko stało się tak nagle. Zaledwie przed godziną obawiałam się naszego intymnego zbliżenia, a teraz łaknęłam dotyku ciała Cartera.

Usiadł obok mnie i wziął mnie za rękę, tę, którą skaleczyłam sobie po eksplozji bomby na „Pogodzie”.

Wodził palcem wzdłuż brzegu bandaża. Na jego twarzy malowała się niepewność.

- Czy naprawdę tego chcesz?

- Naprawdę.

Podniósł moją dłoń do ust. Ujęła mnie jego delikatność, lecz wbrew intencji ten czuły gest jeszcze bardziej mnie podniecił. Dotyk języka Cartera na palcach zelektryzował mnie tak, że straciłam oddech. Ale mąż wiedział, że to lubię. Świadczyło o tym jego spojrzenie. Nie musiał już sprawdzać, jak działają na mnie jego pieszczoty. Ostatecznie był moim kochankiem przez wiele lat. Kochankiem, jak sądziłam, wytrawnym.

- Wiesz więcej na temat mojego ciała niż ja... Uśmiechnął się.

- Czy zamierzasz z tego skorzystać?

- A chciałabyś?

Nie potrafiłam się oprzeć. Z góry znał odpowiedzi na wszystkie moje pytania. W przeciwieństwie do mnie, wiedział, jakie pieszczoty lubię. A poza tym każda kobieta marzy, żeby kochanek spełniał jej pragnienia bez potrzeby ich wypowiedzenia.

- Tak - szepnęłam. - Pokaż mi, co mnie podnieca i daje rozkosz.

Włożył do ust mały palec mojej lewej dłoni i wodził po

nim wilgotnymi wargami. Zamknęłam oczy, drżąc na całym ciele, gdy w ten sposób pieścił kolejno wszystkie palce.

- Sprawia ci to przyjemność?

- O tak.

- Czy coś zaczynasz sobie przypominać?

Tak nie było, ale nie miało to teraz znaczenia. Czułam się cudownie.

- Carter...

- Tak? - Muskał ustami mój nadgarstek.

- Czy właśnie to lubię najbardziej?

- Lubisz pewne miłosne rytuały, ale tak naprawdę odpowiadają ci wszystkie pieszczoty.

- Co to znaczy „wszystkie”? Uśmiechnął się.

- To nie w porządku. Powinnam poznać swoje upodobania erotyczne - powiedziałam z wyrzutem.

Całował wewnętrzną stronę mojej ręki.

- Pomyśl, jakie to ekscytujące nie mieć pojęcia, co się zdarzy. To jedyna okazja, żeby tak było.

Następnym razem już będziesz wiedziała, czego się spodziewać.

Polizał środkowy palec swojej prawej dłoni i zaczął nim drażnić sutki moich piersi. Jęknęłam z rozkoszy.

- Naprawdę lubię wszystko? Wszystko? - szepnęłam niemal pozbawiona tchu.

Skinał głową i przesunął dłoń na brzuch. Ciepło jego palców wywołało w moim ciele dziwne wibracje. Zamknęłam oczy wiedząc, że będzie postępował zgodnie z określonym przez siebie planem.

Niemal wstrzymałam oddech, czekając na to; co się zdarzy. Gdy usiadł w nogach łóżka i zaczął całować koniuszki moich palców, natychmiast uniosłam powieki. Zobaczyłam, że wodzi językiem w miejscach rozdzielających palce. Ogarnęła mnie taka rozkosz, że bezmyślnie spoglądałam w sufit.

Jęknęłam, czując dotyk języka Cartera na stopach.

- Prawda, że wolisz to nawet bardziej niż całowanie palców u rąk?

- Tak - szepnęłam, bo istotnie pieszczota stóp podniecała mnie jeszcze bardziej.

Zaczął wodzić ustami po moich łydkach, pieszcząc zgięcia kolan i wolno przesuwał się na uda.

- O Boże. - Uniosłam głowę, żeby zobaczyć, co robi. - Lepiej przestań, bo oszaleję. - Zacisnęłam ręce na łonie.

- Hillary, to co najbardziej lubisz, dopiero nastąpi.

Teraz zrozumiałam, co miał na myśli mówiąc, iż odpowiadają mi wszystkie pieszczoty. Nie uznawałam żadnych ograniczeń. Nie miałam żadnych zahamowań.

Carter całował moje uda, przesuwał się coraz bliżej łona. Poczulałam jego oddech na zaciśniętych dłoniach. Oczekiwanie na najważniejszy moment było niczym tortura, ale mąż zwlekał, podniecając mnie tym jeszcze bardziej. Gdy w końcu odsunął na bok moje ręce, zacisnęłam je kurczowo na narzucie. Dotykał policzkiem moich włosów na łonie i drażnił czułe miejsce gorącym oddechem, a następnie zaczął je muskać językiem. Zabrakło mi oddechu.

- Carter! O mój Boże!

Przesuwał językiem po waginie, a po chwili odchylił nieco głowę i zaczął mnie podniecać, wydmuchując powietrze. Miałam poczucie, że przenika ono całe moje ciało. Drżałam z rozkoszy. Rozłożyłam uda i przysunęłam się, pragnąc czegoś więcej. Krzyknęłam, gdy mąż włożył palec pomiędzy moje rozchylone nogi, równocześnie pieszcząc ustami łechtaczkę. Moje podniecenie sięgnęło zenitu.

- Carter, zostaw mnie! - błagałam.

- Hillary... kochanie - powtarzał, odsuwając się na chwilę.

Rozpłynęłam się w ekstazie. Jak mogłam nie pamiętać takiego doznania? W każdym razie wiedziałam, że tej chwili nigdy nie zapomnę, choćby nie wiem co się stało.

Mąż przez długą chwilę pieścił moje łono w ten sam sposób co poprzednio.

- Było ci dobrze? Roześmiałam się.

- A jak mogłoby nie być? - Przejechałam palcami po jego włosach.

- Jest tylko jedna sprawa. Nie spodziewałem się tak szybko twojego orgazmu i oczekiwałem, że jak zwykle uprzedzisz mnie, że zbliżasz się do tego momentu.

- Nie powiedziałaś mi o tym, lecz nie ma to żadnego znaczenia. A teraz chcę cię poczuć w środku. Wstał z łóżka i zaczął zdejmować koszulę. Wcale się nie śpieszył. To rozmyślne przedłużanie oczekiwania samo w sobie stanowiło wyzwanie dla moich zmysłów. Gdy się rozebrał, stwierdziłam, że jest bardziej muskularny, niż mogłam sądzić. Miał wspaniałą sylwetkę. Położył się obok mnie na tyle blisko, żeby nasze ciała mogły się dotykać. Jego było gorące, moje chłodne. Powietrze w sypialni przesyciła silna woń kwiatów za oknem, mieszająca się z zapachem ciała Cartera.

- Czy zaczęłaś powracać do dawnego stanu? - spytał łagodnie.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek stała się tą samą osobą co kiedyś.

- Może będzie ci z tym lepiej. - Przesuwał ręką po moim brzuchu.

Teraz również ja chciałam pieścić Cartera, odpłacając za rozkosz, jakiej dzięki niemu doznałam. Przez chwilę wodziłam dłonią po jego torsie, ale szybko zrozumiałam, że nie potrafię tak panować nad swoimi zmysłami. Nie umiałam czekać. Przesunęłam rękę niżej i wzięłam w palce penisa. Był imponujący. Carter znieruchomiał. Myśl, że mogę poczuć go w sobie, obezwładniła mnie. Nawet jeśli chciałby, żebym go pieściła tak jak on mnie wcześniej, nie byłam w stanie poskromić rozbudzonych namiętności.

- Chodź... Teraz - szepnęłam.

Osunął się na mnie, a ja przyjąłem go, drżąc z pożądania. Odkryłam, że również w czasie najbardziej intymnego zbliżenia doskonale wie, jak sprawić mi rozkosz. Drażnił moje wnętrze, niemal doprowadzając mnie do ekstazy, po czym

cofał się, pobudzając jeszcze bardziej. Gdy już nie potrafiłam znieść dłużej tej udreki zmysłów, wyprężyłam się i uniosłam uda wyżej. Carter wchodził we mnie coraz głębiej. Nasza obopólna rozkosz wzmagala się i byliśmy coraz bliżej ekstazy. Po jakimś czasie pochłoneła nas bez reszty. Po długiej, pełnej słodczy chwili pogładziłam go po włosach. Nie potrafiłam wyrazić słowami tego, co czuję.

- Kocham cię, Hillary. Bardzo cię kocham - usłyszałam jego szept.

I ja chciałam powiedzieć sakramentalne „kocham cię”. Już miałam te słowa na ustach, gdy przyszło mi do głowy imię Roger. Omal nie nazwałam nim męża! Nie pomyślałam o Michelu, Bobie czy Antoniu, lecz o jakimś Rogerze! Nie pamiętałam i nie znałam mężczyzny o takim imieniu... Przeszył mnie dreszcz. /

Carter, dzięki Bogu, nie spostrzegł mojej konsternacji i o nic nie pytał.

- Dziś zaczęliśmy wszystko od nowa - odezwał się. Słyszac to, poczułam się jak zdrajczyni. Cieszyłam się, że

przyćmione światło utrudnia rozpoznanie wyrazu mojej twarzy.

- Co z tobą, kochanie? - spytał, przesuwając dłonią po moim ramieniu. - Czy wszystko okazało się dla ciebie zupełnie nowe? Niczego sobie nie przypomniałaś?

- Przeżyłam cudowne chwile, ale mam poczucie, że jesteśmy z sobą po raz pierwszy.

- Brak wspomnień jest lepszy od złych wspomnień - powiedział z westchnieniem.

Po raz kolejny zdałam sobie sprawę, w jak osobliwej znajdujemy się sytuacji. Carter znał mnie „przed” i „po”, a ja jego tylko „po”. Zgodnie z moim doświadczeniem kochaliśmy się ten jeden jedyny raz. Oczywiście pragnęłam wierzyć, że już zawsze będzie tak jak teraz, ale nie mogłam przestać myśleć o przeszłości. Ta Hillary, która porzuciła

męża dla innego mężczyzny, musiała mieć jakieś powody, żeby to zrobić. Pocieszałam się, że w niedalekiej przyszłości poznam jej racje. Nic jednak nie było w stanie wymazać z mojej pamięci wspaniałych chwil, jakie spędzałam teraz z Carterem.

- Chcę cię o coś spytać. - Położyłam dłoń na jego torsie.

- Powiedz mi szczerze, czy pomiędzy dzisiejszym naszym zbliżeniem a poprzednimi dostrzegłeś jakąś różnicę? Czy byłam tą samą Hillary?

- Ależ nie.

- Na czym polegała różnica?

- Przecież ci mówiłem, że od dłuższego czasu stanowiliśmy nieszczęśliwą parę.

- Mam świadomość, że w ciągu ostatnich miesięcy układało się pomiędzy nami źle, ale wciąż nie wiem, jak nam było z sobą w początkach małżeństwa, gdy byliśmy sobą zainteresowani.

- Kochanie, nigdy nie było nam tak dobrze jak teraz.

- A mówiłeś, że mieliśmy wspaniałe życie erotyczne. Więc jak właściwie oceniasz to uprawianie miłości na posadzce w łazience? Czy w rzeczywistości wcale cię nie zachwyciło?

Carter uniósł się na łokciu i spoglądał na mnie z uwagą.

- Dlaczego jesteś taka niespokojna? Nie wierzysz mi? Zagryzłam wargi. Moje napięcie osiągnęło granicę wybuchu.

- Usiłuję tylko zrozumieć samą siebie i nasze wzajemne relacje.

- Istotnie! na początku mieliśmy ekscytujące życie erotyczne, ale to wszystko. Teraz jest coś więcej. - Skrzywił się. - Nie czujesz tego? Czyżbym sobie wszystko wymyślił?

- Nie. Ja też tak to odbieram.

- Więc nie rozumiem twoich reakcji.

- Och, to nic poważnego.

- Nie. Coś cię gryzie. Powinniśmy o tym porozmawiać.

- Martwię się.

- Czym?
- Problemami naszego... małżeństwa.
- Hillary, jeśli taki wieczór jak ten napawa cię niepokojem, to nieuchronnie grozi ci choroba wrzodowa. Chyba powinnaś spróbować cieszyć się takimi chwilami. Nigdy nie było mi z tobą tak dobrze jak teraz. Te słowa tylko wzmogły moją udrękę. Odsunęłam się gwałtownie i wstałam z łóżka, szczelnie okrywając się kimonem. Carter spoglądał na mnie w milczeniu, jakby domagał się wyjaśnienia, a ja nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Podeszłam do okna i jednym ruchem rozsunęłam zasłony, wciągając do płuc orzeźwiające powietrze. Wcześniej na widok wieży Eiffla odczuwałam radość, a teraz stała się symbolem mojego dramatu. Przepęłniał mnie głęboki smutek. Łzy napłynęły mi do oczu. - Hillary. Co cię tak niepokoi?
- Odwróciłam się do niego. Uważałam, że powinnam mu wyznać prawdę.
- Omal nie zdarzyło się coś strasznego.
- O co chodzi?
- Gdy wyznałeś mi miłość, też chciałam ci powiedzieć, że cię kocham, ale...
- Ale?
- Ale omal nie użyłam innego męskiego imienia.
- Imienia: Michel? - spytał po pełnej napięcia ciszy.
- Nie. Imienia: Roger. Omal cię tak nie nazwałam, a nie mam pojęcia, kto to jest!
- Carter milczał.
- Czy wiesz, o kogo chodzi? - spytałam.
- Nie.
- Ruszyłam przez pokój, ale wróciłam do okna.
- Teraz chyba rozumiesz, że coś takiego może zburzyć spokój?
- Nie musi się za tym kryć nic ważnego. - Jednak ton jego głosu zdradzał, że nie w pełni jest o tym przekonany. - Masz rozmaite dziwne sny i wizje... Cierpisz na amnezję. Co



możesz budować na tym, że przypomniałaś sobie jakieś przypadkowe imię?

- To nie przypadek. Wszystko, co mi się przypomina w stanie amnezji, ma jakiś sens. Nie wiadomo tylko jaki.

- Może jednak przeceniasz tę ostatnią sprawę?

- A co będzie, jeśli się okaże, że to mój kochanek, że właśnie po niego pojechałam na lotnisko i kupiłam mu różę u tej kwiaciarki?

- Czy wraz z tym imieniem coś sobie przypomniałaś, miałaś jakieś specyficzne odczucia? - Teraz ton jego głosu zdradzał, że bierze pod uwagę różne powody tak nieoczekiwanego pojawienia się w mojej głowie imienia Roger.

- Nie, ale przecież faktycznie odbierałam kogoś z lotniska. A z tego, co powiedział mi Antonio, wynika, że starałam się zachować maksymalną dyskrecję, jakby chodziło o potajemną randkę.

- Antonio zachowuje się jak nastolatek. Uwielbia być wciągany przez ciebie w rozmaite gry.

- Nie. Tym razem naprawdę chodziło o sekretne spotkanie. Jestem tego pewna.

- Uważam, że dochodzisz do zbyt poważnych konkluzji, a można tylko spekulować.

- Ale przecież tuż przed wypadkiem moje stosunki z Mi-chelem gwałtownie się pogorszyły. Ze wszystkiego logicznie wynika, że był jeszcze inny mężczyzna, tym bardziej że imię Roger pojawiło się w trakcie naszego...

- Czy przypadkiem nie chcesz wzbudzić we mnie zazdrości? - Ton głosu Cartera zdradzał, że powątpiewa w słuszność mojego rozumowania.

Spoglądał na mnie w zadumie, a ja czułam do siebie nienawiść, że zdręczam go jakimś kolejnym mężczyzną.

- Wiem przynajmniej jedno. Gdy się kochaliśmy, nie myślałam o żadnym Rogerze, kimkolwiek on jest. Myślałam o tobie. Tylko o tobie.

Wyciągnął rękę na znak, żebym do niego podeszła.

- Nie zamierzam martwić się tym, co dzieje się w twojej

podświadomości. To, że jesteś dziś ze mną, a nie z kimś innym, pozwala mi wierzyć, że poradzę sobie z całą resztą. Michel umarł nie tylko w dosłownym sensie, podobnie jak Roger i pozostali.

- Jesteś naprawdę wyrozumiałym mężem. - Spuściłam wzrok.

- Nie mogę cię stale obwiniać o rzeczy, których nie da się cofnąć, nawet jeśli sprawiają mi przykrość.

Kocham cię, Hillary. Myśl o tym, co jest teraz, a nie o tym, co było. Dobrze?

Skinęłam głową.

- Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Może wzięlibyśmy prysznic i wyszli gdzieś na kolację albo zjedli coś w domu?

- Wybieraj. - Uśmiechnęłam się, bo jego dobre samopoczucie podziałało na mnie kojąco.

- Wolałbym zostać. Przy stole w jadalni może nas spotkać jakaś fascynująca przygoda erotyczna.

- Tylko nie mów mi, że kochaliśmy się na stole w jadalni.

- Przyszło mi do głowy, że mogę układać nasze życie seksualne wedle własnych życzeń. Czy nie tak?

- Uśmiechał się szeroko.

- Mam zanik pamięci, ale nie jestem kompletną gąską. Jeśli coś, co zaproponujesz, nie będzie mi odpowiadał, z pewnością na to nie pozwolę.

Roześmiał się.

- Kochanie, twoja amnezja sprawia, że nasze życie seksualne stanowi dla mnie prawdziwe wyzwanie, ale mam nad tobą absolutną przewagę. Ja wiem wszystko, a ty nic.

Wszedł do garderoby po szlafrok, a ja udałam się do łazienki. Przypomniałam sobie, że szczotkę do włosów mam w bagażu, który Carter gdzieś zaniósł. Zaczęłam się rozglądać po mieszkaniu.

Moja walizka stała w salonie. W otwartym oknie wiatr poruszał zasłonami. Podeszłam, żeby je zaciągnąć i zerknęłam na dół. W mroku nie potrafiłam orzec, czy stojący na

wprost okna samochód to ten sam, który widziałam wcześniej, ale zaniepokoiło mnie, że ktoś jest w środku. Poznałam to po żarzącym się papierosie. Po raz pierwszy wyrzłam przez okno przed trzema godzinami. Czyżby ten sam samochód stał tu już tak długo? Drżąc, zamknęłam okno i zasunęłam zasłony. Przestraszyłam się nie na żarty. Zastanawiałam się, co to może znaczyć i czy rzeczywiście powinnam się bać.

- Hillary, gdzie ty zniknęłaś?

- Już idę.

Czy należało o tym powiedzieć Carterowi? Obawiałam się, że podejrzenie, iż siedzący w samochodzie mężczyzna śledzi nas, to być może kolejny twór mojej chorej wyobraźni. Już nie potrafiłam odróżnić prawdy od fałszu, rzeczywistości od urojeń. Byłam skazana na walkę z samą sobą. Miałam poczucie, że mimo odzyskanego szczęścia małżeńskiego, moje kłopoty nigdy się nie skończą.

## *Rozdział osiemnasty*

Nazajutrz obudziłam się o dziewiątej. Do sypialni docierały z kuchni wspaniałe zapachy. Zasnęłam dopiero nad ranem i spałam jak kamień. Włożyłam kimono i poszłam do łazienki. Gdy wróciłam do sypialni, czekał na mnie Carter.

- Wspaniale, że wstałaś! Już zaczynałem się bać, że znowu zapadłaś w śpiączkę. - Był w szampańskim humorze.

- Porzuć tę myśl.

- Przygotowałem królewskie śniadanie: łososia, jajecznicę, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, croissanty, konfiturę i kawę z mlekiem.

- To prawdziwa uczta.

Podszedł do mnie i czule mnie objął.

- Pani Bass, co pani na to, że zamierzam podać pani śniadanie do łóżka? Zniesie pani takie rozpieszczanie?

- Sądzę, że jakoś to wytrzymam. Cmoknął mnie i wyszedł do kuchni.

Usiadłam na łóżku, opierając głowę na poduszkach. Spojrzałam w okno. Wczorajsze chmury gdzieś się rozproszyły, odsłaniając błękit nieba i słońce. Odetchnęłam z ulgą.

Kochaliśmy się niemal przez całą noc. Za każdym razem miałam nieco inne odczucia, lecz na ogół nasza miłość przejawiała się w długim, pełnym czułości zespoleniu, choć

niekiedy brała górę nieokiełznana spontaniczność. Kochaliśmy się tak zachłannie, jakbyśmy rekompensowali sobie roczną separację od łoża. W końcu, wyczerpani, zasnęliśmy, czule objęci. Carter stał się na powrót moim faktycznym mężem. Amnezja, choć tyle mnie kosztowała, nie stanowiła w naszych kontaktach żadnego problemu.

Podczas tych upojnych chwil dręczyła mnie myśl o moich dotychczasowych zdradach i o naszej ogólnej sytuacji, ale przede wszystkim liczyło się to, że znowu jesteśmy razem. Spoglądałam w przyszłość z nadzieją, jakkolwiek starałam się pamiętać, że to nie świat się zmienił, tylko nasze małżeństwo.

Carter wniósł dwie tace z pysznym śniadaniem. Usiadł obok mnie na krześle. Cieszył się chyba tak samo jak ja.

- Wyglądasz na strasznie z siebie zadowolonego. Czy to z powodu twoich wyczynów kulinarnych, czy raczej za sprawą dogłębnej znajomości tajemnic alkowy?

- Jestem rad, że jeszcze nie zapomniałaś. Byłbym niepokieszony, gdyby cały mój trud poszedł na marne - odciął się.

- Od czasu obudzenia się ze śpiączki moja pamięć funkcjonuje bez zarzutu. Pamiętam najdrobniejsze detale. -Oderwałam kawałek croissanta. - Więc porzuć myśl, że możesz mi coś wmówić.

Carter tylko się uśmiechnął. Był uszczęśliwiony jak każdy mężczyzna po spędzeniu upojnej nocy z ukochaną kobietą. Ja też odczuwałam radość, że nadal pozostajemy w takiej harmonii jak w ciągu minionych godzin i że Paryż, ze swymi wszystkimi tajemnicami, wydaje się nam strasznie odległy.

- Nie chciałabym psuć nastroju, lecz wieczorem spostrzegłam coś, co mnie lekko zaniepokoiło.

- Co? - Carter ściągnął brwi.

Powiedziałam mu o mężczyźnie w samochodzie przed domem. Słuchał z powagą, a gdy tylko skończyłam, wyszedł z sypialni.

- Teraz nikogo tam nie ma - oznajmił, wracając z salonu.

- Szkoda, że nie powiadomiłaś mnie o tym wieczorem. Zadzwoń bym na policję.
  - Było nam tak dobrze. Nie chciałam zepsuć tych chwil. A poza tym uważałam, że moje podejrzenia to objaw paranoi. Myślisz, że jest się czym martwić?
- W milczeniu usiadł na krześle i jadł śniadanie. Smarując croissanta konfiturą, uśmiechnął się do mnie tak, jakby nie było się czego obawiać.
- Popijając wspaniałą kawę, zastanawiałam się, czy stara się oszczędzać moje słabe nerwy, czy naprawdę uważa, że nie należy się tym martwić.
- Jakie mamy na dziś plany?
  - Jeśli o mnie chodzi, w ogóle nie ruszałbym się z mieszkania, tylko baraszkował z tobą, ale skoro masz zobaczyć Paryż, pokażę ci to i owo.
  - Nie muszę od razu oglądać wszystkiego. Myślę, że jeszcze tu przyjadę.
  - Zabiorę cię do jakiejś miłej restauracyjki na lunch, a potem coś postanowimy.
  - I wyjdzie na to samo. Obawiam się tylko, że po spędzeniu kolejnego dnia w łóżku zatęsknię za nowym facetem - zażartowałam okrutnie.
- Carter pogroził mi palcem.
- To wcale nie jest zabawne, kochanie - oświadczył z kwaśną miną. - Raczej kojarzy się z tym, co już przeżyliśmy.
  - Masz rację. Brak zasad moralnych to nie jest najlepszy temat do żartów - wycofałam się.
- W salonie od pewnego czasu dzwonił telefon. Mąż puścił do mnie oko na znak zgody i wyszedł odebrać.
- To Debray - poinformował mnie po kilku minutach.
  - Dzwoni z Paryża?
  - Nie. Z Nicei. Miał do mnie pytanie, a teraz chciałby porozmawiać z tobą.
- Carter zdjął z moich kolan tacę. Przeszliśmy do salonu.
- Halo? - odezwałam się z zatroskaną miną.

- Przepraszam, że panią niepokoję, ale chciałbym, jeśli można, zadać pani kilka pytań.
- Proszę uprzejmie.
- Najpierw przekażę wiadomość. Usiłuje pani odzyskać pierścionek, który, jak pani sądzi, zdjęto pani z palca w szpitalu w Nicei. Zająłem się tą sprawą. Okazuje się, że nie miała pani pierścionka po przewiezieniu pani z jachtu na Oddział Reanimacji. Rozmawiałem z *police maritime*, z pracownikami pogotowia i ze wszystkimi innymi, którzy tego dnia zetknęli się z panią. Nikt nie przypomina sobie pierścionka na pani palcu. Oczywiście nie możemy wykluczyć, że ktoś kłamie, ponieważ ukradł pierścionek, ale na razie sprawa przedstawia się tak, jak zreferowałem.
- To przykra dla mnie wiadomość, ale chyba bardziej dla mojego męża, bo chodzi o pierścionek zaręczynowy. Poza tym nie przypominam sobie tego pierścionka. Zerknęłam na Cartera. Nie zdradzał jakiegoś szczególnego niepokoju.
- Zapewne - potaknął detektyw. - Natomiast pani ubranie znajdowało się przez pewien czas w przechowalni szpitala w Nicei, a niedawno zostało przekazane do kliniki w Tulonie. Nasi eksperci oglądali je, lecz nie znaleźli nic, co pomogłoby wyjaśnić zajście na jachcie.
- To też niepomyślna wiadomość.
- Czy słusznie przypuszczam, że jeszcze nie odzyskała pani pamięci?
- Tak. Pod tym względem nic się nie zmieniło.
- Bardzo żałuję.
- Czy ma pan do mnie jakieś pytania?
- Tak. Czy zwykle nosi pani przy sobie dolary?
- Nie wiem. A dlaczego pan pyta?
- Rozmawiałem o tym z panną Frampton. Powiedziała mi, że na ogół miała pani w portfelu oprócz franków także funty, w związku z częstymi wyjazdami do Anglii, natomiast dolarów raczej nie.
- Polly wie to z całą pewnością. Ale co znaczą te dolary?

- Po naszej rozmowie na lotnisku w Nicei przesłuchałem kwiaciarkę.
- I?
- Potwierdziła to, co pani mi powiedziała, lecz dorzuciła nowy szczegół. Zapłaciła pani za różę dolarami. Najwyraźniej nie miała pani przy sobie franków. To mnie bardzo zaskoczyło. Jakby pani to wyjaśniła?
- Nie potrafię tego wytłumaczyć - odparłam po namyśle.
- No cóż, dorzuciłem pani nieco informacji na temat przeszłości. Nigdy nie wiadomo, jaki szczegół może odblokować pamięć. Czy nie tak, pani Bass?
- Właśnie tak mówi mój lekarz.
- Już nie będę pani dłużej zatrzymywał. Życzę miłego weekendu w Paryżu.
- Dziękuję.
- *O pardon.* Byłbym zapomniał. Rozmawiałem wczoraj wieczorem z kapitanem Marguetem. Powiedział mi, że ostatecznie eksperci ustalili, że bomba była wyposażona w bardzo wymyślny mechanizm zegarowy, który uruchamiał zapłon dodatkowego silnika. Sądzą, że eksplozja istotnie miała nastąpić na pełnym morzu, a całą operację podłożenia bomby eksperci uważają za techniczny majstersztyk. Innymi słowy, zamach na pani życie szykował ktoś bardzo bogaty.
- W tym przypadku nie wiem czy to zła, czy dobra wiadomość. Dobrze chociaż, że to raczej potwierdza, iż mój mąż nie ma z tym nic wspólnego, ponieważ był ze mną na pokładzie. - Spojrzałam na Cartera.
- Nie możemy tego stwierdzić z absolutną pewnością.
- Nie sądzę, żeby pan poważnie go podejrzewał. Albo kapitan Marguet.
- Pani Bass, nie dysponujemy poważnymi zarzutami pod adresem pani męża.
- Czy uważa pan, że moje życie jest wciąż zagrożone? - spytałam, przypominając sobie mężczyznę w samochodzie pod domem.
- Ktoś, kto spowodował zamach, wie, że pani ocalała.



Przykro mi to mówić, ale gdy człowiek raz odważy się zabić, często próbuje po raz kolejny. Proszę zachować ostrożność.

- Czy mogę sądzić, że nie obarcza mnie już pan tak mocno jak dotychczas winą za śmierć Michela Lamberta?

- Szczerze żałuję, że nie mogę tego potwierdzić. Związek pomiędzy tymi zdarzeniami nie jest dostatecznie jasny.

- Kiedy mogę się spodziewać rozwiązania tych zagadek?

- spytałam zniecierpliwiona. - To nie może trwać miesiącami.

- Miejmy nadzieję, że wszystko wyjaśni się znacznie szybciej, ale w tej chwili najbardziej liczymy na odzyskanie przez panią pamięci. Z pewnością to właśnie pani zna odpowiedź na wiele pytań.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć, iż jest pan w błędzie

- oświadczyłam z westchnieniem.

- *Tiens.* Życzę pani powodzenia. *Au revoir.* Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na Cartera.

- Następnym razem schronimy się w mieszkaniu bez telefonu.

- Przekazał ci jakąś złą wiadomość?

- Nie. Dorzucił tylko nieco szczegółów do tego, co już wiemy.

- Debray miał do mnie tylko jedną sprawę. Pytał czy przypadkiem nie wiem, gdzie szukać Whitforda. Kapitan Marguet chce przesłuchać Boba. Słyszał, że przebywa w Paryżu.

- Dlaczego akurat tutaj?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, co Bob teraz porabia, ale jego kumple z Tulonu powiedzieli policji, że po otrzymaniu wymówienia wyjechał do Paryża. A jakie sprawy miał do ciebie Debray? Wymieniłaś pierścionek...

Streściłam Carterowi informacje detektywa. Wysłuchał mnie ze stoickim spokojem.

- Przynajmniej już mnie chyba nie podejrzewasz o spowodowanie zamachu? Czy to właściwa konkluzja?

- Jeśli wziąć pod uwagę wydarzenia ostatniej nocy, można pomyśleć, że we właściwym momencie odstąpiłeś od planu wysadzenia mnie w powietrze. - Zachichotałam.

- Zgadza się, kochanie. Gdybyś eksplodowała wraz z jachtem, miałbym strasznie nudny weekend. - Leciutko uszczypnął mnie w policzek.

Razem braliśmy prysznic. W strumieniach wody prowadziliśmy grę miłosną, namydlając się nawzajem i podniecając, żeby później łatwiej dopuścić do głosu największe napiętności.

- Hillary, najbardziej chciałbym iść na spacer do parku, a potem na lunch w jakimś uroczym miejscu. W Piątej Dzielnicy, tuż przy Saint Germain, jest urocza algierska restauracyjka, w której podają wspaniałą couscous.

- Kupuję.

Carter zaproponował, żebyśmy poszli do Parc du Champ de Mars obejrzeć z bliska wieżę Eiffla.

Gdy schodziliśmy po schodach, czułam taki przyływ energii i wolności od trosk, że miałam ochotę biec. Jednak na ulicy moje obawy natychmiast powróciły. Pomyślałam o mężczyźnie ze stojącego tu wieczorem samochodu. Z uwagą zaczęłam oglądać wszystkie auta, jednak nie zauważyłam nic podejrzanego. Carter też zachowywał czujność, choć obserwował ulicę dyskretniej ode mnie. Martwił się bardziej, niż to okazywał. Nawet mnie napomniął widząc, że bez przerwy odwracam do tyłu głowę.

- Wpadłaś w panikę?

- Nie, ale się boję. Ostatnio życie obchodzi się ze mną raczej okrutnie.

- Twoje obawy są zrozumiałe, jednak chciałbym, żebyś się czuła przy mnie bezpiecznie.

- Będzie tak, jeśli znowu nie zostawisz mnie samej na jakimś jachcie.

Uśmiechnęliśmy się z tego żartu w stylu czarnego humoru, a ja postanowiłam postarać się myśleć nie o zagrożeniach, lecz o Carterze.

Wiatr pędził po niebie wielkie kłębiaste chmury znad Atlantyku, więc nie było zbyt gorąco.

Park znajdował się kilka kroków od naszego mieszkania. Zapełniał go tłum ludzi: rodziny, turyści, młode pary i staruszkowie.

Trzymałam Cartera pod ramię, podziwiając pnącą się ku górze lekką konstrukcję wieży Eiffla. Carter kupił mi lody od ulicznego sprzedawcy i czerwony balon. Zawiesił go na nadgarstku mojej prawej dłoni.

Usiedliśmy na ławce. Lizałam lody, a balon podskakiwał na wietrze.

- Ślicznie dzisiaj - powiedziałam w zadumie, zaskoczona nagłym przyplywem smutku, który mnie opanował; dzisiejszy dzień mgliście kojarzył mi się z jakimś innym z przeszłości.

Grupka przedszkolaków, pod opieką trzech wychowawczyń, zajęła sąsiednie ławki. Dzieci było chyba dwanaścioro. Szczebiotały wesoło, od czasu do czasu uciszane przez natrętne głosy odpowiedzialnych za nie kobiet.

Ogarnął mnie dziwny niepokój. Przypomniałam sobie wizję, jaka nawiedziła mnie podczas spaceru w Montfaucon, kiedy słyszałam głosy rozbawionych dzieci. A im dłużej spoglądałam na te przedszkolaki, tym głębszą czułam do nich sympatię. Miałam ochotę wziąć któregoś na kolana.

Carter obserwował, jak pochłaniam je oczami.

Moją uwagę przyciągnęła ciemnowłosa rezolutna dziewczynka. Spoglądała w naszą stronę. W pierwszej chwili wydawało mi się, że patrzy na mnie, ale zaraz zorientowałam się, że utkwiała wzrok w balonie.

- Czy ten hałas cię nie męczy? - spytał z troską Carter.

- Nie, ani trochę. Uwielbiam te aniołki, a zwłaszcza podoba mi się dziewczynka, która się w nas wpatruje. Widzisz ją?

- Ten aniołek pożera oczami balon.

- Och, nie bądź taki. To jeszcze dziecko. Dziewczynka była od nas o krok, lecz nagle znieruchomiała, słysząc ostrzegawczy głos jednej z opiekunek.

- *Sophie! Viens ici! Tout de suite!*

Carter dał znak, że mała wcale nam nie przeszkadza, a ja wyciągnęłam do niej rękę.

- *Bonjour, petite* - powiedziałam.

Spoglądała na mnie onieśmielona. Było jednak jasne, że bardziej niż mój uśmiech interesuje ją balon.

- Czy nie jest słodka?

- Hillary, w poprzednim wcieleniu już dawno byś się stąd wyniosła.

- Och, nie przypominaj mi. - Odrzuciłam z puciołowatej buzi dziewczynki niesforny kosmyk. - Lepiej odwiąż balon. Przyczepiony do ręki tej małej, przyniesie o wiele więcej radości.

Gdy obserwująca nas wychowawczyni spostrzegła, co robi Carter, z dezaprobatą potrząsnęła dłonią i powiedziała coś, czego nie zrozumiałam.

- Uważa, że nie powinnaś jej dawać balonu, bo inne dzieci rzucą się na nią i rozpoczną się drugi szturm na Bastylę.

- Nie pojmuję reakcji tej opiekunki. - Wzruszyłam ramionami.

Mała spoglądała na balon coraz bardziej niecierpliwie.

- Och, najdroższy, znalazłam rozwiązanie. Musimy mieć jeszcze jedenaście balonów.

Carter zamrugał oczami.

- Myślałam, że lubisz dzieci.

- A ja myślałem, że ty nie lubisz.

- Zmuszona jestem powiedzieć, że się zmieniłam, skoro sam tego nie zauważyłeś.

Carter rozglądał się za sprzedawcą balonów. Migotały w słońcu na pobliskim placu.

- Ty wznies wokół siebie barykady, a ja zabawię się w świętego Mikołaja. Ale pamiętaj, jeśli zobaczysz, że ląduję w chmurach, to znaczy, że mam za sobą koszmarne weekend. - Podniósł się z ławki.

- Och, idźże już, zanim mała się rozplacze - popędzałam go.

Uśmiechnął się od ucha do ucha i ruszył na placyk.

- A poza tym weekend jeszcze się nie skończył - zawołałam za nim.

- Czy to znaczy, że mogę liczyć na jakąś rozkoszną nagrodę? - Odwrócił się i spojrzał na mnie znacząco.

- Carter! - Upomniałam go, zerkając na wychowawczynię.

- Nie obawiaj się. Nie wszyscy rozumieją aluzję - odparł ze śmiechem.

Odprawiłam go ruchem ręki.

Sophie pociągała za sznurek od balonu. Spojrzałam na opiekunki i wzięłam ją na kolana, przysuwając do niej zabawkę.

- Ależ z ciebie aniołek - zagadnęłam pieszczotliwie. Roześmiała się wesoło.

Gdy przywiązałam balon do jej rączki, żadna z wychowawczyń nie zaprotestowała, bo widziały, dokąd udał się Carter.

Sophie zachichotała.

- *Qu'est-ce que tu dis? Dis, merci* - pouczała ją opiekunka.

Zsadziłam dziewczynkę z kolan, żeby mogła nacieszyć się prezentem. Tak ujęła mnie jej radość, że nie potrafiłam się opanować. Pochyliłam się, chcąc ją pocałować w policzek. Nagle rozległ się jakiś huk i nie zdążyłam tego zrobić. W pierwszej chwili pomyślałam, że pękł balon. Odruchowo cofnęłam głowę. Sophie pisnęła, tak samo przestraszona jak ja. Dopiero teraz dotarło do mnie, że huk rozległ się z tyłu. Odwróciłam się. Górna deska oparcia ławki była roztrzaskana. Jedna z opiekunek podbiegła do dziewczynki, zawodząc histerycznie. Rozejrzałam się, zbita z tropu. Jakiś starszy pan coś krzyczał, wskazując laską uciekającego mężczyznę z rewolwerem w rękę. A więc o mały włos nie postradałam życia! Zerwałam się z ławki. Zerknęłam na Cartera biegnącego z placyku z pękiem balonów w rękę i spojrzałam w ślad za uciekającym zamachowcem. Znajdował się w od-

ległości około stu metrów. Zanim rozpląnął się w tłumie, odwrócił głowę w moją stronę. Był postawny i miał brodę.

Gdy zjawił się przy mnie zdyszany mąż, trzęsłam się ze strachu.

- Co się stało?

Wskazałam dłonią roztrzaskaną deskę ławki.

- Ktoś usiłował mnie zastrzelić. Właśnie uciekł.

- O mój Boże - jęknął przerażony.

Opiekunki odchodziły z dziećmi z miejsca zdarzenia. Carter wręczył im pęk balonów.

Usiadłam, bo nie potrafiłam ustać na nogach. Mąż usiadł przy mnie, ciężko dysząc. Przestraszone dzieci płakały, a wokół nas gromadzili się zaskoczeni ludzie. Czułam się tak samo jak na przystani w Tulonie po eksplozji „Pogody”.

- Gdzie podziwiają się ci przekłeci policjanci? Kiedy człowiek ich potrzebuje, akurat nie ma żadnego.

- Carter rozglądał się niecierpliwie. W końcu dał za wygraną i pomógł mi wstać z ławki. - Niech ich diabli. Lepiej stąd pójdźmy.

Ruszyliśmy w pośpiechu w stronę ulicy. Kątem oka spostrzegłam, że po puciołowatych policzkach Sophie płyną łzy. Poczułam się strasznie na myśl, że jej życie też było zagrożone. Teraz w pełni dotarło do mnie, że ktoś, kto na mnie poluje, nie zamierza oszczędzać niewinnych ludzi. I nigdzie nie mogłam się czuć bezpiecznie. Po tym, co się stało, nie potrafiłam już polegać na Carterze, bo jego ochrona okazała się złudna. Jeśli chciałam uratować swoje życie, nie mogłam wierzyć nikomu i niczemu.

## *Rozdział dziewiętnasty*

Czarter kazał taksówkarzowi zawieźć nas na najbliższy posterunek policji. Zeznawaliśmy przez czterdzieści pięć minut, po czym w towarzystwie kilku policjantów udaliśmy się na miejsce zamachu. Byli już tam trzej funkcjonariusze z pieszego patrolu. Rozmawiali z dwoma świadkami zdarzenia, którzy potwierdzili, że strzelający mężczyzna miał brodę. Jednak nikt nie zdołał przyjrzeć mu się dokładnie.

Dwaj policjanci odprowadzili nas do mieszkania.

Leżałam w łóżku, a Carter dzwonił z salonu do agencji ochrony, żeby wynająć goryli. Nie byłam tak wytrącona z równowagi jak poprzednio, ale czułam się zniechęcona i przybita. Stan zagrożenia wydawał się nie do wyeliminowania. Nie miałam zapewnionego poczucia bezpieczeństwa nawet podczas romantycznego weekendu z mężem w Paryżu.

Po skończeniu rozmowy Carter przyszedł do sypialni i usiadł na łóżku. Na jego twarzy smutek mieszał się ze współczuciem. Odłożyłam na bok stare, znalezione w sekre-tarzyku magazyny mody, które zaczęłam przeglądać.

- Policja urządziła obławę na Boba Whitforda.

- Czyli podejrzewają, że to on do mnie strzelał?

- Biorą go pod uwagę. Nosi brodę, a poza tym kapitan Marguet chce go przesłuchać. Postanowili przymknąć Boba, o ile oczywiście uda im się go złapać.

- Widziałam tylko jedno jego zdjęcie, a poza tym strzelający mężczyzna znajdował się za daleko, bym mogła go dokładnie zobaczyć. - Ciężko westchnęłam. - Pewnego dnia zabraknie mi szczęścia.
- Kochanie, nie wolno ci tak myśleć. Może zabraknie go Whitfordowi. Mając dane personalne, policja z łatwością znajduje poszukiwanych, zwłaszcza cudzoziemców.
- Całkiem możliwe, ale jakoś nie potrafię uwierzyć, że można chcieć kogoś zabić tylko dlatego, że straciło się u niego pracę. Bob chyba nie należy do porywczych psychopatów?
- Nie, to spokojny człowiek, ale zostawmy takie zmartwienia policji. Od tej chwili będziesz stąd wychodziła tylko w towarzystwie uzbrojonych ochroniarzy. Obiecałem zapewnić ci poczucie bezpieczeństwa podczas tego weekendu, lecz nie byłem dostatecznie ostrożny. Już nie powtórzę tego błędu.
- To nie powstrzyma zdecydowanego na wszystko mordercy - powiedziałam ponuro.
- Być może, ale powinniśmy maksymalnie utrudnić mu działanie.
- Gdy się poznaliśmy, z pewnością ani przez moment nie przyszło ci do głowy, że w naszym małżeństwie może dojść do takich strasznych rzeczy. - Uśmiechnęłam się ze smutkiem.
- Nie spodziewałem się tego jeszcze przed trzema dniami. - Wziął mnie za rękę. - Ale nie chcę, żebyś się tak zamartwiała. Gdy zjawią się tu ochroniarze, poczujemy się bezpieczni. I będą nam towarzyszyli bez przerwy: w drodze do restauracji i w drodze do Montfaucon...
- Dzięki temu przynajmniej nie zostaniemy uwięzieni we własnym domu.
- Jest tylko jeden drobny problem. Przed chwilą dzwoniłem również w interesach. Jutro powinienem być w Londynie na posiedzeniu zarządu, głównie ze względu na obecność właściciela belgijskiej firmy, którą ja i George Dunphy



zamierzamy kupić. Oczywiście mogę nie jechać, ale ponagla mnie tyle innych spraw, że stoję przed trudnym wyborem.

- Jedź, Carter. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

- Mogłabyś wybrać się ze mną do Londynu.

- To nie ma sensu. Już jestem w podróży. Poza tym powinnam się zobaczyć z Jane. Będzie tu dzwonić wieczorem. Musimy zdecydować, co robimy i gdzie się spotykamy, chociaż nie jestem teraz najlepszą osobą do towarzystwa. Muszę jej powiedzieć o tej próbie zastrzelenia mnie.

- Ochroniarze zapewnią ci bezpieczeństwo. A ponadto mogę wylecieć z Paryża rano, byle tylko zdążyć na posiedzenie, choć chcąc się do niego przygotować, powinienem być wieczorem w Londynie.

- Rób, co musisz.

- Przynajmniej zjedźmy gdzieś razem kolację. Potem skontaktujemy się z Jane. Jeśli wciąż ją obchodzisz, spotka się tu z tobą wieczorem, a jutro wrócisz do Montfaucon albo zostaniesz w Paryżu. Możesz także przylecieć do Londynu. To zależy tylko od ciebie.

- Chcę wrócić do Montfaucon. - Bawiłam się jego palcami. - Czy ty też zjawisz się tam w poniedziałek, czy raczej będziesz musiał zostać w Londynie dłużej?

- Do Montfaucon dotrę najwcześniej we wtorek, a najpóźniej w środę.

Skinęłam głowę, choć oczywiście żałowałam, że sprawy nie mogą ułożyć się inaczej.

- Ten mój wyjazd następuje w fatalnym momencie. Czułbym się o wiele lepiej, gdybyś poleciała ze mną do Londynu.

- Naprawdę zależy mi na spotkaniu z Jane. Nie musisz się o mnie martwić.

Przysunął się do mnie. Zaczęliśmy się całować. Najpierw delikatnie, a potem z szaleńczą namiętnością. Przyciskał mnie do siebie mocno, a ja niecierpliwie gładziłam go po włosach.

- Chciałabym umrzeć tylko w twoich objęciach.

- Nigdy nie wiadomo, na jak długo dane jest szczęście.

W chwilę później byliśmy już rozebrani. Tym razem, z powodu rychłej rozłąki, nie opuszczał nas melancholijny nastrój. Gdy przeżywałam ekstazę, patrzyłam Carterowi w oczy. Unosiłam biodra, omdlewając z rozkoszy. Nagle znieruchomiał we mnie i szepnął tuż przy moich ustach, że mnie kocha.

- Jesteś tego pewny?

- Bardziej niż kiedykolwiek.

- Nie żywisz do mnie urazy z powodu przeszłości? Nie stanowi to dla ciebie problemu?

- Nie. Kocham cię taką, jaka jesteś.

- Dlaczego życie potrafi być w tej samej chwili cudowne i zarazem okrutne? - Po policzkach płynęły mi łzy.

- Kto to wie, ale wydaje mi się, że jesteś szczęśliwa. Zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Cholera, to ochroniarze. - Carter podniósł się z łóżka.

- Mogli przynajmniej poczekać, aż skończymy.

- Jak tylko wszystko się wyjaśni, odlecimy pierwszym samolotem na Tahiti, gdzie nie będzie bomb, zamachowców i dziennikarzy, tylko my dwoje. - Potrząsnął głową.

Przyjął ochroniarzy, a ja poszłam pod prysznic. Gdy odświeżona i przebrana zjawiłam się w salonie, częstował ich kawą. Przedstawił nas sobie.

Czterdziestoletni Marcel Ucciani był półkrwi Włochem i półkrwi Francuzem. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i barczyste ramiona. Bruno Cecconi - Włoch mówiący po francusku ze śpiewnym akcentem - również nie należał do ułomków. Miał spłaszczony nos i surowe czarne oczy. Jego bicepsy były w obwodzie szersze od moich ud. Obaj, a zwłaszcza Bruno, wyglądali jak członkowie mafii. Może zresztą kiedyś łączyły ich z nią jakieś związki.

Nie mogłam się uskarżać na ich sposób bycia. Zachowywali się wobec mnie jak prawdziwi obrońcy. Poza tym Marcel mówił świetnie po angielsku.

- Postaramy się być jak najmniej uciążliwi - zapewniał mnie gorliwie, biorąc moją rękę w swoje dłonie niczym zdolny do najwyższych poświęceń rycerz. - Jeśli pani pozwoli, obejrzymy mieszkanie. Dobrze jest znać miejsce, któremu ma się zapewnić ochronę. *Vous comprenez?*

Powiedziałam, żeby się czuł jak u siebie w domu. Gdy wyszli z salonu, usiadłam na sofie obok Cartera.

- Wydaje mi się, że są w stanie odstraszyć najgorszych nicponi.

- O to właśnie chodzi. Marcel ma znakomite rekomendacje. Jutro dołączy do tej dwójki trzeci ochroniarz, bo zgodnie z tym, co mówi Marcel, całodobowa ochrona jest najbardziej skuteczna, jeśli pilnują przynajmniej trzy osoby.

- To musi kosztować majątek.

- Ten wydatek jest drogi memu sercu. Pocałowałam Cartera w policzek.

- Pozwoliłem sobie zadzwonić do Jane. Już wróciła z Anglii. Tak się przejęła, że chciała natychmiast przyjeżdżać, ale przekonałem ją do pomysłu waszego spotkania wieczorem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko tej mojej samowoli.

- Ależ skąd.

- U Jane ustalicie wasze plany. Chłopaki bezpiecznie dostarczą cię, dokąd zechcesz.

- Czeka mnie wesoła przygoda - oświadczyłam z ponurą miną.

- Jeszcze nie jest za późno na twój wyjazd do Londynu.

- Może powinnam zrobić dla ciebie notatki z tego spotkania z Jane? Marcel i Bruno mogliby mi pomagać. - Poklepałam go po ręce. - Chcę zostać w Paryżu.

- Rozumiem.

- Ale będę z niecierpliwością oczekiwać na twój powrót do Montfaucon. Gra w brydża z Jane, Marcelem i Brunem prawdopodobnie szybko obudziłaby we mnie stare demony.

- Hillary, grasz w brydża?

- A nie gram?

- Nic o tym nie wiem.

To było zastanawiające. Z całą pewnością znałam tę grę. Szybko powtórzyłam w myślach zasady.

- Może nauczyłam się w czasie jednego z tych wypadów do Marrakeszu? - Pogłaskałam go po kolanie. Do salonu wrócili ochroniarze.

- Nie jest tak źle, tylko zasłony muszą być stale zasunięte. Oczywiście łatwiej chronić mieszkanie na drugim piętrze, ale z tym apartamentem też sobie poradzimy. *Pas de problems* - oświadczył Marcel.

- Czy to znaczy, że dożyję do rana?

Śmiech Marcela skojarzył mi się z rżeniem konia.

- Proszę się nie obawiać. Najpierw musieliby zabić nas -zapewniał.

- Nie wiem, czy te słowa ucieszyłyby właścicieli waszej firmy ubezpieczeniowej.

Marcel znowu się roześmiał i trącił Bruna łokciem.

- Pani Bass jest bardzo dowcipna.

- *Oui, d'accord*, Marcel. - Bruno potarł nos potężną łapą.

- Z góry wiem, kto zostanie moim partnerem do brydża. - Uśmiechnęłam się do Cartera.

Marcel i Bruno zawieźli nas swoim pancernym Citroenem do algierskiej restauracji, do której Carter zamierzał mnie zabrać na lunch, a nie na kolację. Marcel znał to miejsce i chwalił sobie położenie budynku. Restauracja miała jeszcze tę zaletę, że mieściła się w pobliżu Wyspy Św. Ludwika, gdzie znajdował się dom Jane. Carter zabrał swój bagaż, chcąc po kolacji pojechać prosto na lotnisko.

Po wyjściu z mieszkania przekonałam się, co to naprawdę znaczy być chronionym przed śmiertelnym zagrożeniem. Bruno wyprawił się pierwszy, żeby zajechać pod bramę i sprawdzić ulicę. Marcel sprowadził nas po schodach i ubezpieczał, gdy wsiadaliśmy do Citroena.

- Nareszcie wiem, jak wygląda życie prezydentów -zazartowałam. Właśnie przecięliśmy Esplanade des Invalides, kierując się w stronę Boulevard St Germain.
- Raczej chodzi o to, w jaki sposób jedzie się na kolację, jeśli czyha na człowieka szaleniec z bronią w ręku. Ani prezydent, ani nikt inny nie powinien być narażony na takie sytuacje. Siedzieliśmy w tym wozie bojowym ramię przy ramieniu. Carter trzymał mnie za rękę. Zerkałam na Paryż przeświadczona, że nie jest to miasto, w którym kiedykolwiek mieszkałam. W głębi duszy czułam, że należę do zupełnie innego miejsca.
- „Chez Ali” istotnie okazała się uroczą restauracyjką z czerwonymi obrusami, nastrojowym światłem świec i aromatem pieczonej jagnięciny. Znajdowała się jakieś sto metrów od bulwaru. Zanim tam weszliśmy, Marcel skontrolował wnętrze. Gdy zaprowadzono nas do stolika, stanął w drzwiach, czekając na kolegę. Po kilku minutach zastąpił go Bruno, a on usiadł przy stoliku obok nas.
- To ładnie z jego strony, że nie dołączył do nas -szepnęłam do Cartera. - Są wspaniali, ale nie chciałabym, żeby przez całą noc zaglądali pod moje łóżko.
- Myślę, że jedyne wyjście to zapomnieć o ich istnieniu. Płaci im się za to, żeby byli uciążliwi. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, ale starałam się zastosować do rady męża. Jednak ilekroć spojrzałam na Bruna, martwiłam się, że od stania odpadną mu nogi. Udawaną pogodę ducha Cartera bezlitośnie demaskowały bruzdy na twarzy.
- Potrawa couscous okazała się wyborna. Smakowało mi też algierskie wino, a kelner dbał o to, żeby nasze kieliszki nigdy się nie opróżniły.
- Co sądzisz o pomysłe wyjazdu na parę dni do Stanów? - spytał Carter, wycierając sos z talerza kawałkiem chleba.
- Kiedy?

- Jak tylko uporam się z tą transakcją w Belgii. Może już w przyszłym tygodniu.
  - A co z naszą wycieczką na Tahiti?
  - Jak powiedziałem, gdy policja wsadzi za kratki tego tropiciela twoich śladów, polecimy tam natychmiast. A do Stanów chciałbym z tobą pojechać bez względu na rozwój wypadków.
  - Jakie miejsca zamierzasz odwiedzić?
  - Złożylibyśmy wizytę moim rodzicom w Wirginii i po-żeglowali na Chesapeake. Potem, zgodnie z twoim życzeniem, wpadlibyśmy do Nowego Jorku, żeby przypomnieć ci dzielnicę, w której się wychowałam.
  - Bardzo mi to odpowiada, ale czy Paul Debray pozwoli mi przekroczyć Atlantyk? - spytałam, szczerze uradowana tą propozycją.
  - Nie oddał przecież sprawy w ręce prokuratora. Gdyby cię oskarżył, nie siedziałabyś tutaj.
  - Jednak wszyscy oczekują, że pewnego dnia przypomnę sobie, co stało się na jachcie.
  - Gdy amnezja się cofnie, przed spotkaniem z Debrayem zasięgnemy porady adwokata. A tymczasem możemy pojechać do Ameryki, między innymi właśnie do Maryland, żeby pożeglować.
  - A co teraz z moimi samotnymi nocami? - Popijałam wino z kieliszka, który dzięki gorliwości kelnera wciąż był pełny.
  - To już pozostawiam twojej wyobraźni. - Zrobił do mnie oko.
- Jak wiele się zmieniło w ciągu zaledwie kilku dni. Z obcych sobie małżonków przeobraziliśmy się w niemal szczęśliwą parę. Choć, kto wie, może moja ocena świadczyła o naiwności? Działy się przecież zadziwiające rzeczy.
- Dużo rozmawialiśmy o moim życiu, a o twoim prawie wcale - zaczęłam ogólnikowo.
  - Jakie masz pytanie?
  - Jestem ciekawa, jak spędzałeś noce, zanim spotkaliśmy

się niedawno w klinice. Założę się, że masz w Londynie słodką Angielkę, tylko nie chcesz mi o tym powiedzieć.

- Czy już dojrzałaś do deseru? - Zerknął na mój pusty talerz.

- Owszem. - Spojrzałam na niego znacząco i pogroziłam mu palcem. - Jeśli przyjadę do Londynu, nie życzę sobie natrafić w domu na najmniejszy ślad po niej.

Carter uśmiechnął się z zadowoleniem i skinął na kelnera.

- Całkiem nieźle ci wychodzi rola zazdrosnej żony. Kiedy się tego nauczyłaś?

- Takie rzeczy kobiety mają we krwi. Jedliśmy piernik i popijaliśmy kawę.

- Robi się późno. Już powinienem jechać na lotnisko.

- Czy odwozimy cię Citroenem?

- Nie. Chłopaki podrzucają mnie tylko na postój taksówek, a potem ciebie do Jane.

To oczywiście zapowiadało rychłe rozstanie. Już teraz zaczynało mi brakować Cartera. Od chwili obudzenia się ze śpiączki nie mogłam oswoić się z myślą, że jestem mężatką, ale gdy zaczęliśmy się kochać, wydało mi się to bardziej realne.

Bruno wyszedł po samochód, a mąż zapłacił rachunek i ruszyliśmy do wyjścia, ubezpieczani przez Marcela. W jednej chwili znaleźliśmy się w bezpiecznej, pancерnej limuzynie. Bruno skręcił w stronę Sekwany, a po chwili zatrzymał się na Quai de la Tournelle, przy postoju taksówek. Wyskoczył z samochodu, żeby wyjąć z bagażnika walizkę Cartera, podczas gdy Marcel obserwował ulicę.

Mąż wziął mnie za rękę. Siedzieliśmy bardzo blisko siebie. Przeniknięta smutkiem, poczułam łzy w oczach.

- Zadzwoń do ciebie natychmiast po przylocie do Londynu.

- Jeśli będziesz miał telefon pod ręką, ale nie przejmuj się tym.

- Hillary, rób wszystko co każą ci ochroniarze. Dobrze znają swoje rzemiosło.

- Tak, ojcze.
  - I dzwoni bez względu na porę, gdy tylko pojawi się jakiś problem. - Przytrzymał mój podbródek. - Sekretarka zawsze wie, gdzie mnie szukać. Ma na imię Kate. Polly poda ci numery telefoniczne.
  - Czy Kate to przypadkiem nie ona? - Z trudem panowałam nad emocjami.
  - Jaka „ona”?
  - Twoja dziewczyna - odparłam poirytowana, że muszę się tak dopytywać.
  - Nie. Przecież ci mówiłem, ile lat ma moja sekretarka. - Zawahał się. - Hillary, nie chciałbym, żebyś myślała...
  - Milczenie jest lepsze od kłamstwa. - Położyłam mu palec na ustach. - Nie będę cię zmuszać do mówienia o rzeczach, o których nie chcesz mówić.
- Z niedowierzaniem potrząsał głową.
- Bruno czeka - ponaglałam. Pocałował mnie płomiennie.
  - Uważaj na siebie, kochanie.
  - Ty też.
  - Kocham cię.
- Gdy wysiadł, poczułam ulgę, choć oczywiście skręcałam się z żalu. Bruno usiadł za kierownicą, ale kazałam mu czekać, dopóki Carter nie odjedzie. Kiedy taksówka ruszyła, Citroen skręcił na most prowadzący na Wyspę Św. Ludwika.
- Zatrzymaliśmy się pod starym pięknym domem Jane. Powiedziałam Marcelowi, że chcę tam pójść sama. Oświadczył, że musi mnie odprowadzić do drzwi.
- Czekając z ochroniarzem pod łukowym sklepieniem, wciągnęłam do płuc wilgotne powietrze, przesycone zapachem bluszczu i omszałych murów.
- W drzwiach ukazała się tęgawa, ale łacina młoda kobieta.
- Dobry wieczpr, pani Bass - powiedziała z lekkim francuskim akcentem. - Proszę do środka.



Pożegnałam Marcela skinieniem głowy i weszłam do hallu.

- Mam na imię Syh/ie. Jestem pokojówką państwa Nylandów. Lady Nyland zaraz do pani przyjdzie. Czy zechciałaby pani poczekać w salonie?

Podążyłam za nią po marmurowych schodach do pokoju, w którym rzucał się w oczy wielki kamienny kominek, a antyki sąsiadowały z meblami współczesnymi. Wnętrze było zarzucone książkami, magazynami i przeróżnymi pamiątkami, dzięki czemu panowała tu ciepła domowa atmosfera. W zimowe wieczory, gdy w kominku płonął ogień, musiało tu być jeszcze przytulniej.

- Proszę spocząć, pani Bass. Powiadomię lady Nyland, że pani już jest.

Usiadłam na miękkiej, pokrytej złocistym jedwabiem sofie i z zaciekawieniem rozejrzałam się po pokoju. Na niskim stoliku przede mną leżały magazyny, albumy i książki o sztuce. Na okładce jednej z nich widniało zdjęcie Golden Gate Bridge. Gdy spoczął na nim mój wzrok, serce mi podskoczyło, bo most był dziwnie znajomy. W podobny sposób, choć nieco słabszy, reagowałam na zapach róż, a Golden Gate Bridge stanowił przeciwieństwo San Francisco! Zaczęłam odwracać strony. Serce łomotało mi z podniecenia, którego nie pojmowałam. Dlaczego akurat to miasto wyglądało tak znajomo?

- Hillary, najdroższa, przepraszam. Ale znasz mnie. Wiesz, że zawsze się spóźniam. - Jane sunęła przez salon, wyciągając ramiona.

Wstałam. Uśmiechnęłyśmy się do siebie.

Widziałam jej zdjęcia w moich albumach. Rzeczywistość potwierdziła, że jest kobietą atrakcyjną, choć nie dostaje jej urody. Była bardzo zadbana. Miała czarne włosy zaczesane do tyłu i efektownie umalowane oczy. Nosila jedwabną bluzkę w granatowo-złote pasy i granatowe, również jedwabne spodnie. Była ode mnie niższa prawie o dziesięć centymetrów, lecz wydawała się wysoka.

Padłyśmy sobie w ramiona, co odebrałam jako niemal naturalny gest powitania. Dzięki rozmowom telefonicznym już nieco znałam Jane, choć oczywiście w ogóle jej sobie nie przypominałam.

Ujęła moją twarz w dłonie i spoglądała na mnie z radością. W świetle rozbłyły jej złoto-diaamentowe spinki u mankietów bluzki. Uśmiechnęła się tak serdecznie, że wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki mimiczne. Ale niemal w tej samej chwili ściągnęła brwi, a na jej twarzy zagościł smutek.

- Za co spotykają cię takie ciosy? - odezwała się ze współczuciem.

- Boże, żebym to ja wiedziała.

Wciąż obejmowała dłońmi moją twarz. Czułam ich ciepło. Wyraz jej wpatrzonych we mnie oczu świadczył, że zaczynają ją nurtować jakieś wątpliwości. Jednak delikatny uśmiech, który na powrót rozjaśnił jej twarz, oznaczał, że odsunęła je od siebie, choć nadal spoglądała na mnie badawczo.

- Kiedy skróciłaś włosy? - Z nie ukrywanym zdziwieniem dotknęła palcami brzegu mojej nowej fryzury.

- Uznałyśmy z Polly, że musiałam to zrobić w Nicei, tuż przed wypadkiem.

- W Nicei? Dlaczego, na Boga? Przecież to Kurt od lat zajmuje się twoimi włosami.

- Nie potrafię tego wyjaśnić.

Wciąż spoglądała na mnie pytająco, ale pomyślałam, że widocznie zawsze zachowuje się wobec mnie tak otwarcie. Poza tym przez wiele lat doskonaliła swój talent agentki modelek, więc było to zapewne spojrzenie zawodowe.

- Wspaniale wyglądasz, Hill - orzekła po tych oględzinach. - Młódziej. Zaskakująco młodo i zupełnie inaczej niż dotychczas. Czy ta śpiączka tak cię zregenerowała? A może to miłość?

- Nie wiem. - Zarumieniłam się. - Wydaje mi się, że jestem zakochana w Carterze.

- To się świetnie składa, bo on z pewnością jest zakocha-

ny w tobie. Zdradza go stosunek do ciebie. Powiedział do mnie tym swoim głosem biznesmena: „Jane, liczę na ciebie, że zaopiekujesz się nią w czasie mojej nieobecności. Jedźcie, dokąd chcecie, ale bądźcie bardzo ostrożne.”

- Naprawdę tak powiedział?

- Ta *affaire de coeur* jest rzeczywiście poważna. Chyba się nie mylę? To znaczy, jak rozumiem, nie chodzi o twój kolejny flirt, choćby z własnym mężem. - Spoglądała na mnie wymownie i potrząsała głową. - Jane, Carter jest moim mężem. Wzięła mnie za rękę i podeszliśmy do sofy.

- Z pewnością porozmawiamy o tym później, ale Sylvie już pakuje mój bagaż i muszę się od ciebie dowiedzieć, jakie są moje plany.

- Przede wszystkim nie chcę, żebyś robiła coś wbrew swojej woli. Moje towarzystwo to teraz duże ryzyko. - Daj sobie spokój z takimi argumentami.

- Ale ktoś, kto czyha na moje życie, absolutnie nie żartuje. Gdyby szczęście mi dzisiaj nie dopisało, wybierałabyś się na mój grzeb.

W odpowiedzi Jane spojrzała na mnie z naganą.

- Przepraszam za tak osobiste pytanie, ale czy kochałaś się z Carterem?

Zarumieniłam się.

- Tak właśnie myślałam. I było wam z sobą dobrze?

- Fantastycznie.

Skinęła głową, najwyraźniej spodziewając się takiej odpowiedzi.

- To zagrożenie. Ono nigdy nie zawodzi. Nigdy.

- Zagrożenie? - spytałam zaskoczona.

- Wspaniale wpływa na życie seksualne. Kiedyś byłam o krok od kupienia posiadłości w części Londynu najbardziej narażonej na zamachy bombowe ze strony IRA, bo przydarzyła mi się tam niezwykła przygoda. Wsiadłam z pewnym facetem z metra. Byliśmy do siebie tak przyklejeni, że brakowało nam tchu. Poszliśmy do jego mieszkania

przy Mayfair i cudownie się pieprzyliśmy. Nigdy potem nie miałam takiego orgazmu. Na szczęście później nie natknęłam się już na tego faceta, bo na jego widok poczułabym się strasznie. Za naszą orgią kryła się tylko wzmożona dawka adrenaliny we krwi. Hill, nie chodziło o nic więcej.

- Jaki zatem wniosek wypływa z tego dla mojej „orgii” z Carterem?

- Po prostu rozumiem, dlaczego miałaś taką frajdę. -Jane odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

- Czy wybierzesz się ze mną jutro do Montfaucon?

- Zrobię wszystko, czego sobie zażyczysz, kochanie.

- Carter zarezerwował lot do Nicei o jedenastej.

- Znakomicie. Powiem Sylvie, że tym razem zmierzam na południe. Zaraz wracam.

Zaczęłam przeglądać album poświęcony San Francisco. Na widok zdjęć miasta załapała mnie fala emocji. Być może stanowiło to sygnał, że za chwilę odzyskam pamięć. Spojrzałam na wynurzającą się z mgły Coit Tower i przeszył mnie dreszcz. Niemal czułam zapach wilgotnego, słonego powietrza u wybrzeża Pacyfiku.

- Czy San Francisco wiąże się dla mnie z czymś szczególnym? Wiesz coś na ten temat? - spytałam wchodzącą do salonu Jane.

- Niestety, nie.

- Przeglądałam ten album i ogarnęły mnie bardzo silne emocje. Jane, ja znam San Francisco. Znam świetnie.

- To bardzo dziwne.

Zamknęłam album i popukiwałam paznokciem w okładkę, usiłując wydobyć z pamięci coś, co niemal już wiedziałam. Nie odrywałam wzroku od zdjęcia na obwolucie.

- Zaraz, zaraz - odezwała się Jane. - Kiedyś w zimie wpadłaś tu wieczorem z Michelelem na brandy.

Posprzeczałam się troszkę z Jamesem, a na dodatek miałam okres. Zajrzeliście, chcąc mnie jakoś pocieszyć. Siedziałaś z Michelelem na tej sofie. W pewnej chwili wzięłaś do rąk album San Francisco i zasugerowałaś, żebyśmy wszyscy pojechali

gdzieś, gdzie była wtedy słoneczna pogoda. Powiedziałaś: „Zróbmy wypad do Kalifornii.” Na to Michel roześmiał się i oświadczył, że jesteś niedouczona, bo w San Francisco nie ma słonecznej pogody. - Tylko tyle?

- Może było coś więcej, ale nie pamiętam.

- Coś się nie zgadza. Nie mówiłabym, że znam San Francisco, gdybym nie była tego pewna. - Na powrót utkwiałam wzrok w okładce.

- Hill, jest już przecież pod dostatkiem różnych hec, które domagają się wyjaśnienia! - Jane zrobiła figlarną minę. - Mam do ciebie masę pytań.

- Na przykład?

- Porozmawiamy w moim mieszkaniu. Pojedziesz tam ze mną?

- Jeśli ci na tym zależy.

- Nie chciałabym być sama.

- Czy nie wystarczy ci wdzięk wynajętych przez Cartera goryli?

- Są mili, ale absolutnie nie w moim typie.

- Podejrzewam, że w moim też nie. Zresztą dałam już sobie spokój z przygodami miłosnymi. Teraz w moim życiu nie uświadczysz skoków w bok. A przy okazji, mieliśmy z Jamesem wspaniały weekend, pod względem seksualnym obfitujący w nie lada wyczyny. - Cieszę się.

Do salonu weszła Sylvie i postawiła u szczytu schodów walizkę Jane.

- Gotowe, proszę pani - oświadczyła z wdziękiem.

- Hill, pójdę tylko po zakiet i torebkę.

Gdy wróciła, ruszyłyśmy po schodach do wyjścia.

- Jane, czy wiesz coś o mojej umiejętności gry w brydża?

- W brydża? Absolutnie nic. Ja grywam od czasu do czasu. Kiedyś nawet chciałam cię nauczyć, ale kategorycznie odmówiłaś. Dlaczego pytasz?

- A czy kiedykolwiek miałam kochanka imieniem Roger?

Zatrzymałyśmy się przed drzwiami. Byłam roztrzęsiona i kręciło mi się w głowie.

- Nigdy nie wymieniłaś tego imienia ani w wersji angielskiej, ani francuskiej. Czemu pytasz?

- Jane. - Wzięłam ją pod ramię. - Jesteś tego pewna? A czy przypadkiem tuż przed śmiercią Michela nie miałam nowego kochanka? I czy mogłam to przed tobą ukrywać?

- Teoretycznie to możliwe, ale nie sądzę, żebyś coś przede mną ukrywała, ponieważ mówiłyśmy sobie wszystko. Nie miałyśmy przed sobą żadnych sekretów.

Ogarnęło mnie zdumienie. Umiałam grać w brydża, znałam jakiegoś ważnego dla mnie Rogera i San Francisco było bliskie memu sercu, a moja najbliższa przyjaciółka nie potrafiła tego wyjaśnić. Co to wszystko znaczy?

Sylvie otworzyła drzwi. Na nasz widok oparty o błotnik Citroena Marcel Ucciani rzucił się do wejścia.

- Czy nic pani nie jest? - spytał widząc, jak zbladłam.

- Dziękuję. Czuję się dobrze.

Z pewnością za tymi tajemniczymi sprawami kryło się coś bardzo niedobrego. Wydawało mi się, że Jane jest podobnego zdania, ale nie powiedziała ani słowa.

## *Rozdział dwudziesty*

Rozmawialiśmy z Jane do drugiej w nocy, siedząc na moim łóżku niczym nastolatki, choć nie pałaszowałyśmy pizzy, tylko popijałyśmy koniak. Wymieniłam wszystko, co po przebudzeniu ze śpiączki okazało się dla mnie znajome, a także to, co wydało mi się zaskakująco obce. Jane zadawała mi pytania, ale głównie słuchała moich zwierzeń, pogrążona w myślach. Przez cały czas wpatrywała się we mnie badawczo, jakby porównywała mnie z Hillary Bass, którą znała przed wypadkiem. Przypomniałam jej też o swoich obawach, że być może świadomie doprowadziłam do śmierci Michela. Ale ona tak samo jak w czasie naszej pierwszej rozmowy telefonicznej zapewniała mnie, że to raczej niemożliwe.

- Dzwonił do mnie ten inspektor z Nicei, Paul Debray -oświadczyła.

- Czego chciał? - spytałam z ciekawością.

- Wypytywał o ciebie. Usiłowałam się wykręcić, ale strasznie mnie naciskał. Gdy mu powiedziałam, że prawdopodobnie zjawię się jutro w Montfaucon, prosił, bym telefonicznie potwierdziła swój przyjazd. Hill, musiałam z nim rozmawiać.

- O Boże, a co to za różnica? Przecież nie powiedziałaś mu nic, czego nie powiedziałaśbyś mnie. Potaknęłam głową.

O jedenastej zadzwonił z Londynu Carter.

- Hillary, mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość - zaczął rzeczowo. - Aresztowali Boba Whitforda na Gare St Lazare. Był w towarzystwie swojej dziewczyny i dwu innych par. Czekali na pociąg. Ale ta szóstka spędziła cały dzień w Lasku Bulońskim, jeżdżąc na wrotkach. Policja postanowiła jednak zatrzymać Boba na dwadzieścia cztery godziny, chcąc sprawdzić jego alibi. Na razie wygląda na to, że to nie on strzelał.

- W pewnym sensie jestem zadowolona.

- To oczywiście dobrze dla Boba, lecz zamachowiec z brodą wciąż pozostaje na wolności.

- Nie martw się. Spółka Marcel i Bruno znakomicie się spisuje.

- Wolałbym, żebyś była ze mną.

Po kilku minutach pogawędki pożegnał się, zarazem kierując niecodzienne słowa pod adresem Jane. Powiedział: „Przekaż jej ode mnie wyrazy najszczerzej sympatii.”

- Hill, świat naprawdę zwariował - oświadczyła ze śmiechem, gdy jej to powtórzyłam i z niedowierzaniem pokręciła głową.

Rano zapanowała w domu gorączkowa krzątanina. Bruno został na noc, drzemiąc na sofie w salonie. O dziewiątej dołączyli do niego Marcel oraz Pierre - młody człowiek o minie buldoga i kalafiorowatych uszach. Miał jaśniejszą karnację, ale bez wątpienia był ulepiony z tej samej gliny co jego współtowarzysze.

Jane kręciła się po mieszkaniu w jedwabnym szlafroku, który wyciągnęła z mojej szafy. Traktowała Bruna jak powietrze. Poczęstowałam go śniadaniem, choć zaklinał się, że nie jest głodny. Gdy Jane brała prysznic, ten były bokser o łagodnym głosie opowiedział mi łamaną angielszczyzną historię swojego życia.

Okazało się, że nie tylko ma żonę i pięcioro dzieci, ale także przyjaciółkę, która jest w ciąży. Słuchałam uprzejmie, ale bynajmniej nie gratulowałam.



Dźwięk telefonu przerwał naszą pogawędkę. Podniosłam słuchawkę przekonana, że to Carter.

- Hillary? Jak ci leci? - usłyszałam męski głos z charakterystyczną amerykańską angielszczyzną.

Rozpoznałam Todda Halleya.

- Nie życzę sobie z panem rozmawiać, panie Halley.

- Jestem w stanie to zrozumieć, ale to, co mam do powiedzenia, może ci się na coś przydać.

Już miałam trzasnąć słuchawką, jednak zwyciężyła ciekawość. Reporter właśnie na to liczył.

- Ciekawa jestem, na co?

- Zajmuję się morderstwem Michela Lamberta i odkryłem ciekawe rzeczy. Chciałbym poznać twoją opinię na ich temat.

- Nie zamierzam niczego dla pana komentować.

- Jasne, jasne. Liczyłem się z odmową. Ale co ty na to, że twój mąż i Lambert prowadzili wspólne interesy, ba, poróżnili się tuż przed śmiercią Lamberta?

Oniemiałam. Halley celowo przedłużył ciszę w słuchawce.

- Nie wierzę panu.

- Czy ze względu na to, co mówię, czy dlatego, że ja to mówię?

- Z obu powodów.

- Mam dowody, że Lambert zablokował operację finansową, którą prowadził wspólnie z twoim mężem. I co teraz powiesz?

- Że jest pan kłamcą. Halley westchnął ciężko.

- Czy zdajesz sobie sprawę, w jakich jesteście opałach?

- Panie Halley, jeśli spodziewał się pan upolować coś na tę przynętę, to głęboko się pan mylił. Traci pan czas.

Odłożyłam słuchawkę, równocześnie zła i zaintrygowana. Tacy łowcy skandali jak Halley żerowali na plotkach, fałszywych pogłoskach i insynuacjach. A jednak martwiłam się, bo jest- w nich ziarnko prawdy. Nie potrafiłam sobie

racjonalnie wytłumaczyć powodu telefonu Halleya, lecz w salonie zjawiała się Jane, przerywając moje myśli.

Udaliśmy się na lotnisko. W Citroenie było trochę ciasno. Bruno i Pierre usiedli z przodu, a Marcel z tyłu, pomiędzy mną i Jane.

Gdy samolot wzbił się kilka tysięcy metrów ponad Fontainebleau, mogliśmy swobodnie porozmawiać.

- Hill, muszę ci coś wyznać. - Jane przysunęła się do mnie najbliżej, jak mogła.

- Tak?

- To moja szczerza intuicja. Proszę, nie denerwuj się, ale podobnie jak ty uważam, że w twojej historii coś się nie zgadza.

Trzymała mnie za rękę z miną kogoś, kto właśnie wrócił z pogrzebu.

- Jane, o co konkretnie chodzi?

- Jesteś cudowna, lecz... Boże, jak to powiedzieć? Lecz nie jesteś Hillary Bass. A przynajmniej nie jesteś tą osobą, którą znam od blisko dziesięciu lat.

Spojrzałam na nią, żeby sprawdzić, czy nie żartuje, ale była śmiertelnie poważna.

- Wczoraj uważnie przyjrzałam się twojej twarzy. Jesteś niemal doskonałą kopią Hillary, ale tylko niemal. Macie identyczne czaszki, lecz inną cerę. Twoja jest młodsza i nie nosi śladów nadmiernego przebywania na słońcu. Nie każdy zwróci na to uwagę, zwłaszcza jeśli nie szuka różnic.

- Jane, jak możesz mówić takie rzeczy? - Byłam wstrząśnięta.

- Wiem, że moje słowa brzmią okrutnie, ale to prawda. Twoja skóra jest inna. Jestem tego absolutnie pewna.

- A nie sądzisz, że może ostatnio poddałam się jakimś zabiegom kosmetycznym?

Wzruszyła ramionami.

- Słuchałam uważnie twojej angielskiej wymowy. Timbre i wysokość twojego głosu nie zmieniły się, lecz inaczej nim operujesz. Wcześniej, mówiąc po angielsku, czasami modu-

lowałaś go jak francuski i wtrącałaś francuskie słówka. Tak jest zawsze w przypadku obcokrajowców długo mieszkających w danym kraju.

- Te zmianę łatwo wyjaśnić. Zapomniałam francuski. Psychiatra przypuszcza, że podświadomie wykreśliłam ze swego życia okres europejski, ponieważ chcę zacząć wszystko od początku.

- Nie przypominam sobie, żebyś mówiła tak jak teraz tuż po przyjeździe z Ameryki do Europy. Był w twojej wymowie akcent nowojorski, którego teraz nie ma.

- Jak to wszystko możliwe? - Czułam straszne napięcie. Znowu wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, Hill. Po prostu mówię ci o tym, co zwróciło moją uwagę.

Zagryzłam wargi. Przerażona, zastanawiałam się nad jej słowami. Czułam się tak, jakby nagle świat stanął na głowie. Czy Jane miała rację, czy raczej, chcąc nie chcąc, jeszcze bardziej zagmatwała tę obłąkaną sytuację? W jej oczach malowała się szczerłość. Ale czy mogłam jej ufać? Zaledwie przed tygodniem nie chciałam siebie uznać za Hillary Bass, a teraz przerażała mnie możliwość, że nią nie jestem.

Pomyślałam o Carterze. Mój Boże, jeśli Jane się nie myli, to on nie jest moim mężem! I co z życiem, jakie wiodłam w ciągu minionego tygodnia i z poznanymi ludźmi? Potrząsnęłam głową.

- Jane, chcąc uwierzyć w twoje przypuszczenie, trzeba wykazać strasznie dużo dobrej woli. Bo jeśli nie jestem Hillary Bass, to kim jestem i skąd się tu wzięłam?

- Prawda to prawda, bez względu na to, czy się ją pojmuje czy nie.

- Słowem, mówisz mi, że Carter nie jest moim mężem.

- A czy w głębi duszy odbierasz go jak męża?

- Na litość boską, ja cierpię na amnezję. Jak mogę odpowiedzieć na takie pytanie? - Mój głos brzmiał niemal histerycznie, ale nie potrafiłam się opanować.

- Tu nie chodzi o wspomnienia, lecz o małżeńską zażyłość, którą mogłabyś jakoś odczuć. Czy odkryłaś coś takiego?

Zastanawiałam się nad tym pytaniem, usiłując przeniknąć zakamarki swojej duszy, żeby odpowiedzieć uczciwie.

- Nie. Związek z Carterem jest cudowny, jednak nie dostrzegam w nim żadnej zażyłości. Jane uśmiechnęła się, jakby mówiła: „A widzisz?”

- Ale jeśli masz rację, to dlaczego Carter nie zauważył nic podejrzanego?

- Po prostu zakłada, że się zmieniłaś. Poza tym bez wątpienia widzi to, co chce widzieć. To typowe dla mężczyzn. Podam ci przykład. Jakiś czas temu jedliśmy z Jamesem lunch w „Le Gavroche” w Londynie. I wyobraź sobie, że nagle mój mąż podnosi wzrok znad ulubionych homarów i mówi: „Jane, ślicznie dziś wyglądasz. Sprawiałaś sobie nową suknię?” Hill, widział mnie w tej cholernej kiecce co najmniej dwa razy, ale akurat tego dnia rozjaśniłam i skróciłam włosy. Widocznie spodobałam mu się w nowej fryzurze, lecz na to nie wpadł. Mężczyźni są słabymi obserwatorami. Zauważają zmianę, ale nie jej przyczynę.

- Chyba masz rację. - Spoglądałam przez okno na strzępiaste obłoczki. - Jednak w ten sposób wracamy do wcześniejszego pytania. Jeśli nie jestem Hillary Bass, to kim jestem? Bliźniaczką, która wzięła się z powietrza?

- Wiem, że to niełatwo wyjaśnić. Ale może same podjęłybyśmy się wykonać kawałek detektywistycznej roboty. Karta pacjenta u dentysty i zdjęcie odcisków palców chyba załatwiłyby sprawę.

Zamknęłam oczy, usiłując zebrać myśli. Jane rozumiała i podzielała moje wątpliwości. Bo jeśli nie jestem Hillary Bass, to skądś musiałam się wziąć. Musiałam mieć jakieś wcześniejsze życie. Wobec tego, w jaki sposób ulotniła się moja przeszłość? I gdzie podziewała się prawdziwa Hillary Bass? Nie, Jane mogła szczerze wysuwać podejrzenia, ale nie miały one sensu. O wiele bardziej prawdopodobne wydawa-

ło mi się to, że jestem, aczkolwiek odmienioną, żoną Cartera, a nie jakąś dziwną repliką, która pojawiła się znikąd.

Carter wysłał po nas na lotnisko w Nicei Antonia. Do Montfaucon konwojowali nas trzej ochroniarze. Marcel siedział na przednim siedzeniu Bentleya, a Bruno i Pierre podążali za nami wynajętym samochodem. Gdy mijaliśmy halę odlotów, rozglądałam się za kwiaciarką, lecz jej nie dostrzegłam. Ogarnął mnie dziwny bezwład. Czułam, że różne związane ze mną zagadki są bliskie rozwiązaniu, choć nie pojawiły się żadne oznaki cofania się mojej amnezji. Oczywiście własną pamięć uważałam za najlepszy klucz do rozwiązania wszelkich zagadek. Gdybym tylko ją odzyskała, znałabym odpowiedź na dręczące mnie pytania.

Antonio otrzymał od Marcela instrukcje dotyczące zasad bezpieczeństwa, jednak tylko wzbudziły jego niezadowolenie. Rozległy się nawet przekleństwa, choć nie zrozumiałam, o co poszło. Za to Jane była rozbawiona.

- Mówię ci, nadejdzie dzień, kiedy kobiety zaczną rządzić światem. Testosteron się degeneruje - szepnęła mi do ucha.

Uśmiechnęłam się. Pomyślałam sobie, że może częściowo tłumaczy to moje nieporozumienia z Michele. Nagle przyszło mi do głowy, że jeśli nie jestem Hillary Bass, to raczej nie zabiłam Michela. Jednak zanim zaczęłam się nad tym zastanawiać, przypomniałam sobie wizję mojej walki z Michele na jachcie. Zadałam sobie pytanie: skoro jestem niewinna, to dlaczego miałam tę wizję? A poza tym bez względu na moją tożsamość znaleziono mnie na pokładzie „Pogody” z rozbitą głową. I jak, nie zauważona przez nikogo, mogłam się dostać na jacht Hillary i zająć jej miejsce? Myśl, która przyszła mi teraz do głowy, przypawiła mnie o dreszcz zgrozy.

- Jane, jak sądzisz? Czy ktoś usiłuje mnie zabić dlatego, że jestem Hillary Bass, czy dlatego, że nią nie jestem?

- Hill, to sakramencko ciekawe pytanie, ale w ogóle nie przyszło mi do głowy. - Spojrzała na mnie dziwnie.

Ogarnął mnie strach. Moja sytuacja wydawała się gmatwać coraz bardziej, jednak wszystkie wątki jakoś łączyły się z sobą. Nie wiedziałam tylko, w jaki sposób.

- Teraz mnie przyszła do głowy szalona myśl - odezwała się po chwili zadumy Jane. - Może ten ktoś za wszelką cenę chce cię wyprawić na tamten świat, zanim odzyskasz pamięć?

- Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było, bo nic mnie już nie zaskoczy - stwierdziłam ponuro.

Przed domem w Montfaucon stał nieznajomy samochód. Natychmiast skojarzyłam go z Toddem Halleyem, ale musiałam przyznać, że poprzednio reporter przyjechał innym wozem.

Czy zatem składał mi wizytę kolejny dziennikarz?

Gdy znaleźliśmy się wśród wzgórz, Marcel rozglądał się niczym czujny drapieżnik, a teraz od razu spytał Antonia o ten samochód. Z miny kierowcy wywnioskowałam, że nie wie, kto przyjechał.

Ochroniarz spojrzał na mnie.

- Pani Bass, sądzę, że to może być nie oznakowany wóz policyjny. Czy spodziewała się pani takiej wizyty?

- Nie, Marcel, ale to o niczym nie świadczy. Ostatnio policja dużo się mną zajmuje.

Kazał nam zostać w Bentleyu, a sam wszedł do willi. Okazało się, że przyjechał Paul Debray.

Przywitał nas w drzwiach.

- Co za miła niespodzianka. - Podałam mu rękę, przedstawiając Jane. - Czy zjawił się pan, żeby porozmawiać ze mną, czy z lady Nyland?

- Miło mi panią poznać. - Potrząsał dłonią Jane. -Chciałem się spotkać z obiema paniami, jeśli oczywiście można.

Weszliśmy we trójkę do salonu, podczas gdy ochroniarze zapoznawali się z otoczeniem willi.

- Panie Debray, czemu zawdzięczamy pańską wizytę? - zaczęłam bez wstępów.
  - Gdy dowiedziałem się, że wraca pani po południu, od razu postanowiłem tu przyjechać. Mam nadzieję, że pani mi wybaczy. - Prowokacyjnie uniósł brwi, jakby dawał w ten sposób do zrozumienia, że ma wiele pytań. Zdażyłam się już do niego przyzwyczaić. Choć znakomicie zdawałam sobie sprawę, że stanowi dla mnie zagrożenie, to z niezrozumiałych powodów chciałam mu pomóc.
  - Z pewnością nie fatygowaliby się pan tu po nic - naciskałam.
  - W rzeczy samej, proszę pani.
- Usiadłyśmy z Jane na sofie, a detektyw w fotelu, tym razem pozbawiony towarzystwa milczącego Jacquesa Lepecheura.
- Jeśli można, chciałbym później porozmawiać z lady Nyland na osobności - zaczął uprzejmie. - Ale bez wątplenia mam wiadomości interesujące dla obu pań. Pani Bass, czy mogę uważać, że nie krępuje pani towarzystwo przyjaciółki?
  - Ja i lady Nyland nie mamy przed sobą tajemnic.
  - *Alors*, pani Bass. Ujęliśmy mężczyznę podejrzanego o próbę zastrzelenia pani w parku.
  - Naprawdę?
  - *Oui, madame*.
  - Wspaniale! - krzyknęłam uradowana. - Kto to jest?
  - Nazywa się August Jonker. To Holender, płatny morderca, poszukiwany w swoim kraju w związku ze zbrodnią sprzed kilku lat. Zawodowiec. Świetnie zna się na broni. Został zatrzymany na granicy z Belgią, poniekąd przez przypadek, czyli mieliśmy szczęście.
  - Czy sądzi pan, że również on podłożył bombę na jachcie?
  - Podejrzewamy go i o to.
  - Och, dzięki Bogu! - Poczułam straszną ulgę.
- Spojrzałam na Jane, ale ku mojemu zdumieniu nie wyglądała na uradowaną. Siedziała pogrążona w zadumie, jakby przetrawiała rewelacje detektywa.

- Panie inspektorze, skoro to płatny morderca, to kto go wynajął? - spytała.  
- Otóż to! Kluczowa sprawa, nieprawdaż? Ale i w tym przypadku szczęście nam dopisało.  
Aresztowaliśmy jeszcze jedną osobę. - Przerwał, chcąc wywrzeć na nas większe wrażenie, i spoglądał to na mnie, to na Jane.

Serce mi łomotało. Zżerała mnie niecierpliwość, a równocześnie paraliżował strach.

- Jako zleceniodawcę Jonker wymienił Emile'a Lamberta, młodszego syna pana Michela Lamberta.

- Nie pamiętam go. - Spojrzałam na Jane. - Czy go znałam?

- Może spotkałaś Emile'a, kochanie, ale nie mogłaś go dobrze znać.

- Jest pan pewny, że nie zaszła jakaś pomyłka? - spytałam.

- Dziś rano pan Emile Lambert wypowiedział się ze wszystkiego.

Poczułam raczej smutek niż ulgę.

- Musi mnie strasznie nienawidzić.

- Działał z chęci zemsty. Obwinia panią o spowodowanie śmierci ojca, rozpadu małżeństwa rodziców i załamania nerwowego matki.

Zrobiło mi się niedobrze. Mój romans z Michelelem ściągnął na ludzi tyle cierpień i rozmaitych kłopotów, a wciąż jeszcze się mnożyły. I zostały narażone niewinne osoby. Gdyby „Pogoda” eksplodowała na pełnym morzu, Carter zostałby rozerwany na strzępy, a od przeznaczonej dla mnie kuli mogła zginąć Sophie.

Debray przez chwilę obserwował mój wyraz twarzy.

- W opinii paryskiej policji tylko ci dwaj mężczyźni byli zaangażowani w zamachy, ale co do tego nigdy nie można mieć całkowitej pewności.

- Zatem nie można przyjąć, że zagrożenie minęło?

- Prawdopodobnie minęło, ale i co do tej sprawy nie można niczego gwarantować.



- Inspektorze, czy uważa pan śledztwo za zakończone?

- spytała Jane.

- Lady Nyland, okoliczności śmierci wciąż nie zostały wyjaśnione.

Patrzył na nią chytrze.

- Śmierci Michela Lamberta - dodałam bezbarwnym głosem.

- *Oui, madame.* I muszę spytać, czy ostatnie wydarzenia nie rozjaśniły pani pamięci? Czy nie ma pani dla nas jakichś informacji, które pomogłyby wytłumaczyć to tragiczne zdarzenie?

- Hillary byłaby skończoną idiotką, gdyby cokolwiek panu powiedziała, nawet gdyby pamięć jej na to pozwalała - oświadczyła prowokacyjnie Jane. - Czy przypadkiem nie próbuje pan oskarżyć jej o zamordowanie Michela Lamberta?

- Może pani tak uważać, ale zapewniam, że z wdzięcznością przyjmę każdą użyteczną informację, nawet jeśli nie obciąży pani Bass.

- Myślę, że moja odpowiedź wybawi oboje państwa z kłopotliwej sytuacji. Nie mam nic do dodania do tego, co już powiedziałam w trakcie poprzednich przesłuchań.

- Zatem nie powie mi już pani niczego, co mogłoby rzucić światło na zagadkę śmierci pana Michela Lamberta?

- Debray lustrował mnie wzrokiem.

Pomyślałam o telefonie od Todda Halleya, jednak inspektorowi chodziło chyba o informacje, których źródło sta-nowiłałaby moja pamięć, a nie ktoś inny. Poza tym byłam pewna, że Halley kłamał i powtarzanie jego rewelacji mogłoby tylko wpędzić Cartera w niepotrzebne kłopoty.

- Nie mam nic do dodania - oświadczyłam. Debray wzruszył ramionami.

- Lady Nyland, czy wobec tego mogę zadać pani kilka pytań?

- Jak pan sobie życzy. - Jane zerknęła na mnie.

- Może usiedlibyśmy w moim samochodzie? - zaproponował.

- Proszę uprzejmie.

Powiedziałam Debrayowi „do widzenia” i poinformowałam przyjaciółkę, że idę porozmawiać z Polly. Jane oświadczyła, że po przesłuchaniu przyjdzie na górę, żeby się rozpakować.

Chciałam spytać sekretarkę o numery telefonów do Cartera. Była w swoim pokoju. Siedziała na antycznym krześle, wyglądając ze stoickim spokojem przez okno. Gdy stanęłam w drzwiach, zerwała się na równe nogi.

- Och, pani Bass. Nie miałam pojęcia, że pani już wróciła.

- Mogę?

Polly spuściła oczy i odwróciła głowę. Podeszłam do niej. Miała podpuchnięte oko, a na policzku okropny siniec. - Wielki Boże, co ci się stało?

- Przewróciłam się, proszę pani. To nic poważnego.

- Czyżby? - Uniosłam jej podbródek. - Masz strasznie podbite oko.

Była zakłopotana i zdenerwowana. Nie wiedziałam, czy przyprzeć ją do muru, żeby powiedziała prawdę, czy raczej dać jej spokój.

- Są nowe wiadomości. Słyszałaś, że ktoś usiłował mnie zastrzelić?

- Tak. Pan Bass poinformował nas przez telefon.

- Policja aresztowała tego mężczyznę.

- Naprawdę? - Polly miała oczy okrągłe jak spodki.

- To płatny morderca. Holender. Zatrzymano też Emilek, syna Michela. Policja podejrzewa ich również o podłożenie bomby na jachcie.

Sekretarka zrobiła taką minę, jakby te informacje były dla niej w jakiś sposób kłopotliwe. Jednak niemal w tej samej chwili opanowała się.

- To wspaniale, proszę pani, że ich ujęto. Wspaniale! Tak się cieszę! - wykrzykiwała uśmiechnięta, choć sprawiała wrażenie, że wciąż głęboko się nad czymś zastanawia.

- Może nareszcie wszystko wróci do normy. Cokolwiek to znaczy.

- Istotnie - powiedziała nieobecna myślami. - Czy policja uważa śledztwo za zamknięte?
- W sprawie zamachów na moje życie tak, ale w sprawie śmierci Michela nie.
- Rozumiem.

Nie patrzyła na mnie. Wciąż coś rozważała w myślach. Jej reakcja wydała mi się dziwna i w jakiś sposób lekceważąca.

- Chcę cię o coś prosić.
- Oczywiście, pani Bass. - Wróciła do mnie myślami. - Podaj mi numer telefonu do londyńskiego biura męża. Powiedział, że znasz ten numer.
- Mam go pod ręką. - Podeszła do biurka i zanotowała na karteczce. - Proszę wybrać cyfry zgodnie z tym zapisem.
- Dziękuję.
- Och, pani Bass. - Zawahała się. - Naprawdę się cieszę z tych wiadomości.
- Ale to rozwiązało tylko część moich problemów. Wciąż muszę się borykać z tym, co wydarzyło się na jachcie.
- Jestem pewna, że wszystko skończy się dla pani pomyślnie.

Uśmiechnęłam się i już miałam wyjść, gdy zaświtało mi w głowie pytanie.

- Polly, nie wiesz, czy znam kogoś, kto ma na imię Roger?
- W tej chwili nikt taki nie przychodzi mi do głowy - odparła po zastanowieniu. - Zaraz, zaraz... Jeden z londyńskich prawników nazywa się Roger. Niech pomyślę... Czasami pani z nim rozmawiała.
- Czy zgodnie z tym, co ci wiadomo, często spotykałam się z owym Rogerem? - Zaczęłam przeżywać katusze. - Nie wydaje mi się, pani Bass. - Polly była zaskoczona moją reakcją. - W ogóle sobie nie przypominam, żeby pani się z nim spotkała. Tylko od czasu do czasu rozmawiała z nim pani przez telefon.
- Zatem musi chodzić o kogoś innego - mruknęłam. Na twarzy Polly malowało się zaniepokojenie, lecz nie

odważyła się zadać mi pytania, a ja uważałam, że wprowadzanie jej w tę sprawę nie ma sensu.

- Nie zaprzataj sobie tym głowy. To nic ważnego. -Skinęłam głową i wyszłam z pokoju.

W hallu czekała na mnie Yvonne. Wyglądała na zdenerwowaną.

- Pani Bass, ci mężczyźni płaczą się po całym domu niczym szarańcza. *Mon Dieu!* Czy nie da się z nimi nic zrobić? - poskarżyła się z oburzeniem.

- Myślę, że już dłużej nie są nam potrzebni. Zaraz zadzwonię w tej sprawie do pana Bassa.

- Węszą wszędzie: także w kuchni i w jadalni; zajrzeli nawet do garnka z zupą, *alors!*

Z gabinetu Cartera zadzwoniłam do jego londyńskiego biura. Telefon odebrała Kate, sekretarka. Po chwili rozmowy odetchnęłam z ulgą, wnioskując z głosu, że to istotnie starsza pani. Nareszcie dotarło do mnie, że moja zazdrość o nią jest idiotyczna. Carter zapewniał mnie, że nie ma romansu ze swoją sekretarką, ale moje poczucie zagrożenia było zbyt wielkie, bym potrafiła wierzyć w cokolwiek. Kate poinformowała mnie, że Carter jest wciąż na posiedzeniu, ale oczywiście miała mu przekazać wiadomość o moim telefonie.

Znalazłam Marcela Ucciani z tyłu domu. Sprawdzał okna. Powiedziałam mu o aresztowaniach. Spojrzał na mnie sceptycznie.

- Pani Bass, a co z tym pierwszym płatnym mordercą? Było przecież dwóch, *n'est-ce pas!*

- Skoro zatrzymano również Emile'a Lamberta, można uważać, że inne osoby, zaangażowane w zamachy, przycupną teraz w ukryciu.

- Pani Bass?

- Myślę, że zagrożenie minęło. Jak rozumiem, warunki umowy zostały uzgodnione z moim mężem. Zaraz do niego zadzwonię, żeby skonsultować decyzję, ale sądzę, że już możecie, panowie, przygotowywać się do wyjazdu do Paryża.

- Chodzi o to, czy po naszym wyjeździe będzie pani tak samo bezpieczna - argumentował Marcel.

- Oczywiście, że z wami czułam się bezpieczniej. Jestem za to wdzięczna.

- Zadzwoń na lotnisko. - Wyglądał na usatysfakcjonowanego pochwałą.

Obeszłam willę dookoła, chcąc sprawdzić, czy Jane wciąż rozmawia z Debrayem, ale okazało się, że już odjechał. Również mojej przyjaciółki nigdzie nie było widać. Widocznie weszła już do domu.

Gdy ruszyłam do drzwi, przybiegła Poof. Zaczęła mrużyć i ocierać się o moje nogi. Wzięłam ją na ręce.

- Co, kotko? Brakowało ci mnie? - Ukryłam twarz w jej futerku.

Miauknęła, a ja przytuliłam ją do siebie.

Poof stanowiła moją emocjonalną ostoję. W jakiś sposób dodawała mi odwagi. Ale teraz, gdy przypuszczenia Jane podważyły moją tożsamość, czułam dziwną pustkę. Na pozór myśl, że nie jestem Hillary Bass, wydawała się absurdalna. Bo jak to możliwe, żebym zajęła miejsce tej kobiety i żeby nikt o tym nie wiedział? I co, na miłość boską, robiłam z Michelelem Lambertem na pokładzie „Pogody”, jeśli istotnie byłam kimś innym? Nie mogłam przecież spaść z nieba. Z drugiej strony nie potrafiłam bez reszty wyzbyć się wątpliwości. Od chwili obudzenia się ze śpiączki traktowałam przeszłość Hillary Bass jak przekleństwo, nie identyfikując się z jej stylem życia. Jaka zatem była prawda? Jane miała rację, że wizyta u dentysty dostarczy odpowiedzi na to pytanie.

Przyjaciółka siedziała na łóżku w pokoju gościnnym. U jej stóp leżała na wpół rozpakowana walizka.

- Inspektor Debray usiłuje znaleźć motyw, który skłonił cię do zamordowania Michela. Oczywiście nic mu nie powiedziałam - odezwała się wesoło.

Uśmiechnęłam się, ujęta jej pogodą ducha i wdzięczna, że nie musiałam sama pytać, o co chodziło detektywowi.

- Nic mu nie powiedziałaś, bo żaden taki motyw nie istnieje. Mam nadzieję, że się ze mną zgadzasz. Roześmiała się.

- Nie bądź niemądra. Każda kobieta ma od czasu do czasu ochotę posłać męża lub kochanka na tamten świat, tyle że nie powinna tego mówić policji, najwyżej innej kobiecie.

- Ale od kiedy uważasz, że nie jestem Hillary Bass, chyba nie ma znaczenia, co ona zrobiła lub czego nie zrobiła?

- Mówię ci, że za tym wszystkim kryje się jakaś podniecająca metafizyka - zażartowała. - Oczywiście słowem nie wspomniałam Debrayowi o moich podejrzeniach co do twojej tożsamości, jednak jeszcze musimy się nad tym zastanowić... A w stosunku do Michela czujesz się lepiej jako Hillary Bass czy jako ktoś inny?

- Kimkolwiek jestem, wciąż muszę się martwić tym, co wydarzyło się na jachcie. - Postawiłam wiercąca się Poof na podłodze. Wybiegła z pokoju. - Raczej nie potrafię teraz skoncentrować się na twoich przecuciach. Wstrzymajmy się z rozmową na ten temat do czasu mojej wizyty u dentysty.

- Rozumiem cię doskonale, Hillary. Bo czy można się czuć dobrze, powątpiewając w swoją tożsamość? - Dziękuję, że nazywasz mnie tym imieniem.

- Obiecuję ci to do chwili, w której się okaże, że nie jesteś Hillary. - Jane uśmiechała się prowokacyjnie.

Poklepała materac, zachęcając mnie, żebym przy niej usiadła. Gdy to zrobiłam, objęła mnie po przyjacielsku ramieniem.

- Skup się na dobrych wiadomościach, na tym, że przytrzasnęli facetów zamieszanych w zamachy i że już nie wyrządzą ci nic złego. Ale mimo wszystko zdziwiłam się, gdy glina wymienił Emile'a Lamberta jako zleceniodawcę.

- Biorąc pod uwagę moją amnezję, Debray mógłby równie dobrze wymienić dzwonnika z Notre Dame.

Jane roześmiała się.

- Prawdę powiedziawszy, czuję się jak w matni. Tyle osób może chcieć, żebym straciła życie, nawet chyba Carter.

- Rzeczywiście trudno oczekiwać, żebyś zachowywała spokój, skoro ktoś z zimną krwią usiłuje cię wysadzić w powietrze lub zastrzelić.

- Zdecydowanie nie gustuję w tej zabawie.

Wyraz twarzy Jane zmienił się gwałtownie, jakby ogarnęły ją jakieś wątpliwości. Jej pytające spojrzenie zdawało się mówić: „Kim ty właściwie jesteś? Dlaczego ubierasz się w rzeczy mojej przyjaciółki i mieszkasz w jej domu? Co się z nią stało? Gdzie ona jest?”

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że nie tylko ja jestem ofiarą mojej amnezji. Jej skutki dotykały wielu osób, a przede wszystkim Cartera. Byłam bliska płaczu, ale jakoś wzięłam się w garść.

- Nie wiem, kim jesteś, kochanie, za to chętnie bym coś zjadła. - Jane poklepała mnie po kolanie, jakby wyczuła moją udrękę. - Może poszłybyśmy do twojej gosposi, żeby nas nakarmiła?

Byłam jej wdzięczna za ten pogodny nastrój.

- Z całą pewnością da się to załatwić. Na co masz ochotę? Wybiorę się do niej z zamówieniem.

- Pójdę z tobą. Dwie głodne istoty mogą spowodować szybszą reakcję.

Gdy schodziłyśmy po schodach, wzięła mnie pod rękę.

Pomyślałam o swojej osobliwej sytuacji. Bo ilu osobom zdarzyło się ustalić własną tożsamość dzięki wizycie u dentysty? Wątpiłam, by moje nerwy łatwo wytrzymały tę próbę, bez względu na jej rezultat. Ale czy miałam jakąś alternatywę? Prawda ma swoją cenę i wymowę.

### *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Jadłyśmy lunch na tarasie, ciesząc oczy pięknym krajobrazem. Cisza pomiędzy uwagami, które od czasu do czasu wymienialiśmy, była o wiele bardziej wymowna niż same te uwagi. Ponieważ moja tożsamość nie została jeszcze potwierdzona, używanie w stosunku do mnie nazwiska „Hillary Bass” rodziło niezręczną sytuację. Miałam poczucie, że w ciągu tego tygodnia dźwigałam się z frustracji tylko po to, by mogła mnie opanować jeszcze większa.

Gdy skończyłyśmy lunch, podeszła do mnie Polly, niosąc plik papierów.

- Strasznie przepraszam, że przeszkadzam, proszę pani, ale chciałabym prosić o podpisanie czeków.

Nazbierało się ich trochę, a niektóre już powinny być wysłane.

- Czas ucieka - stwierdziłam filozoficznie i zerknęłam na Jane.

- Jeśli to niestosowna pora... - zaczęła przeproszająco sekretarka.

- Skądże znowu - przerwałam jej. - Załatwmy to. Musisz przecież wykonać swoją pracę.

Starła się ukryć siniec pod grubą warstwą pudru. Było mi jej żal. Miałam tylko nadzieję, że swym nagłym zjawieniem się w jej pokoju nie narobiłam niepotrzebnego ambarasu.

Podsunęła mi czeki i podała pióro, wyjaśniając, na co



przeznaczona jest suma widniejąca na pierwszym z góry. Zdałam sobie sprawę, że będę pisać po raz pierwszy od czasu wyjścia z kliniki. Przyłożyłam stalówkę do papieru i przez moment trzymałam ją nieruchomo, ciekawa, czy pojawi się właściwy odruch. Istotnie. Bez żadnych sensacji podpisałam czek. Polly zerknęła na podpis, po czym obejrzała go uważnie i utkwiała we mnie wzrok.

- Czyżby to nie był mój dawny podpis?

- Jest inny, pani Bass. Jane sięgnęła po czek.

- To nie twój podpis - orzekła kategorycznie i spojrzała na mnie znacząco.

Zapadła cisza.

Czułam się tak, jakbym podążała znaną drogą i nagle znalazła się na jakimś obcym pustkowiu. Z drżeniem odłożyłam pióro.

- Podpisy na dalszych czekach nie mają sensu, bo bank nie będzie ich honorował - przerwałam milczenie.

Polly sprawiała wrażenie poruszonej tym, co się stało. Jane nawet nie drgnęła.

- Hillary, czy w ogóle zwróciłaś uwagę na swoje pismo od chwili opuszczenia szpitala? - odezwała się w końcu.

- Nie.

- A czy nie należałoby mu się przyjrzeć? - zasugerowała kolejną możliwość podważenia mojej tożsamości.

- Jesteśmy tu wszystkie trzy. Dlaczego nie? - Bardziej się bałam niż to okazywałam, ale odmowa była bezsensowna.

- Zróbmy mały eksperyment - kontynuowała Jane. - Polly, masz czystą kartkę?

Sekretarka przyniosła papier. Jane kazała mi napisać kilka linijek bazgrołów. Po oględzinach obie z Polly zgodnie orzekły, że aktualnie mam zdecydowanie inny charakter pisma.

- Może to efekt amnezji? O ile wiem, charakter pisma odzwierciedla cechy osobowości. Skoro się zmieniłam, to dlaczego nie miałyby się zmienić i pismo? - broniłam się jak wcześniej.

- Myślę, że to fałszywy trop, jeśli oczywiście mogą być szczerą - kontrargumentowała Jane. Sekretarka sprawiała wrażenie skonsternowanej.

- Ty też powinnaś to wiedzieć. Lady Nyland uważa, że nie jestem Hillary Bass, lecz jej siostrą bliźniaczką.

Polly wstrzymała oddech i podniosła rękę do ust.

- Od kilku lat żyjesz najbliżej pani Bass. Spędziłaś z nią więcej czasu niż ktokolwiek inny, z wyjątkiem kilku osób. Czy nie zgodzisz się ze mną, że jest tu z nami nie ta sama kobieta? Jeśli oczywiście potrafi się uważnie obserwować...

- Tak... Ja... To znaczy. Naprawdę nie myślałam o... -plątała się Polly. Odetchnęła głęboko i wydusiła z siebie: -Oczywiście bardzo się zmieniła. Zauważyliśmy to od razu, ale uznaliśmy zmianę za efekt amnezji. Nie...

- A ta nowa skóra to jakiś prezent od losu? Jest niemal nie tknięta przez ostre słońce. To skóra kogoś innego -przerwała jej Jane.

- Polly, czy ostatnio nie poddawałam się jakiejś kuracji kosmetycznej, o której lady Nyland mogłaby nie wiedzieć?

- Nie, proszę pani. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo, a to ja umawiam panią na wizyty i płacę rachunki. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby zrobiła to pani bez angażowania mnie.

- A widzisz - triumfowała Jane.

Byłam roztrzęsiona. Inny charakter pisma i sposób wysławiania się, nieznajomość francuskiego, sztuki żeglarskiej, gatunków win oraz nowe upodobania kulinarne... Nagromadzenie tych przeklętych faktów zaczynało robić swoje. Ostatecznie podkopały moją wiarę w to, że jestem Hillary Bass.

- Mam tego absolutnie dość. - Zamknęłam oczy. - i cholernie żałuję tylko jednego, a mianowicie, że nic nie pamiętam. Nawet gdyby odzyskanie pamięci wiązało się z jakąś upiorną dla mnie sytuacją.

- Jeśli chcesz mojej rady, kochanie, idź do dentysty

i ustal swoją tożsamość raz na zawsze. Gdy okaże się, że twoje zęby nie są zębami Hillary, będziesz wiedziała, że nią nie jesteś.

- Czy mam stałego dentystę?

- Tak, proszę pani. Doktora Gernigona w Cannes.

- Czy mogłabyś mnie z nim umówić, najszybciej jak to możliwe?

- Tak, pani Bass.

Gdy Polly wyszła, pomyślałam, że jeszcze nigdy nie widziałam jej tak pobladłej i roztrzęsionej. Bliska płaczu, zerknęłam na Jane. - To wszystko doprowadzi mnie do szaleństwa, o ile już nie zwariowałam. Ktoś musi wiedzieć, kim jestem i skąd się tu wzięłam. Dlaczego się nie ujawnia?

- To niezłe pytanie. Raczej nie wyskoczyłaś z głowy Zeusa.

- Dzięki za otuchę, ale to nie pomaga.

- Hillary musiała cię znać, złotko. Poza wszystkim innym byłaś na jej jachcie.

Jane rozumowała logicznie, ale niczego to nie wyjaśniało. Bo jeśli Hillary mnie znała, to dlaczego ani Carter, ani Jane nigdy o mnie nie słyszeli? Zwłaszcza Jane, skoro jakoby wiedziała o Hillary wszystko. Dlaczego więc nie wiedziała o czymś tak ważnym? Znowu ogarnęło mnie straszne przynębnienie. - Powiem Carterowi o tych podejrzaniach.

- A jak się przedstawiś? Pani X?

- Oświadczę zgodnie z prawdą, że nie wiem, kim jestem.

- Świetnie, ale nie wymieniaj nas obu jednym tchem.

- Jane, mnie też od samego początku nękają różne wątpliwości. Parę rzeczy mnie zastanowiło.

- Zatem zgadzasz się ze mną, że nie jesteś Hillary Bass?

- Zgadzam się, że nie ma odpowiedzi na wiele pytań. Ale bez wątpienia zwiększyłaś moją niepewność.

Siedziałyśmy pogrążone w myślach, gdy na tarasie zjawiała się Polly z wiadomością, że dzwoni Carter. Zerknęłam na

Jane i pośpieszyłam do środka, ponaglana przez straszne napięcie. Polly ruszyła wraz ze mną.

- Telefonowałam do dentysty, proszę pani. Najwcześniej może przyjąć panią pojutrze.

- W porządku.

Ta wizyta miała znaczenie kluczowe, ale teraz bardziej absorbował mnie Carter. Nie mogłam się uwolnić od myśli, że żyjąc jak małżeństwo być może byliśmy parą nieznajomych.

Odebrałam telefon w jego gabinecie, wślizgując się w fotel przy biurku. Czułam lęk i niepewność. I nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

- Kochanie. Czy wszystko w porządku? - Usłyszałam jego głos.

Carter był tak boleśnie odległy. Serce podeszło mi do gardła. Żałowałam, że nie mogę patrzeć mu w oczy i wyczytać z nich reakcji na czekające mnie wyznanie.

- Tak... To znaczy... i tak, i nie. Czy słyszałeś już o aresztowaniach?

- Nie. Powiedz mi.

Poinformowałam go, że zatrzymano Augusta Jonkera i Emile'a Lamberta, ale milczał.

- Słyszysz mnie?

- Tak, kochanie. Strasznie mnie zaszokowała ta wiadomość.

- Myślę, że nareszcie mogę odetchnąć. Chciałabym odprawić ochroniarzy, jeśli oczywiście zgodzisz się na to.

- Tak, odeślij ich, skoro uważasz, że już nie są potrzebni. Wpłacona przeze mnie zaliczka hojnie ich wynagrodzi. Z pewnością trzymanie ich w Monfaucon byłoby uciążliwe.

Odniosłam wrażenie, że coś innego pochłania uwagę Cartera.

- Bardzo się starają, ale miałam nadzieję, że będziesz tego samego zdania co ja. Poza tym Yvonne jest zdenerwowana...

- Powiedz im, że mogą wracać do Paryża.

- Dobrze. Zajmę się tym.

- Hillary, wciąż jesteś z jakiegoś powodu roztrzęsiona. Słysząc to w twoim głosie. Co się stało? - spytał po chwili wahania.

Byłam bliska wyrzucenia z siebie tego wszystkiego, o czym rozmawialiśmy z Jane, ale nie dawały mi spokoju również rewelacje przekazane przez Todda Halleya. Już miałam o nich powiedzieć, po prostu chcąc się uwolnić od nieznośnego balastu, lecz powstrzymała mnie myśl, że postawię Cartera pod ścianą. Postanowiłam odłożyć rozmowę na ten temat na inną okazję. Nie mogłam jednak czekać z wątpliwościami dotyczącymi mojej tożsamości. Zebrałam się na odwagę.

- Carter, chciałabym ci coś wyznać...

- Wyznać? Co?

Rezerwa w jego głosie zaalarmowała mnie, ale prawda musiała zostać powiedziana. Postanowiłam otwarcie przedstawić mu wszystkie niejasności dotyczące mojej osoby.

- Dręczą mnie pewne wątpliwości - zaryzykowałam.

- Na temat naszego związku?

- Nie. Na mój temat. Nie mam już takiej pewności, że jestem twoją żoną. Coraz mniej wierzę, że jestem Hillary Bass.

W słuchawce znowu zaległa cisza. Wyczułam za nią niezadowolenie, a nawet gniew.

- To sprawka Jane - oświadczył po chwili Carter.

- Tylko do pewnego stopnia. To prawda, że Jane nie uważa mnie za Hillary Bass, ale są też inne przyczyny moich wątpliwości. Zdarzyło się zbyt wiele niepokojących rzeczy.

- Na przykład?

- O niektórych już wspominałam. Ale dzisiaj... - Znowu musiałam zebrać się na odwagę, żeby to z siebie wyrzucić. - Polly przyniosła mi czeki do podpisania. Bardzo się zmienił mój charakter pisma.

- Wiele rzeczy się zmieniło. Znikły na przykład twoje umiejętności żeglarskie.

- Właśnie o to chodzi. Czy nic ci to nie mówi? Wszystko zebrane razem prowadzi do nieuchronnych wniosków. Ile jeszcze trzeba dowodów?
- Wsiadam w najbliższy samolot - oświadczył, najwyraźniej przekonany o autentyczności moich obaw.
- Nie - zaprotestowałam stanowczo. - Nie chcę, żebyś wychodził z posiedzenia. Nie dlatego przedstawiłam ci moje wątpliwości. Pragnęłam tylko, żebyś wiedział, jak się czuję... i boję.
- Miło mi, że troszczysz się o moje sprawy zawodowe, ale zaraz wracam do Montfaucon. Przy odrobinie szczęścia powinienem zdążyć na kolację.
- Carter...
- Hillary, nie upieraj się. W pewnych sprawach jestem nieustępliwy. W duchu byłam zadowolona z jego decyzji. Choć nękały mnie poważne wątpliwości na temat łączących nas więzów, kochałam go coraz bardziej. W tej chwili tylko to się dla mnie liczyło.

Jane przyjęła ze spokojem informację o powrocie Cartera Montfaucon. Zaskoczyło mnie, że oboje tak znakomicie siebie wyczuwają. Sądziłam, że gdyby tylko chcieli, dzieląca ich rezerwa mogłaby się przerodzić w przyjaźń.

- Może czym prędzej powinnam dać susa na samolot do Paryża? Dzięki temu już dalej nie paprałabym wszystkiego - oświadczyła.
  - Nie. Chcę, żebyś została i pomogła mi otworzyć Carterowi oczy na różne sprawy.
  - Na tym etapie moje podejrzenia co do twojej tożsamości są raczej kwestią wiary niż wiedzy. Nie da się ich zmienić w dowód. Decydująca będzie oczywiście wizyta u dentysty. Rozstrzygnięcie problemu nastąpi więc niebawem.
- Te rzeczowe uwagi powinny mnie jakoś uspokoić, jednak wciąż czułam się rozdarta i zbita z tropu.

Jane, jak się okazało, lubiła aktywny tryb życia. zaproponowała wypad do Tuluzy lub przejażdżkę wzdłuż wybrzeża. Chętnie towarzyszyłabym jej, ale czułam się psychicznie wyczerpana. Na szczęście gdy oświadczyłam, że muszę się zdrzemnąć, bez żadnych dąsów wybrała się sama. Obiecała zjawić się na kolacji i wsiadła do Bentleya.

Zanim poszłam na górę, pożegnałam się z ochroniarzami. Zabukowali lot do Paryża i wybierali się na lotnisko. Zaprosiłam ich do salonu, dziękując za wysiłek, jaki włożyli w moją ochronę i ściskając im dłonie.

- Jedyną lepszą rzeczą, jaką policja mogłaby zrobić, zamiast aresztować zamachowca, byłoby zatrzymanie takiej kanalii jak ja - zażartował Marcel. - Teraz już nie musi się pani niczego obawiać. Gdy odjechali wypożyczonym samochodem, zostałam sama z Yvonne.

- Nie mogę się przyzwyczaić do tej ciszy - zagadnęłam ją.

- *Grace a Dieu, madame.* Nawet kiedy Niemcy w czasie wojny zajęli moją wioskę, nie było tak źle. Ale teraz znowu możemy żyć po dawnemu.

Uśmiechnęłam się z powodu nie zamierzonej ironii tej uwagi, bo nie miałam pojęcia, do jakiego życia chciałabym powrócić. Nie wiedziałam przecież, kim jestem. Swojej przeszłości nie znałam, a przyszłość rysowała się dla mnie niejasno.

Gdy pokonałam schody, poczułam się strasznie zmęczona. A poza tym miałam wszelkie objawy zbliżającej się menstruacji. Nagle mnie olśniło. Jeśli do niej dojdzie, będzie to niezawodny dowód, że nie jestem Hillary Bass. Musi go uznać każdy, nawet Carter.

Leżałam w łóżku, usiłując się odprężyć. Mimo zmęczenia nie potrafiłam zasnąć. Rozmyślałam o minionym tygodniu i starałam się zrozumieć znaczenie okrucich zdarzeń, które w tak chaotyczny sposób objawiła moja pamięć. Teraz stanowiły dla mnie niezawodny dowód, że nie jestem żoną

Cartera. Próbowałam myśleć o sobie jako o kimś innym niż Hillary Bass.

Gdzie naprawdę mieszkam? Jak mam na imię? Ann? Carolyn? Meredith? I co, u licha, sprowadziło mnie do Francji?

Zrobiłam w myślach przegląd snów, wizji i przedmiotów, które wywarły na mnie największe wrażenie. Z pewnością były to róże, starsza pani w różanym ogrodzie oraz szamotanina z Michelelem na jachcie. Nie dawało mi spokoju, dlaczego ta ostatnia scena pojawiła się i w śnie, i w wizji, skoro to Hillary była kochanką Michela, a ja obcą osobą. Przypomniałam sobie także kwiaciarkę z lotniska w Nicei i zdjęcia San Francisco z albumu widzianego u Jane. I dzieci z wizji. Słyszałam ich głosy. Na myśl, że są to być może moje dzieci i że jestem mężatką, żoną... Rogera, że mam rodzinę, która się o mnie troszczy i darzy miłością, przeszły mnie ciarki.

Czułam się tak zbита z tropu, że już naprawdę nie wiedziałam, czego się trzymać. Odpowiedzi na dręczące mnie pytania tkwiły oczywiście w mojej zablokowanej pamięci.



### *Rozdział dwudziesty drugi*

Czułam silny zapach róż. Wciągałam głęboko powietrze, upajając się tą niezwykłą wonią. Gdy otworzyłam oczy, uświadomiłam sobie, że śniło mi się, iż jest nią przesycona spowijająca mnie mgła. Na łóżku siedział Carter.

- Witaj, kochanie - odezwał się z troską i pocałował mnie czule.
- Carter - wymamrotałam, obejmując go za szyję i ściskając mocno. Gdy odsunęłam ręce, chcąc, żeby z powrotem usiadł, zorientowałam się, że jest ciemno i nie mogę dokładnie zobaczyć jego twarzy. - Jak udało ci się przylecieć tak szybko?
- Samolotem czarterowym, a i tak trwało to kilka godzin. Yvonne powiedziała mi, że śpisz od dawna. Zerknęłam na zegarek. Było po ósmej.
- Za pół godziny będzie kolacja. Uznałem, że najwyższy czas cię obudzić. Dopiero teraz spostrzegłam w jego dłoni czerwoną różę na długiej łądździe. Wręczył mi ją. Przysunęłam kwiat do nosa.
- Oddychałam tym zapachem w czasie marzeń sennych.
- Tych samych co wcześniej?
- Tak jak poprzednio śnił mi się różany ogród, lecz tym razem spowijała go mgła pachnąca różami.

- To coś osobliwego, nawet jak na sen.
- I znajdowałam się w jakimś mieście, być może w San Francisco.
- Pamiętasz San Francisco?
- Czy kiedykolwiek tam byliśmy?
- Przed czterema, pięcioma laty. Akurat bawiliśmy w Nowym Jorku. Ty składałaś wizytę matce, a ja załatwiałem interesy i musiałem polecieć na Zachodnie Wybrzeże, żeby spotkać się z przedstawicielami firmy partycypującej w moich operacjach finansowych. Postanowiłaś wybrać się ze mną. Spędziliśmy tam kilka dni. To było latem, ale panował straszny ziąb. Oczywiście nie zachwyciło cię to, jednak samo miasto podobało ci się.
- Czy odwiedziłam San Francisco tylko ten jeden raz?
- Z tego co wiem, tak. Wprawdzie przed kilku laty bawiłaś z przyjaciółmi w Tajlandii i niewykluczone, że wracaliście do kraju przez Zachodnie Wybrzeże, ale nie pamiętam, jak było naprawdę.

Czy jedna wizyta mogła dać powód do mojej tak dziwnej reakcji na album San Francisco, czy przyczyna tkwiła głębiej?

Niestety, po raz kolejny czułam się kompletnie zbita z tropu.

- Cieszę się, że jesteś w domu.
- Nie powinienem był wyjeżdżać i zostawiać cię samej.
- Nie zgadzam się. Nic złego się nie stało. Miałam zapewnione bezpieczeństwo, a w towarzystwie Jane czułam się dobrze.
- Domyślałam się - odparł z lekką urazą.
- Lubię ją. Jest trochę zwariowana, ale poza tym bardzo miła. Czy już wróciła z Tulonu?
- Nie, jednak tego przynajmniej mogłem się spodziewać. Jane, co pewnie już zauważyłaś, ma mnóstwo zalet, lecz nie należy do nich punktualność. Ale zapewne lada chwila przyjedzie. - Spojrzał na mnie czule. - No i co, zejdiesz na kolację?

- Sądzę, że powinnam.

Pomógł mi wstać; i natychmiast porwał mnie w ramiona. Objęłam go i uścisnęliśmy się mocno. Żadne z nas nie pragnęło wyzwolić się z tych objęć.

- Brakowało mi ciebie - szepnął.

- Naprawdę?

- I martwiłem się. Gdy sekretarka przekazała mi wiadomość o twoim telefonie, bałem się, że odchodzisz od zmysłów.

- Wcale nie mam pewności, że tak nie jest. - Spojrzałam mu w oczy. - Och, Carter, czuję taki lęk.

- Czego się obawiasz?

- Tego, co może się zdarzyć.

- Hillary, należymy do siebie. Czego jeszcze możemy pragnąć? - Ujął moją twarz w dłonie.

- A jeśli się okaże, że nie jestem twoją żoną?

- Widzę, że wzięłaś na serio te głupie rewelacje Jane. A miałem nadzieję, że zanim tu dotrę, odzyskasz rozsądek. - Był w równym stopniu zmartwiony i poirytowany.

- A jeśli racja jest po jej stronie?

- Wtedy będę musiał zacząć cię nazywać innym imieniem.

- Nie żartuj ze mnie. Traktuję to poważnie.

- Dobrze. Co chciałabyś, żebym ci powiedział? Milczałam.

- Że tak czy inaczej kocham cię?

- To ma sens tylko wtedy, gdy jest tak rzeczywiście -burknęłam.

- Naprawdę cię kocham, Hillary... lub jakkolwiek masz na imię. Sama widzisz, że nie ma to znaczenia.

- Mówisz tak, ale w głębi duszy śmiejesz się ze mnie. Absolutnie nie podzielasz sceptycyzmu dotyczącego mojej tożsamości.

- Jeśli pytasz, czy wierzę w twoje i Jane spekulacje na ten temat, to odpowiadam, że nie. Ale to nie znaczy, że cię nie kocham, nawet jeśli straciłaś rozsądek.

- Wobec tego pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że i ja i Jane straciłyśmy rozsądek.

Roześmiał się i objął mnie mocniej.

Uśmiechnęłam się, bo istotnie miałam taką nadzieję. Pozwalała oddalić wątpliwości, nawet za cenę uznania własnego szaleństwa.

- Lepiej zacznę się ubierać.

- Może ci pomóc? - spytał zalotnie.

- Wydaje mi się, że wolisz kobiety rozbierać.

- Jak na to wpadłaś? - Poszedł za mną do garderoby. Zaświeciłam światło i zdjęłam szlafrok.

Przesuwałam się

w samej bieliźnie wzdłuż rzędu sukien.

- Zdobyłam pewną wiedzę na ten temat. Czy masz jakieś życzenie, jeśli chodzi o mój wygląd?

- Krótko i dużo odkrytego ciała.

- Czyżby twoim gustem kierowały hormony? - Zachichotałam.

- Tylko ja będę na ciebie patrzył.

- A Jane?

- Wątpię, żeby ją obchodziło, jak jesteś ubrana. Przeglądając kolejne sukienki, zatrzymałam się przy jedwabnej brzoskwiniowej, bez rękawów i bardzo krótkiej.

- Czy jest dostatecznie podniecająca?

- Idealna - odparł, ale patrzył głównie na moje nogi. Jego prowokacyjna mina świadczyła o tym, że myśli raczej o późniejszych rozkoszach alkowy.

- Nie wybierasz się do swojej ubieralni, żeby na przykład zmienić koszulę? - Osłaniałam się sukienką niczym tarczą. - Usiłujesz się mnie pozbyć?

- A jeśli rzeczywiście nie jestem twoją żoną? Chyba wiesz, co to znaczy? - Wątpliwości nie dawały mi spokoju, - Znaczy to, że popełniliśmy grzech cudzołóstwa.

- A także to, że Hillary to nie ja, lecz inna kobieta.

Ruszył w moją stronę. Cofałam się pod ścianę, osłaniając sukienką. Przysunął się do mnie bardzo blisko.

- Posłuchaj, kochanie, powiedzmy, że ten jeden raz warto było zgrzeszyć. - Pocałował mnie.

- Jest tylko jeden problem - wymamrotałam.

- Jaki?

- Może mojemu mężowi nie spodoba się ta myśl?

- Wobec tego jego też się pozbędziemy. - Uśmiechnął się.

Gdyby nie dręczyły mnie tak bardzo podejrzenia dotyczące mojej tożsamości, uznałabym ten żart za uroczy. Jednak zmusiłam się do uśmiechu, a Carter chyba nie zwrócił uwagi na grę uczuć na mojej twarzy.

- Pójdę zmienić koszulę. Zobaczymy się na kolacji. - Pożegnał mnie pocałunkiem.

TJsiedliśmy przy stole: ja w tej brzoskwińowej sukience, bardziej odpowiedniej dla dwudziestolatki, Carter w białej, rozpiętej pod szyją koszuli. Poprawiłam makijaż, malując usta koralową kredką i kładąc róż na policzkach. On zdążył wziąć prysznic i świeżo pachniał wodą kolońską.

Zajmowaliśmy jak poprzednio przeciwległe krańce długiego stołu, pośrodku którego stały dwa smukłe świeczniki. Drzwi na taras były otwarte, wpuszczając do jadalni rześkie, ale ciepłe powietrze. Miejsce Jane wciąż nie zostało zajęte.

- Jestem pewien, że jeszcze nigdy nie udało się jej zdążyć na pierwsze danie - orzekł Carter, kładąc serwetkę na kolana. - Sądzę, że grzecznie odczekaliśmy już swoje.

- Myślę, że zadzwoniłaby, gdyby przytrafiło się jej coś złego.

- Jane to Jane.

- Więc zacznijmy jeść zupę.

Stojąca w drzwiach Yvonne zaciskała nerwowo dłonie. Słyszając moje słowa, podeszła do stołu, żeby nas obsłużyć.

Ledwie zdążyliśmy zanurzyć łyżki w bulionie, gdy przed domem rozległ się warkot silnika.

- Zatem lady Nyland zje dziś zupę - odezwał się Carter. Po chwili stuknęły frontowe drzwi. Do jadalni wkroczyła

związana Jane z naręczem plastikowych toreb.

- Dobrze, kochani, że nie czekaliście z kolacją.

- Czekaliśmy tylko przez chwilę - powiedziałam przepaszająco.

- Hill, nigdy bym ci tego nie wybaczyła, gdyby z mojego powodu zmarnowały się przyrządzone przez Yvonne smakołyki. - Położyła zakupy na serwantce. - Jak się masz, drogi Carterze? Tylko nie patrz na mnie krzywo. W tym całym bałaganie jest dla ciebie śliczny jedwabny krawat.

- Jane, wiesz, że nie zachowuję się w taki sposób. Cmoknęła go w policzek.

- Okropny z ciebie kłamca, ale ci wybaczymy. - Zajęła swoje miejsce.

Weszła Yvonne, żeby jej podać zupę.

- *Bon appetit*. Carter, jak ci leci w interesach? Zarobiłeś kolejny milion? - spytała po wyjściu gosposi.

- Właśnie nad tym pracuję.

Po tym lakonicznym oświadczeniu przez dłuższą chwilę słychać było tylko dźwięk srebrnych łyżek i chińskiej porcelany.

Przez drzwi tarasowe do jadalni docierał zapach kwiatów i siana.

- Wygląda na to, że spędziłaś popołudnie na intensywnych zakupach - przerwałam niezręczną ciszę.

- Uwielbiam wydawać pieniądze. I nie dbam o ludzkie gadanie. Rekompensuję sobie niedostatek z czasów młodości.

- Twoje szczęście, że masz takiego tolerancyjnego męża. Lordowi Nylandowi musi to odpowiadać w takim samym stopniu jak tobie - odezwał się Carter.

- Nie wyrażaj się tak mętnie, drogi chłopcze. Jamesowi odpowiada moje ciało i ja, a mnie jego pieniądze i on.

Tak Bóg urządził świat. To zapewnia gatunkowi ludzkiemu maksimum przyjemności, a przy okazji owocuje potomstwem.

Zachichotałam.

Oto dlaczego, Hill, mój mąż stoi wyżej w hierarchii od twojego. James podchodzi do kontaktów damsko-męskich jak człowiek pierwotny, to znaczy dąży przede wszystkim do osiągnięcia satysfakcji seksualnej. Dlatego o niebo łatwiej radzić sobie z nim niż z twoim mężem, który traktuje siebie o wiele za poważnie. Nie zrozum mnie źle. Oczywiście Carter jest wspaniały, tyle że trudniejszy w życiu.

- Najwyraźniej nie należysz do kobiet, które lubią stawić czoło wyzwaniom - odgryzł się.

- To prawda, że z natury jestem leniwa. Za to kobieta siedząca naprzeciwko ciebie przeobraziła się w zupełnie nową samiczkę. Stała się jak ty poważna, uprzejma, myśląca i przyzwoita. Idealna dla Cartera Bassa.

- To nieopisana ulga dla mnie, że tak uważasz.

- Czy zatem zostało już ustalone, kim ona jest? Zapanowała niezręczna cisza. Cała nasza trójka wymieniała tylko spojrzenia.

- Dopóki się z tym nie uporamy, nie będziemy mogli jeść z prawdziwą przyjemnością. - Jane sprawdzała, jak reagujemy na jej prowokację.

- Chyba masz rację - odezwałam się, zerkając na Cartera.

Spodziewałam się, że będzie miał strasznie niezadowoloną minę, ale, o dziwo, nawet uśmiechnął się do mnie leciutko.

- A zatem, jak pani sądzi, lady Nyland, kim ona jest? - spytał równie prowokacyjnie.

- Nie mam bladego pojęcia: - Jane zanurzyła łyżkę w zupie. - Wiem tylko, kim nie jest.

- Negowanie czegoś musi się opierać na przekonujących dowodach - stwierdził rzeczowo Carter.

- Zgadzam się z tym całkowicie. Dlatego kobiety są zmuszone polegać na swojej intuicji. Za pomocą logicznego rozumowania można poznać prawdę tylko częściowo. Poza tym wszystkie naprawdę liczące się w życiu rzeczy nie mają wymiernej wartości.

- Z wyjątkiem pieniędzy - zastrzegł Carter.

- To wyjątek potwierdzający regułę - argumentowała rozbawiona Jane.

Carter znowu uśmiechnął się do mnie z zadowoleniem, jakby mówił: „A widzisz, potrafię się przekomarzać z twoją przyjaciółką, nie posuwając się za daleko.” Cieszyło mnie to, lecz przede wszystkim byłam zainteresowana tematem rozmowy.

- Skoro pieniądze mają wymierną wartość, to może skupmy się na nich. Dociekanie, kim jestem, dotyczy sprawy chyba zbyt osobistej jak na pogawędkę przy kolacji - zaczęłam się bronić.

- Hill, nie powinnaś tego tak traktować - oponowała Jane.

- Zgadzam się - poparł ją Carter. - Chcę wiedzieć, z kim pójdę dziś do łóżka, a Jane jest ciekawa, z jakiej gwiazdy spadłaś nagle na ziemię.

- Carter, wypchaj się tą swoją fałszywą troską o tożsamość Hillary i prawdziwość mojej intuicji.

Mężczyźni są o wiele bardziej pociągający, jeśli tak nie nabierają. Ta ich cecha może doprowadzić do szału - odgryzła się Jane.

- Czyżby zwykła logika była dla ciebie aż tak odpychająca? - spytał Carter.

- Czy ty naprawdę nie widzisz, że zachowujesz się obrzydliwie? Jednak pomimo to bardzo cię lubię. I przedstaw to swoje logiczne rozumowanie. - Jane odwróciła się do mnie. - Mam nadzieję, kochanie, że nie masz nic przeciwko temu? W końcu sprawa jest niezwykle ważna.

- Bóg mi świadkiem, że nie mam. A kimże ja jestem, żeby psuć wam zabawę?



Zaskoczyła ją moja odpowiedź. Czy zdradziłam więcej niż zamierzałam?

- Gniewasz się na nas? - spytała skruszona.

- Absolutnie nie. Słuchanie waszej rozmowy to prawdziwa przyjemność. I chciałabym poznać argumenty Cartera. Również dla ciebie mogą się okazać ważne. Mówię szczerze.

Weszła Yvonne, żeby posprzątać nakrycia po zupie. Milczeliśmy, dopóki nie podała nam pieczonej jagnięciny i nie wyszła z jadalni. Zapomniała o winie, więc Carter otworzył stojącą na serwantce butelkę i napełnił nam kieliszki.

- Jeśli naprawdę sobie nie życzysz, nie podejmiemy tego tematu. - Nalewając wino, musnął mnie ustami w skroń.

- Życzę sobie. Chcę tylko was uprzedzić, że przechodzę mały kryzys zaufania. To wszystko.

Carter wrócił na swoje miejsce i podniósł kieliszek.

- Za co wzniesiemy toast? Za prawdę czy za tolerancję?

- Za jedno i drugie. Jakże by inaczej - orzekła Jane.

- A więc za prawdę i tolerancję. Wypiliśmy. Carter całkiem sporo.

- Musimy rozważyć różne możliwości. Zacznijmy od tego, czy ta dama siedząca po przeciwnej stronie stołu jest od ośmiu lat moją żoną, czy jej idealnym sobowtórem albo identyczną siostrą bliźniaczką. Zgadza się?

Wymieniłyśmy z Jane spojrzenia i przytaknęłyśmy.

- Nie wiem, jakie różnice mogą dzielić podobne do siebie jak dwie krople wody istoty, ale wydaje mi się, że zakładanie tych różnic to skutek jakiegoś nieporozumienia. Bo dlaczego sobowtór Hillary miałyby znajdować się na jej jachcie, w dodatku wraz z jej kochankiem?

- W tym, co mówisz, istotnie jest trudna do odparcia logika - zgodziła się z Carterem Jane.

- Bardziej prawdopodobne, że chodzi o identyczną bliźniaczkę - ciągnął.

- Też o tym pomyślałam - przytaknęła.

- Ale gdyby tak było, to dlaczego Hillary w ciągu ośmiu

lat naszego małżeństwa i dziewięciu lat waszej przyjaźni nie wspomniała o niej słowem? - argumentował.

- A więc zakładasz, że Hillary musiała wiedzieć o jej istnieniu - odezwała się Jane.

- Właśnie. Jest niemożliwe, żeby zdołała to przed nami ukryć. Wcześniej czy później puściłaby farbę. Zapewne powiedzieliby coś o tym także jej rodzice. Czy zgadzasz się ze mną?

- Tak.

- Ale to, iż tak się nie stało, mogłoby znaczyć, że Hillary do niedawna nie wiedziała o istnieniu siostry.

- Zgadzam się - potaknęła Jane.

- Chcąc w to uwierzyć, należałoby przyjąć, że albo rodzice Hillary pozbyli się jej siostry tuż po urodzeniu bliźniaczek, albo Hillary jest ich adoptowaną córką, co przed nią do końca ukrywali. Staralam się przyjmować te domniemania ze spokojem, ale im bardziej Carter je rozwijał, tym silniej narastał we mnie lęk.

- Myślę, że jedno i drugie jest możliwe - orzekła Jane.

- Co się tyczy pierwszej hipotezy, jakoś nie potrafię uwierzyć, żeby rodzice Hillary zdolni byli pozbyć się jej siostry. Rozważmy zatem drugą. Gdyby rzeczywiście adoptowali Hillary, a ona miałaby siostrę bliźniaczkę, gdzieś istniałby tego dowód. Byłem jednym z likwidatorów ich majątku i nigdzie w papierach nie natrafiłem na ślad informacji, że Hillary nie jest ich naturalnym dzieckiem lub że urodziły im się bliźniaczki i że jednej z nich się pozbyli. -Namyślał się przez chwilę. - Jednak dla celów wyводу przyjmijmy, że Hillary istotnie ma siostrę bliźniaczkę. Założenie, że tę drugą przyniosło aż tutaj i siedzi teraz z nami może oznaczać, że z jakiegoś powodu zamieniły się miejscami.

- Spojrzał na nas pytająco. - Oczywiście można udawać amnezję, ale w żaden sposób nie można jej u kogoś wywołać na życzenie. A z tego, co zakładacie, wynika, że ta druga kobieta nie tylko zjawiała się na pokładzie „Pogody”, wtedy gdy był tam Michel, lecz również to, że Hillary celowo

przyprawiła ją o amnezję. Czy właśnie w to wierzycie, moje drogie damy?

- Używasz subtelnych argumentów, ale nie jesteś w stanie niczego wykluczyć - zaprotestowałam.

- Istotnie, lecz zwróć uwagę na absurdalne konsekwencje waszych założeń. Domniemane bliźniaczki musiałyby uzgodnić, że przyjezdna siostra zostanie pozbawiona przytomności, by ewentualnie, na skutek uderzenia w głowę, stracić pamięć. Dla osiągnięcia jakiego celu narażałaby się na to? Pomyśl o tym, że musi chodzić o obcą kobietę, bo w przeciwnym razie wiedzielibyśmy o jej istnieniu. Jakie pobudki mogłyby nią kierować? I jaki cel mógłby przyświecać Hillary? A przede wszystkim, gdzie ona się teraz podzie-wa, skoro ty jesteś jej bliźniaczką? Spójrz na fakty. Na kilka dni przed wypadkiem przebywała w Montfaucon, a w dniu śmierci Michela w stoczni remontowej słyszano ich kłótnię. W jakim języku rozmawiali?

- Po francusku - przypomniwała Jane.

- Dlatego francuscy dokerzy mogli zrozumieć ich kłótnię. Słyszeli nie tylko podniesione głosy, ale i pogróżki Hillary, że zabije Michela. A to bez wątplenia znaczy, że owego nieszczęsnego dnia to ona, a nie jej rzekoma siostra bliźniaczka, która miałaby kłopoty z porozumiewaniem się po francusku w najprostszych sprawach, była z Michelelem na pokładzie „Pogody”. - Carter podniósł rękę, nie dopuszczając Jane do głosu. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Że skoro Hillary nie potrafi już płynnie mówić po francusku, to nie jest żadną Hillary. - Spojrzał na mnie. - Ale powoli przypominasz sobie ten język, kochanie?

- To prawda. Teraz rozumiem więcej niż na początku.

- I mogę się założyć, że po dwóch dniach nauki moja żona znowu będzie wspaniałą żeglarką.

Rzeczywiście się zmieniła. Jest teraz inną kobietą. I Bogu za to dzięki. Może stał się cud, a może to skutek silnego urazu głowy. Ale gdybym musiał się założyć o wszystko, co mam, to obstawałbym przy tym, że uraz spowodował cud przemiany osobo-

wości. Z pewnością nie upierałbym się przy tajemniczym pojawieniu się identycznej bliźniaczki Hillary.

Po tej oracji Cartera przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nie wiem, jak zareagowała na nią Jane, ale ja poczułam się skarcona niczym mówiąca niedorzeczności idiotka. Gdy spojrzałam na nią, z wyrazu jej oczu wywnioskowałam, że w równym stopniu doznała upokorzenia.

- Hillary, czy nigdy cię nie uderzyło, że mężczyźni używają logiki w taki sposób, jakby stanowiła rezultat ich skłonności do samczej dominacji? Znamy prawdę, ale mówi się nam, że gówno wiemy.

- Nie zamierzałem was poniżyć. Pytałyście, co sądzę na temat waszych podejrzeń, więc przedstawiłem kontrargumenty.

- Nie broń się tak, mój drogi. To tylko moje spostrzeżenie na temat mężczyzn, a nie ich krytyka. Jeśli zauważam u nich brak czegoś istotnego, to jest to brak równowagi hormonalnej, a więc rzecz nie dotyczy tylko ciebie.

- Może moje rozumowanie jest fałszywe. Zbij je zatem.

- Carter, nie będę polemizowała z twoim wywodem, bo przesłanki dla moich wniosków są zupełnie inne - oświadczyła Jane.

- Ciekawym jakie?

- Ja nie analizuję tych wszystkich faktów w taki sposób, a mimo to dochodzę do określonych spostrzeżeń. Odwołuję się raczej do intuicji i możliwości uwierzenia w coś.

- A ty, Hillary? Co mówi ci twoja kobieca dusza? -zagadnął mnie Carter.

- Chciałabym, żeby racja była po twojej stronie.

- Dlaczego?

- Ponieważ boję się prawdy innej niż ta, za którą obstajesz. Jane jest łatwo uznać alternatywę, bo nie chodzi o jej życie. Ja czuję się raczej jak matka, która instynktownie czuje, że jej zaginione dziecko żyje. Mam pewne przeświadczenia, ale nie potrafię ich w pełni zrozumieć i ocenić.

- Hillary, tak mi przykro. Zachowaliśmy się z Carterem strasznie egoistycznie - kajała się Jane.
  - Nie uważam tak.
  - Ależ to prawda. Tak ochoczo przierzucaliśmy się słowami, jakbyś była przedmiotem. Lecz to moja wina. Nie powinnam była obstawać przy tym temacie.
- Spojrzałam na Cartera i momentalnie łzy napłynęły mi do oczu. On, podobnie jak Jane, też wyglądał na skruszonego.
- Możemy z Jane różnić się poglądami na to, kim jesteś, ale oboje cię kochamy. Szczerze mówiąc, nie ma dla mnie żadnego znaczenia, które z nas ma rację. Najmniejszego znaczenia - zapewnił mnie z serdeczną troską.
  - Miło to słyszeć. - Roześmiałam się, choć łzy płynęły mi po policzkach.
  - Właśnie! Właśnie! Świetnie to ująłeś. Naprawdę nie ma żadnego problemu - Jane podchwyciła ton Cartera. Otarłam łzy i uśmiechnęłam się. Rzeczywiście byli bardzo mili. W tym sęk, że dla mnie świadomość, kim jestem, miała wielkie znaczenie.
  - Skoro ta sprawa została rozstrzygnięta, dokończmy spokojnie kolację - odezwałam się pojednawczo.
  - Czy powiemy mu, że pojutrze wybierasz się do dentysty? - spytała Jane teatralnym szeptem, by Carter usłyszał. - Chcę sprawdzić, czy moje zęby to zęby Hillary czy też innej osoby.
  - Zatem w środę zagadka się wyjaśni - stwierdził Carter.
  - Mogę się z tobą założyć o pięćset funtów, że to ja mam rację. - Teraz swój teatralny szept Jane skierowała do Cartera.
  - Założmy się o tysiąc.
  - Przyjmuję zakład.
  - To okropne żerować na cudzym nieszczęściu.
  - Ktoś powinien na tym skorzystać. Czy ty sama nie miałabyś ochoty wyłożyć jakiejś sumki? - zażartowała Jane.
- Niemal mnie rozweselił ten przyływ czarnego humoru u przyjaciółki.

- Gdybym się miała zakładać, to tylko o to, że niebawem obudzę się w Kansas.

Wybuchnęli śmiechem.

- Czy nie byłoby to straszne, gdyby nagle zabrakło przy tobie takiego wystrzałowego lwa - opiekuńczego samca i takiej papużki-nierozłączki? - żartowała dalej Jane.

- Może istotnie wasze towarzystwo nie jest aż takie złe.

- Carter, dolej tej laleczce wina. Musimy ją upić.

- Nie, dziękuję - oświadczyłam z naciskiem. - Chcę dokładnie zapamiętać ten wieczór. Bo ile razy dziewczynie z Kansas może się przydarzyć pobyt w tej rajskiej krainie?

### *Rozdział dwudziesty trzeci*

Piękny ciepły wieczór zachęcił nas do spaceru. Dotarliśmy aż do wioski. Jane była na rauszu, bo wypila zbyt dużo wina podczas kolacji, więc manifestowała swoją skłonność do prowokacyjnego zachowania. Carter znosił cierpliwie tę przechadzkę we troje, choć wiedziałam, że wolałby wybrać się na nią tylko ze mną. Ja też tego chciałam, jednak marzycielsko nastrajający spacer miał między innymi tę zaletę, że podsycił odłożone na później pragnienia. Mąż przy każdej sposobności dotykał mnie, gładząc moją skórę przez cienki jedwab, a gdy we trójkę usiedliśmy na ławce na wiejskim placyku, przysunął udo do mojej nogi. Chcieliśmy tu przez chwilę posłuchać wieczornego koncertu cykad.

Jane ze smutkiem wspominała ojca. Pracował jako pośrednik w handlu ziemią w Bournemouth, gdzie się wychowała, wyjadając zielony groszek wprost ze strąków w ogrodzie. Roztkliwiała się też nad wspaniałymi francuskimi sosami, które robiła jej matka.

Chciała napić się koniaku, więc poszliśmy do jedynej w wiosce kawiarni. Carter postawił jej drinka, a mnie lemoniadę. Rozkoszowałam się nią w orzeźwiającym powietrzu pod kręcącym się u sufitu wiatraczkiem.

Gdy Jane po dwóch koniakach wstawiła się jeszcze bardziej, ścisnął mnie znacząco za kolano. Wynajął kogoś z wioski, żeby nas odwiózł do domu.

- Drogi chłopcze, naprawdę potrafię ustać o własnych siłach - protestowała, bo Carter z zapalem pomagał jej wsiąść do samochodu. - Tylko wprawiasz mnie w zakłopotanie na oczach mieszkańców Mountfaucou.

- Wolałbym nie być zmuszony nieść cię na barana. Miej litość dla moich pleców - strofował ją jak niegrzeczne dziecko.

W drodze na wzgórze zaczęła coś paplać po francusku, więc zapłacił przygodnemu kierowcy czterdzieści franków za fatywę i we dwoje jakoś doprowadziliśmy ją do gościnnego pokoju.

- Jeśli musicie, pieprzcie się przez całą noc, tylko za mocno nie hałasujcie, bo sakramencko mnie to podnieca. Rozebrałam ją i okryłam. Już zamierzałam powiedzieć jej „dobranoc”, lecz ujęła moją twarz w dłonie i przyciągnęła do siebie.

- Twój seksowny Carter przegra zakład, ale nie mów mu o tym, złotko. Może i logika pracuje na jego korzyść, jednak to ja mam rację... - Cmoknęła mnie w policzek i niemal natychmiast zasnęła.

Gdy weszłam do sypialni, Carter stał przy oknie, wpatrując się w pocętkowane światłami wzgórze.

- Cudowna noc - odezwał się na mój widok.

- Wspaniała. - Podeszłam do niego.

- Jak tam Jane?

- Śpi jak osesek.

- Obie przywykłyście do picia w kółko drinków, a ona jest nieznośnie zaczepna, choć muszę przyznać, że i tak zlagodniała.

- Myślę, że po prostu martwi się o mnie. Przyjaciołom zdarza się wtedy rozładowywać napięcie za pomocą alkoholu.

- A jak postępują kochankowie? - Ujął moją twarz w dłonie.

- Sądzę, że głównym przedmiotem ich troski jest miłość.

- Podoba mi się to, co mówisz. - Musnął ustami mój nos. Doskwierała mi niepewność dotycząca mojej tożsamości.



Wolałabym już wiedzieć, że jestem żoną Cartera, zwłaszcza że moja miłość do niego wcale nie osłabła. Pragnęłam kochać się z nim, dopóki los mi go nie zabierze.

- Wezmę prysznic - przerwałam ciszę.

- Może potrzebujesz kogoś do pomocy?

- Czy proponujesz coś nieprzyzwoitego?

- Jeśli wejdziemy razem pod prysznic, może i to nam się przydarzy.

Gdy dołączył do mnie, mydliłam włosy. Natychmiast mnie objął. Jego ciało było takie cudowne i w jakiś sposób znane jak ciało męża. Przez cały dzień zamartwiałam się, że być może nie jestem Hillary Bass, a teraz nie miało to żadnego znaczenia. Liczył się tylko nasz miłosny uścisk w strumieniach wody. Carter był bardzo podniecony. Pieścił moje ciało dłońmi i przesuwiał mokrym torsem po moich piersiach.

- Lepiej przestań, dopóki nie umyję głowy, bo może się skończy ciepła woda.

Poddał się niechętnie i odsunął odrobinę, ale zaczął ssać moje nabrzmiałe sutki. Miałam ochotę natychmiast kochać się z nim, jednak najpierw zajął się spłukiwaniem szamponu z moich włosów.

Gdy się wycieraliśmy, wyznał mi miłość.

- Ostatnie dni były dla nas trudne, a już zdążyłem tak bardzo przywiązać się do ciebie.

- Mówisz tak, bo sądzisz, że jesteśmy małżeństwem. Nie wiem, czy chciałabym widzieć wyraz twojej twarzy, gdyby się okazało, że mam inne życie.

- Wszystko skończy się dobrze, kochanie, nawet jeśli będziesz musiała porzucić męża i dzieci.

Pocałował mnie tak namiętnie, że moje podniecenie sięgnęło zenitu. W jednej chwili znienawidziłam dręczące mnie obawy i wątpliwości. Pragnęłam tylko być jego żoną.

Uparł się, że wysuszy mi włosy. Uważałam tę czynność za tak osobistą, że zupełnie mnie zaskoczył.

Operując suszarką, równocześnie całował moje plecy i ramiona, przytulając się do mnie z tyłu.

- No i jak ci się to podoba? - zagadnął.

- Byłbyś znakomity, ale jednak nie inwestuj w salon fryzjerski.

Nie odrywaliśmy oczu od naszych odbić w lustrze, a on pieścił moje piersi tak podniecająco, że zaczęłam drżeć. - Czy naprawdę wyglądam jak kobieta, którą poślubiłeś przed tylu laty? Nie dostrzegasz choćby najmniejszej różnicy?

Odwrócił mnie do siebie i wodził wzrokiem po moim ciele.

- Sprawdzę, czy masz jakieś blizny - oświadczył po namyśle.

Dokładnie obejrzał moje ręce, od dłoni po ramiona, a następnie wolno mnie odwrócił. Zachichotałam z powodu tej inspekcji. W końcu znalazł maleńką szramę w zgięciu kolana.

- Tu jest coś, ale nie wiem, czy miałaś to wcześniej... - Nie wiesz?

- Nigdy tak dokładnie cię nie oglądałem.

- Ale z ciebie pożytek!

- Kto, widząc takie ciało i figurę, zawracałby sobie głowę jakimiś drobiazgami?

- Jane uważa, że moja skóra wygląda młodziej, że nie jest tak spalona przez słońce jak przedtem.

- Całkiem możliwe - oznajmił po dokładnych oględzinach mojej cery.

Zasłoniłam mu oczy dłońmi.

- Jakiego koloru są moje tęczęwki?

- Uff... niebieskie, jasnoniebieskie.

- Są szare - oznajmiłam z oburzeniem.

- A ja widzę w nich odrobinę błękitu - upierał się, patrząc mi w oczy.

- Są szare - powtórzyłam, spoglądając w lustro.

- Hillary, to przecież nie ma znaczenia. Pociąga mnie w tobie nie tylko piękno twojego ciała. Kocham osobę, a nie kolor oczu.

- Zgrabnie z tego wybrnąłeś, lecz nie można ufać twoim spostrzeżeniom. Ktoś obcy bez trudu mógłby cię nabrać.

- Trzymasz stronę Jane. Pamiętasz, że w końcu założyłaś się ze mną o sto funtów w związku z tą wizytą u dentysty?
  - O mało nie zapomniałam.
  - Ale to ja wygram ten zakład. - Wziął mnie w ramiona.
  - Dlaczego tak uważasz?
  - Bo nie chciałbym od nowa starać się o twoje względy.
  - To nie to. Boisz się, że mój mąż to dwumetrowy kierowca ciężarówki. Pocałował mnie.
  - Rzeczywiście nie byłbym tym zachwycony. Ani trochę. Przeszliśmy do sypialni. Carter wyciągnął się na łóżku. Usiadłam obok niego, podciągając kolana pod brodę i zaplatając na nich dłonie. Mrok pokoju rozjaśniało tylko światło księżyca. - Gdy wyjaśni się sprawa mojej tożsamości, ucieszę się niepomrotnie. - Ja też.
  - A co zrobimy, jeśli się okaże, że nie jestem Hillary?
  - Możemy udawać, że nią jesteś.
  - Nie. Ja muszę ustalić, kim jestem. Uwierz mi, nie ma nic bardziej wyniszczającego niż niewiedza na ten temat. - Więc będziemy się tym zajmować, dopóki się nie dowiemy. Bylebyś tylko była szczęśliwa.
  - Martwisz się? - Pogłodziłam go po torsie.
  - Nie.
- Westchnęłam.

Położył mnie na sobie i przytulił. Poczułam jego twardość. Kochaliśmy się bez wytchnienia, z jakąś desperacją, jakbyśmy usiłowali zagłuszyć niepokój o przyszłość. Bałam się, że wkrótce go stracę, że muszę powrócić do innego życia, a może do innego mężczyzny. Mimo to nawet żartowaliśmy na temat mojego ewentualnego męża. Gdyby jednak rzeczywiście istniał, ta prawda byłaby dla mnie zbyt trudna do udźwignięcia. Bo jak mogłabym równocześnie kochać jego i Cartera? I jak potrafiłabym zapomnieć chwile, w których uważałam się za jego żonę?

Już dawno minęła północ, lecz my wciąż się kochaliśmy. Nasze ostatnie miłosne zespolenie trwało długo. Siedziałam na Carterze, miarowo poruszając biodrami, a on pieścił moje piersi. Czułam spokój. Gdy w końcu nie mogliśmy już opanować fali rozkoszy, Carter odwrócił mnie na plecy. Zaplotłam nogi na jego biodrach. Wchodził we mnie coraz głębiej. Omdlewałam w ekstazie, prężąc się i wbijając paznokcie w jego plecy. Wciąż złączeni, przekreśliśmy się na bok, czule się całując. Nasze ciała pachniały potem i wonią wydzielaną podczas kopulacji. Carter dyszał z wyczerpania, ale ani na moment nie zwolnił uścisku palców na mojej dłoni. Wsłuchiwałam się w ten przyśpieszony oddech, pragnąc wierzyć, że będzie mi dane słuchać go jeszcze wiele razy.

Powróciłam myślami do dzisiejszego dnia, tak obfitującego w wydarzenia, jakby to był tydzień. Czy czekało nas coś więcej? To pytanie nie dawało mi spokoju. Nie byłam tak ufna jak Carter, że wszystko ułoży się pomyślnie, ale przynajmniej czułam się lepiej niż rano. Moi prześladowcy siedzieli w więzieniu i nie musiałam już obawiać się zamachu.

Nagle przypomniałam sobie telefon od Todda Halleya. Uważałam, że jedynym jego celem było pogmatwanie moich stosunków z Carterem. Ostatecznie temu służy mówienie półprawd. Do tej chwili nie zastanawiałam się jednak zbyt intensywnie nad informacjami przekazanymi przez reportera. Mówiąc, że Cartera łączyły z Michelelem jakieś nieudane interesy, sugerował tym samym, że mąż mógł być jakoś zamieszany w zabójstwo mojego kochanka.

Pogrążona w myślach spostrzegłam, że Carter uwalnia się z moich objęć i odsuwa. Poczułam się samotna i opuszczona, bo jego bliskość zapewniała mi poczucie bezpieczeństwa. Zerknęłam na jego twarz. Miał zamknięte oczy, ale oddychał jak człowiek w stanie czuwania.

- Nie śpisz? - szepnęłam.

- Nie. - Uścisnął mi palce.

- Ja też nie. Jestem zmęczona, ale chyba nie potrafię zasnąć, tak zadręczają mnie różne myśli.

- Jakie?
  - Stałe te same. Wciąż martwię się sprawą śmierci Michela i ukrytymi zamiarami policji.
  - Kochanie, naprawdę nie ma się czym przejmować. Westchnęłam. Wokół panowała nocna cisza.
  - Carter, czy jest coś, czego nie wiem o Michelu? Coś, co łatwiej pozwoliłoby mi zrozumieć to, co się wydarzyło? -zapytałam po chwili.
  - Co masz na myśli? - Odwrócił się do mnie.
  - Nic konkretnego, ale u podłoża tego wypadku musi tkwić coś więcej niż kłótnia kochanków. Czy mógł być poirowany jeszcze czymś poza moimi pretensjami o spotkanie z tobą?
  - Gdyby nie amnezja, z pewnością wiedziałabyś to lepiej ode mnie.
- Nie wymieniłam rewelacji Todda Halleya, ponieważ chciałam, żeby Carter z własnej woli powiedział mi o swoich ewentualnych powiązaniach z Michelelem.
- Czy miał do ciebie jakieś pretensje?
  - Hillary, skoro jestem twoim mężem, to rozumiałe, że nie należałem do jego faworytów.
  - Ale czy naprawdę nie chodziło o coś więcej?
  - Kochanie, nie lubię okazywać niezadowolenia, ale czy to stosowna pora na rozmowę o Michelu?
  - Przepraszam. Po prostu w mojej głowie kotłuje się tyle sprzecznych myśli i przez cały czas bardzo niepokoję się tą sprawą. - Objęłam go.
  - Wszystko wyjaśni się pomyślnie dla nas. Jestem tego pewien. - Pocałował mnie w ramię.
- W przeciwieństwie do Cartera nie mogłam zasnąć. Słyszając jego miarowy oddech, czułam się osamotniona. Przez dłuższą chwilę leżałam obok niego, aż w końcu postanowiłam wstać. Włożyłam szlafrok i zeszłam na dół po jakąś książkę, byle

tylko nie myśleć o przesłuchaniu prowadzonym przez Paula Debraya i o brzemiennym w konsekwencji wizycie u dentysty.

Dom był pogrążony w ciemnościach, lecz jasne światło księżyca pozwalało mi poruszać się bez trudu. Gabinet Cartera tonął w książkach, więc tam skierowałam kroki.

Zapaliłam lampkę na biurku. Wzięłam z półki tom dziewiętnastowiecznej poezji angielskiej i podeszłam do fotela w rogu gabinetu. Na siedzeniu leżała otwarta dyplomatka Cartera. Ostrożnie wyłożyłam papiery na stojący obok stolik i niemal odruchowo zaczęłam je przeglądać. Wszystkie pliki były opatrzone takim samym barwnym nadrukiem numeru sprawy oraz stemplem:

Vermaut-Drouet S.A. Jak sądziłam, chodziło o nazwę belgijskiej firmy, którą Carter zamierzał kupić. Większość plików dodatkowo nosiła nazwiska adresatów. Na jednym widniała na przykład podkreślona adnotacja: „Do George'a Dunphy'ego.” To z nim Carter konferował przed kilku dniami, gdy niespodziewanie weszłam do gabinetu.

Już miałam zamknąć walizkę, gdy spostrzegłam na jednym z plików nazwisko Lambert. Serce podeszło mi do gardła. Usłyszałam złośliwy śmiech Todda Halleya, jakby stał naprzeciwko mnie z triumfalną miną. To był kolejny szok i kolejny cios. Zrobiło mi się niedobrze. Zastanawiałam się, czy papiery poświadczą, że chodzi o zwykłe interesy. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby tak się stało, lecz myśląc realistycznie nie mogłam się tego spodziewać. Czy zatem to Carter kłamał, a reporter, mimo swoich krętactw, mówił prawdę? Już nie mogłam sobie pozwolić na odłożenie papierów bez sprawdzenia. Musiałam się przekonać, czy mogę ufać Carterowi.

Plik zawierał korespondencję pomiędzy Carterem i Geor-ge'em Dunphym poświęconą Michelowi Lambertowi, a także kserokopie listów kierowanych przez Dunphy'ego do Lamberta. Nie w pełni rozumiałam zawodowy, pełen skrótów myślowych żargon finansistów, jednak istota sprawy była

łatwa do uchwycenia. Michel posiadał niemal połowę udziałów w Vermaut-Drouet S.A. i usiłował nie dopuścić do kupienia jej przez Cartera. Całkiem po prostu działał wbrew jego interesom.

Zamknęłam oczy, czując się jeszcze gorzej niż w chwili, gdy zauważyłam te papiery. Mężczyzna, z którym się przed chwilą kochałam, nie był wobec mnie uczciwy. Oszukiwał mnie. Łzy płynęły mi po policzkach. Przeżywałam katusze. Czyżby nie istniała już żadna świętość?

Wyczułam czyjąś obecność i podniosłam głowę. W drzwiach gabinetu stała ubrana na biało postać. Z przerażenia straciłam oddech, ale gdy zbliżyła się do mnie, okazało się, że to Polly.

- Och, okropnie mnie przestraszyłaś. - Zaciskając kurczowo ręce na piersiach, upuściłam teczkę z papierami na kolana.

- Bardzo przepraszam, pani Bass. Nie chciałam pani przestraszyć. Nie mogłam zasnąć, więc siedziałam w salonie. Gdy zobaczyłam, że wchodzi pani do gabinetu, postanowiłam coś pani powiedzieć.

Miała na sobie prosty bawełniany szlafrok. Siniec na jej policzku był teraz śliwkowo-zielony.

Wyobraziłam sobie, jak siedziała w salonie przy otwartym oknie, a przecież salon znajdował się pod moją sypialnią. Zastanawiałam się, czy słyszała, jak się kochaliśmy.

- Ja też nie mogłam zasnąć i postanowiłam znaleźć coś do czytania. - Położyłam na teczce z papierami tom poezji.

Polly nie wydawała się zainteresowana tym, co tu robię. Chyba nawet nie spostrzegła, że przeglądałam dyplomatkę Cartera. Patrzyła na mnie.

- Nie chcę pani przeszkadzać, ale czy mogę o czymś powiedzieć?

- Oczywiście. O co chodzi?

- Pani Bass... - Pochyliła głowę, pochłonięta jakimiś myślami. - Obawiam się, że niesłusznie odesłała pani ochroniarzy.

- Dlaczego?

- Czuje, że... wciąż należy zachować ostrożność, że... jeszcze może być pani narażona na niebezpieczeństwo.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz? Mówiłam ci przecież o aresztowaniach - spytałam kompletnie zaskoczona. - Mężczyźni, którzy usiłowali mnie zabić, są w rękach policji.

- Muszą jeszcze istnieć jacyś ludzie, którzy pragną pani śmierci. Nie wierzę, żeby wchodził w grę tylko syn pana Lamberta. - Załamano rękę.

- Polly, czy to podszept intuicji, czy raczej dowiedziałaś się czegoś? - Spoglądałam na nią badawczo. Bolesny grymas wykrzywił jej twarz, jakby lada moment miała się rozplakać.

- Po prostu martwię się o panią. Nie chcę, żeby się pani coś stało. Naprawdę. Proszę się mieć na baczności! - Odwróciła się gwałtownie i wybiegła z gabinetu.

Przez długą chwilę siedziałam bez ruchu, nie mając pojęcia, co począć z jej ostrzeżeniem. Czy opętały ją jakieś nocne zmory, czy też wiedziała o szykowanym na moje życie zamachu, lecz bała się powiedzieć? Czułam, że raczej wchodzi w grę ta druga ewentualność. Od jakiegoś czasu jej zachowanie było osobliwe. Przed kilkoma dniami myślałam, że to z powodu zazdrości o Cartera i że ona oraz Erica Maxwell miały coś wspólnego z podłożeniem bomby na jachcie. Wprawdzie policja nie potwierdziła tych podejrzeń, jednak ponownie zaczęłam się nad nimi zastanawiać. Bo co takiego Polly wiedziała, że bała się to ujawnić?

W pierwszej chwili zamierzałam powiedzieć o jej ostrzeżeniu Carterowi, lecz gdy przypomniałam sobie, że mnie oszukał, zaniechałam tego pomysłu. Przyszła mi do głowy gorzka refleksja. Ilekroć sądziłam, że znalazłam twardy grunt, po jakimś czasie okazywało się, że to wciąż te same ruchome piaski.

Włożyłam papiery do dyplomatki i zaczęłam krążyć po gabinecie, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć i jak się zachować. Miałam pewność tylko co do tego, że nie wrócę do sypialni i nie położę się obok Cartera. Gdyby było to



w mojej mocy, natychmiast wsiadłabym do samolotu i odleciała do domu, gdziekolwiek się znajdował. Ale mogłam tylko oczekiwać na nadejście dnia. Postanowiłam zażądać od Polly wyjawienia, czego konkretnie powinnam się obawiać, a od Cartera wyjaśnień, dlaczego ukrywa przede mną, że miał z Michele konfliktem również w interesach.

Energia, która ożywiła mnie w pierwszym momencie zdenerwowania, gdzieś się ulotniła. Poczułam się śmiertelnie znużona. Przy ścianie naprzeciwko biurka stała wąska skórzana kanapa. Zgasiałam lampę i położyłam się na miękkich poduszkach. Znowu poczułam w oczach łzy. Płakałam cicho, aż w końcu zmorzył mnie sen.

-Promienie porannego słońca świeciły mi prosto w twarz, przenikając przez dzikie wino opadające na okno gabinetu. Zaczął mnie swędzić nos. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Cartera. Stał odwrócony do mnie plecami, ubrany do wyjścia, i przeglądał zawartość dyplomacji, jakby sprawdzał czy wszystko jest na miejscu. Przestraszona, gwałtownie wciągnęłam powietrze i usiadłam. Odwrócił się do mnie, a ja patrzyłam na niego, przygotowana na reprymendę.

- Dzień dobry, Hillary. Miło, że się obudziłaś - powitał mnie z uśmiechem.

Umysł miałam wciąż odrętwiały z powodu tej krótkiej drzemki i byłam trochę nieprzytomna, ale nie zapomniałam o nieuchronnej konfrontacji.

Carter usiadł przy mnie i otoczył mnie ramieniem.

- Nie uprzedziłaś mnie, gdzie będziesz dziś spać. Poszukiwałem cię z dziesięć minut - powiedział.

- Och, zesłałam tu po książkę. Przeczytałam kilka wierszy i zasnęłam.

- Spałaś tak smacznie, że nie chciałem cię budzić. Zjadłem śniadanie sam, ale ponieważ wyjeżdżam, chciałbym się z tobą pożegnać.

- Dokąd?

- Do Nicei. Najwyraźniej odkryli coś ważnego, bo De-bray prosił, żebym natychmiast przyjechał.
  - Co się stało?
  - Znaleźli twój pierścionek zaręczynowy.
  - Gdzie? - Przecierałam oczy, usiłując jak najszybciej odzyskać jasność umysłu.
  - Nie wiem. Debray nie chciał mi powiedzieć. Ale oznajmił, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Nawet przysłał po mnie wóz policyjny. Muszę już iść.
- Zerknęłam na dyplomatkę. Leżała w fotelu, w którym ją wcześniej znalazłam.
- Dlaczego Debray chce rozmawiać z tobą, a nie ze mną?
  - Nie wiem, ale tak sobie zażyczył.
- Głos Cartera brzmiał zupełnie naturalnie, lecz nagle zaczęłam się o niego bać. Skoro Todd Halley wywęszył, że miał kłopoty w interesach z powodu Michela, to z pewnością wiedział o tym również Debray. Może Carter w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że ta sprawa, którą tak haniebnie przemilczał, została odkryta, a w związku z tym Debray może go poważnie podejrzewać o zamordowanie Michela?
- Kiedy wrócisz?
  - Nie wiem, ale przesłuchanie chyba nie potrwa długo. Nie miałam pojęcia, co robić. Wcześniej postanowiłam
- zażądać od niego wyjaśnień w związku z zatajeniem przede mną informacji o jego złych stosunkach z Michele w interesach, ale teraz powstrzymywał mnie strach. Byłam kompletnie zbita z tropu.
- Przepraszam za ten pośpiech, ale cokolwiek Debray ma mi do powiedzenia, jest to bez wątpienia ważne. Policjant w samochodzie tak się gorączkuje, że sędzę, iż w śledztwie musiał nastąpić jakiś przełom. Z pewnością oczekujesz na informacje tak samo niecierpliwie jak ja.
  - Tak.
- Opanowały mnie jak najgorsze przeczucia i już nie wiedziałam, czy bać się bardziej o niego czy o siebie. Nie mieściło mi się w głowie, że Debray może go poważnie

podejrzewać o zabójstwo, jeśli w dniu, w którym utonął Michel, Carter przebywał w Londynie. Ale skoro nic nie było takie, jakie się wydawało, z logicznego rozumowania nie wynikał żaden pożytek. Carter pocałował mnie w policzek i podniósł się z kanapy. Spojrzałam na dyplomatkę, a potem na niego. Z wyrazu jego oczu wyczytałam, że nie wątpi, iż poznałam historię z Michele. Ta chwila należała do najgorszych w moim życiu, podobnie jak chwila wybuchu „Pogody”, gdy nie wiedziałam, czy doszło do niego wskutek wypadku, czy planu mającego na celu pozbawienie mnie życia.

Udręczona, nie odrywałam oczu od Cartera.

- Przeglądałaś moje papiery? - spytał rzeczowo.

- Tak.

- Porozmawiamy o tym po moim powrocie - oświadczył po chwili wahania.

- To chyba dobry pomysł. - Spuściłam wzrok. Pochylił się i dotknął dłonią mojego policzka. Dużo wysiłku kosztowało mnie, by nie odwrócić głowy.

- Możesz pomyśleć, że łatwo mi to mówić, ale, proszę, nie dręcz się tym, co wyczytałaś w moich papierach.

Milczałam i nie potrafiłam na niego spojrzeć.

- Hillary, kocham cię.

Wyszedł z gabinetu. Usłyszałam trzask drzwi frontowych i warkot silnika. Po chwili na podwórzu zapanowała cisza.

### *Rozdział dwudziesty czwarty*

Po kilku minutach od wyjazdu Cartera wstałam z kanapy. W hallu spotkałam Yvonne. Oczywiście nie powiedziała słowa na temat mojej grobowej miny i nocowania w gabinecie. Z pewnością była tym zdziwiona, lecz pozdrowiła mnie pogodnym tonem.

- Czy lady Nyland zjadła już śniadanie?

- Nie, proszę pani.

- Pewnie jeszcze nie wstała. Dajmy jej pospać.

- *Comme vous voulez.*

- Idę na górę, żeby wziąć prysznic i ubrać się. Czy mogłabyś przekazać Polly, że chcę ją widzieć za trzy kwadranse?

- Panna Polly pojechała z Antoniem do kliniki w Tulonie po pani rzeczy. Raczej nie będą wcześniej niż za godzinę.

- A więc porozmawiam z nią zaraz po jej powrocie.

- *Oui, madame.*

Przed wejściem do sypialni postanowiłam zajrzeć do Jane. Leżała w pościeli i spała jak zabita. Jej głośny oddech niemal przechodził w chrapanie. Byłam pewna, że do kolacji będzie narzekała na kaca. Brałam prysznic, zadreęczając się myślą, że zaledwie parę godzin temu stałam tu w objęciach Cartera... Jakże szybko przemija szczęście, które potrafi dać miłość. Zaczęłam zastanawiać się nad tym, co powiedział Carter

tuż przed wyjazdem do Nicei. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy jest manipulatorem, zrećnie wyslizgującym się z sytuacji, w jakiej go postawiłam, czy to raczej ja przeceniam znaczenie jego kontaktów z Michele. W każdym razie nie był zaskoczony moją nerwową reakcją na informacje znalezione w jego dyplomatce. Och, te przekłete papiery! W końcu powiedziałam sobie, że będzie dość czasu na wyjaśnienie tej sprawy i ewentualne pretensje do Cartera po jego powrocie do domu, jeżeli oczywiście Debray pozwoli mu wrócić. Przysłał przecież po niego wóz policyjny, a to znaczyło, że wydarzyło się coś, co wróżyło jak najgorzej.

Nie byłam w stanie teraz dowiedzieć się, dlaczego inspektor go wezwał, ale mogłam zapytać Polly, skąd miała pewność, że wciąż ktoś czyha na moje życie. Chcąc przeżyć wśród tego bezliku zagrożeń, musiałam zachowywać nieustanną czujność.

Gdy się wycierałam, zauważyłam na ręczniku plamę krwi. Boże, czyżbym dostała okres? A może krwawiłam z powodu tej szaleńczej nocy miłosnej? I to miało się wkrótce wyjaśnić. Jeśli się okaże, że to menstruacja, zdobędę niezbity dowód, że nie jestem Hillary Bass!

W jadalni czekała na mnie tylko Yvonne. Polly wciąż nie wróciła. Jedząc samotnie śniadanie, czułam się bezwolna niczym liść porwany przez wartki potok. Nie panowałam nad sytuacją i zostałam boleśnie zraniona przez Cartera. Ogarnął mnie strach.

Siedziałam zatopiona w ponurych myślach, gdy w drzwiach jadalni zjawiała się Jane. Miała wypisane na twarzy, że sama cierpi męki, zapewne po przepiciu.

- Poza absyntem i może anyżówką, koniak to najohydniejszy trunek znany rodzajowi męskiemu - oświadczyła z jękiem.

- Żeńskiemu też.

- Jest szczególnie obrzydliwy dla rodzaju żeńskiego. Nawet nie pofatygowała się, żeby wysuszyć włosy po

prysznicu. Miała podpuchnięte oczy i upiornie bladą cerę.

Siadając przy stole, ukryła twarz w dłoniach.

- Na co masz ochotę?

- Najlepiej byłoby, gdybyś skróciła mnie o głowę, ale na razie zadowolę się kawą z mlekiem.

- A co powiedziałaabyś na croissanta z masłem?

- Jeśli ten obrus jest drogi twemu sercu, to nie proponuj mi takich rzeczy.

Poczekalam, aż napije się kawy, i opowiedziałam jej o wezwaniu Cartera na przesłuchanie oraz o ostrzeżeniach Polly.

- Chyba sama powinnaś skrócić się o głowę, skoro masz takie szczęście do kłopotów. - Jane znowu ukryła twarz w dłoniach.

- To pewnie rezultat złej karmy.

- A może powinnaś zwinąć się stąd jak najszybciej?

- Myślałam o tym.

- Możesz schronić się w moim domu w Paryżu. Jeśli i to nie wystarczy, pojedziemy do Bakesly Court, a jeszcze lepiej do domku myśliwskiego kuzyna Jamesa na najdalszej wyspie na północy Szkocji.

Niestety, to strasznie ponure miejsce i może przyprawić o ciężką depresję, jeśli nie gustuje się w łzawych lirykach. - Zostawmy tę ewentualność na później.

- Gdzie, do jasnej cholery, mogli znaleźć twój pierścionek? I dlaczego, skoro jest twój, wezwali na przesłuchanie Cartera, a nie ciebie? - wypaliła Jane.

- Może dlatego, iż ustalili, że nie jestem Hillary Bass.

- A więc zamieniono was?

- Mam wrażenie, że szybko znajdzie się na to dowód. Chyba dostałam okres.

- To nie mogłoby się zdarzyć Hillary Bass. - Jane była zdumiona.

- Zgodnie z tym, co mi powiedziano, nie.

- A jednak nie jesteśmy tym wszystkim zaskoczone? - Jane wpatrywała się we mnie z uwagą.

- Nie mam żadnej pewności, lecz coraz bardziej wygląda na to, że wygrasz zakład.

- Ha! Ha! Ha! Czy Carter nie poczuje się urażony, że został zrujnowany z powodu menstruacji? -  
zażartowała. - Kto wie.

Gdy weszła Yvonne, żeby posprzątać ze stołu, przeniosłyśmy się z Jane do salonu. Zanim zdążyłyśmy wygodnie usiąść, usłyszałyśmy silnik samochodu.

- Carter nie mógłby tak szybko wrócić - orzekłam.

- To pewnie Polly.

Jane miała rację. Do salonu weszła pośpiesznie moja sekretarka, trzymając w dłoniach dwie plastikowe torby. Była bardzo poruszona.

- Przywiozłam rzeczy z kliniki - powiedziała niemal bez tchu.

- Co się stało?

- To nie są pani rzeczy. Ani ubranie, ani biżuteria.

- Może zaistniała jakaś pomyłka.

- W tym sęk, że spis sporządzony wcześniej w szpitalu w Nicei odpowiada rzeczom przekazanym dziś przez nich do kliniki w Tulonie. Pomyłka mogła nastąpić tylko po wypadku, gdy przewożono panią do szpitala. Wymieniłyśmy z Jane spojrzenia.

- Założę się, kochanie, że te rzeczy należą do ciebie, o ile dobrze mnie rozumiesz.

- Polly, pokaż je.

Wysypała zawartość większej torby na stolik do kawy. Wypadł kostium kąpielowy, szorty w kolorze khaki, tenisówki, biała bluzka i przepocony biały podkoszulek z wizerunkiem Golden Gate Bridge, na którym ukośnie wydrukowano nazwę: San Francisco.

Otworzyłam usta i drżącą dłonią chwyciłam podkoszulek.

Wizerunek mostu natychmiast skojarzył mi się z albumem, widzianym w paryskim domu Jane.

Spojrzałam na nią. Uśmiechała się znacząco.

- No i co? - spytała.

- To moje rzeczy - odparłam z powagą.

- Pani Bass, znam pani ubrania. Tych nie widziałam nigdy - wtrąciła Polly.

- Hill, przymierz tenisówki.

Wsunęłam je na stopy. Pasowały idealnie. A poza tym nawet lekko przetarte sznurowadło w lewym bucie wydało mi się dziwnie znajome.

Jane wysypała na stół zawartość mniejszej torby. Zobaczyłam sportowy zegarek, złote kolczyki w kształcie grubych obręczy, skasowany bilet autobusowy z Nicei, banknot dziesięciofrankowy, rachunek na pięć dolarów i kilka innych oraz trochę francuskich monet.

Wzięłam do ręki zegarek i odruchowo założyłam go na przegub.

- On też należy do mnie, podobnie jak kolczyki. Wyglądały znajomo, choć nie wiedziałam dlaczego.

- Polly ma rację. To nie są rzeczy Hillary Bass. Nie odpowiadają jej upodobaniom, zwłaszcza sportowy zegarek. Poza tym ubrania są amerykańskie. I jakim cudem Hillary mogłaby mieć przy sobie bilet autobusowy czy drobne amerykańskie rachunki? Jeśli cokolwiek nosiła w torebce, to stufrankowe banknoty - oświadczyła Jane.

- O mój Boże! - krzyknęłam z drżeniem, doznając przebłysku pamięci, który upewnił mnie, że Jane się nie myli.

Zadzwoił telefon. Polly zawahała się, po czym wyszła odebrać w gabinecie.

Wodząc palcem po zegarku, spoglądałam na leżące na stole rzeczy. Odezwały się we mnie jakieś silne, choć trudne do określenia uczucia. Miałam wrażenie, że mój mózg bezskutecznie usiłuje odblokować pamięć.

- Odzyskujesz wreszcie prawdziwą siebie - odezwała się kojącym głosem Jane.

- Tak, ale wciąż nie odzyskuję pamięci. Jestem tego bardzo bliska, jednak utrzymuje się jakaś blokada.

- Poczułam łzy w oczach.

Położyła mi dłoń na ramieniu. Usłyszałyśmy zajeżdżający przed dom samochód.



- Co teraz będzie? - wymamrotałam.

Mógł już wrócić Carter, a ja jeszcze nie czułam się na siłach, żeby z nim rozmawiać, bo miałam kompletny mętlik w głowie. Gdy jednak zadzwieczał dzwonek, zdałam sobie sprawę, że to ktoś inny. Usłyszałam, że gospościa otwiera frontowe drzwi. Rozległ się obcy kobiecy głos.

W progu stanęła Yvonne. Kątem oka zerknęłam na Jane. Mina gospośni nie wróżyła nic dobrego.

- Ma pani gościa.

- Kto to?

- Żona. Pani Lambert.

Nacisk, z jakim wymówiła słowo „żona”, sprawił, że przebiegł mi dreszcz po plecach. Nie spodziewałam się takiego gościa.

- Boże, czego ona może chcieć? - odezwała się Jane. Serce mi zamarło. Z absolutną pewnością wiedziałam, że

Claudine Lambert przyszła wyrównać rachunki. Ironia losu sprawiła, że opanowana żądzą zemsty żona nieżyjącego kochanka Hillary Bass zjawiała się w chwili, w której doszłam do przekonania, że jestem kimś innym. Ale wciąż musiałam płacić za nie swoje grzechy!

- Co mam przekazać? - spytała Yvonne.

- A co my jej powiemy? - Spojrzałam na Jane. - Że nie ma tu Hillary i że zupełnie się nie orientujemy, co się z nią stało?

- Chyba nie uda się odprawić Claudine z kwitkiem. Pokręciłam głową. Decyzja należała do mnie. Postanowiłam odpowiedzieć na oskarżenia.

- Poproś panią Lambert.

- *Oui, madame.* Wprowadziła żonę Michela.

Wstałyśmy z Jane z sofy. Wdowa zmierzyła mnie wzrokiem. Nie pozostałam jej dłużna. Była mała, drobna i ciemnowłosa. Zresztą widziałam ją w sanatorium. Wyglądała nadzwyczaj elegancko w czarno-białym kostiumie Chanel. Przez ramię przewiesiła pikowaną torebkę.

Wyraz twarzy Claudine wskazywał, że nie przyszła tu w pokojowych zamiarach.

- O ile pamiętam, pani Bass, zjawiała się pani przed kilku dniami w sanatorium w Cannes, chcąc się ze mną widzieć.

- To prawda. - Zerknęłam na Jane. Uznałam, że mimo całego zamieszania wokół mojej osoby, będę pełnić rolę gospodyni. - Czy zna pani lady Nyland, moją przyjaciółkę?

- Wydaje mi się, że zetknęliśmy się kiedyś.

- Miło mi panią widzieć, pani Lambert - odezwała się kurtuazyjnie Jane.

- Może zechce pani usiąść? - Wskazałam jej krzesło naprzeciwko.

Podeszła bliżej, ani na chwilę nie odrywając ode mnie oczu. Poczulałam się nieswojo.

Do salonu weszła Polly. Na widok niespodziewanego gościa otworzyła usta.

Jane w pośpiechu zbierała ze stolika rzeczy i pakowała je do plastikowej torby.

Claudine położyła rękę na oparciu krzesła. Była opanowana, ale pod maską chłodu płonął ogień.

Zdradzał go wyraz oczu.

- Pani Bass, jeśli mogę być szczerą, nie przyszłam tu z towarzyską wizytą. Chciałabym porozmawiać z panią na osobności.

Wymieniłyśmy z Jane spojrzenia. Skinęłam głową.

- Pójdę na górę zażyć aspirynę. Jeśli panie nie mają nic przeciwko temu, zostanę w swoim pokoju - oznajmiła.

Claudine spoglądała w ślad za odchodzącą Jane. Zauważyłam, że zerknęła znacząco na moją sekretarkę. Polly była szczerze zmartwiona i zdjeta strachem. Claudine nie sprawiała wrażenia zachwyconej jej obecnością.

- *Foutez le camp! Allez-vous en!* - poleciała jej ze złością. Zrozumiałam tyle, że Polly ma wyjść.

- Nie, pani Lambert. Pani nie wie, że zaistniała straszli-

wa pomyłka. To nie jest Hillary Bass! - krzyknęła Polly i płacząc podeszła do nas.

Oślupiałam. Te dwie kobiety rozprawiły o czymś, o czym nie miałam pojęcia.

- Właśnie dzwonił pan Bass. Policja wyłowiła z morza zwłoki kobiety, która miała na palcu pierścionek zaręczynowy pani Bass. Pani Lambert, ona utonęła tak samo jak pani mąż - mówiła błagalnym głosem Polly.

Byłam zaszokowana, podobnie jak Jane, która weszła z powrotem do salonu.

- Bierzesz mnie za idiotkę? Sądzisz, że uwierzę w taką brednię? - Claudine przerwała ciszę, jaka zapadła po rewelacjach Polly. Roześmiała się, odrzucając do tyłu głowę.

- To prawda, proszę pani. Przysięgam.

- Kłamiesz, bo wiesz, po co tu przyszłam! - wrzasnęła Claudine i wyjęła z torebki rewolwer.

Zarówno mnie, jak Jane i Polly zatkało ze strachu.

Wpatrywałam się w błyszczący niklowany przedmiot, którego lufa znajdowała się na wysokości mojego serca. Żołądek podszedł mi do gardła.

- Nie, nie! - pisnęła przeraźliwie Polly. - To jest siostra pani Bass! Bliźniaczka! Nastąpiła pomyłka! Proszę schować rewolwer!

- Ty! - wrzasnęła na mnie czerwona z gniewu Claudine. W jej oczach płonęła nienawiść. - Ty  *salope*, zapłacisz mi za wszystko!

Stałam oślupiała, czując, jak trzęsą mi się nogi. Jane krzyczała coś po francusku, lecz również ją Claudine zignorowała.

- Zabiłaś mojego męża, a mój syn z twojego powodu siedzi w więzieniu. Pragnę twojej śmierci.

Chciałam, żebyś wyleciała w powietrze razem z twoim przeklętym jachtem. Udało ci się wymknąć, ale mnie nie umkniesz! - krzyczała Claudine.

Polly zasłoniła mnie swoim ciałem.

- Nic do pani nie dociera! To nie ta kobieta! - krzyczała.

- Z drogi, idiotko! - wrzasnęła na nią Claudine.

Polly chciała jej wyrwać rewolwer, ale wdowa pociągnęła za spust. Sekretarka cofnęła się tak gwałtownie, że upadłyśmy na kanapę. Przygnieciona przez ciało Polly, patrzyłam na żonę Michela. Miała oszalałe spojrzenie. Wystrzeliła ponownie. Kula przeleciała tuż nad moją głową, uderzając w oparcie sofy. Polly krzyknęła przeraźliwie. Rozległ się trzeci wystrzał. Tym razem okazał się celny. Ciało sekretarki drgnęło gwałtownie. Claudine tak trzęsła się ręką, że czwarty pocisk znowu przeleciał nad moją głową, trafiając w ścianę.

Usłyszałam męski głos. To Antonio wbiegł do salonu i rzucił się na panią Lambert, powalając ją na podłogę.

Jane podbiegła do mnie i pomogła mi wydostać się spod ciała Polly.

- Boże, Boże - powtarzała, dotykając jej twarzy. Klęczałam przy sofie w kałuży krwi.

Claudine wyrwała się i ciskała obelgi, aż w końcu Antonio zasłonił jej usta.

Polly jęknęła i wywróciła oczami, ale jej ciało drgało co chwilę. A więc na razie nie umarła.

- *Yvonne, vas appeler une ambulance* - krzyknęła Jane.

- *La police, aussi!* - dorzucił Antonio.

Chwycił Claudine za ramiona i ciągnął ją do drzwi.

Staraliśmy się z Jane ułożyć prosto poskręcane ciało Polly. Miejsce nad prawą pierśią, w pobliżu ramienia, strasznie krwawiło, podobnie jak lewy bok.

- Musimy zatamować krew - odezwałam się po raz pierwszy od strzelaniny.

- Przyniosę ręczniki. - Jane wybiegła z pokoju. Obserwowałam uważnie Polly, bojąc się, że lada moment

przestanie oddychać. Poruszyła powiekami.

- Już dobrze. Wkrótce przyjedzie karetka - uspokajałam ją.

- Pani Lambert nie zastrzeliła pani? - spytała słabym głosem.

- Dzięki tobie.

Utkwiła wzrok w suficie, oddychając z najwyższym trudem. Zdumiał mnie jej spokój.

- To prawda, że znaleziono ciało pani Bass - oświadczyła po chwili świszczącym głosem, odwracając do mnie głowę. Zaraz jednak jęknęła z bólu.

- Nic nie mów. Wyjaśnimy wszystko później. - Pogłaskałam ją po czole.

Do salonu wbiegła Jane z furą ręczników. Przyłożyłyśmy je do ran Polly. Wydawało się nam, że żadna z kul nie uszkodziła organów wewnętrznych, ale tak poszarpały tkanekę, że krwawienie było naprawdę niebezpieczne.

W oddali rozległ się sygnał karetki pogotowia.

Polly krztusiła się, a jej ciałem wstrząsały drgawki, lecz przynajmniej krew nie lała się już z ran ciurkiem. Personel pogotowia szybko zatamował krwotok całkowicie. Trzymałam sekretarkę za rękę, dopóki nie wzięto jej na nosze. Błagalnym głosem poprosiła, żebym pojechała z nią do szpitala.

Zgodziłam się bez wahania.

- To wszystko z mojej winy - oświadczyła, gdy sanitariusze wtaczali do ambulansu nosze na kółkach.

- Nonsens. To nie ciebie należy oskarżać.

Już miałam powiedzieć, że to my jesteśmy winne, ale powstrzymałam się, skoro słowo „my” odnosiło się do dwu nieszczęsnych sióstr bliźniaczek. Nareszcie dotarło do mnie, że nie jestem Hillary Bass.

Jeśli wiadomości Polly były wiarygodne, żona Cartera nie żyła. Poczucie absurdalności całej tej historii dokuczało mi teraz bardziej niż strach.

Jane wybiegła za nami. Odwróciłam się, żeby ją uścisnąć. Zauważyłam wóz policyjny. W środku siedziała Claudine Lambert, wlepiając we mnie oczy, a na zewnątrz Antonio rozmawiał z żandarmami.

- Nie martw się, kochanie. Jakoś sobie z tym wszystkim poradzimy. - Jane trzymała moją twarz w dłoniach.

Skinęłam głową, niezdolna wydusić z siebie słowa z powodu przyływu emocji.

- Jak tylko Antonio będzie wolny, pojedzie po ciebie do szpitala.

- Dziękuję.

Sanitariusze byli gotowi do odjazdu. Usiadłam w karetku przy Polly i wzięłam ją za rękę. W oczach sekretarki pojawiły się łzy, ale usiłowała powstrzymać płacz.

- Tak bardzo żałuję, lecz nie wyobrażałam sobie, że to wszystko może się tak skończyć. Gdy zorientowałam się, że chcą panią zabić, omal nie poszłam na policję.

- Polly, o czym ty mówisz?

- Pani Lambert płaciła mi za szpiegowanie pani. Serdecznie pani nie cierpiałam... - Przerwała, na wpół łkając, a na wpół się śmiejąc. - Co ja plotę... To znaczy... nie znosiłam pani siostry. Chciałam, żeby dostała nauczkę za okrutne traktowanie pana Bassa. Ale myślałam, że Lambertowie zamierzają ją tylko upokorzyć. Gdy jednak doprowadzili do eksplozji jachtu, zaprotestowałam.

- I w ten sposób zarobiłaś podbite oko?

- Tak. Grozili mi. Poczulałam się lepiej, widząc przy pani ochroniarzy, lecz wiedziałam, że skoro nie aresztowali Claudine Lambert, pani życie jest wciąż zagrożone. - Uścisnęła mi dłoń. - Ze strachu straciłam głowę. Omal nie powiedziałam pani o wszystkim. - Odetchnęła chrapliwie. - Teraz żałuję, że tak się nie stało.

Zaczęła płakać. Sanitariusz poprosił, żebym usiadła dalej, bo rozmowa z Polly jest niewskazana.

W szpitalu w Tulonie natychmiast zawieźli ją na Oddział Chirurgiczny, Po jakimś czasie powiedziano mi, że nie odniosła zbyt poważnych obrażeń i że wyjdzie z tego.

Na dziedzińcu szpitala czekał na mnie Antonio. Poinformował mnie, że Claudine Lambert została aresztowana.

- Antonio, uratowałeś mi życie. Ty i Polly. Nie potrafię wyrazić słowami, jak jestem ci za to wdzięczna - dziękowałam mu, gdy szliśmy do Bentleya.

- W porządku, co? - Był rozpromieniony. Otworzył drzwi samochodu. Opadłam na tylne siedzenie.

Gdy tylko

usiadł za kierownicą, odwrócił się do mnie. - Czy to prawda, że jest pani bliźniaczą siostrą pani Bass?  
- Wszystko na to wskazuje.

Ze śmiechem włączył silnik. Po chwili spytałam, czy są jakieś wiadomości od pana Bassa.

- Gdy wyjeżdżałem po panią, pani Nyland powiedziała mi, że rozmawiała z nim przez telefon.

Poinformował, że niebawem wróci do Montfaucon. Może już go tam zastaniemy?

W drodze powrotnej do willi usiłowałam uporządkować myśli. Było mi trudno pogodzić się z tym, że nie jestem Hillary Bass, skoro wciąż nie znałam swojej prawdziwej tożsamości. Zarazem to, że już przypominałam sobie pewne rzeczy, pozwalało żywić nadzieję, że w pełni odzyskam pamięć. Jednak w tej chwili mój mózg odmawiał posłuszeństwa. Żadne z wydarzeń nie spowodowało cofnięcia amnezji, żadne nie wywołało reakcji łańcuchowej.

Wróciłam myślami do Cartera. Gdy dziś rano wychodził z domu, podejrzewałam go o różne rzeczy, nawet o to, że być może w jakiś sposób przyczynił się do śmierci Michela. Teraz ten problem nie istniał, ale wciąż nie dawało mi spokoju, że Carter ukrył przede mną swoje konflikty z Michelem.

Nienawidziłam myśli, że po tym całym zamieszaniu związanym z wypadkiem Hillary i moją niedoszłą śmiercią czeka mnie kolejny dramat - niezwykle dla mnie bolesne rozstanie z Carterem.

Wydawało mi się, że ta sprawa jest przesądzona. Nie byłam jego żoną, lecz obcą kobietą, która miała własne życie. Zadrzałam na myśl, że być może powinnam się teraz troszczyć o męża zwanego Rogerem i o dzieci. I dręczyło mnie pytanie, czy wszystko, co przeżyłam wspólnie z Carterem, było tylko skutkiem niewiarygodnego nieporozumienia, o czym świadczyło odnalezienie zwłok mojej siostry? Czy moje inne życie mogło unicestwić miłość do tego mężczyzny?

Było mi żal tej kobiety z San Francisco, w przepoconym podkoszulku, w złotych kolczykach i ze sportowym zegar-

kiem na ręku, którą znaleziono nieprzytomną na pokładzie „Pogody”, ponieważ okazała się niewinną ofiarą ponurych zdarzeń. Żałowałam też Hillary Bass. Niezależnie od wszystkiego była moją siostrą, jakkolwiek wydawała mi się obcą osobą, czyli kimś, kogo raczej nie darzy się miłością ani nie próbuje zrozumieć.

Wśród wielu pytań, na które nie znałam jeszcze odpowiedzi, za najważniejsze uważałam to nie dające mi spokoju od chwili obudzenia się ze śpiączki w klinice w Tulonie: pytanie o to, kim jestem.



### *Rozdział dwudziesty piąty*

Gdy Bentley jechał przez dziedziniec, spostrzegłam przed domem Cartera. Wsiadłam nie czekając, aż Antonio otworzy drzwi. Carter podszedł do mnie. Zrobił taki gest, jakby chciał mnie objąć, ale jakoś się powstrzymał.

- A więc przegrałeś zakład z Jane. Skinął głową.

- Czy już wiadomo, kim jestem?

- Tak.

Wpatrywałam się w niego uważnie, zdając sobie sprawę z wagi tej informacji dla nas obojga.

Trwaliśmy tak w bezruchu jak dwie nieme rzeźby, co pewnie uderzyło Antonia.

- Czy pamiętasz, co ci powiedziałem tuż przed wyjściem z gabinetu?

Milczałam.

- Powiedziałem ci, że cię kocham... I nic się pod tym względem nie zmieniło.

Zagryzłam wargi, usiłując powstrzymać łzy. Tyle spraw się teraz ważyło. Znajdowałam się w decydującym momencie pomiędzy przeszłym i przyszłym życiem.

- Jak mam na imię?

- Dzwoniłem do doktora Thiriona po poradę. Uważa, że będzie lepiej, jeśli sama dokonasz konfrontacji. Znaleźliśmy twoje rzeczy w mieszkaniu Hillary w Nicei. Tam się zatrzymałaś.

Potrafiłam teraz mgliście wyobrazić sobie siebie jako kogoś innego, ale wciąż mnie przerażało, że żyjąc przez ponad tydzień wyłącznie życiem mojej siostry, wiedziałam o niej więcej niż o sobie.

Carter zatrzasnął drzwi samochodu i wziął mnie pod rękę.

- W salonie czeka na nas Jane, Przywiozłem wszystkie twoje rzeczy, włącznie z paszportem.

Na pozór byłam spokojna, ale kryło się za tym kompletne odrętwienie umysłu. Świadomość, że zaraz dowiem się prawdy o sobie, okazała się porażająca.

Zatrzymałam się przed drzwiami i spojrzałam na Cartera.

- Pewnie mi nie uwierzysz, ale niemal boję się dowiedzieć, kim jestem.

- Zgodnie z opinią doktora Thiriona możesz to bardzo mocno przeżyć, lecz ja i Jane będziemy z tobą, o ile oczywiście życzysz sobie naszego towarzystwa.

- Bardzo się z tego cieszę.

- Teraz rozumiem, dlaczego się w tobie zakochałem. Wydawałaś mi się inna, bo jesteś inna. - Musnął dłońmi moje policzki.

Te słowa dodały mi otuchy. Świadczyły o tym, że nie stracił do mnie zaufania. Mogłam mieć nadzieję, że bez względu na to, czego się o sobie dowiem, nasze stosunki ułożą się właściwie.

Jane podniosła się z fotela i uścisnęła mnie serdecznie.

- Odwagi, kochanie - szepnęła mi do ucha.

- Polly wyjdzie z tego. - Miałam łzy w oczach.

- Wiem. Dzwoniliśmy do szpitala.

Wzięła mnie za rękę i podeszłyśmy do sofy. Na stojącym obok krześle leżała walizka z brązowej skóry. Natychmiast ją rozpoznałam. Należała do mnie. A moja wysłużona torebka na ramię spoczywała na stoliku do kawy. Poczułam się tak, jakbym zobaczyła starych przyjaciół. Tyle że nie mogłam sobie przypomnieć, skąd ich znam.

Otwieranie torebki skojarzyło mi się z otwieraniem włas-

nego mieszkania. Od razu natrafiłam na wytarty, lecz znajomy portfel. W środku znajdowała się też szczotka do włosów, pakiecik chustek do nosa, aparat fotograficzny, kilka tamponów sanitarnych, flakonik Advilu, cztery klucze przyczepione do metalowego kółka ze skórzanym uchwytem, na którym widniała litera J, oraz napoczęta rolka miętowych dropsów i podręczny słownik angielsko-francuski.

W wewnętrznej, zamykanej na suwak kieszonce znalazłam swój amerykański paszport. Trzymałam go przez moment, przesuając kciukiem po błyszczącej niebieskiej okładce, bo skrywał tajemnicę mojej tożsamości.

Jane otoczyła mnie ramieniem, chcąc mi dodać odwagi.

Otworzyłam paszport drżącymi dłońmi. Zobaczyłam na zdjęciu swoją uśmiechniętą twarz. Była moja. Tego rodzaju podobieństwa, jakie widniało na zdjęciu, nigdy nie dostrzegłam na fotografiach Hillary. W moim uśmiechu uderzała szczerłość, nie zaś prowokacyjność. Miałam na sobie prostą białą bluzkę, a na szyi złoty łańcuszek.

Spojrzałam na widniejący pod zdjęciem podpis: Jessica Payton.

Przeniosłam wzrok na Cartera. Milczał, lecz uważnie mnie obserwował.

Uśmiechnęłam się, znowu czując w oczach łzy.

- Jessica - wymówiłam swoje imię.

- Tak, kochanie. Jessica - powtórzył za mną Carter. Zerknęłam na datę urodzenia. Też okazała się znajoma.

Jako miejsce urodzenia wpisano stan Kalifornia, a dokument został wydany przez Urząd Paszportowy w San Francisco. To było moje miasto rodzinne. Jeszcze raz zaczęłam oglądać zdjęcie. Tak, widziałam siebie, Jessicę Payton. Zyskałam świadomość własnej odrębności. Porwała mnie fala uczuć, choć wciąż nie przypominałam sobie żadnych faktów. Rozplakałam się pod naporem wzruszenia, że wreszcie siebie odnalazłam.

Jane wzięła mnie za rękę, a Carter usiadł obok mnie po drugiej stronie.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał.
- Nie. Dręczy mnie straszny smutek.
- Z jakiego powodu?
- Nie wiem. - Zaczęłam łkać.
- Może powinnaś się na chwilę położyć, kochanie? - zasugerowała Jane, głaszcząc mnie po rękę. Skinęłam głową. Carter dał mi chusteczkę i pomógł wstać.
- Zaprowadzę ją na górę - poinformował Jane.

Gdy zaczęliśmy wchodzić po schodach, otoczył mnie ramieniem. Weszliśmy do mojej sypialni, a raczej sypialni Hillary. Położyłam się na łóżku. Usiadł przy mnie.

- Przepraszam, ale nie wiem, co jest gorsze - powiedziałam wśród łkań.
- Doktor Thirion uprzedził mnie, że odzyskiwanie pamięci może się okazać bolesnym procesem i czasami wymaga pomocy lekarza. Czy zadzwonić po niego? - Gładził mnie po włosach.
- Nie trzeba. Poradzę sobie.

Usłyszałam miauknięcie. Na łóżko wskoczyła Poof. Usadowiła się między nami i patrzyła na mnie. Wyraźnie miała ochotę na drzemkę. Gdy zaczęłam ją głaskać, uświadomiłam sobie, że nawet ona do mnie nie należy. Rozpłakałam się. Widziałam Cartera jak przez mgłę. Chciałam, żeby wszystko ułożyło się pomiędzy nami jak najlepiej, ale coś nakazywało mi zachować rezerwę.

- Muszę cię o coś spytać. To bardzo ważne, więc proszę, powiedz prawdę - odezwałam się wśród łkań.
- Chodzi ci o moje interesy z Michelelem?
- Pragnę tylko wiedzieć, dlaczego to przemilczałeś. Dałam ci sposobność powiedzenia mi o tym, lecz zachowałeś się tak, jakby nie było żadnej sprawy.
- W nocy, gdy robiłaś aluzje, uważałem, że nie ma to związku z naszą osobistą sytuacją. Dopiero dziś rano spojrzałem na sprawę twoimi oczami. Jessico, zakup tej firmy nie był dla mnie specjalnie ważny, ot, kolejna transakcja.

Poza tym to George Dunphy prowadził negocjacje, w celu uniknięcia niepotrzebnych komplikacji. Powiadomiłem o wszystkim Debraya.

- A więc policja wiedziała o całej sprawie?

- Tak. Gdy się zorientowałem, że prasa zaczyna węszyć w tym jakąś aferę, zadzwoniłem z Londynu do Debraya. Uważałem, że skoro złożyłem zeznanie, już nie muszę rozmawiać o tym z tobą, a poza tym nie chciałem ci dokładać zmartwień po zamachu na twoje życie w Paryżu.

- A ja byłem pewna, że za komplikacjami spowodowanymi przez Michela kryje się coś niedobrego. Zastanawiałam się nawet, czy nie zamierzają cię aresztować, skoro przysłali po ciebie wóz policyjny.

- Zostałem wezwany do Nicei, żeby potwierdzić, czy rzeczywiście chodzi o pierścionek Hillary, bo identyfikacja zwłok okazała się niemożliwa. Należało też poświadczyć stomatologiczną ekspertyzę zębów. Przed spotkaniem z tobą Debray chciał mieć pewność, że istotnie odnaleziono ciało Hillary.

- To musiało być dla ciebie straszne przeżycie. - Byłem rozdygotana z powodu tej makabrycznej sytuacji.

- Istotnie. I nie da się opisać, co czułem jadąc do Nicei, żeby potwierdzić śmierć Hillary, skoro jakoby została w Montfaucon cała i zdrowa. To była surrealistyczna sytuacja, nie mówiąc już o tym, jak okazało się bolesne.

Poof przeniosła się w nogi łóżka. Położyłam dłoń na ramieniu Cartera. Rozmawialiśmy o mojej siostrze i jej śmierci, lecz ta prawda jeszcze nie w pełni do mnie docierała.

- Jane opowiedziała mi, co się tu wydarzyło. Polly i Antonio zostaną sownie wynagrodzeni. -

Westchnął ciężko. - Ale przynajmniej najgorsze mamy już za sobą.

Możliwe. Jednak ja wciąż czułam strach. Tyle się wydarzyło. Potrzebowałam czasu, by oswoić się z myślą, że straciłam siostrę i jedyną szansę poznania jej bliżej. A poza tym wciąż w pełni nie odzyskałam pamięci. I wiele kluczo-

wych pytań pozostawało bez odpowiedzi, zarówno tych o przeszłość, jak i o przyszłość.

- Carter, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zostać przez chwilę sama, żeby się nad wszystkim zastanowić.

- Oczywiście. - Pocałował mnie w policzek i opuścił sypialnię.

Zamknęłam oczy. Opanował mnie dziwny spokój. Moja pamięć zaczynała szybko powracać.

Zobaczyłam siebie wychodzącą z jakiegoś budynku mieszkalnego w San Francisco. Wsiadłam do niebieskiego VW Buga, kierując się w stronę Bay Bridge. Z mostu widziałam żaglówki płynące na północ, w stronę Berkeley. Tak, jechałam do Berkeley. Czułam lęk i zdenerwowanie. W torebce miałam jej adres. W Berkeley ruszyłam do północnej części uniwersyteckiego kampusu. Mknęłam wśród wzgórz przez Euclid Avenue. Jak mi powiedziała, dom znajdował się tuż za Rose Garden.

Po schodach podeszłam do drzwi starego, pokrytego gontem budynku. Był pomalowany na brązowo i bujnie opleciony dzikim winem. Nacisnęłam dzwonek i spojrzałam za siebie. W popołudniowym słońcu woda zatoki rozbłyskiwała niczym rtęć. W lekkiej mgiele na horyzoncie majaczyło San Francisco i Golden Gate Bridge.

Na dźwięk otwieranych drzwi odwróciłam głowę. Stał w nich zażywny staruszek o mlecznobiałej brodzie. Spoglądał na mnie zza okularów.

- Z pewnością jesteś Jessicą - odezwał się, jakby dużo o mnie wiedział. - Pielęgniarka Madeline zawiozła ją do Rose Garden. Przy ładnej pogodzie Madeline uwielbia tam przebywać. To kilka kroków stąd. Bez trudu rozpoznasz Madeline po wózku inwalidzkim.

Udałam się do Rose Garden. Okazało się, że brama od strony ulicy usytuowana jest na zboczu wzgórza. Od razu spostrzegłam kobietę w wózku inwalidzkim i siedzącą obok niej na ławce pielęgniarkę. Ruszyłam w ich stronę.

Gdy kobieta zobaczyła mnie, zaczęła płakać. Pielęgniarka oddaliła się dyskretnie, a ja usiadłam na ławce. Spojrzałam w szare oczy Madeline Johnson. Były bardzo podobne do moich.

Wzięła moje dłonie w swoje.

- Postanowiłam panować nad uczuciami, a spójrz tylko na mnie.

Po moich policzkach również płynęły łzy. Od dziecka wiedziałam, że mam przybranych rodziców. Nie byłam jednak świadoma, że moja prawdziwa matka żyje. Dopiero całkiem niedawno rodzice przyjechali do mnie z Fresno i powiedzieli mi, że dostali od niej list. Desperacko pragnęła spotkać się ze mną. Ciężko chorowała i lekarze dawali jej zaledwie kilka miesięcy życia. Napisałam do niej. Po otrzymaniu odpowiedzi zadzwoniłam i poinformowałam, że przyjadę do Berkeley.

Niezliczone różane krzewy były w pełnym rozkwicie, przesycając powietrze swym zapachem. Przez dobre kilkanaście minut wdychałam ten zapach i płakałam, prawie nic nie mówiąc, podobnie jak moja prawdziwa matka - kobieta, którą widziałam po raz pierwszy w życiu. W końcu wyznała mi szokującą dla mnie prawdę.

- Jessico, muszę ci powiedzieć coś, o czym nie wiedzą nawet twoi rodzice - zaczęła swoją opowieść. W milczeniu czekałam, półprzytomna z napięcia.

- Masz siostrę bliźniaczkę, adoptowaną przez parę z Nowego Jorku. Rodzice nie zdradzili jej, że jest ich przybranym dzieckiem, a oni sami, podobnie jak twoi, nie wiedzą o istnieniu siostry bliźniaczki. Napisałam do jej matki, prosząc o umożliwienie kontaktu z córką, ale mi odmówiła. Otrzymałam tylko list od jej adwokata, który poinformował mnie, że jego klientka nie życzy sobie żadnych kontaktów ze mną.

Słuchałam tego w osłupieniu. Zaledwie przed kwadransiem poznałam swoją rodzoną matkę, a teraz dowadywałam się od niej, że mam siostrę bliźniaczkę.

- Jessico, nie chcę cię obarczać żadnym zobowiązaniem,

ale to pewne, że nigdy nie zobaczę twojej siostry. Wynajęłam za ciężkie pieniądze detektywa, by ustalił jej adres. Musiałam wysłać do niej aż trzy listy, zanim mi odpowiedziała. Nie życzy sobie spotkania ze mną. Jej nie powiedziałam o tobie, lecz ciebie informuję o niej, bo nie chcę zabierać tajemnicy do grobu. Dam ci adres twojej siostry. Może pewnego dnia zapragniesz ją zobaczyć? - Wyjęła z kieszeni karteczkę. - Wszystko zależy od ciebie.

*Hillary Bass, zamieszkała w Montfaucon, we Francji...*

W[usiałam zasnąć, bo gdy kompletnie zdezorientowana uniosłam powieki, spostrzegłam siedzącego na łóżku doktora Thiriona. Przestraszyłam się; nie byłam przygotowana na to, że nagle zobaczę jego mlecznobiałe włosy i przenikliwe oczy. Uśmiechał się do mnie łagodnie, więc nieco się uspokoiłam.

- Dzień dobry, Jessico. Tak pani ma na imię?

Skinęłam głową, czując się jak dziecko w obecności takiego autorytetu, i dotknęłam swojej twarzy. Była zimna od potu.

- Proszę poleżeć jeszcze przez kilka minut - zasugerował, gdy spostrzegł, że usiłuję usiąść. - Nie ma pośpiechu. Czasami lepiej zwolnić tempo.

Opadłam na poduszkę.

- Zadzwoił do mnie pan Bass. Martwi się o panią. Pomyślał, że może będę w stanie pomóc. Nie jest przecież łatwo oswoić się z odkryciami na temat własnego życia, jakie ujawnia odzyskana pamięć.

- Istotnie.

- Jak się pani czuje?

- Jakbym śniła na jawie.

- A co może pani powiedzieć o sobie?

- Rozumiem teraz tę nawiedzającą mnie wizję kobiety w różanym ogrodzie. To moja matka, a Hillary jest moją siostrą.



- Hillary umarła, a pani znajduje się w jej domu we Francji. Czy przypomina sobie pani, jak do tego doszło?

Zamknęłam oczy, zastanawiając się przez chwilę.

- Myślę o tym, ale...

- Jessico, nie ma pośpiechu. Jeśli ta sprawa wprawia panią w zdenerwowanie, może opowie mi pani coś o sobie?

Odetchnęłam głęboko, usiłując się skoncentrować. Nagle pamięć powróciła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Mieszkam w San Francisco, na Filbert Street, w Cow Hollow, w kawalerce.

- Sama?

- Nie. Mam czarną kotkę Sabie. Jest... O mój Boże... Od kilku tygodni przebywa w pensjonacie dla zwierząt. Rachunek musi być straszny. - Byłam przerażona. - Jak mogłam zapomnieć o swojej kotce? Spojrzałam na doktora Thiriona. Poglądził mnie po ręce.

- Pomówmy teraz o pani życiu w Kalifornii. Czym się pani zajmuje?

- Jestem profesorem w Katedrze Pedagogiki na Uniwersytecie San Francisco. Specjalizuję się w pedagogice dziecięcej. - Gdy to powiedziałam, przypomniałam sobie swój ciasny gabinet na uczelni i przyjaciółkę Margie, której gabinet przylegał do mojego. Widok z okna gabinetu często przesłaniała mgła. Na biurku trzymałam zdjęcie rodziców. Przypomniałam sobie ich twarze. Miałam też polaroidową fotografię Sabie, zrobioną przez Rogera. - Roger!

- *Pardon?* - Psychiatra obserwował mnie, przyciskając palec do podbródka.

- Roger jest moim... - Rozejrzałam się po pokoju. -Gdzie jest Carter?

- *Mademoiselle*, pan Bass zostawił nas na kilka minut samych.

*Mademoiselle*, a nie *madame*. Nie byłam mężatką. Czułam się doprawdy dziwnie.

- Mówiła pani o Rogerze.

- To mój narzeczonny. Spotykamy się od roku. Jest geologiem. Wyjechał na wakacje na Hawaje, a ja z wizytą do mojej siostry...

- Co pani teraz do niego czuje?

- Jesteśmy sobie bliscy, ale tytułem próby, przed podjęciem ostatecznej decyzji, postanowiliśmy spędzić wakacje oddzielnie.

- Jakiej decyzji?

- O ślubie. - Natychmiast przypomniałam sobie weekend z Carterem w Paryżu i dzisiejszą noc. - Wielkie nieba, nie mogę uwierzyć w to, co robiłam. Doktorze...

- Jessico, niech pani nie będzie dla siebie taka surowa. Co się stało, to się nie odstanie. - Znowu pogłaskał mnie po rękę.

Opanowałam się. Im dłużej opowiadałam lekarzowi o sobie, tym bardziej czułam się Jessicą Payton, a Hillary Bass stawała się kimś innym, osobą, którą nieświadomie grałam przez kilkanaście dni niczym rolę teatralną.

Doktor Thirion wciąż zasypywał mnie pytaniami, a ja potrafiłam na nie odpowiedzieć. Po tym, jak zrozumiałam znaczenie wizji kobiety w Berkeley Rose Garden, moja pamięć rozjaśniła się niezawodnie i coraz bardziej zbliżałam się do dnia wypadku na jachcie Hillary.

- Co skłoniło panią do przyjazdu do Francji?

- Po śmierci naszej matki napisałam do Hillary, przedstawiając się jako siostra bliźniaczka i wysyłając swoje zdjęcie. Miałam nadzieję, że zechce się ze mną spotkać. Odpowiedziała, że przeżywa chwilowe kłopoty, ale po jakimś czasie mogłybyśmy się zobaczyć. Pod koniec roku akademickiego napisałam do niej ponownie. Poinformowałam, że wybieram się na urlop do Europy i ponowiłam prośbę o spotkanie. zaproponowała, żebym przyjechała pod koniec czerwca do Nicei. Napisała, że mogę się zatrzymać w jej mieszkaniu i że odbierze mnie z lotniska. Z tonu jej listu wywnioskowałam, że nie jest zachwycona naszym spotkaniem, ale chyba zwyciężyła ciekawość.

- Co wówczas pani do niej czuła?

- Bardzo przeżyłam pierwsze spotkanie z naszą matką. Zanim umarła, widziałam się z nią jeszcze trzykrotnie, Biedaczka zadręczała się tym, że Hillary nie chce się z nią zobaczyć. Przynęła mi wyjawic przed śmiercią, dlaczego oddała nas w ręce obcych ludzi i dlaczego uważała, że zrobiła to z miłości. Toteż gdy wylatywałam do Europy, czułam się tak, jakbym miała do spełnienia jakąś misję.

- Więc ten wyjazd też pani mocno przeżyła?

- Na tydzień przed odlotem nerwy nie pozwalały mi spać. Pierwsze spotkanie z naszą matką było dla mnie tak bolesne, że przez jakiś czas śniła mi się co noc w różnym ogrodzie.

- A jak wyglądało spotkanie z Hillary?

- Trochę się spóźniła na lotnisko. Czekaając na nią, przechadzałam się przed budynkiem lotniska. Gdy zobaczyłam stragan starej kwiaciarki, kupiłam dla Hillary czerwoną różę. Miała symbolizować naszą matkę i jej miłość do nas.

Kiedy wreszcie siostra zjawiała się po mnie, chciałam ją serdecznie uściskać, ale powstrzymał mnie jej dystans. Była nie tylko bardzo sztywna, lecz także podenerwowana naszym spotkaniem. Zasłoniła twarz ciemnymi okularami i wielkim rondem kapelusza, jakby nie chciała zostać rozpoznana. W pośpiechu zaprowadziła mnie do taksówki. Po drodze do jej mieszkania zwierzyła mi się, że ma w tej chwili straszne problemy ze swoim przyjacielem. Próbowałam tym usprawiedliwić jej chłodne powitanie, ale w głębi duszy wiedziałam, że nie jest zachwycona moim istnieniem.

- Powiedziała pani o tym?

- Świadczyło o tym jej zachowanie. W mieszkaniu zdałyśmy sobie sprawę, że wyglądamy identycznie. Było w tym coś niesamowitego i mojej siostrze absolutnie nie odpowiadało. W kółko powtarzała: „To niewiarygodne i przerażające. Nie jesteś tym podobieństwem urażona?” W końcu czułam się tak, jakbym jej coś ukradła.

- I co dalej?

- Usiłowałam jej opowiedzieć o naszej matce, ale nie chciała tego słuchać. Nalewała sobie drinka za drinkiem. Najwyraźniej czegoś się obawiała. Nie zamierzałam pogarszać jej nastroju, więc postanowiłam się z nią pożegnać. Musiało to wzbudzić w niej wyrzuty sumienia, bo z uporem nakłaniała mnie, żebym została przynajmniej na noc. Spędziłyśmy wieczór w jej mieszkaniu. Gdy zaproponowała, żebyśmy tu zjadły kolację, uświadomiłam sobie, że nie chce się ze mną pokazać publicznie. Na początku mówiła bardzo mało o swoich sprawach osobistych. Zwierzyła się tylko, że z mężem nie łączą jej bliskie stosunki. Jednak po kilku drinkach opowiedziała mi o Michelu.

Oświadczyła, że jest z jego powodu wytracona z równowagi, choć nie ujawniła żadnych szczegółów.

- Jak to się stało, że trafiła pani na jej jacht? W moich oczach natychmiast błysnęły łzy.

- Czy wolałaby pani teraz o tym nie mówić?

- Nie. Chcę to z siebie wyrzucić. Sądzę, że właśnie to tak zżerało moje nerwy... I to, co dotyczy naszej matki...

- Jessico, w salonie czekają Paul Debray i Jacques Lepe-cheur. - Psychiatra wziął mnie za rękę. - Chcieliby dowiedzieć się od pani, co wydarzyło się na jachcie. Powiedziałem im, że nie mam pewności, czy emocje pozwolą już pani wyrzucić to z siebie, a teraz wydaje mi się, że zdoła pani opowiedzieć tę historię tylko raz. Jaka jest pani decyzja?

- Niech przyjdą na górę. Pragnę mieć to już za sobą.

- Znakomicie. - Doktor Thirion wstał. - Również pan Bass bardzo chciałby z panią porozmawiać. Czy nie zamieniłaby pani z nim kilku słów?

- O tak, bardzo proszę.

Spojrzałam w okno. Wietrzyk poruszał zasłonami, tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy jadłam tu kolację w towarzystwie Cartera.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Carter wolno podszedł do łóżka, usiadł i wziął mnie za rękę.

Wydawało się to takie naturalne, choć doprawdy trudno już było orzec, co

jest w naszych stosunkach naturalne, a co nie. W milczeniu pocierał moją dłoń kciukiem.

- Bliźniaczki... nawet rozdzielone po urodzeniu... mają z sobą wiele wspólnego. Hillary i ja używałyśmy tych samych perfum, lubiłyśmy koty i zakochałyśmy się w tobie.

- Ale też dzielą was bardzo poważne różnice. Uwierz mi, Jessico, bo ja wiem to najlepiej.

- W Paryżu, gdy się kochaliśmy, ani przez moment nie wątpiłam, że jesteś moim mężem. - Łzy napłynęły mi do oczu. - A tymczasem byłeś moim szwagrem, mężem mojej siostry!

- Kochanie, wszystko, co nam się przydarzyło, to rezultat łączących nas uczuć. Uwierz w to choć na chwilę. To, że błędnie uważaliśmy cię za Hillary, wcale tego nie przekreśla.

- Ale teraz wiem, kim jestem. Mam własne życie, którego do tej pory nie byłam świadoma. I narzeczonego. Zamierzałam go poślubić.

- Rogera? - spytał zaskoczony i spojrzał na mnie posepnie.

- Tak.

- Kochasz go?

- Obchodzi mnie, jednak od chwili, w której zaczęliśmy z sobą być, już nie czuję do niego tego co przedtem.

Carter uśmiechnął się z ulgą. Pochylił się, chcąc mnie pocałować, ale rozległo się pukanie do drzwi.

- *O, pardon, monsieur, madame.* - To był doktor Thi-rion.

Carter wstał.

W ślad za psychiatrą weszli Debray i Lepecheur. Usiadłam na łóżku, a Carter uniósł poduszkę, żebym mogła się oprzeć.

Debray podał mi rękę na powitanie.

- *Mademoiselle* Payton, dziękuję za gotowość współpracy. Jestem świadom, że przeżywa pani bardzo trudne chwile. Wyrazy współczucia z powodu śmierci siostry.

Podziękowałam skinieniem głowy. Odbieranie kondolen-

cji z powodu śmierci Hillary wydało mi się czymś niesamowitym. Jeśli świat, w którym się znalazłam, był szalony, to teraz rozumiałam, co to znaczy.

Debray usiadł obok mnie na przyniesionym przez Cartera krześle, a Lepecheur przy stole, ze swym nieodłącznym notatnikiem. Carter zajął miejsce w nogach łóżka, a doktor Thirion stanął za Debrayem.

- *Mademoiselle*, bardzo chcielibyśmy wiedzieć, co naprawdę wydarzyło się na jachcie „Pogoda”.

Jestem przekonany, że będzie pani w stanie przedstawić nam fakty. -Debray pocierał podbródek.

- Tak - powiedziałam drżącym głosem.

- Zanocowała pani w mieszkaniu pani Bass w Nicei. Co zaszło rano?

- Hillary wstała późno. Bardzo się śpieszyła. Oświadczyła, że przed odbiorem jachtu ze stoczni remontowej musi jeszcze załatwić jakąś sprawę. Zaproponowała, żeby po południu pożeglowała z nią na „Pogodzie”. Zrobiła to pewnie dlatego, że w ten sposób nie wystawiała mnie zanadto na widok publiczny. Obawiałam się pływania z powodu morskiej choroby, ale nie odmówiłam.

- Czy właśnie z powodu tej sprawy nie wyszłyście razem z jej mieszkania?

- Tak.

- A powiedziała pani, o jaką sprawę chodzi?

- Nie, lecz przypuszczałam, że dotyczy Michela.

- Rozumiem. Proszę kontynuować.

- Przed wyjściem Hillary wyjaśniła mi, jak dotrzeć na przystań. Skoro miałyśmy żeglować, postanowiłam nie brać torebki. Nie wiem czemu wyobraziłam sobie, że to mała łódka i że musimy założyć kapoki. Ubrałam się zgodnie z tym wyobrażeniem. Wzięłam jakieś drobne do kieszeni i wsiadłam do autobusu. Potem doszłam pieszo na przystań, zatrzymując się w miejscu, w którym miałyśmy się spotkać. Wiedziałam, że Hillary udała się po łódź do stoczni remontowej, ale nie sądziłam, że będzie jej towarzyszył Michel.

- Co pan Lambert powiedział na pani widok?
- Hillary musiała mu powiedzieć o naszym podobieństwie, ale i tak był zaskoczony. Myślę, że go to rozbawiło. Robił straszne ceregiele towarzyskie i pocałował mnie w rękę. Było jasne, że chce rozzłościć Hillary.
- Na jakiej podstawie pani tak uważa?
- Bo rzucało się w oczy, że prowadzą z sobą wojnę. Na początku prawie się do siebie nie odzywali, tylko wymieniali wrogie spojrzenia.
- Czy zna pani powód?
- Nie.
- Proszę mówić dalej.
- Gdy znalazłam się na jachcie i Hillary była gotowa do wypłynięcia, kazała Michelowi zejść na ląd. Odmówił i zaczęli na siebie wrzeszczeć po francusku, więc nie rozumiałam. Uczyłam się francuskiego w szkole średniej, ale ta wymiana słów nie docierała do mnie. W każdym razie oboje dostali jakiejś furii. Uważałam, że moja obecność w niczym nie pomoże, więc postanowiłam opuścić jacht, lecz Hillary uparła się, żebym została. W końcu zgodziła się wypłynąć z Michelelem na pokładzie. Jeszcze nie zdążyliśmy dobrze oddalić się od portu, a ja już dostałam mdłości. Zeszłam pod pokład. Kiedy znaleźliśmy się na pełnym morzu, poczułam się całkiem źle. Słyszałam na pokładzie odgłosy kroków Hillary i Michela. Zerknęłam w luk w suficie kajuty. Zobaczyłam, że się policzkują.
- Nastąpiła wymiana ciosów?
- Tak. Ogarnęło mnie przerażenie, bo nie jestem przyzwyczajona do przemocy. Po prostu nigdy się z nią nie zetknęłam w moim domu rodzinnym.
- Czy nie przerwali nawet na chwilę?
- Nie mam co do tego pewności, ale chyba rzeczywiście odgłosy walki ucichły. Czułam się już tak źle, że zdawało mi się, że umrę. Postanowiłam zaczerpnąć powietrza, więc weszłam, a raczej wczołgałam się na pokład. Rozejrzałam

się. Na szczycie schodów usłyszałam przeraźliwy krzyk Hillary. Przy kole sterowym nie było nikogo, ale zaraz ich spostrzegłam nieco dalej. Okładali się niczym rozwścieczone bestie.

Po policzkach płynęły mi łzy. Carter podał mi chusteczkę. Wytarłam twarz i zerknęłam najpierw na Debraya, a potem na Thiriona. Po chwili opanowałam przyływ emocji.

- Wiem, że to bardzo trudne, ale musimy poznać dokładny przebieg zdarzeń. Czy pani Bass i pan Lambert mieli przy sobie broń? - spytał detektyw.

- Nie, okładali się pięściami. W końcu Michel złapał ją, ale wciąż się z nim szamotała. Chciałam ją powstrzymać, jednak natychmiast uznałam to za niewykonalne. Znajdowali się przy nadburciu. Gdy jacht gwałtownie zmienił kierunek i pochylił się, wpadli do wody. Wszystko stało się w ułamku sekundy.

- Co pani zrobiła?

- Podbiegłam do nadburcia. Hillary krzyczała, żebym zawróciła „Pogodę”, ale nie zdążyłam dotrzeć do koła sterowego. Rozkołysany bom uderzył mnie w głowę i straciłam przytomność.

- Zwykły wypadek, a przynajmniej niewiele więcej - skomentował Debray, opierając się swobodnie na krześle i pocierając podbródek.

- Ale dla panny Payton to było o wiele więcej - zaprotestował łagodnie doktor Thirion. - Bardzo przeżywała przyjazd do Francji. Nie została dobrze przyjęta, a na domiar złego ucierpiała fizycznie, będąc świadkiem tragicznej w skutkach szamotaniny pomiędzy siostrą a jej kochankiem. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, trudno się dziwić, że sprawa skończyła się amnezją.

Debray spokojnie skinął głową.

- To, że nie miała przy sobie paszportu i że jest ładną podobną do siostry, naraziło ją z kolei na straszne niebezpieczeństwa, czyniąc z niej podwójną ofiarę rozmaitych niefortunnych zbiegów okoliczności - skomentował.



- Nikogo nie oskarżam. Po prostu cieszę się, że mam to już za sobą i że wszystko się wyjaśniło.

- Wedle mojego rozeznania odzyskanie przez panią pamięci stanowiło naszą jedyną nadzieję.

Oczywiście ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że byłyście dwie - oświadczył.

Roześmialiśmy się.

Napotkałam wzrok Cartera. Westchnęłam ciężko, bo znowu poczułam się wyczerpana.

- Czy coś jeszcze, panie Debray? - Carter podniósł się z łóżka.

- Potrzebujemy od panny Payton poświadczenia zeznań, ale nie ma pośpiechu. Przygotujemy protokół w ciągu najbliższych dni. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że nie przywiązujemy do tego wagi. - Detektyw spojrział na mnie. - Potem może już pani opuścić Francję.

Lepecheur zamknął notatnik i podszedł do łóżka. Wszyscy trzej pożegnali się z nami. Doktor Thirion zaoferował dalszą pomoc.

Zostaliśmy z Carterem sami. Stał w nogach łóżka, z rękoma w kieszeniach, i patrzył na mnie w milczeniu. Uderzyło mnie, że w takiej samej pozie obserwował mnie podczas odwiedzin w klinice w Tulonie. Jednak teraz nie miał tak surowej miny, tylko był skonsternowany.

- Jak ja cię przekonam, żebyś została ze mną w Europie?

Zerknęłam na okno. Świeciło piękne popołudniowe słońce. Wreszcie poznałam tajemnicę swojej tożsamości i powód przyjazdu do Francji. Musiałam tylko zdecydować, gdzie chcę teraz żyć.

- Nie mogę się wyrzec swojej przeszłości. Mam własne życie, rodziców, przyjaciół, kota i pracę. Nie mogę tak po prostu zająć miejsca Hillary i o wszystkim zapomnieć.

- A uważasz, że tego właśnie chcę?

- Straciłam siostrę, a ty żonę. Nie zapominajmy o tym -powiedziałam drżącym głosem.

- W obu przypadkach doszło do tej straty dawno temu - odparł pewnym, choć trochę smutnym głosem.
  - Muszę pojechać do domu. Muszę. Usiadł przy mnie.
  - Więc pojedę z tobą. Chcę zobaczyć, gdzie mieszkasz i pracujesz, a także poznać twoich rodziców oraz przyjaciół. Znam cię o wiele lepiej niż sądzisz.
- Splótł moją dłoń z własną. Patrzyłam na niego oczami Jessiki Payton, ale nie dostrzegłam żadnej różnicy. Wciąż był to ten sam mężczyzna, w którym zakochałam się od pierwszego wejrzenia w klinice w Tulonie. Miłość nie wygasła.
- Nie jestem takim obieżyświatem jak moja siostra.
  - Potrafię to zrozumieć.
  - Tu jest pięknie, ale wolałabym nie spędzać każdego roku wyłącznie w Europie.
  - To też rozumiem.
  - Cenię sobie swoją pracę. Chcę nadal prowadzić zajęcia ze studentami, a przynajmniej rozwijać zainteresowania zawodowe.
  - Uważam to za zupełnie naturalne.
  - Dlaczego jesteś taki ustepliwy? - Przesunęłam palcami po jego dłoni.
  - Przychodzi mi to całkiem łatwo. Po prostu chcę być z tobą. Zawsze.

### *Rozdział dwudziesty szósty*

Uporządkowanie wszystkich spraw zajęło nam trochę czasu. Po zastanowieniu postanowiliśmy z Carterem pochować Hillary na nowojorskim cmentarzu, na którym znajdowały się groby jej rodziców. A w Montfaucon uczciliśmy pamięć o niej, wznosząc marmurowy obelisk i obsadzając go czerwonymi różami. Obok stoi ławka, na której często siadam podczas spaceru.

Po pogrzebie Hillary wyjechaliśmy do San Francisco. Spędziliśmy tam cały wrzesień, by dzięki temu jakoś dojść do siebie po tragicznych wydarzeniach we Francji i lepiej poznać się nawzajem. Ale zanim opuściliśmy Europę, wiedzieliśmy, że Carter nie wróci tu sam.

Przez wiele miesięcy Hillary nie opuszczała naszych myśli. Moja siostra była tragiczną postacią. Wiedziała jednak, że zawsze stanowić będzie dla mnie przypomnienie, że miłość i dobro potrafią przetrwać najgorsze. Wierzyłam w to tak samo jak nasza matka, która pragnęła, żebym zawsze o tym pamiętała. I z takim przesłaniem przyjechałam do siostry, do Europy. Nie zdołałam tego przekazać Hillary, ale w sposób, który trudno sobie wyobrazić, odnalazłam własną miłość. Madeline Johnson z pewnością ucieszyłaby się na wieść, że przynajmniej jedna z córek potrafiła spełnić jej marzenie o szczęściu.

Ilekcroć przechodzę obok obelisku w ogrodzie w Mont-

faucon, myślę o Hillary. Uważam, że zawsze nam siebie brakowało, choć przez tyle lat nie wiedziałyśmy o swoim istnieniu i nie zdążyłyśmy się dobrze poznać. Ale nasze losy były tak dziwnie z sobą splecione.

Wzięliśmy ślub w kościółku w Montfaucon, w Wigilię świąt Bożego Narodzenia. Ze Stanów przylecieli nasi rodzice.

Po dwóch latach od mojego przyjazdu do Francji zamieszkaliśmy na farmie Cartera w Wirginii.

Przebywamy tam w drugiej połowie roku, gdy prowadzę zajęcia na miejscowym uniwersytecie.

Pozostały czas spędzamy w Londynie, Paryżu i na południu Francji. Od chwili, w której poślubiłam Cartera, nie uważam domu w Mountfaucon za dom Hillary. Poza tym wypełniliśmy to miejsce wspaniałymi wspomnieniami.

Mamy teraz dwie kotki. Poof i Sabie zaprzyjaźniły się z sobą i razem z nami kursują pomiędzy Europą i Ameryką.

Po wyjściu ze szpitala Polly wróciła do Anglii, lecz Yvonne i Antonio nadal u nas pracują. Nie zatrudniłam następnej sekretarki, za to rozglądam się za nianią, ponieważ jestem w ciąży. Carter oczekuje bliźniąt, chcąc nadrobić stracony czas, ale lekarz zapewnił mnie, że urodzę jedno dziecko. Jestem tym w zupełności usatysfakcjonowana.

Jane pozostała moją przyjaciółką, a i Carter bardziej ją polubił. Złagodniała, ale nie straciła swojego charakteru. Ilekroć przebywam w jej towarzystwie, po części ulegam jakiejś dziwnej metamorfozie i w pewien sposób ożywa Hillary Bass. Nie dręczy mnie z jej powodu poczucie winy. Myślę, że mogłaby być ze mnie dumna.